



MAŁA DZIWKĄ

JACKIE  
COLLINS

*Collins Jackie*

*Szansa 07*

*Mała dziwka*

**Annabell, córka pary sławnych aktorów filmowych, chlubi się tym, że bez pomocy rodziców potrafiła zapewnić sobie w Nowym Jorku pozycję i byt materialny. Początkiem końca tej idylli stanie się śmierć jej matki, zamordowanej we własnym łóżku w rezydencji w Beverly Hills.**

**Niejako przy okazji wyjdzie na jaw dość skandaliczny charakter zarobkowej działalności Annabelle i jej chłopaka. Ale od czego są specjaliści od pr-u? Romanse, sukcesy i porażki głównych bohaterów splatają się ze sobą, ich tłem jest głównie Hollywood i obowiązujące tam dość szczególne prawa i obyczaje.**

*Rozdział pierwszy*  
Annabelle

Belle Svetlana patrzyła na swoje nagie ciało w dużym lustrze, szykując się do seksualnej randki z piętnastoletnim synem arabskiego magnata naftowego po trzydziści tysięcy dolarów za godzinę.

Wiedziała, że jest piękną. W końcu mnóstwo pieniędzy poszło na to, by jej uroda nie ulegała wątpliwości. Nos poprawiony na życzenie matki, kiedy miała zaledwie czternaście lat, wkrótce potem piersi — to już była jej własna decyzja. A później odsysanie tłuszczu, ilekroć zachodziła taka potrzeba, powiększenie ust, regularne traktowanie twarzy i ciała laserem, aby skóra zachowała tę mleczną biel, nad której osiągnięciem tak ciężko pracowała (pozbycie się piegów to była męka, ale dokonała tego).

Belle już jako nastolatka dążyła do perfekcji, a teraz udało jej się podejść cholernie blisko tego celu. Jasne, złotorude, falujące włosy sięgały do ramion. Oczy miały niezwykle szmaragdowozielony kolor. A ciało — istny ogród rozkoszy.

Rzeczywiście, myślała, wpatrując się w swoją bezwstydną nagość, jestem warta każdego centa z tych trzydziestu tysięcy dolarów gotówki schowanej już w sejfie.

Zazwyczaj nie chodziła na „randki”, ale Sharif Rani — magnat naftowy — nalegał, żeby to ona wprowadziła jego najmłodszego syna w tajniki cielesnych uciech. zaproponował królewską sumę, że w końcu się zgodziła.

Sięgnęła po leciutką suknię w kolorze brzoskwini i włożyła ją. Była teraz upudrowana, uperfumowana i gotowa do wyjścia.

Trzydzieści tysięcy za godzinę, nie najgorzej jak na pracę, której wykonanie nie zajmie jej więcej niż piętnaście minut.

Oczywiście mogła odrzucić propozycję i zaproponować jedną ze swoich dziewcząt za dwadzieścia tysięcy za godzinę, ale czasami zabawnie było brać w tym udział, szczególnie że mogła wybierać spośród bogatych, ważnych i sławnych klientów, wśród których byli wszyscy, od największych gwiazd Hollywood po licznych książąt. Lista obejmowała wielu przemysłowców, kilka supergwiazd rapu, dziesiątki gwiazd sportu i zbyt wielu polityków, by ich zliczyć.

Owszem, Belle Svetlana — z domu Annabelle Maestro — prowadziła najbardziej ekskluzywną, najdroższą w mieście agencję dziewczyn na telefon, a miastem tym był Nowy Jork, nie Los Angeles, w którym wyrosła otoczona luksusem i dostatkiem, na jakie mogli sobie pozwolić rodzice, gwiazdy filmowe.

Bogu dzięki, uciekła od tej dwójki egomaniaków — od mamy, eterycznej królowej w wartościowych produkcjach niezależnych, i taty, króla macho wysokobudżetowego kiczu. Co za koszmar, mieć takich rodziców.

Kiedy rzuciła college w Bostonie i zamieszkała w Nowym Jorku, żadne z kochających rodziców nie zwróciło na to uwagi. Przyznawanie się do dorosłej córki nie poprawiało ich publicznego wizerunku, więc posyłali jej co miesiąc pieniądze, poradzili niefrasobliwie, by realizowała swoje marzenia, i zostawili ją samą sobie.

Annabelle nie marnowała czasu. Wkrótce wpadła w wir nocnych klubów i przyjęć i ten styl życia przez jakiś czas ją satysfakcjonował, póki nie przedstawiono jej Frankiego Romano, popularnego didżeja, który pracował na prywatnych imprezach, a czasami w modnych klubach. Od pierwszego wejrzenia poczuli do siebie pociąg.

Frankie pochodził z Chicago, łączył dziwactwo i atrakcyjność trochę na sposób Michaela Imperioli. Mówił szybko i nerwowo, miał długie ciemne włosy, oczy niebieskie jak bryłki lodu i ostre rysy.

Kłopot z Frankiem polegał na tym, że zwykle był spłukany, a to z powodu silnego uzależnienia od kokainy. Wszystkie pieniądze, jakie wpadły mu w ręce, przepuszczał przez nos.

Annabelle zaangażowała się bardzo poważnie, bo mimo zażywania narkotyków Frankie okazał się gwiazdą w łóżku, ilekroć nie był za bardzo naćpany, żeby się do tego zabrać. Nie wiedziała, co robił, zanim ją poznał i nic jej to nie obchodziło. Był przekonana, że są bratnimi duszami.

Po kilku tygodniach szaleństwa Frankie wprowadził się do jej mieszkania w SoHo. Annabelle nie miała nic przeciwko temu. Jedyne minus polegał na tym, że —jak się zorientowała — wszystkie pieniądze od rodziców wydawała na zaspokojenie jego nałogu, toteż bardzo szybko, po naleganiach Frankiego, zadzwoniła do ojca, domagając się podwyższenia kieszonkowego.

Ralph Maestro był synem rzeźnika z Brooklynu i wszystko zawdzięczał sobie — ojca zastrzelił złodziej, kiedy Ralph miał dwanaście lat — więc powiedział córce, żeby na niego nie liczyła. „Sam do wszystkiego doszedłem, nie miałem nawet dwóch centów — poinformował ją surowo. — Zapewniliśmy ci doskonały start. Jeśli chcesz mieć więcej pieniędzy, znajdź sobie pracę”.

Annabelle była wściekła. Rodzice pławiają się w milionach,

a tatuś gwiazdor mówi jej, żeby znalazła sobie pracę! Do diabła z nimi!  
Coraz wyraźniej było widać, że ona nic ich nie obchodzi.

Po kilku tygodniach opracowali z Frankiem genialny plan. Leżeli w łóżku, czytając szokujące artykuły o żonatym polityku, który został przyłapany na uprawianiu seksu z wieloma drogimi dziewczynami na telefon.

— Co to za kretyn? — komentował Frankie, drapiąc się po chudym tyłku.

— Głupi dupek powinien płacić gotówką. W ten sposób nikt nie zostaje przyłapany i wszyscy w zgodzie rozchodzą się do domów.

— Gotówka jest dobra — przyznała Annabelle. — Ale tylko dla wyjątkowych dziewczyn.

— Jasne — zgodził się półzartem Frankie. — To nie może być jakaś gadatliwa dziwka, która sprzeda swoją historię, ale naprawdę wyjątkowe dziewczyny. Wiesz, jakie lale mam na myśli. Modelki, aktorki zawsze rozglądają się za dodatkowym zarobkiem. A urok sytuacji polega na tym, że myje wszystkie znamy.

— Pewnie, że znamy.

— A więc... — Frankie zamyślił się na kilka minut. — Czy przyszło ci do głowy to samo co mnie?

Owszem, przyszło. I w ten sposób zaczęła się ich przygoda.

Początkowo obydwójce traktowali to jak żart, ale po kilku miesiącach okazało się, że prowadzą cieszącą się ogromnym powodzeniem agencję dziewczyn na telefon.

Oszołomiona sukcesem Annabelle wkrótce stworzyła dla siebie dwie tożsamości. Jako Annabelle Maestro starała się wybić w świecie mody, zajmując się projektowaniem. Jako Belle Svetlana (wylansowało ją egzotyczne brzmienie rosyjskiego nazwiska) była kobietą tajemniczą, która zawsze potrafiła przysłać dziewczynę zdolną zaspokoić fantazje każdego mężczyzny.

Za odpowiednią cenę.

Cenę wygórowaną, w zależności od wymagań.

Dziewczyny Annabelle to nie były dziwki. Raczej pełne klasy, atrakcyjne kobiety pracujące, którym przydawały się dodatkowe dochody. Modelki, aktorki, piosenkarki, projektantki, wszystkie na poziomie, wytworne i dyskretne, niektóre znane.

To Annabelle wpadła na pomysł, by zatrudniane przez agencję dziewczyny pracowały z zasłoniętymi twarzami. Nie miała wątpliwości, że mężczyźni ekscytuje tajemnica, a dziewczyny też były zadowolone, bo wydawało im się, że maska naprawdę ukryje ich tożsamość.

Znalezienie odpowiednich dziewczyn nie stanowiło problemu. Frankie, który zanim związał się z Annabellą, był podrywaczem, znał je wszystkie i miał gadane, dzięki czemu mógł namówić je na wszystko. Wielką pokusą była fura nieopodatkowanej forsy, więc, jak zauważył, skoro większość dziewczyn pieprzy się za darmo, to co za problem, jeśli za to samo zostaną dobrze opłacone? Zwłaszcza jeżeli mogą zachować anonimowość.

Frankie sprawdzał wszystkich potencjalnych klientów, podczas gdy Annabelle organizowała dziewczęta i umawiała spotkania. Zgarniali we dwójkę około sześćdziesięciu procent każdej transakcji, toteż wkrótce tarzali się w pieniądzu. Zawsze była to gotówka, żadnych śladów na papierze.

Robili to już prawie od roku. Jakże słodki i dochodowy okazał się ten interes. Ani Frankie, ani Annabelle nie mieli powodów do narzekań, aż zorientowali się, że potrzebują kogoś do pomocy.

Po krótkim namyśle Frankie zatrudnił Janey Bonafacio, jedną ze swoich licznych kuzynek, która mieszkała na Brooklynie i pracowała jako księgowa. Zapytał, czy interesowałaby ją praca dla niego, a ponieważ Janey od dawna kochała się

w kuchni Frankiem, natychmiast porzuciła dotychczasową posadę i zajęła się odbieraniem telefonów i umawianiem dziewczyn.

Janey, ważąca dwieście siedemdziesiąt pięć funtów niezamężna matka dziesiętnastoletniego syna, była zachwycona, że dostała tę pracę.

Uwielbianie kuzyna z daleka to jedno, ale praca dla niego to spełnienie marzeń, nawet jeśli interes, jaki prowadził ze swoją zarozumiałą przyjaciółką, jest podejrzany.

Annabelle ufała Janey, co nie było już takie oczywiste w odniesieniu do Chipa, nadętego lenia, który bez przerwy narzekał. Annabelle traktowała go jak mniej uroczego Frankiego na okresie próbnym. Był chłopcem na posyłki i kierowcą.

— Przynajmniej to rodzina — przekonywał Frankie. — Nigdy nas nie oszukają.

— Nie bądź naiwny — prychnęła Annabelle. — Kiedy w grę wchodzi pieniądze, każdy pilnuje swoich interesów.

— Hola! Płacimy Janey dużo pieniędzy, żeby mieć pewność, że będzie dyskretna. Poza tym pamiętaj, że Janey ma do mnie słabość. Nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby mi zaszkodzić.

Annabelle wcale nie była o tym przekonana.

\* \* \*

Upewniwszy się, że wygląda wyjątkowo ponętnie, Annabelle zadzwoniła na dół, by sprawdzić, czy samochód czeka. Jej główną rezydencją był luksusowy apartament na poddaszu przy Park Avenue, gdzie spędzali z Frankiem większość czasu. Zatrzymała jednak mieszkanie w SoHo, to był adres kontaktowy dla rodziców i przyjaciół. Co nie znaczy, że rodzice kiedykolwiek się z nią kontaktowali. Dostawała od nich wiadomości mniej więcej raz na kilka tygodni. A co do dawnych przyjaciół, to specjalnie jej nie interesowali. Prowadziła teraz nowe życie,



a w tym nowym życiu tylko nieliczni wiedzieli, kim są jej rodzice i skąd pochodzi. Odpowiadało jej to.

Wcześniej tego dnia Frankie pojechał samochodem do Atlantic City, żeby spędzić weekend z dwoma wesołymi kumplami, Bobbym Santangelo Stanislopoulosem i jego biznesowym partnerem M.J. Annabelle znała ich obu od dawna, bo wszyscy chodzili do tej samej szkoły średniej w Beverley Hills. To były zabawne czasy. Bobby i M.J. byli o rok wyżej od niej, nigdy jednak nie zapomniała niesławnego balu szkolnego, kiedy wszyscy troje trzymali się razem, naćpali się, a ona w odpowiedzi na zakład skończyła w łóżku z obydwojema naraz.

No cóż... jedna z tych szalonych, niekontrolowanych eskapad nastolatków, choć było to raczej pamiętne doświadczenie. Ani Bobby, ani M.J., ani ona nigdy o tym nie wspominali. To był zakazany temat.

A potem pewnego wieczoru, już po przeprowadzce do Nowego Jorku, weszła do Mood i oni tam siedzieli — Bobby i M.J. Początkowo była zaszokowana, ale wkrótce zaczęli rozmawiać, wspominając dawne czasy. Właściwie to M.J. poznał ją z Frankiem.

Nigdy nie powiedziała Frankiemu o tej jednej lubieżnej nocy z dwoma jego najlepszymi przyjaciółmi, ponieważ o niektórych sprawach lepiej zapomnieć. Poza tym przypuszczała, że nie byłby tym zachwycony:

Frankie postawiony pod ścianą potrafił być porywczy.

Wyglądało na to, że nową pasją Frankiego jest hazard, więc nie sprzeciwiała się jego wyjazdowi. Chłopak na co dzień był trudny, toteż nie miała nic przeciwko temu, by od czasu do czasu spędzić noc samotnie. Zrelaksowanie się bez niego będzie przyjemną odmianą.

Recepcjonista z dołu poinformował ją, że kierowca zaparkował przed domem.

Biorąc torebkę marki Chanel, skierowała się do drzwi.

Gdy wychodziła, zadzwonił telefon. Postanowiła go zignorować. Nie miała najlepszej opinii o telefonach, nie znosiła ich odbierać. Ktokolwiek dzwoni, może zostawić wiadomość.

Wyszła z mieszkania i zjechała windą na dół, podniecona perspektywą wprowadzenia niewinnego młodzieńca w tajniki seksu. Jego ojciec, Sharif Rani, był jednym z najważniejszych klientów agencji. Potrzebował nowej dziewczyny kilka razy w tygodniu i zawsze wracał po więcej. Annabelle uważała go za najlepszego klienta obok hollywoodzkiego gwiazdora filmowego, który był nienasyconym łowcą cipek, i rockandrollowca z galerii sław z dziewięciocalowym fiutem i skłonnością do dziewczyn godzących się na działalność toaletową na całej jego wyrazistej twarzy.

— Dobry wieczór, panno Svetlano — powitał ją recepcjonista, wychodząc zza długiego marmurowego kontuaru i pocierając ręce w oczekiwaniu na duży napiwek.

Annabelle dyskretnie wsunęła mu dwudziestodolarówkę. Dość wcześnie zrozumiała, że mądrze jest uszczęśliwiać wszystkich.

Recepcjonista starał się jej zbytnio nie przyglądać. Była piękna z tymi jasnorudymi włosami i seksowną sylwetką. I dość tajemnicza. Nikt w budynku nie wiedział, czym się zajmują ona i jej chłopak, poza tym, że są młodzi i bogaci i mają mnóstwo urodziwych przyjaciółek.

Annabelle wyszła z budynku, wślizgnęła się na tylne siedzenie mercedesa, którego niedawno kupili, i rozparła się wygodnie na luksusowej skórze. Cieszyła się, że to popołudniowe spotkanie, bo po wyedukowaniu chłopca postanowiła wstąpić do Saksa i kupić sobie nową torebkę Prądy z lakierowanej skóry, którą widziała w katalogu. A ponieważ Frankie nie rozpieszczał jej prezentami, może nawet sama obdaruje się biżuterią od Davida Yurmana.

Tak właśnie zrobię, myślała rozmarzona. Wynagrodzę sama siebie za pięć minut nie tak znów ciężkiej pracy. Zasługuję na to.

— Halo tam — rzucił Chip, spoglądając we wsteczne lusterko. — Co słychać?

— Chip, nie jestem w nastroju do rozmowy — powiedziała chłodno. Nudził ją jak zawsze. Było w nim coś takiego...

— Przepraszam, że żyję — wymamrotał.

Niech to diabli! W tym momencie zdecydowała, że Chip musi odejść. Im szybciej, tym lepiej.

## *Rozdział drugi*

### Denver

Nazywam się Denver Jones, mam dwadzieścia pięć lat i jestem tak zwanym wziętym prawnikiem, adwokatem zaangażowanym do zespołu obrońców kompletowanego w celu ratowania Ralphi Maestro, sławnego gwiazdora filmów akcji, któremu groziłby wyrok za morderstwo, gdyby został aresztowany.

Jego piękna żona, także gwiazda filmowa, Gemma Summer Maestro, nie żyje. Po strzale w twarz eteryczna piękność przestała istnieć.

Jest początek grudnia i mimo palącego kalifornijskiego słońca wzdłuż podjazdu do domu Maestro, do którego zmierzam, piętrzy się góra sztucznego śniegu. Nie zaskakuje mnie to, ponieważ już kiedyś tu byłam, przed wieloma laty, kiedy jako chuda dwunastolatka próbowałam wkraść się w łaski najpopularniejszej dziewczyny w szkole Annabelle Maestro.

— Sztuczny śnieg! — Doskonale pamiętam swój okrzyk podczas pierwszej wizyty w rezydencji Maestro. — To znaczy, że twoi rodzice sprowadzają sztuczny śnieg i rozsypują go po bokach podjazdu? — Z niedowierzaniem przyglądałam się mojej nowej najlepszej przyjaciółce.

Dwunastoletnia Annabelle Maestro patrzyła na mnie wyzywająco.

— Denver Jones — powiedziała, marszcząc piegowaty noseć. Aparat ortodontyczny na jej zębach odbijał promienie popołudniowego słońca.

— Jesteś taka tępa! To Beverly Hills, głupia! W Beverly Hills nie mamy prawdziwego śniegu.

— Nie macie — wymamrotałem, świeżo przybyła z Chicago z moimi nie całkiem normalnymi rodzicami — tatą, nonkon-formistycznym prawnikiem, i mamą, działaczką polityczną, czasami zajmującą się domem.

— To niesłychane — wysapała Annabelle, jakbym była wiejskim głupkiem. — Jesteś taka tępa!

— Przepraszam — wybąkałem, choć nie miałam najmniejszego pojęcia, za co niby miałam się kajać.

Annabelle wzięła garść sztucznego śniegu i natarła mi twarz.

Przypominał watę cukrową.

— Chodź — powiedziała, przebierając długimi nogami po zaśnieżonym podjeździe. — Umieram z głodu.

Wlokłam się za nią, strząsając z twarzy i włosów sztuczny śnieg.

To było wtedy, a teraz jest teraz, nie jestem już naiwną dwunastolatką, jednak nigdy nie zapomnę Annabelle, jej piegów i sposobu, w jaki marszczyła nos. Nie widziałam jej od lat. Straciłyśmy kontakt zaraz po szkole średniej, słyszałam, że później wyjechała do college'u w Bostonie, a po rzuceniu nauki przeniosła się podobno do Nowego Jorku, gdzie zajmowała się czymś związanym z modą.

Zastanawiałam się, gdzie w tej chwili jest i czy się na nią natknę. Nasza przyjaźń nie trwała długo. Nigdy nie byłam dla niej wystarczająco wyluzowana, ale za to zbyt pracowita i zbyt inna, jak na jej gust.

Uwielbiała przemierzać w tę i z powrotem McIrose Avenue i Robertson Boulevard w poszukiwaniu nowej modnej torebki czy najnowszego fasonu dżinsów, a to mnie

raczej nie interesowało. Zresztą nawet gdybym chciała, nie byłoby mnie stać na styl życia księżniczki Maestro. Prawdę mówiąc, odczułam ulgę, kiedy Annabelle zaczęła mnie ignorować i włączyć się z grupką równie bogatych dziewcząt, mających równie sławnych rodziców.

Utrata przyjaźni Annabelle nie stanowiła specjalnego problemu. Moja mama też odczuła ulgę, bo nigdy nie darzyła szczególną sympatią Annabelle ani tego, co reprezentowała jej rodzina. Olbrzymie bogactwo. Towarzystwo z Beverly Hills. Mama czuła się znacznie lepiej, kiedy przyjaźniłam się z Carolyn Henderson, zdolną dziewczyną, której ojciec był chirurgiem plastycznym, a matka pracowała w handlu nieruchomościami. Kiedy Carolyn skończyła college, pojechała na staż do Waszyngtonu. Teraz jest asystentką senatora Gregory'ego Stonemana. Nadal się przyjaźnimy, chociaż mieszkamy w różnych miastach.

Utrzymujemy kontakt, co nie zawsze jest łatwe, bo obydwie jesteśmy bardzo zajęte. Dzięki Bogu za e-maile i SMS-y.

W tym roku Carolyn, mimo nawału pracy, obiecała przyjechać na Boże Narodzenie do Los Angeles. Przy niej wyglądam na lenia, a możecie mi wierzyć, że nie jestem nierobem.

Nie mogę się doczekać, kiedy spędzę z nią czas, szczególnie że obydwie niedawno zerwałyśmy z ważnymi dla nas osobami, co oznacza, że będzie o czym rozmawiać. Carolyn rzuciła swojego chłopaka Matta, ponieważ przyłapała go na zdradzie i właściwie nikogo to nie zaskoczyło. Matt był pnącym się po szczeblach kariery dziennikarzem politycznym, o którym wszyscy (poza Carolyn) wiedzieli, że ma poważne problemy z rozporkiem.

Moje zerwanie to zupełnie inna historia. Josh, wzięty lekarz sportowy, zostawił mnie. Narzekał, że praca jest dla mnie najważniejsza, a jemu znudziło się zajmowanie drugiego miejsca.

Po namyśle muszę przyznać, że albo on miał rację, albo nie kochałam go wystarczająco mocno.

Byłam z Joshem przez trzy lata, więc zerwanie stanowiło rodzaj wstrząsu, ale nie złamało mi serca. Przyznaję, że brak mi niedzielnego pochłaniania prasy w podkoszulkach, chodzenia na długie energiczne spacerzy w górę Malibu Canyon, oglądania programów *Entourage*, serialu *Dexter* w telewizji i zjadania się moją ulubioną chińszczyzną prosto z pudełek. Nie brakuje mi seksu. Jak większość związków nasz także na początku był niezwykle gorący, ale po sześciu miesiącach seks stał się nudny i tak znajomo zwyczajny.

Gdzie się podziła wielka namiętność? Nie jestem ekspertem, ale w college'u miałam dwa płomienne romanse — jeden z żonatym profesorem, a drugi z mięśniakiem. Za każdym razem seks rozwałił mózg, więc z pewnością widzę różnicę. Chociaż sypianie po kryjomu z żonatym mężczyzną to nie dla mnie. Za dużo kłamstw i komplikacji. Czasami wydaje mi się, że nasz pies, Amy Winehouse, tęskni za Joshem bardziej niż ja. Natknęliśmy się na Amy — rasy mieszanej — wałęsającą się po Venice Beach. Była brudna i zagubiona, więc wzięliśmy ją do domu i nazwaliśmy imieniem mojej ulubionej piosenkarki, z powodu jej gardłowych pomruków, które mogły rywalizować z niskim, seksownym głosem Amy.

Po odejściu Josha odziedziczyłam Amy. „Bez prawa odwiedzin”, poinformowałam go chłodno, choć naprawdę chciałam powiedzieć: „Odpieprz się, dupku, to ty mnie rzucasz”.

Josh dąsał się z powodu psa, ale przecież jeśli to on chciał się wycofać, dokładnie tego mógł się spodziewać. Odszedł. Nie ma. Historia. Nie wierzę w przeciąganie spraw. Kiedy coś się kończy, najlepiej przeciąć to zdecydowanie.

Tym razem moja mama nie była zadowolona. Lubiła Josha podobnie jak reszta rodziny, szczególnie moi trzej starsi bracia.

Trudno. Josh dał się lubić jako przyjaciel, ale na pewno nie był to mężczyzna, z którym chciałbym spędzić życie.

Ale kto mógłby być tym mężczyzną? Prawdę mówiąc, jeszcze go nie poznałam, a perspektywy w Los Angeles nie są szczególnie obiecujące. Jedyni mężczyźni, jakich spotykam, to klienci — zazwyczaj żonaci albo homoseksualni. No i jeszcze wymuskani prawnicy, którzy jeżdżą błyszczącymi porsche czy mercedesami i wolą dwudziestoletnie ponętne modelki lub aktorki ze wszystkimi wymaganymi atrybutami.

Co nie znaczy, że mój wygląd pozostawia coś do życzenia. Gdybym nie mieszkała w Los Angeles, pewnie byłabym uważana za niezwykle atrakcyjną. Mam długie kasztanowobrazowe włosy z naturalnym złotym połyskiem, duże orzechowe oczy, pięć stóp i siedem cali wzrostu, noszę ubrania rozmiar osiem (duże jak na standardy Beverly Hills, małe w pozostałej części kraju!).

Zgoda, nie jestem Pamelą Anderson, ale możecie mi wierzyć, że wcale nie pragnę nią być. Odpycha mnie wszystko, co sztuczne — usta, piersi, kości policzkowe i podbródki. Fu! O czym te kobiety myślą?

Prawda jest taka, że gdyby Josh nie zerwał ze mną, to ja bym zerwała z nim, bo wygodą jest wspaniała tylko przez jakiś czas. Ale namiętność na pewno gdzieś się czai i zamierzam ją odnaleźć. To znaczy, jeśli będę miała czas, bo jak wspomniałam, jestem pracoholiczką.

To wszystko wydarzyło się przed trzema miesiącami i wieść niesie, że Josh związał się z nową dziewczyną — anorektyczną stylistką gwiazd, o blond włosach, którą poderwał w jakimś klubie.

Jak widać, nie czekam beczynn timer. W każdym razie życzę mu powodzenia, nic mnie to nie obchodzi.

Ja jestem trochę bardziej wybredna. Akurat teraz nie interesuje mnie żaden stały związek. Postanowiłam, że trochę się zabawię, czekając na pojawienie się Odpowiedniego Pana.

— Spóźniłaś się — skarcił mnie szef na powitanie.



Mój szef, Felix Saunders albo Ząb Rekina — jak mówią o nim w kancelarii, ponieważ niedawno pozakładał sobie nowe koronki na zęby, które błyszczą niczym rząd białych lamp — jest gotów do działania. Felix to mężczyzna o imponującym wyglądzie, z ostrym rzymskim nosem i grzywą srebrnych włosów sterczących na końcach, co upodobnia go do białego Dona Kinga. Ma też słabość do jasnych garniturów marki Brioni, kolorowych koszul i szpiczastych butów z jaszczurczej skóry farbowanej na różne szokujące kolory. Większość ludzi uważa go za wielkiego oryginała.

Saunders, Fields, Simmons i Johnson to nazwa kancelarii prawniczej, w której pracuję. Zaczęłam u nich sekretarzować jeszcze jako studentka, a gdy zdałam egzamin adwokacki, przyjęli mnie na stanowisko prawnika. Po trzech latach awansowałam na starszego prawnika.

Nie znoszę się chwalić — no, może nie do końca — ale jestem dobra, bardzo dobra, i myślę, że Ząb Rekina mnie kocha. Niejako kobietę, ale jako swoją prawą rękę, na której to ręce zawsze może polegać, o czym doskonale wie. Ten człowiek jest błyskotliwym prawnikiem z umysłem ostrym jak brzytwa, toteż przez lata wytrwale ignorowałam wyjątkową biel jego zębów, włosy wymykające się spod kontroli i ostentacyjnie drogie garnitury, ucząc się od niego, ile tylko się dało. Jest wspaniałym nauczycielem, a ja pojętną uczennicą, więc okazało się to bardzo korzystne dla nas obojga. Mam nadzieję, że wkrótce zostanę młodszym partnerem.

Josh chyba miał rację: stawiam pracę na pierwszym miejscu i akurat teraz nie mam powodu, by tego nie robić.

Spojrzałam na zegarek — cartiera — urodzinowy prezent od Zęba Rekina. Nie przywiązuję wagi do marek, ale wydaje się, że inni bardzo je poważają, szczególnie w Beverly Hills.

— Dwie minuty trudno uznać za spóźnienie — powiedziałam cierpko.

Felix Saunders uniósł krzaczastą brew.

— Zawsze sprzeciw — stwierdził lekko poirytowany.

— Fakty to fakty.

— Dziewczyna, dla której wszystko jest albo czarne, albo białe — oznajmił sucho, pukając się w brodę zakrzywionym palcem wskazującym.

— Nie ma w tym nic złego — odparowałam. Dążenie do tego, by mieć ostatnie słowo, to jedno z moich przyzwyczajzeń, które doprowadza ludzi do szału. Mam to gdzieś, lubię, kiedy ostatnie słowo należy do mnie. A poza tym nie chcę, by zabrzmiało to nieskromnie, ale przeważnie mam rację.

— Chodź ze mną. Jest robota.

Mam opinię wziętego adwokata, bo w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy broniłam z doskonałym skutkiem dwóch znanych ludzi. Klient numer jeden był dyrektorem wytwórni oskarżonym o gwałt przez telewizyjną gwiazdę, której kariera znalazła się na równi pochyłej. Zbliżający się proces przez wiele miesięcy nie schodził z czołówek gazet, co osiągnęło kulminację podczas pięciu ostatnich dni w sądzie.

Aktorka nie była osobą popularną, przez wiele lat grała w telewizji prawdziwą jędzę. Nie miałam trudności z przekonaniem ławy przysięgłych, że ta rola była dla niej czymś naturalnym, poruszyłam też kwestię rodzinnego szczęścia dyrektora wytwórni: wdał się w ten jednorazowy seks za obopólną zgodą, ale kochał swoją żonę i rodzinę i bardzo gorąco żałował tego incydentu. Następnie podkreśliłam, jak bardzo aktorka potrzebowała — była wręcz uzależniona — od nagłówek przypominających jej minioną karierę gwiazdy. I to, z jaką determinacją rzuciła się na dyrektora wytwórni.

— Widzieliście film Beyonce *Obseseeal* — pytałam w mowie końcowej, wpatrując się w członków ławy przysięgłych wielkimi orzechowymi oczami, które, jak mi mówiono, mają właściwości hipnotyczne. — Chciałabym zasugerować, żebyś-

cie potraktowali to jako wersję realistyczną. Proszę się postawić w sytuacji tego człowieka. Długa pauza dla efektu.

— Tak, to prawda, mój klient zdradził żonę, ale też nigdy nie utrzymywał, że jest święty. I nic więcej nie zrobił. Jeden wieczór słabości z uwodzicielską aktorką, zdeterminowaną, by poprawić swoją sytuację zawodową. A więc... z powodu jednego potknięcia i tracącej popularność aktorki, która uważa się za odrażoną, ten niewinny człowiek ma stracić wszystko?

Kolejna długa pauza. Kolejny intensywny kontakt wzrokowy.

— Ja tak nie sądzę. A państwo? Ława przysięgłych zdobyta. Rezultat — wielkie zwycięstwo.

Wszystkim w firmie bardzo podobała się moja postawa w sądzie i po sześciu miesiącach dostałam kolejną ciekawą dla mediów sprawę. Tym razem był to ulubiony aktor oskarżony o obnażanie się przed dziećmi w miejscach publicznych. Przedstawiłam go jako niewiniątka. Miał drogą sercu rodzinę. Żonę, którą uwielbiał. Dzieci, które bardzo kochał.

Wygłosiłam bardzo rzeczową mowę końcową, pytając, czy ten człowiek — człowiek wyjątkowo dobry, który zbierał tak dużo pieniędzy na pomoc dzieciom — mógłby kiedykolwiek skrzywdzić dziecko czy nawet pomyśleć o czymś podobnym.

Po raz kolejny wygraliśmy.

A teraz to. Sprawa o morderstwo. Chociaż nikt nie oskarżył Ralpha Maestro o zamordowanie żony. Jeszcze nie.

— Dobrze by było, gdybyś wprowadził mnie w sprawę — zasugerowałam Zębowi Rekina, idąc za nim do imponującej rezydencji państwa Maestro.

Felix przystanął, poklepał mnie po ramieniu i szepnął mi do ucha:

— Ralph Maestro jest wielką gwiazdą filmu. — Przerwał na

chwilę, by zastanowić się nad swoimi słowami. — To znaczy, kiedyś był największy. Teraz już niekoniecznie. Ale skoro raz się było gwiazdą filmową, jest się nią nadal, bez względu na to, czy robi się jeszcze wielki szmal, czy nie.

— A on robi? — spytałam z ciekawością.

— Czy co robi?

— Wielki szmal?

— To nie ma znaczenia — stwierdził z rozdrażnieniem Felix.

Zastanawiałam się, czy to odpowiednia chwila, aby mu powiedzieć, że znam rodzinę Maestro, bo chodziłam do szkoły z ich córką. Ale uznałam, że nie jest to konieczne; i tak nie będą mnie pamiętali.

Felix kontynuował opowieść o tym, co się stało. Państwo Maestro byli poprzedniego wieczoru na wielkiej gali dobroczynnej w hotelu Beverly Wilshire, wrócili do domu o dwudziestej trzeciej. Gemma Summer Maestro poszła od razu na górę do swojego pokoju, a Ralph został na dole, oglądał telewizję, rozkoszując się jednym z tych kosztownych i najpewniej nielegalnie sprowadzanych kubańskich cygar. Później wyszedł z domu odwiedzić swoje psy, dwa ostre pitbule, którym nie wolno było wchodzić do rezydencji.

Około pierwszej poszedł na górę do swojego pokoju — państwo Maestro mieli osobne sypialnie, co nie należało do rzadkości wśród bogatych i sławnych par. Tam oglądał jeszcze telewizję, aż w końcu zasnął koło trzeciej. Kiedy się obudził o szóstej rano, udał się prosto do sali gimnastycznej na tyłach domu i dopiero ich gospodyni z Gwatemali, Lupe, znalazła ciało Gemmy — zastrzelonej w łóżku. Wtedy też Ralph zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Szybko zadałam kilka istotnych pytań.

— Czy policja znalazła narzędzie zbrodni?

— Nie.

— Jakież ślady włamania?

— Nie.

— Czy małżeństwo było udane? Felix pokręcił głową.

— Kto to wie? Ale gdy tylko wypędzę policję, to się dowiemy.

W domu było dwóch prowadzących śledztwo detektywów, a cały rój gliniarzy rozpełzł się po wszystkich pomieszczeniach.

Lupe zanosiła się łkaniem w kuchni.

Ciało Gemmy Summer nadal było na górze w łóżku, a policyjny fotograf jeszcze przebywał na dole.

Zaczęłam rozmawiać z jednym z detektywów, Afroamerykaninem o wyglądzie trochę starszego Willa Smitha. Wyobraźnia podpowiadała mi, że przybył do Hollywood w nadziei, że zostanie odkryty, a skończył jako detektyw. Wydaje się, że to najczęstsza historia. Nazywał się Preston.

Jego partnerką była Azjatka, detektyw Lee.

Zastanawiałam się, czy któreś z nich zadzwoniło do Annabelle i przekazało jej tę przygnębiającą wiadomość.

Nagle poczułam ściskanie w żołądku i falę mdłości. W jaki sposób przekazuje się taką wiadomość?

„Dobry wieczór, panno Maestro. Tu wydział policji Beverly Hills. Pani matka nie żyje, zabita strzałem w głowę. Pani ojciec jest głównym podejrzanym. Czy mogę skorzystać z okazji i życzyć pani wesołych świąt?”

— O co chodzi? — warknął Felix. Oczekiwał ode mnie pełnej uwagi przez cały czas, rozmyślania go nie interesowały.

— Czy ich córka została zawiadomiona? — spytałam. Felix zmrużył oczy.

— Skąd wiesz, że mają córkę?

— Wszyscy to wiedzą — odpowiedziałam szybko. Nie czułam się gotowa, by wyjawiać swoje związki z rodziną Maestro.

— O ile wiem, nikt jeszcze nie został zawiadomiony — powiedział Felix, sięgając do kieszeni marynarki po pudełko ekstramocnych pastylek miętowych na odświeżenie oddechu. Nie częstując mnie, włożył do ust dwie i i schował pudełko. — Masz pojęcie, jak prasa się na to rzuci? — W powietrzu zawisł miętowy oddech. — Sprawy Phila Spectora i Roberta Blake'a to bułka z masłem.

— Myślisz, że policja ma zamiar zaaresztować Ralpa Maestro? — zapytałam ostrożnie.

— Raczej nie, jeśli ja się tym zajmę — odpowiedział, jak zwykle pełen niezachwianej wiary w siebie. — Nie ma absolutnie żadnych dowodów, że zrobił to Ralph. Absolutnie żadnych.

A zrobił? Marzyłam, by zadać to pytanie. Powstrzymałam się jednak. Czasami uczysz się więcej, nic nie mówiąc.

## *Rozdział trzeci*

Carolyn

— Powiedziałeś, że zostawisz żonę — mówiła Carolyn Henderson, a jej jasnoniebieskie oczy wypełniły się łzami. Rozmawiała ze swoim szefem, kochankiem, mężczyzną, który obiecał jej wszystko, ale nie dotrzymał żadnej z tych obietnic. — Miałeś zrobić to przed Bożym Narodzeniem. Senator Gregory Stoneman chodził po swoim biurze i nie potrafił spojrzeć na ładną dziewczynę o włosach w kolorze miodu ostrzyżonych na pazia, która miała łzy w oczach. Był wysokim pięćdziesięciolatkiem z gęstą czupryną siwych włosów, ostrym orlim profilem i sztucznym uśmiechem polityka.

— Posłuchaj mnie, skarbie, musisz...

— Słuchałam — przerwała mu Carolyn podniesionym głosem. — Słuchałam cię bez przerwy przez ostatnie dwa lata. — Popatrzyła na niego oskarżycielsko. — Przysięgałeś mi, że to Boże Narodzenie spędzimy razem. Obiecałeś mi, że ją zostawisz.

— Wiem, ale...

— Okłamałeś mnie, Gregory. Nadal jej o nas nie powiedziałeś, prawda?

Po jej policzkach popłynęły łzy.

Gregory Stoneman ściągnął brwi. Nie ma nic bardziej irytującego niż płacząca kobieta. Wystarczy, że musi czasami znosić płacz żony, a teraz i ta zaczyna robić się coraz bardziej wymagająca. Nie potrzebuje takich bzdur. Poza tym niedawno poznał brytyjską dziennikarkę, londyńską korespondentkę elitarniej angielskiej gazety. Dziewczyna jest młoda i świeża, przy niej uroda Carolyn pozostawia wiele do życzenia, choć trzeba przyznać, że ciało Carolyn jest rewelacyjne — wspaniałe cycki — i między innymi dlatego zwodzi ją tymi wszystkimi obietnicami rozwodu. Jakby to było możliwe.

W Waszyngtonie toczy się gra. Ma surowe reguły. Romans to romans i nigdy nie wpływa na małżeństwo. Każdy, kto chce uczestniczyć w grze, musi się nauczyć przestrzegania reguł.

— Uspokój się — powtarzał kojąco.

— Pieprzę spokój! — krzyknęła.

— Po świętach... — zaczął.

— Nie! — zapiszczała. — Obiecałeś. Oczekuję, że dotrzymasz obietnicy albo...

— Albo co? — spytał zaczepnie.

— Albo powiem o nas twojej żonie, skoro sam, jak się wydaje, nie potrafisz.

Jej słowa zawisły między nimi jak ciemna zasłona.

Gregory jeszcze bardziej ściągnął brwi. Gdyby tylko ten jej chłopak, Matt, został z nią, toby się nie zdarzyło. Ale nie, Matt nagle się wycofał. W jakiej to go stawia sytuacji? Jest zdany na tę dziewczynę, która zaczyna stawiać wymagania, a on nie zamierzał ich spełnić. I jakby tego było mało, teraz jeszcze grozi. Jemu, senatorowi Gregory'emu Stonemanowi, wybitnemu członkowi Izby o nieskalanej reputacji, żonatemu od dwudziestu lat.



Jej zachowanie jest nie do przyjęcia, nie ma zamiaru go tolerować.

— Bądź uprzejma nie krzyczeć w moim biurze — powiedział, zerkając niespokojnie na zamknięte drzwi.

— Dlaczego nie? — pytała coraz bardziej czerwona. — Wszyscy się dowiedzą, i to raczej szybko.

— Nie dowiedzą się.

— Owszem, dowiedzą.

Miał tego dosyć. Za kogo ona się uważa, do wszystkich diabłów?

— A to w jaki sposób? — zapytał zimno.

— W taki, że zamierzam im powiedzieć — oświadczyła wyzywająco. — Najpierw twojej żonie, a potem wszystkim pozostałym.

Złapał mocno jej rękę.

— Nie zrobisz tego — powiedział rozkazująco. — Nawet o tym nie myśl.

— Spróbuj mi przeszkodzić. — Była zdeterminowana. Potrafiła najwyraźniej doprowadzić sprawę do końca.

— Ale dlaczego? — zapytał, z trudem hamując gniew. — Dlaczego robisz mi to teraz, po tak długim czasie?

Carolyn patrzyła na niego, jej dolna warga drżała, ręce się trzęsły. Nie chciała, żeby tak to wypadło, ale musi wiedzieć.

— Jestem w ciąży — wybąkała w końcu.

— Co takiego?! — Cofnął się z pobladłą twarzą.

— W ciąży — powtórzyła zachwycona, że wreszcie przykuła całą jego uwagę.

— To niemożliwe — warknął, nie chcąc przyjąć tego do wiadomości. — Przecież bierzesz pigułki.

— Wpadki się zdarzają.

— O czym ty mówisz? — zapytał szorstko.

— Pigułka nie zawsze działa — wyjaśniła. — Tak czasem bywa.

— Chryste!

— Więc sam widzisz. — Była teraz o wiele spokojniejsza. — Najwyższy czas, żebyśmy się ujawnili. Musimy to zrobić.

Przez chwilę przemierzał gabinet w tę i z powrotem. Wreszcie odwrócił się w jej stronę z oskarżycielską miną:

— A na jakiej podstawie sądzisz, że to moje? — spytał napastliwie. Spodziewała się, że powie coś takiego. Było jej przykro, ale zbyt dobrze знаła słabości Gregory'ego. Kiedy dochodziło do konfrontacji, zawsze próbował wymigać się od odpowiedzialności, dokładnie tak jak w polityce.

A jednak... kochała go. Nic nie mogła na to poradzić.

Teraz rośnie w niej jego dziecko i bardziej niż kiedykolwiek chciała z nim być.

— Na pewno jest twoje — powiedziała spokojnie. — Nie mam wątpliwości.

— Może być Matta — zasugerował, wściekły, że dał się złapać w tę najstarszą z pułapek.

— Jest twoje — powtórzyła.

— Skąd możesz mieć pewność? — upierał się.

O Boże! Sprawiał, że czuła się taka przegrana. A to po prostu nie w porządku. Tak bardzo go kocha, od tak dawna.

— Ponieważ nie spałam z Mattem od ponad trzech miesięcy — powiedziała cicho. — To twoje dziecko, Gregory, przyjmij to do wiadomości.

— Chryste! Dlaczego to zrobiłaś?

— Dlaczego ja to zrobiłam? — zapytała, czując nagły przypływ gniewu.

— O ile dobrze pamiętam, to ty przychodziłeś do mojego mieszkania dwa razy w tygodniu, gotów wypieprzyć mi mózg.

— Nie bądź tak cholernie prymitywna. — Spojrzał na nią zdegustowany.

— To do ciebie nie pasuje.

Rozmowa nie przebiegała zgodnie z planem. Chciała usłyszeć

od niego: „Masz rację, to wspaniała wiadomość. Powinniśmy być razem. Natychmiast rozwiodę się z żoną”. Akurat. Może sobie pomarzyć.

W głębi duszy czuła, że jego reakcja będzie paskudna.

Westchnęła, żałując, że nie ma komu się zwierzyć. Jednak na samym początku romansu zażądał od niej, by przysięgła, że dochowa tajemnicy, nie powiedziała więc nawet Denver, swojej najlepszej przyjaciółce, która mieszkała w Los Angeles. Denver była przekonana, że jej związek z Mattem jest udany, dopóki nie zerwali.

Nawet Matt nie podejrzewał, co się dzieje. Mieszkali oddzielnie, rzadko zostawał u niej na noc, dzięki czemu mogła utrzymać w tajemnicy romans z Gregorym.

A teraz pragnęła tylko poinformować o tym cały świat, a szczególnie żonę Gregory'ego Stonemana, Evelyn, która według niego jest zimną, dominującą kobietą i odmawia mu seksu. Między innymi dlatego Carolyn nigdy nie czuła się winna, że sypia z żonatym mężczyzną. On potrzebował jej, ona potrzebowała jego. Łączyła ich bardzo bliska więź. Gregory podszedł do okna i stanął do niej plecami.

— A więc — zaryzykowała w nadziei, że on zmięknie — to chyba znaczy, że nie masz wyboru. Albo sam powiesz żonie, albo ja to zrobię. Odwrócił się, jego oczy miały dziwny wyraz.

— I sądzisz, że tak się to odbędzie? — zapytał lodowato.

— Właśnie tak sędzę, Gregory — zaryzykowała odważnie. — Tym razem naprawdę tak myślę.

— Czyżby?

— Jak najbardziej.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Uznała to za dobry znak. To dużo lepsze niż słuchanie jego utyskiwań.

Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

— Nie powinnaś mi tego mówić tutaj. To jest coś, o czym musimy porozmawiać prywatnie.

— Zgadza się. — poczuła ulgę, bo wydawało się, że wreszcie pogodził się z faktami.

— I musisz dać mi parę tygodni na załatwienie wszystkiego. —

Wpatrywał się w nią intensywnie. — Nie mogę zdziałać cudów z dnia na dzień.

— Ja mogę to zrobić — wtrąciła szybko.

— Wiesz doskonale — ciągnął, przygryzając dolną wargę — że to bardzo, bardzo skomplikowane. Musimy wziąć pod uwagę moją żonę i dzieci...

— Oczywiście — zgodziła się potulnie. — Wiem, że to nie będzie łatwe.

— Żebyś wiedziała, że nie. — W jego głosie można było wyczuć złość.

— Ale przecież możemy to zrobić wspólnie — dodała pocieszająco. —

Wszystko się ułoży, a my będziemy razem.

Obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

— Nikomu o tym nie mówiłaś, co? — upewnił się.

— Oczywiście że nie.

— Na pewno?

— Dlaczego miałabym mówić? To nasza tajemnica.

— Ludzie zdradzają sekrety.

— Nie ja.

Zaczął chodzić po pokoju, nie patrząc na nią. Odetchnęła głęboko, czekała, co powie.

— Który to miesiąc?

— Siódmy czy ósmy tydzień. Nie jestem pewna.

— Byłaś u lekarza?

— Umówiłam się na wizytę w przyszłym tygodniu — odpowiedziała zachęcona jego zainteresowaniem.

— Odwołaj ją! Dla naszego dziecka chcę tylko tego, co najlepsze. Sam umówię cię na wizytę.

„Dla naszego dziecka". Jak upajająco brzmią te słowa w ustach Gregory'ego. Jej Gregory'ego. Przypomniała sobie, jak dwa miesiące wcześniej jego żona i dzieci wyjechali, a on zabrał ją do swojego domu. Spędzili razem kilka magicznych godzin, był taki czuły. To właśnie wtedy musiała zająć w ciążę.

Pod wpływem nagłej fali czułości podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Tak mi przykro — wyszeptwała, przytulając się i wdychając jego męski zapach. — Nie chciałam, żeby tak wyszło. Ale skoro już się stało, to myślę, że tak miało być. Dobrze wiesz, jak bardzo cię kocham. I zawsze będę przy tobie.

— Wiem — mruknął. W jego głowie kłębiły się myśli, a żadna nie była przyjemna.

— To będzie wielka ulga, kiedy się ujawnimy. — Wyobraziła sobie, jak towarzyszy mu na ważnych waszyngtońskich spotkaniach i wytwornych kolacjach. — Zobaczysz.

— Jasne — powiedział powoli. — Tylko musisz mi pozwolić załatwić to po mojemu.

— Pozwolę — obiecała.

— Nie możesz nikomu pisać ani słowa — przypomniał. — Rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem — powiedziała, całując go. Wbrew sobie poczuł w spodniach znajome napięcie.

Był zły, osaczony i zagrożony, a jednak ta intrygująca dziwka nadal potrafiła sprawić, że mu stawał.

Położył dłonie na jej piersiach i zaczął pieścić brodawki przez materiał bluzki.

— Zamknij drzwi—wymamrotał po chwili, głosem nabrzmiałym żądzą.

— Potem zdejmij bluzkę, klęknij i zrób językiem to, co robisz tak dobrze. Uczcijmy w ten sposób nowe wydarzenia.

Dobrze, Gregory — szepnęła, pewna, że wszystko się ułoży. — Co tylko chcesz.

## *Rozdział czwarty*

### Bobby

Kiedy Bobby Santangelo Stanislopoulos wchodził do pomieszczenia, kobiety go zauważały nie tylko dlatego, że miał ponad sześć stóp wzrostu, był między dwudziestką a trzydziestką i wydawał się niesłychanie seksowny, ale dlatego że miał wielką klasę. Jego długie czarne włosy, oczy czarne jak noc, grecki nos oraz wyrazista linia szczęk doprowadzały kobiety do szaleństwa. I nie chodziło tylko o to, że był niewiarygodnie przystojny, choć był. Ani o to, że odziedziczył wielką fortunę, chociaż to także była prawda. Nie, on miał to coś. Stanowił mieszankę młodego Johna Kennedy'ego juniora z odrobiną Ashtona Kutchera i tajemniczym Robertem Pattisonem.

Ojciec Bobby'ego, grecki miliarder, nieżyjący Dimitri Stanislopoulos, był człowiekiem wpływowym, prawdziwą potęgą w świecie przewozów morskich i handlu. Bobby nigdy nie pragnął iść w ślady ojca, nie frapował go ten typ interesów. Nie chciał też naśladować sukcesów matki.

Szaleńczo piękna Lucky Santangelo zawsze robiła, co chciała — na przykład wybudowała kilka luksusowych hoteli w Las Vegas, przez wiele lat była też właścicielką wytwórni filmowej Panther. Bobby'ego

zawsze otaczali ludzie sukcesu: rodzice, ojczym — Lennie Ciolden — były gwiazdor filmowy, który teraz pisał scenariusz i reżyserował bardzo popularne filmy niezależne, no i oczywiście dziadek ze strony matki, niepowtarzalny Gino Santangelo.

Więc co może zrobić młody student, by odcisnąć w świecie własny ślad? Na szczęście Bobby miał wspaniałe pomysły, toteż nie pytając nikogo o pozwolenie czy opinię, porzucił college, pojechał do Nowego Jorku ze swoim przyjacielem M.J., Afroamerykaninem, synem słynnego neurochirurga, zmontowali grupę inwestorów, co pozwoliło im otworzyć Mood, prywatny klub, który po kilku miesiącach zyskał popularność i stał się miejscem, do którego się chodzi.

Bobby odziedziczył dominującą osobowość Dimitria, z jego niezwykłym talentem do interesów, miał także nieodparty wdzięk Lucky, jej upór i siłę charakteru. Nie najgorsza kombinacja.

Wszyscy chcieli się z nim przyjaźnić, lecz Lucky wcześniej nauczyła go, że jeśli chodzi o przyjaźnie i znajomości, trzeba być niezwykle wybrednym. „Ludzie będą chcieli czegoś od ciebie tylko dlatego, że jesteś, kim jesteś, ostrzegała. Pieniądze zawsze przyciągają nieodpowiednie towarzystwo. Popatrz tylko na Brigitte i kolejnych nieudaczników, którzy ją otaczają. Ma szczęście, że to jej nie wykończyło”.

Brigitte Stanislopoulos była siostrzenicą Bobby'ego, choć miała niemal dziesięć lat więcej niż on. Była córką Olympii, nieżyjącej przyrodniej siostry Bobby'ego, i wnuczką od dawna nieżyjącego Dimitria.

Mogłoby się wydawać, że w rodzinie Stanislopoulosów zdarzało się dużo zgonów. Bobby zawsze wierzył, że więcej cech odziedziczył jednak po rodzinie Santangelo.

Bardzo lubił Brigitte, ale z historii, które do niego docierały,

wynikało, że zawsze obdarzała sympatią nieodpowiedniego człowieka i wciąż od nowa za to płaciła.

Jej przykład sprawił, że Bobby był bardzo nieufny, szczególnie wobec kobiet.

Miał dużo dziewczyn, jednak żadnej z nich nie traktował poważnie, choć wszystkie były niewiarygodnie piękne. Panny z towarzystwa, modelki, aktorki, przychodziły i odchodziły. Dobrze się bawił. Niby czemu nie? Jednak żadna z nich nic nie znaczyła, oprócz Serenity, z którą związany był jeszcze przed osiemnastoma miesiącami, dopóki go nie rzuciła; spędziła noc z jego przyjacielem Frankiem Romano, po czym tajemniczo zniknęła ze swoim rosyjskim mężem.

I wtedy pojawiła się Zeena, śpiewająca gwiazda znana pod tym jednym imieniem. Była po czterdziestce, miała ciało jak Madonna, zachowywała się jak niegrzeczna dziewczynka, a otaczał ją tłum wielbicieli.

Ta kobieta to zupełnie inna historia. Egzotyczna piękność — pół Brazylijka, pół amerykańska Indianka — przynajmniej dwa razy w tygodniu zjawiała się w Mood otoczona wielbicielami, ale zawsze w towarzystwie innego młodzieńca, a mimo to — ku wielkiej irytacji Bobby'ego — zwykle albo z nim flirtowała, albo zupełnie ignorowała. Zmiany nastroju tej kobiety doprowadzały go do szaleństwa. Z cudem graniczył fakt, że utrzymywał to zadurzenie w tajemnicy, nie zwierzył się ani M.J., ani Frankiemu — szczególnie jemu — który był didżejem w klubie i chłopakiem Annabelle Maestro.

Bywały okresy, kiedy Bobby zastanawiał się, dlaczego właściwie są z Frankiem tak bliskimi przyjaciółmi. Różnili się tak bardzo, że było to wręcz śmieszne.

Frankie brał kokę i lubił być na haju.

Bobby nie.



Frankie oszukiwał Annabelle.

Bobby wierzył w związki monogamiczne.

Frankie miał awersję do pracy.

Bobby lubił robić interesy. Aktualnie planował wraz z M.J. otwarcie filii Mood w Miami, Londynie, a może i w Moskwie.

Mimo tych różnic Bobby lubił myśleć, że zawsze może liczyć na poparcie Frankiego, i wzajemnie. Poza tym mieli wspólne przeżycia z Serenity, piękną słowacką modelką, która przespała się z obydwojma i zniknęła.

Bobby nadal czuł ból z powodu odrzucenia przez Serenity.

Zrobił mądrze, nie ufając ani M.J., ani Frankiemu — gdyby im powiedział o swojej słabości do Zeeny, zameczyliby go na śmierć cynicznymi uwagami i sarkastycznymi żartami. Lepiej więc, że to przemilczał.

Nie znaczyło to jednak, że łatwo mu było oprzeć się pokusie porozmawiania o niej z kimś, choćby po to, by posłuchać bezstronnej opinii.

Czy jest nim zainteresowana? Czy ekscytuje ją torturowanie go? Bo bez wątpienia doskonale wie, jak to robić.

Często zastanawiał się, dlaczego najbardziej pociągają go kobiety, które go odrzucają. Najlepsza przyjaciółka Lucky, Venus, traktowała go jak dzieciaka. Serenity jak dokuczliwego pieska. A teraz Zeena. Co ma dla niego w zanadrzu? I dlaczego on tak bardzo jej pragnie?

Psychiatra miałby z tym problem.

Żeby zapomnieć o Pannie Supergwieździe, postanowił zrobić sobie wolny weekend i pojechać do Atlantic City z Frankiem i M.J. Frankie nudził go o to od tygodni, dlaczego więc nie pozwolić sobie na trochę odpoczynku?

Może Zeena zatęskni za nim, kiedy go nie będzie? Ale pewnie taka kobieta jak ona nawet nie zauważy, że go nie ma.

\* \* \*

Podróż do Atlantic City minęła szybko. Frankie bardzo chciał pojechać swoim nowym czerwonym ferrari, ale M.J. słusznie zauważył, że z trudem wystarcza w nim miejsca dla dwóch osób, a co dopiero dla trzech, więc w końcu wzięli czarną limuzynę BMW Bobby'ego. Bobby bez trudu mógł sobie kupić najnowsze lamborghini czy porsche, ale popisywanie się bogactwem nie było w jego stylu, szczególnie że na dwudzieste piąte urodziny odziedziczył lwią część majątku po ojcu, co uczyniło go jeszcze bogatszym.

Frankie nigdy nie rozmawiał z nim o pieniądzach. Był to jeden z tematów tabu, którego żaden z nich nie poruszał, szczególnie od czasu, kiedy na początku ich przyjaźni Frankie poprosił o pożyczkę, a Bobby mu odmówił. Nie miał najmniejszego zamiaru finansować kokainowych przyzwyczajęń Fran-kiego. Poza tym Lucky nauczyła go, że pożyczanie pieniędzy to wielki błąd. „Stracisz przyjaciela, który w końcu będzie czuł do ciebie urazę, wyjaśniła. Więc albo daj pieniądze, nie oczekując zwrotu, albo po prostu odmów”. Była to wspaniała rada.

Poza pracą didżeja Frankie ostatnio prowadził na boku jakiś biznes inwestycyjny, tak przynajmniej twierdził, weszli w to razem z Annabelle. Bobby i M.J. doskonale wiedzieli, czym zajmuje się Frankie, bo dziewczyny gadały. Postanowili jednak poczekać, aż on sam im to powie. Interes musi kwitnąć, bo ostatni nabytek Frankiego, czerwone ferrari, świadczył o tym, że czymkolwiek się zajmuje jego właściciel, przynosi to duże pieniądze.

Zanim wyruszyli, Bobby zadzwonił do Lucky. Dzielili czas między Las Vegas, Los Angeles i kolejne plenery, gdzie jej mąż Lennie kręcił film. Zastał ją w Vegas, gdzie doglądała czujnym okiem Keys, swojego ostatniego dziecka — wspaniałego kompleksu hotelowo-mieszkanowego. Keys funkcjonowało dopiero dwa lata, a już było wielkim sukcesem.

Tak naprawdę wszystko, do czego brała się Lucky, zamieniało się w złoto. Jako jej syn Bobby musiał sprostać wielkiemu wyzwaniu i doskonale o tym wiedział. Między innymi dlatego przeniósł się do Nowego Jorku i zajął swoimi sprawami. Żadnego współzawodnictwa. Dzięki Bogu wszystko się udało. Ma modny klub i kolejne lokale w perspektywie. Wielki apartament na West Side. Przyjaciół. Szalone życie towarzyskie. Mamę, ojczyma, dwójkę przyrodniego rodzeństwa i wielu innych członków rodziny, których kocha. Zwłaszcza że większość z nich mieszkała w Kalifornii, a on zapuścił korzenie w Nowym Jorku. A co do spadku, to niósł wielką odpowiedzialność, więc zamiast go nadszarpnąć, Bobby postanowił go nie ruszać i poczekać, aż będzie starszy i mądrzejszy. Teraz ma prawie dwadzieścia sześć lat i jest samodzielny. To wystarczy, żeby czuł się z siebie zadowolony. Spadek może sobie zarabiać odsetki. Znacznie bardziej satysfakcjonujące i dużo lepsze dla Bobby'ego było utrzymywanie się z zarobionych pieniędzy.

— Halo — Lucky była zachwycona, słysząc jego głos — co tam słychać u mojego syna numer jeden?

— Syn numer jeden jest w drodze do Atlantic City na dwadzieścia cztery godziny hulanki i seksu — odpowiedział beztróska.

— Zupełnie jak dziadek — skomentowała Lucky, a Bobby wyobraził sobie, jak się uśmiecha, mówiąc te słowa.

— Naprawdę? Jadę z M.J. i z Frankiem. Wyłączam telefon.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił. Nie znoszę sytuacji, kiedy nie mogę się z tobą skontaktować.

— Mamo, tylko na dwadzieścia cztery godziny.

— Dobrze — westchnęła dramatycznie. — Nie będę się martwiła.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że naprawdę się martwisz. Daj spokój.

Lucky się roześmiała. — Naprawdę martwię się tylko o Bri-gette.

Widziałeś się z nią ostatnio?

— Dzwoniłem do niej przed paroma dniami. Wydawała się w porządku.

— Jesteś jej wujem — przypomniała Lucky. — Wolałabym, żebyś był z nią w kontakcie.

— Wujem, który jest dziesięć lat młodszy — zauważył Bobby. — Niewiele mamy ze sobą wspólnego.

— To nie ma znaczenia. Wiesz, że ona przyciąga nieudaczników jak magnes. Ktoś musi nad nią czuwać, a ja jestem daleko.

— Rozumiem. — Bobby nabazgrał imię Brigitte na bloczku leżącym przy telefonie, żeby nie zapomnieć. — Zadzwoń do niej po powrocie.

— Dziękuję — powiedziała szybko Lucky. — Pozdrów ode mnie M.J. Kiedy przyjdziecie obaj na weekend do hotelu? Bardzo go lubię.

— On jest w porządku — zgodził się Bobby, myśląc, jak długo się znają. Szkoła średnia. College. Otwarcie Mood. Mają dużo pięknych wspomnień. A ponieważ obydwaj pochodzą z bogatych rodzin, nie chcą od siebie niczego prócz przyjaźni.

— A propos hotelu, jak idzie? — spytał Bobby, zerkając na zegarek. Już powinni wyjeżdżać.

— Doskonale. Wszystko zarezerwowane. Nawet Gino uwielbia tu przyjeżdżać, więc zostawiłam dla niego specjalny apartament.

Powinieneś go zobaczyć, Bobby. To król dżungli, wszyscy go kochają. Mężczyźni, kobiety, szczególnie kobiety. Prawdziwy artysta.

Dziadek Gino Santangelo, w czasach Meyera Lansky'ego, Bugsy Siegała, kiedy Vegas dopiero się rozwijało, słynna postać. Gino, który zbudował największe hotele, walczył z podłą konkurencją, sypiał z setkami kobiet i stworzył imperium.

Teraz, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat, nadal był bardzo aktywny, miał dużo młodszą żonę (czwartą) i kochał życie.

— Pozdrów go ode mnie — poprosił Bobby. Niezwykły dziadek budził w nim podziw zmieszany z niepokojem. Gino Santangelo był jak żywioł.

— Możesz to zrobić osobiście. Starszy pan wybiera się do Nowego Jorku.

— Nie żartuj! Muszę więc przygotować delegację powitalną.

Striptizerki... dziwki...

— Paige się ucieszy, że tak się tym ekscytujesz — powiedziała sucho Lucky, wymieniając imię obecnej żony Gina.

Obydwoje się roześmiali.

— Aha, Max rozpaczliwie chce z tobą porozmawiać.

— A gdzie jest moja mała siostrzyczka?

— Bobby, ona już nie jest taka mała.

— Jestem skłonny w to uwierzyć.

— Akurat teraz pewnie wyszła z jakimś swoim napalonym chłopakiem.

— A ilu ma tych napalonych chłopaków? — spytał rozbawiony.

— Ilu się da. — Lucky westchnęła z rezygnacją.

— Dobra, zadzwonię do niej później.

— Zrób to. Wydaje mi się, że jest gotowa się usamodzielnąć i w żaden sposób nie mogę jej zatrzymać. Zdecydowanie nie chce pójść do college'u i mówi „nie” wszystkim naszym sugestiom.

— Mamo, musisz się pogodzić z tym, że jest równie nieokiełznana jak ty.

— Ja musiałam walczyć o przeżycie — powiedziała Lucky, marszcząc brwi na to wspomnienie.

Już to słyszałem. Na pewno zadzwonię do Max. A ty trzymaj się z dala od kłopotów.

Czy nie powinnam ci życzyć tego samego?

— Jasne, spokojnie, mamó.

— Dobrze, Bobby — celowo wydłużyła samogłoski. — Jak sobie życzysz.

Bobby się uśmiechnął. Mama naprawdę jest niezwykła. Nadal nieprzyzwoicie piękna, gotowa stawić czoło wszystkiemu i wszystkim. Lucky szła przez życie swoją drogą, i biada każdemu, kto spróbowałby ją zatrzymać.

Max, jego niemal osiemnastoletnia przyrodnia siostra, stanowiła lustrzane odbicie Lucky. Piękność, mówiąca to, co myśli, nieustraszona, śmiała, wyluzowana. Chociaż Lucky i Lennie próbowali ją chronić, nigdy nie pozwoliła odgrodzić się murem, nawet po porwaniu przed dwoma laty, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Max, podobnie jak Lucky, nie brała jeńców.

Bobby wiedział, że pragnie przenieść się do Nowego Jorku i zamieszkać u niego. Mówiły o tym liczne aluzje. Ale on nie szukał współlokatora. A już na pewno nie zamierzał brać za nią odpowiedzialności. Mała siostrzyczka za bardzo kojarzy się z ciężką pracą.

Odwiedziła go rok wcześniej, kilka tygodni po skończeniu szkoły średniej. Przyjechała gotowa na imprezowanie, na szaleństwa.

Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Wszyscy faceci w klubie zaczęli się nią interesować, szczególnie Frankie. Bobby wkrótce zorientował się, że chciałby jak najszybciej wyekspediować ją z powrotem do Los Angeles, zanim siostrzyczka wpadnie w prawdziwe kłopoty.

Nie, powtórka tej operacji nie wchodzi w grę. Pilnowanie nastolatki nie należy do jego hobby.

A jednak Max to wyjątkowa dziewczyna. Musiał przyznać, że za nią tęskni. Czasami...

*Rozdział piąty*  
Annabelle

Przydział: nastolatek Godzina: szesnasta Miejsce: Four Seasons Pokój: apartament na poddaszu Imię chłopca: Omar

Jadąc windą na górę, Annabelle wygładziła jedwabną suknię. Materiał był zmysłowy i bogaty w dotyku. Nie miała na sobie bielizny, jedynie tę śliską suknię, futro z lisów w kolorze miodu i buty do kostek na szpilkach od Christiana Louboutina.

Przed drzwiami apartamentu chłopca założyła satynową maseczkę, znak firmowy wszystkich jej dziewcząt. Nie miała co prawda znanej twarzy, jak większość z nich, jednak szybko zdała sobie sprawę, że tajemniczość to spory atut.

Gdy tylko przyłożyła maskę do oczu, znalazła się w innej strefie — w ekscytującym miejscu, gdzie nazywała się Belle Svetlana, była kobietą bez przeszłości, oddaloną o lata świetlne od Annabelle Maestro, nieznanej córki dwóch sławnych gwiazd filmowych.

Drzwi apartamentu otworzył gwałtownie tłusty dwudziesto-

parolatek w workowatym stroju rapera z licznymi łańcuchami ze złota i diamentów na szyi, w ciemnych okularach, z brylantowymi kolczykami w uszach i skomplikowanym tatuażem na przedramieniu przedstawiającym smoka.

To zaskoczyło Annabelle. Obecność osób trzecich nie była przewidziana, powiedziała to jasno Sharifowi Raniemu.

— Omar czeka na mnie — oznajmiła, wyobrażając sobie, że ta kreatura to ochroniarz chłopca.

— Wiem — zachichotał. — Ja jestem Omar.

— To niemożliwe — stwierdziła lekko skonfundowana. — Nie możesz być piętnastolatkiem.

Wydał kolejny maniakałny chichot, złapał ją za rękę i wciągnął do pokoju, a ona o mało nie straciła równowagi.

— Piętnastolatek, i to gotowy do działania — zarżał, zamykając drzwi kopnięciem nogi w bucie Nike. — Teraz damy czadu, suko, cały dzień na to czekałem.

\* \* \*

Frankie Romano na pewno wiedział o swojej dziewczynie Annabelle, że nie znosi telefonów komórkowych, i że zawsze tak było. W istocie nienawidziła wszystkich telefonów. Przeszkadzało jej to, że kiedy ma telefon w torebce, każdy może do niej zadzwonić o dowolnej porze. Frankie często mówił jej, że jest szalona, bo on sam nigdy nie rozstawał się z iPhone'em i BlackBerry. Jednak Annabelle była nieugięta. Nie chce żadnej komórki, woli pocztę głosową w domowym telefonie, którą rzadko sprawdza.

— A jeśli będzie jakiś nagły wypadek? — często pytał Frankie.

— Zajmę się tym po powrocie do domu — odpowiadała niezmiennie.

Po zainstalowaniu się w hotelu i wysłuchaniu w telewizji wiadomości o zamordowaniu Gemmy Summer nie mógł w ża-



den sposób skontaktować się z Annabelle. Była zamknięta gdzieś z piętnastoletnim arabskim dzieciakiem i uczyła go radości seksu. A tymczasem jej matkę zastrzelono w Los Angeles.

Niewątpliwie to był ten nagły wypadek, który zawsze tak go niepokoił. Do diabła z Annabelle, która nie chce nosić przy sobie telefonu. Jest uparta, zawsze nalega, żeby robić wszystko po swojemu. Zazwyczaj nie oponował, ale dzisiaj to sytuacja wyjątkowa.

Próbował sobie przypomnieć, czy powiedziała, gdzie ma się odbyć schadzka, ale tak często żartowali na ten temat, że pamięć go zawodziła. Pamiętał tylko, że wzięli trzydzieści tysięcy dolarów, żeby odbyła krótki numerek seksualny z nastolatkiem, co prawdopodobnie potrwa całe trzy minuty.

— Dowiedz się, czy ma siostrę — żartował. — Załatwię ją za tę samą cenę.

— Nie zrobisz niczego takiego! — odparowała Annabelle, demonstrując żywiołową zazdrość. Była zdania, że kiedy obsłuży jednego czy dwóch klientów, o ile dobrze zapłacą, nie jest to nic wielkiego. Ale Frankie z inną kobietą? O nie!

Frankie miał świadomość istnienia tych zasad, więc nigdy nie posuwał się za daleko. Po co narażać na niebezpieczeństwo niedawno kupione ferrari?

— Cholera! — wymamrotał. Co właściwie ma zrobić? Jest z chłopakami w Atlantic City, doskonale wie, że jeśli przekaże Annabelle wiadomość o matce, będzie oczekiwała, że natychmiast przyjedzie.

To nie znaczy, że jest mi obojętna, przecież to wyjątkowa osoba. Ile kobiet potrafiłoby z tak niekłamanym entuzjazmem zajmować się interesem, jaki rozkręcili? I brać w nim udział, kiedy wynagrodzenie jest wystarczająco wysokie?

Ale on akurat jest na rozrywkowym wyjeździe, a poza tym

Annabelle nie była blisko ze swoją matką. Z jej kilku wzmianek o sławnej mamie wynikało raczej coś wręcz przeciwnego.

Przyszło mu do głowy, że skoro o nagłej śmierci Gemmy Summer ciągle mówią w telewizji, to on nie musi być tym, który przekaże wiadomość.

Annabelle dowie się wystarczająco szybko, a kiedy w końcu do niego zadzwoni, będzie udawał, że o niczym nie słyszał.

Tak, to się uda. Zwłaszcza jeśli na jakiś czas wyłączy telefon, żeby nacieszyć się kilkoma godzinami wolności.

Frankie zawsze znajdował rozwiązanie.

Postanowiwszy wyrzucić z pamięci wydarzenia z Los Angeles, dołączył do M.J. i Bobby'ego w kasynie.

— Człowieku, gdzie byłeś? — spytał M.J., wskazując puste miejsce przy stoliku do blackjaka.

Ogolona głowa, olśniewająco białe zęby i przyjazne piwne oczy sprawiały, że kobiety nie potrafiły mu się oprzeć, mimo że nie był zbyt wysoki. Wszystkie chciały mu matkować, chociaż kiedy już znalazły się z nim w łóżku, matkowanie było ostatnią rzeczą, jaka przychodziła im do głowy. M.J. miał ukryte talenty.

— Srałem — oznajmił Frankie, co sprawiło, że starsza pani siedząca u szczytu stołu spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Przegrywam własny tyłek, a Bobby wygrywa — poskarżył się M.J.

— Bobby zawsze wygrywa — zrzędził Frankie, siadając przy stole. — Ma to w genach.

Na sekundę odrywając wzrok od kart rozdającego, Bobby rzucił Frankiemu zachwycający uśmiech.

— Siadaj i graj — rozkazał. — Potrzebuję przy tym stoliku kogoś, kto wie, co robi.

— O rany! — M.J. spojrzał w górę. — Próbuję tu działać i tak mi dziękują.

Frankie wręczył krupierowi pieniądze i dostał zetony.

— Wchodzę — wymamrotał.

Bobby obrzucił go szybkim spojrzeniem. - Wytrzymaj nos — powiedział *sotto voce*. — Wyglądasz, jakbyś wpadł do pojemnika z dziecienną zasypką. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się trzymasz tego gówna. Frankie przejechał ręką po nosie. Wściekało go to, że Bobby nie chciał sobie dogodzić. Bez podnoszącego na duchu działania koki Frankie po prostu nie mógłby funkcjonować.

Zaczął się prowadzić z Bobbym i M.J., kiedy był didżejem w ich klubie. M.J. zaangażował go na kilka prywatnych przyjęć i wkrótce odkryli z Bobbym, że sypiali z jedną dziewczyną — Serenity — cwana i pewną siebie suką. Była przekonana, że panuje nad nimi, ale kiedy się dowiedzieli, że obaj chodzą z nią do łóżka, zmyli się, choć pochodzili z zupełnie odmiennych środowisk.

Za Bobbym stały pieniądze, pieniądze i jeszcze więcej pieniędzy, podczas gdy Frankie był synem nieśmiałej matki i twardego bossa włoskiego związku w Chicago, który tłukł ich oboje na kwaśne jabłko, dopóki Frankie w wieku lat piętnastu nie próbował stanąć w obronie matki i wtedy ojciec zbił go tak, że trafił do szpitala. Dwa tygodnie później pożegnał się z matką, o północy wyruszył w bieg po wolność z siedemdziesięcioma dolarami w kieszeni i skierował się prosto do Nowego Jorku. Nigdy nie obejrzał się za siebie, choć często fantazjował na temat powrotu do domu i posłania ojcu kulki prosto między oczy. Frankie mógł się wydawać opanowany, ale w jego wnętrzu płonął cholerny gniew.

— To gówniana gra — narzekał po czterech kolejnych przegranych.

M.J. przyznał mu rację, jemu też nie szło dobrze, podczas gdy Bobby nie przestawał wygrywać.

Chłopaki — powiedział Bobby, rzucając krupierowi hojny studolarowy napiwek — jeśli nie chce wam się grać, to się rozdzielmy. Nie mam nic przeciwko temu.

— Nareszcie! — wykrzyknął Frankie, odsuwając krzesło od stolika i czując tylko lekkie wyrzuty sumienia, że nie wraca natychmiast do Nowego Jorku, żeby być u boku Annabelle.

Co, do diabła, nie będzie rezygnował z wieczoru z chłopakami. A może też z jednej czy drugiej dziewczyny, bo kiedy Annabelle nie ma w pobliżu... kto wie, co może przynieść taki wieczór.

\* \* \*

Annabelle była bardzo zaniepokojona. Ten wielki spocony kolos w stroju niedoszłego rapera, z kretyńskim tatuażem, nie może być niewinnym arabskim chłopcem, jakiego się spodziewała. Nie jest nawet bliskowschodni, jest jak najbardziej amerykański. I z pewnością nie ma piętnastu lat.

Nie podobał jej się sposób, w jaki wciągnął ją do apartamentu i niemal rzucił na dużą kanapę.

— To niemożliwe, żebyś był synem Sharifa Raniego — powiedziała, odzyskując trochę pewności siebie, podczas gdy w myślach planowała możliwość szybkiego wyjścia. Żadnego seksu z tym drabem. Nic z tego.

— Nie wierzysz mi, suko?! — odszczeknął się wojowniczo, stając naprzeciwko niej na szeroko rozstawionych masywnych nogach. — Mój stary zapłacił ci z góry, i nie za to, żebyś zadawała durne pytania. Więc zdejmuj te pieprzone ciuchy i bierzmy się do roboty.

— Doszło do pomyłki — powiedziała, starając się zachować spokój.

— Ciekawe jakiej? — warknął, krzyżując ręce na włochatej piersi. — Dostałaś forszę, nie?

Owszem, dostała sterty gotówki przyniesione wcześniej rano przez jednego z przybocznych Sharifa Raniego. Te pieniądze leżą teraz w jej sejfie.

— Powiedziałam, że to pomyłka — powtórzyła. — Muszę porozmawiać z twoim... ojcem.

— Wiesz co — zaczął z lubieżnym uśmiechem — kiedy tylko się do ciebie dobiore, suko, możesz gadać, z kim chcesz.

Przy tych słowach opuścił spodnie, ujawniając wałki białego tłuszczu w okolicach talii i podbrzusza. Niewielki, rozzłoszczony, nieobrzezany penis skierowany był w jej stronę.

Annabelle nigdy dotychczas nie znalazła się w takiej sytuacji, choć czasami słyszała od dziewczyn opowieści o złym zachowaniu klientów. Pewien gwiazdor telewizji rodzinnej, który preferował duszenie, o mały włos nie posunął się za daleko z jedną nieszczęsną dziewczyną. Gwiazdor rocka, który nagle odczuwał potrzebę zadawania bólu. Piosenkarz soulowy, próbujący włączyć do akcji dziecko, zanim jego „randka” uciekła. Owszem, słyszała różne rzeczy, ale sama nigdy nie znalazła się w podobnej sytuacji.

Teraz się w niej znalazła i niby jak miała ją rozwiązać?

— Ssij mi kutasa — zarządził Omar. — Ssij mocno.

— O nie — powiedziała stanowczo, próbując wstać z kanapy. — Do niczego takiego nie dojdzie.

— To ty tak myślisz! — ryknął. I zanim zdążyła wstać, zwałił się na nią, wetknął jej penisa w usta, rozrywając równocześnie przód sukni.

Krzyczałyby, gdyby było to możliwe. Ale nie było. Omar ruszył do akcji i najwyraźniej nie miał zamiaru się wycofać.

## *Rozdział szósty*

### Denver

Uścisk dłoni Ralpha Maestro nie należał do przyjemnych, ponieważ była ona duża, mięsista i śliska od potu.

Kiedy ścisnął mi rękę, na jego pozbawionej wyrazu twarzy nie pojawił się najmniejszy błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznał. A niby dlaczego miałby się pojawić? Nie ma powodu, żeby mnie pamiętał. W końcu dlaczego taki wielki gwiazdor filmowy jak Ralph Maestro miał zapamiętać chudego dzieciaka z Chicago, który przed laty przychodził do jego córki?

— Wyraży współczucia z powodu straty — wymamrotałam z szacunkiem. Cóż, bez względu na to, czy zrobił to, czy nie, jako członek przyszłego zespołu obrońców muszę mieć nadzieję, że jest niewinny.

— Dziękuję — odparł machinalnie i zwrócił się od razu do Felixa, ignorując mnie. — To twoja sekretarka? — zapytał.

— Nie — odpowiedział cierpliwie Felix. — Denver jest moją koleżanką. Jest dobrą, doskonale przygotowaną prawniczką i mogę cię zapewnić, że to błyskotliwa dziewczyna, która wykonała kilka wspaniałych zadań dla firmy.

Błyskotliwa, wspaniale! Trochę się napuszyłam. Po raz pierwszy usłyszałam tak pozytywną ocenę moich talentów z ust szefa, choć nie byłam zachwycona, że mówi o mnie jako o „dziewczynie”. Chyba „kobieta” byłoby bardziej odpowiednie?

Na Ralphie Maestro nie zrobiło to wrażenia.

— Wygląda strasznie młodo — zrzędził. Nie robił przy tym wrażenia człowieka przygniecionego nieszczęściem. — I co to za imię Denver? To moje imię, dupku. Więc lepiej nie zaczynaj.

Nie zaczął. Felix też tego nie zrobił, bo wiedział, że lepiej nie ryzykować. Odbyliśmy dyskusję na temat mojego imienia kilka miesięcy po moim przyjeździe do firmy. „Może powinnaś zmienić imię na mniej dziwaczne”, zasugerował wtedy Felix.

Dziwaczne? Nigdy nie uważałam, że Denver to dziwaczne imię. Prawdę mówiąc, byłam bardzo przywiązana do mojego imienia. Rodzice twierdzili, że to na cześć miasta, w którym zostałam poczęta.

Z pokoju wyszli dwaj detektywi, pozostali jednak w domu, w frontowym holu, bez wątpienia próbując zdecydować, jaki ma być ich następny ruch. Aresztować czy nie aresztować? Oto jest pytanie.

Nie ma narzędzia zbrodni. Brak wyraźnego motywu. Brak świadków.

Przypuszczam, że nie podejmą takiego ryzyka. Ralph Maestro jest sławny. Ma wpływy. Zna odpowiednich ludzi. A w Beverly Hills o wszystkim decydują znajomości.

— Bycie młodym to nic złego — wtrąciłam pogodnie, choć pewnie nie była to mądra odzywka, ponieważ pan Maestro wyłączył mnie z rozmowy i zwracał się wyłącznie do Felixa, nawet kiedy ja zadawałam pytanie.

Nie znoszę takich wielkich, tłustych szowinistów, i chociaż Ralph Maestro nie był tłusty — w istocie nadal zadziwiająco sprawny — to niewątpliwie był szowinistą.

Zacząłam się zastanawiać, czy to zrobił. Czy strzelił w twarz swojej pięknej żonie. Zabił jej urodę i przyszłość. Bang, bang. Już nie żyjesz. Zawsze miał słabość do broni. Pamiętam, jak Annabelle zaciągnęła mnie kiedyś do sutereny, gdzie w zamkniętym pomieszczeniu mieściła się jego kolekcja. Naturalnie Annabelle potrafiła otworzyć nędzny zamek, należała do tych dziewczynek, które robią, co chcą, i zawsze uchodzi im to na sucho. A tego akurat dnia zamierzała się popisać kolekcją broni swego sławnego taty.

Uznałam, że przyszła pora odświeżyć pamięć pana Maestro. Do diabła, przecież ja na pewno nie mam tu nic do stracenia.

— Panie Maestro — zaryzykowałam — chyba że nie ma pan nic przeciwko temu, żebym mówiła do pana Ralph?

Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Owszem, miał coś przeciwko temu, było to wypisane na jego gwiazdorskiej twarzy.

— Czy nadal na dole jest pomieszczenie z bronią? — kontynuowałam.

— Co takiego? — Felix był wyraźnie zaskoczony.

— Słucham? — Ralph też się zdziwił.

— Z pańską kolekcją broni — sprecyzowałam.

— Jaką kolekcją broni? — Felix o mało nie wypluł miętówki.

— Skąd pani wie o tym pokoju? — Ralph obrzucił mnie typowym podejrzliwym spojrzeniem gwiazdy kina akcji.

Przynajmniej zwróciłam jego uwagę.

— Przyjaźniłam się kiedyś z pańską córką Annabelle — wyjaśniłam. — Chodziłyśmy do tej samej szkoły.

W tym momencie spojrzenie Felixa mówiło: „Jak to możliwe, że dowiaduję się o tym dopiero teraz?”.

— Przyjaźniłaś się z Anną? — Ralph zadał to pytanie tak, jakby chciał powiedzieć: „Jak mogło do tego dojść?”.

— Owszem, trzymałyśmy się razem przez krótki czas.

— I bywałaś w moim domu?



Zauważyłam, że powiedział „w moim domu”, nie „w naszym domu”.  
Ciekawe.

— Owszem — odparłam, czując, że teraz ja jestem na cenzurowanym.

— Chcesz powiedzieć, że moja córka pokazała ci moją prywatną kolekcję broni? — W jego głosie brzmiało oburzenie. Jak mogła zrobić coś takiego?

— Pewnie chciała się popisać — odrzekłam. — Wie pan, jakie są dzieci. Ralph kręcił głową, jakby nadal nie mógł w to uwierzyć.

Obserwowałam jego twarz. Zdecydowanie była to twarz przeznaczona na duży ekran. Przypominała powiększenie, miała ostre rysy, wyraźnie zarysowaną szczękę i olbrzymie białe zęby. Ralph Maestro był przystojny tak jak przystojni byli starsi gwiazdorzycina akcji. Miał w sobie coś z Harrisona Forda i Bruce'a Willisa. Seksowny, jeśli kogoś interesują starsi faceci. Bo mnie nie. Ja wolę młodszych i dużo bardziej zmysłowych niż ten stary dziad.

— Popisywała się? — zapytał w końcu Ralph.

— No... wie pan, dzieci takie są.

— Nie, nie wiem — powiedział, drwiąco wykrzywiając usta. — Jakie? Ralph Maestro był w nastroju do żartów. Jego piękna żona leżała martwa na górze, a on zachowywał się jak superpalant mający w głowie tylko urazę do dwóch dziewczynek, które przed laty naruszyły jego prywatność.

Zamilkłam, bo wiedziałam, że jeśli powiem coś jeszcze, źle się to dla mnie skończy. A chciałam brać udział w tej sprawie, bo miała wielki potencjał.

Tego samego dnia, tylko trochę później, pojawili się przedstawiciele prasy. Nie mogli się dostać do domu ani nawet na długi kręty podjazd ze sztucznym śniegiem. W kamerach ochrony widać było, że pojawili się tłumnie. Wózki z kamerami

telewizyjnymi, naburmuszeni geniusze eteru z mikrofonami, paparazzi rzucający się w coraz to inną stronę.

Złe wieści rozchodzą się szybko, a to była raczej pikantna historia.

Brutalne zamordowanie pięknej kobiety. Dwie gwiazdy filmowe.

Pieniądze. Sława. Hollywood. To na pewno znajdzie się na czołówkach wszystkich gazet.

Muszę pamiętać, żeby zadzwonić do rodziców. Nie lubią oglądać mnie w wiadomościach telewizyjnych bez uprzedzenia. Ojciec był przerażony, kiedy zostałam dobrze płatnym adwokatem. Uważał, że powinnam kroczyć szlakiem sprawiedliwego oskarżyciela i w końcu awansować na prokuratora okręgowego.

Jak widać, nie podzielałam jego zdania.

Bronienie ludzi jest wyzwaniem, a ja zawsze rozkwitałam w takich sytuacjach. Poza tym mój ojciec jest oskarżycielem publicznym, wspaniałym zresztą, więc kiedy zdecydowałam się studiować prawo, nie chciałam porównać. Trudno o bardziej wyniszczające doświadczenie niż próba kontynuowania zawodu jednego z członków rodziny.

Kocham mojego tatę, ale żeby robić to samo? Nie ma mowy.

Kiedy wracaliśmy krętym podjazdem, Felix obrzucił mnie jednym z tych swoich długich przenikliwych spojrzeń.

— No i? — spytał, chrząkając. — Zawsze polegam na twojej intuicji. Co myślisz, Denver? Zrobił to czy nie?

Nie spieszyłam się z odpowiedzią, bo naprawdę nie byłam pewna. A to, czy Ralph Maestro rzeczywiście zabił swoją żonę, nie miało właściwie znaczenia, ponieważ byliśmy zespołem obrońców, mieliśmy do wykonania pracę, a to oznaczało ochronę Ralpha Maestro za wszelką cenę.

— Nie jestem pewna — odrzekłam z wahaniem. — Z pewnością nie wydaje się załamany.

Felix włożył do ust kolejną miętówkę, i tym razem nie pomyślał o tym, by mnie poczęstować.

— Nie aresztują go — powiedział znacząco. — Zbyt dużo znajomości.

— Ona też musiała je mieć — zauważyłam.

— No tak, ale ona nie żyje.

Coś podobnego, kto by się domyślił?

— Będziemy go uważnie obserwowali. Bądź gotowa. Dałem Ralphowi numer twojej komórki. Powiedziałem, że może dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Wielkie dzięki! Dlaczego to ja jestem pod telefonem? Co się stało z jego komórką?

— Prasa się na to rzuci — kontynuował Felix. — Jednak mogę zagwarantować, że Ralph nie zostanie aresztowany.

Dla pamięci: jeśli kiedykolwiek postanowię kogoś zamordować, muszę najpierw stać się sławna, a potem postarać się, by koniecznie popełnić tę zbrodnię w Beverly Hills. Gwiazdom filmowym wszystko uchodzi na sucho. Przynajmniej tak się wydaje.

Kiedy przedstawiciele prasy dostrzegli, że wychodzimy przez imponującą bramę z kutego żelaza, obstąpili nas. Felix jest dobrze znany mediom, lubię myśleć, że po moich dwóch sławnych sprawach ja także jestem znana. Jednak zawsze słucham wytycznych szefa, zgodnie z którymi miałam powiedzieć: „Bez komentarza, drodzy państwo. Może zechcecie się cofnąć”.

Wiem, że to głupie, ale trochę mnie ekscytuje widok mojego zdjęcia w gazetach.

— Halo, Denver! — zawołał jeden ze sprawozdawców. — Co o tym myślisz?

Dokonałam szybkiej kalkulacji. Oglądałam tego faceta w telewizji przez kilka ostatnich tygodni. Pracował od niedawna w Los Angeles, przedtem prowadził popularne wydanie wiadomości w San Diego. A teraz jest tu we własnej osobie. I muszę przyznać, że to osoba całkiem kusząca dla dziewczyny na

seksualnej głodówce. Latynos o śniadej skórze, zamglonych oczach i zadziornym uśmiechu. A co ważniejsze, czuje się na tyle swobodnie, by zawołać mnie po imieniu, a to polectało moje nienasycone ego.

Uznałam, że na pewno jest bardzo dobry w łóżku. Latynosi zwykle są. Tak w każdym razie słyszałam.

Może przysłała pora, żeby się o tym przekonać.

— Przykro mi, jeszcze nic nie wiem — odpowiedziałam, czym ściągnęłam na siebie pełne dezaprobaty spojrzenie Felixa, który wolałby, żebym się nie odzywała.

— A gdy już będziesz wiedziała, to może do mnie zadzwonisz? — zasugerował pan Latynos, zręcznie podając mi wizytówkę.

Dotarliśmy do samochodu Felixa, tradycyjnego czarnego bentleya. Mój szef wsiadł, rzucił opryskliwie „do zobaczenia w kancelarii” i odjechał.

Skierowałam się w stronę mojego czteroletniego srebrnego camaro.

Dostałam go od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

— Ładny wózek — pan Latynos osaczył mnie od strony krawężnika.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na jego wizytówkę. Mario Riviera. Cóż za niezapomniane nazwisko!

Nie mogłam się powstrzymać od rozważań, czy tylko jego nazwisko tak zapada w pamięć, przy tym braku seksu i tak dalej. Myślę, że jest mi to potrzebne; w istocie doskonale wiem, że tak.

— Dzięki — odpowiedziałam zdawkowo, świadoma tego, że pachnie trawką i potem. Potężna kombinacja. Wyobraziłam sobie, że pewnie biegał lub podnosił ciężary, kiedy wezwano go do pracy, i nie miał czasu na prysznic.

Już sama ta myśl mnie podnieciła.

— Może spotkamy się później na drinka? — zasugerował Mario, podchodząc bliżej. Najwyraźniej interesowałam go tak samo, jak on mnie.

Na drinka. Czy to przypadkiem nie eufemizm oznaczający seks i „zróbnmy to”.

Oczywiście, że tak, więc dlaczego nie? Ponieważ ja na pewno jestem gotowa, tym bardziej że Josh wyniósł się z szybkością pieprzonego pociągu ekspresowego, a ja w szybkim tempie staję się zakonnicą. Co za dużo... i tak dalej. Jestem gotowa na działanie, i to nie byle jakie. A więc do dzieła, panie reporterze.

— Jasne — odpowiedziałam, myśląc: on jest nieźle napalony, ja mam ochotę, oboje jesteśmy gotowi.

Czy rzeczywiście?

Zerknęłam na jego rękę. Nie ma obrączki.

A więc dobrze, jeśli o mnie chodzi, jesteśmy umówieni.

## *Rozdział siódmy*

### Carolyn

Carolyn Henderson jechała do swojego mieszkania szczęśliwa i oszołomiona. Powiedziała mu. Naprawdę mu powiedziała. Czowała wielką ulgę. A najwspanialszą nowiną było to, że Gregory zgodził się z nią, że to wyjdzie im na dobre i że wreszcie powie żonie o ich romansie, romansie, który w końcu doprowadzi do małżeństwa! No... o małżeństwie wprawdzie nie wspominał, nie miała jednak wątpliwości, że kiedy dostanie rozwód i będzie wolnym człowiekiem, kiedy urodzi się ich dziecko, wtedy tak, małżeństwo zdecydowanie będzie ich przyszłością.

Uśmiechnęła się do siebie i o mało nie przejechała na czerwonym świetle. Boże! Była taka podniecona. Sypiała z tym człowiekiem od ponad roku i wielokrotnie obiecywał, że zostawi żonę, ale żadnej z tych obietnic nie dotrzymał. Wkrótce to się zdarzy. Na myśl o tym kręciło jej się w głowie. Oczywiście nie jest naiwna, zawsze istnieje możliwość, że i tym razem nie dotrzyma obietnicy.

Jednak była przekonana, że tego nie zrobi. Tym razem fakt, że nosi w łonie jego dziecko, zdecydowanie zmienia sytuację. Tym razem nie będzie problemu.

\* \* \*

— Cholerna cwana cipa — mamrotał pod nosem Gregory Stoneman, wsiadając do granatowego lexusa i ruszając w drogę do domu. Czy Carolyn naprawdę myśli, że mógłby rzucić kobietę taką jak Evelyn dla takiej dziewczyny jak ona? Może mieć wspaniałe cycki, ale Carolyn Henderson jest nikim, podczas gdy Evelyn to kulturalna kobieta z klasą, dobrze znana pani salonu w Waszyngtonie, a co najważniejsze, pochodzi z wpływowej i niezwykle zamożnej rodziny Bamberrych.

Ojciec Evelyn był sędzią, matka dziedziczką tekstylnej fortuny. Rodzina Bamberrych reprezentowała stare pieniądze i doskonale wychowanie. Gregory nigdy by z tego nie zrezygnował, szczególnie że sam wywodził się ze znacznie skromniejszego środowiska. Jego ojciec sprzedawał samochody, a matka była kiedyś pielęgniarką. Szczerze mówiąc, rodzina go krępowała, a im mniej ją widywał, tym lepiej.

Poznanie i poślubienie Evelyn bardzo pomogło w jego karierze politycznej, pozwoliło mu obracać się w kręgach towarzyskich, które bez Evelyn byłyby dla niego niedostępne.

Poza tym musi brać pod uwagę swoje dzieci —jedenastoletniego Clarence'a i siedmioletnią Mirandę. Dwie błyszczące gwiazdy w jego, skądinąd, skomplikowanym życiu.

Skomplikowanym głównie z powodu tej wymagającej asystentki, która wycięła mu najstarszy numer w tej grze. „Jestem w ciąży”, oznajmiła, a żaden mężczyzna nie chce usłyszeć tych słów od kobiety, którą przelatuje na boku.

Co zrobić?

Zaproponować pieniądze na skrobankę?

Nie, zna Carolyn wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie zgodzi się usunąć ciąży.

Urządzić ją w jakimś apartamencie, poczekać, aż dziecko się urodzi i oddać je do adopcji?

Nie ma mowy, na adopcję też się nie zgodzi.

Więc co?

Carolyn Henderson chce, żeby zostawił Evelyn i ożenił się z nią. Nie miał wątpliwości, że właśnie tego się po nim spodziewa.

Wmanewrowała go w ślepy zaułek, z którego nie ma ucieczki. A może jest?

\* \* \*

— Cześć! — rzuciła Kerri Tyson, kiedy Carolyn minęła ją w drodze do domu.

Carolyn stanęła jak wryta. Była tak zamyślona, że nie zauważyła sąsiadki wychodzącej z mieszkania naprzeciwko.

Kerri była pół Afroamerykanką, pół Azjatką. Pulchna lecz ładna, z krótkimi kręconymi włosami i bardzo miła. Pracowała jako sekretarka w kancelarii prawniczej i w przerażającym tempie zaliczała chłopaków, na ogół poznanych przez internet.

— Wyglądasz, jakbyś wygrała na loterii — zauważyła Kerri. — Albo naprawdę wygrałaś, albo ktoś cię wspaniale wypieprzył.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Carolyn żałowała, że nie może powiedzieć Kerri wszystkiego. Przyjaźnią się, ale nie tak blisko. Kilka razy były razem na kolacji czy w barze i wymieniały się koszmarnymi opowieściami o ekschłopakach.

— To byłoby przyjemne — westchnęła Carolyn. — Niestety, nie jest prawdziwe.

Kerri uniosła brwi.

— Nie widać na horyzoncie nowego ogiera? Bo bije od ciebie taki blask...



— To musi być nowy podkład — odparła skromnie Carolyn. — Nazywa się Orgazm. Najwyraźniej się sprawdza.

— Jeszcze jak — zachichotała Kerri. — Muszę sobie to kupić. Jeśli masz jutro czas, mogłybyśmy pójść do centrum handlowego. Co ty na to?

— Dam ci znać. — Carolyn nie chciała się umawiać. Teraz, kiedy już powiedziała Gregory'emu, że spodziewa się jego dziecka, miała nadzieję, że sytuacja się zmieni. Nawet jeśli nie powie żonie od razu, to będzie chciał spędzać więcej czasu z nią.

— Zadzwoń. — Kerri ruszyła do schodów prowadzących na ulicę. — Później będę w domu.

— Dobrze. — Carolyn otworzyła drzwi mieszkania. Boże, jest tak podekscytowana, że musi komuś powiedzieć.

Ale komu może zaufać? Na pewno nie matce, która nie byłaby zadowolona. Ojcu też nie, to byłby dla niego szok, czułby się rozczarowany swoją małą dziewczynką.

A może Denver, najlepszej przyjaciółce od czasów szkolnych?

W odróżnieniu od wielu osób Denver potrafi dochować tajemnicy.

Będzie tym bardzo podekscytowana, ale też zdecydowanie zaskoczona, bo Carolyn nigdy nie wspomniała, że ma namiętny i poważny romans z senatorem.

O Boże, nie mogę dłużej trzymać tego w tajemnicy! Powiem Denver, zadzwonię do niej wieczorem.

\* \* \*

— Tato! Tato! — zawołała Miranda, tuląc się do nóg ojca.

— Jak się ma moja dziewczynka? — pytał Gregory, pochylając się, żeby wziąć na ręce swoją słodką małą córeczkę.

— Miałam dzień zabaw w szkole — oznajmiła Miranda, głaszcząc jego policzek pulchnymi, trochę lepkimi paluszkami. — Ty też miałeś dzień zabaw? Miałeś, tato? Miałeś?

Nie, nie miałem — chciał to wykrzyczeć. — Miałem niezdolny dzień. Trudno o gorszy. Nie mógł co prawda pominąć światowej klasy obciążenia, jakim Carolyn udało się go obdarzyć. Było to satysfakcjonujące, ale teraz żałował, że pozwolił jej się dotykać, ponieważ z jego punktu widzenia wszystko jest skończone, nawet jeśli ona jeszcze o tym nie wie.

W tym momencie z salonu do frontowego holu ich doskonale wyposażonego domu wpłynęła Evelyn. Jego żona zawsze wyglądała nienagannie, każdy blond włos na swoim miejscu, żadnej fałdki na szykowej czarnej sukni koktajlowej od Valentino opinającej jej szczupłe, sprężyste ciało. W wieku czterdziestu lat Carolyn była przystojną kobietą. Problem polegał na tym, że nie była już dwudziestoparolatką, a takie Gregory miał wymagania, jeśli chodzi o seks: dziewczyna po dwudziestce, która go wielbi. Dziewczyna, która weźmie jego kutasa do ust i wysie do sucha. Ta sama dziewczyna, z którą ożenił się przed dwudziestu laty, kobieta, której nie przyszłoby do głowy, by teraz pozwalać sobie na seks oralny.

— Jak minął dzień? — spytała cicho i nie czekając na odpowiedź, oznajmiła, że muszą iść na bankiet dobroczynny, więc powinien wziąć prysznic i się przebrać.

Jego kontakty z Evelyn nigdy nie były tak intymne jak w większości małżeństw. Coraz rzadziej uprawiali seks, może raz na dwa miesiące. I zawsze było tak samo. Ona leżała płasko na plecach ze zbolaną miną, a on odwalał całą robotę.

Evelyn nigdy nie osiągała orgazmu. Seks oralny uważała za perwersję. Penis był dla niej czymś obrzydliwym, nigdy nie chciała go dotykać. Prawda była taka, że Evelyn nie znosiła seksu, trudno więc mieć do niego pretensję, że szukał wrażeń gdzie indziej.

Naprawdę trudno.

\* \* \*

Carolyn była tak podniecona, że poruszała się po mieszkaniu tanecznym krokiem. W jej głowie wirowały fantazje związane z nazwiskiem. Senator Stoneman ze swoją uroczą małżonką Carolyn. Pani Stoneman. Carolyn Stoneman. Wszystkie brzmiały idealnie. Była zachwycona. Dzisiaj jest magiczny dzień. Początek nowego życia dla mnie. Tak bardzo kocham Gregory'ego, będziemy ze sobą szczęśliwi, myślała. Wzięła komórkę i zadzwoniła do Denver do Los Angeles. Nikt nie odbiera. Poczta głosowa prosi o zostawienie wiadomości. To... nie jest rodzaj wiadomości, jakie zostawia się na poczcie głosowej. — To ja, Carolyn — powiedziała w końcu. — Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Jeśli chcesz to usłyszeć, zadzwoń. Nie mogę się doczekać, żeby ci to powiedzieć, więc pospiesz się. Rozłączyła się, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Gregory nie wścieknie się na nią za to, że powiedziała jednej osobie. Zresztą nigdy się o tym nie dowie.

*Rozdział ósmy*  
Bobby

Frankie odczuwał pilną potrzebę pójścia do klubu ze striptizem. Bobby nie. M.J. było wszystko jedno. Zawsze potrafił się dostosować.

— Dlaczego chcesz oglądać marne dziewczyny w Atlantic City, skoro najlepsze masz w domu? — pytał Bobby, mając na myśli Annabelle i jej fascynację Frankiem.

Frankie nie myślał o Annabelle. Wyparł wszystkie myśli o niej i jej nieżyjącej matce. Pieprzyć to, idzie poszaleć.

— O Jezu, Bobby, czasami mówisz, jakbyś miał pięćdziesiąt lat — zrzędził.

— Może dlatego, że jestem bystry — odparował Bobby.

— Kto tak twierdzi? — Frankie się wykrzywił.

— Ja. — Bobby wyprowadził żartobliwy cios w stronę Frankiego.

— Czy wy dwaj moglibyście się dogadać i zdecydować, co robimy? — nalegał M.J. — Umieram z głodu. Chodźmy do azjatyckiej.

— Dobra myśl, bo tak naprawdę interesuje mnie azjatycka cipka. Czy wiecie, że azjatyckie dziewczyny to krzykaczki? Lubię! — darł się Frankie.

Lubisz jak pulsuje? — pytał Bobby z kamienną twarzą.

— A ty nie?

— Podejrzewam, że jestem bardziej wybredny od ciebie.

— Tak wybredny, że chcesz tylko te, których nie możesz mieć. O co tu chodzi?

Bobby postanowił ignorować zawołaną aluzję Frankiego.

— Jesteś takim uprzywilejowanym kutasem — wymamrotał Frankie półżartem.

— Pieprz się — mruknął dobrodusznie Bobby.

— Tak, tak — wzdychał Frankie — gdybym mógł to zrobić, moje życie byłoby łatwiejsze.

— Chłopaki, dajcie spokój. Jesteśmy w kasynie — upominał ich M.J. — Macie do wyboru hazard albo jedzenie, więc niech ktoś, do cholery, podejmie decyzję.

— Stek — zdecydował Bobby. — Muszę mieć siłę, jeśli mam spędzić z tym dupkiem resztę nocy.

Frankie wzniosł oczy do góry:

— Ciągnie swój do swego.

— Tak myślisz? — Bobby przyglądał się smukłej blondynce przechodzącej obok w towarzystwie potężnego starszego mężczyzny.

— Tak wiem — odparł Frankie, odwracając się, by obejrzeć jej tyłek.

W końcu wylądowali w Morton's Steak House. Kelnerka nie była taką gapą, żeby nie zauważyć trzech seksownych i najwyraźniej samotnych młodych ludzi. Skoncentrowała się na Frankiem, który roztaczał aureę niegrzecznego chłopca, czemu nigdy nie mogła się oprzeć.

Frankie podjął flirt. Kelnerki na ogół nie były w jego guście, ale ta miała zadziwiające piersi, a on nie zamierzał marnować nocy. Przecież

Annabelle miewa małe przyjemności na stronie, więc dlaczego on nie może?

— Jak ci na imię, ślicznotko? — zapytał, kiedy już zamówił stek, frytki i ulubione krążki cebulowe.

Przesuwając językiem po dolnej wardze w sposób niezwykle prowokacyjny, dziewczyna pochyliła się nad stołem.

— Patricia — powiedziała. — Ale przyjaciele nazywają mnie Tree.

— Niezwykłe imię dla niezwykłej dziewczyny — skomentował Frankie, włączając dumny wdzięk, który w jego przypadku zawsze się sprawdzał.

— Za ładna jesteś na taką niewolniczą pracę. Jak to możliwe?

— Tak naprawdę jestem aktorką — wyjaśniła z poważną miną. — Muszę zarobić na mieszkanie, nim będę mogła przenieść się do Nowego Jorku.

Bobby i M.J. wymienili spojrzenia. Doskonale wiedzieli, co Frankie teraz powie. Nie rozczarował ich.

— Może mógłbym pomóc — rzekł jak najbardziej szczerze. Bobby cynicznie uniósł brew. M.J. stłumił śmiech.

— Naprawdę? — spytała Tree, zastanawiając się, czy ten facet jest takim samym gnojkiem jak wszyscy inni.

— Naprawdę. Znam ludzi. Mam kontakty. M.J. wzniósł oczy do nieba.

— O której dziś kończysz? — pytał Frankie.

Tree zastanowiła się przez chwilę. Ten facet z długimi włosami i sypialnianym wzrokiem wydaje się dosyć sprytny i niewykluczone, po prostu niewykluczone, że mógłby jej pomóc.

— O jedenastej. — Znowu oblizła usta.

— A więc o jedenastej.

— Wiesz co — powiedział Bobby, kiedy kelnerka podeszła do innego stolika — powinieneś sobie przygotować jakieś nowe teksty.

— Jasne — kpił M.J. — Człowieku, to nie te czasy. „Mam kontakty” już nic nie załatwia.

— To nie jest podryw — protestował Frankie. — Mogę jej pomóc zarobić kupę szmalu.

— Niby w jaki sposób? — dopytywał się Bobby.

— Robiłaby coś, co przychodzi naturalnie — wyjaśnił. — Przeprowadzę z nią próbę i poinformuję was.

— O czym nas poinformujesz? — dopytywał się M.J., wymieniając kolejne znaczące spojrzenie z Bobbym.

Frankie zamilkł na chwilę. Czy powinien im powiedzieć o przedsięwzięciu swoim i Annabelle, czy nie powinien? Bardzo chciał się popisać tym, że zarabia takie pieniądze, wiedział jednak, że Bobby w głębi duszy jest moralistą, miał więc przeczucie, że mógłby nie zaakceptować jego nowego biznesu.

Choć z drugiej strony, pieprzyć to. Bobby prowadzi klub, w którym alkohol, narkotyki i seks zajmują główne miejsce, więc nie ma prawa nie aprobować jego działań.

Frankie postanowił pójść na całość i wyznać prawdę.

— Chłopaki, chciałem wam coś powiedzieć — zaczął.

— Jeśli o dziwkach, to wiemy — oznajmił rzeczowo Bobby. Zaskoczony Frankie zmarszczył czoło.

— Co takiego?

— Co takiego? — przedrzeźniał go M.J. — Myślałeś, że to tajemnica?

— Nabieracie mnie? — Lewa powieka Frankiego drgała, co było oznaką, że jest poruszony.

— Kto by nabierał króla blagierów? — spytał ze śmiechem Bobby.

— Możesz się założyć o swój tyłek, że wiemy — dorzucił M.J.

— Czekaliśmy, ile czasu będziesz potrzebował, żeby wziąć się za jaja i nam powiedzieć. — Mówiąc to, Bobby mrugnął porozumiewawczo do M.J.

Jeżu! — jęknął Frankie. — Nie spodziewałem się, że to domena publiczna.

— No, niezupełnie — powiedział Bobby. — Ale dziewczyny to gaduły, a skoro się wydało, lepiej bądź ostrożny.

— Ostrożny? — powtórzył Frankie, a jego lewa powieka nie przestawała drgać. — To znaczy co?

— To znaczy, że mogą cię aresztować za stręczycielstwo — wyjaśnił M.J.

— Co to, do cholery, jest stręczycielstwo? — warknął Frankie.

— Sprzedawanie cipek — wyjaśnił M.J.

— My niczego nie sprzedajemy — upierał się Frankie. — Organizujemy spotkania dwojga dorosłych ludzi.

— Zgarniając przy tym prowizję, tak? — mruknął Bobby.

— To właśnie jest stręczycielstwo — dodał M.J.

— A gównu, nikt nie może niczego udowodnić. To interes wyłącznie gotówkowy, żadnych kart kredytowych, żadnych śladów na papierze. Nie jesteśmy głupi.

— Wygląda to na doskonały interes, ale nie spodziewaj się, że wpłacę za ciebie kaucję, kiedy znajdziesz się na pierwszych stronach „New York Post” — ostrzegł Bobby. — Zarobiłeś dosyć, żeby kupić sobie ferrari, więc radzę ci się wycofać, dopóki to jeszcze możliwe.

— Co ty, kurwa, oszalałeś? — Frankie uniósł brwi. — To najlepszy z możliwych układów. Jak spokojny spacer po parku, bez pośpiechu.

— Jasne, dojdiesz tym spacerkiem prosto do więziennej celi —

stwierdził M.J. — Daj spokój, człowieku, jesteś zwykłym alfonssem.

Takie gówno jest wbrew prawu.

— Od kiedy to zostałeś prokuratorem okręgowym? — warknął Frankie, niezadowolony z obrotu, jaki przybrała rozmowa. Spodziewał się komplementów, nie krytyki.

— Hola, to twoja zabawa, nie moja — upomniał go M.J.

— Idę się przejść — oznajmił Frankie, wstając od stolika. — Zobaczymy się później.



— Dobrze poszło — stwierdził sucho Bobby, gdy tylko Frankie zniknął im z oczu.

— Frankie to dupek. Obaj to wiemy, więc dlaczego z nim trzymamy?

— Ponieważ to nasz dupek — wyjaśnił zawsze lojalny Bobby. — A to znaczy, że musimy go pilnować.

— Na początek odzwyczaić go od koki — zasugerował M.J. — Może wtedy zaczniesz wszystko traktować bardziej poważnie. Ten handel żywym towarem to wielki błąd.

— Wiesz, jaki jest Frankie, nie ma mowy, żeby posłuchał.

— A co z Annabelle? — zainteresował się M.J. — Może powinniśmy porozmawiać z nią?

— Daj spokój! Żartujesz? Annabelle jest gorsza od niego. A jeśli chodzi o naszego chłopczyka, to jej zdaniem nie może zrobić niczego złego. Wiesz o tym.

Tree zmierzała do ich stolika, balansując licznymi talerzami. Rozejrzała się za Frankiem i była zawiedziona, że go nie ma.

— A gdzie wasz przyjaciel? — spytała śmiało, stawiając talerze na stole.

— Nie martwiłbym się zbytnio — powiedział M.J. — Wróci. Tree wahała się przez chwilę.

— Czy mogę was o coś zapytać?

— Pytaj. — Bobby zabrał się do steku.

— Chodzi o to, że pracując tutaj, spotykam wielu napalonych facetów, którzy robią mi propozycje. Wiecie, jak to jest. Znaleźli się w mieście bez żon czy dziewczyn, i następuje jakby sezon polowania na kelnerki.

— Co byś chciała wiedzieć? — zapytał M.J., łapczywie zajadając frytki.

- No... czy wasz przyjaciel naprawdę może mi pomóc, czy tylko tak mnie podrywa?

- Jesteś sprytną dziewczyną. Sama sobie odpowiedz — poradził Bobby.

Na twarzy Tree odmalowało się rozczarowanie.

— A więc zwyczajnie chrzanił?

— Zależy, czego od niego oczekujesz.

— Dobrze, dzięki. To chyba znaczy, że mogę mu zaufać. W czym zaufać?

Że rzuci cię na wyrko i wytrzepie z ciebie

gówno? Co do tego, to na pewno możesz mu zaufać, pomyślał Bobby.

Gdy Tree wróciła z rachunkiem, Bobby podał jej kartę kredytową, a po kilku minutach Tree zjawiała się z kwitem do podpisania.

— Czy to niestraszne z Gemmą Summer? — zagadnęła, uznając ich za przyjaciół, z którymi można pogadać. W istocie zaczynała dochodzić do wniosku, że może źle wybrała partnera do flirtu. Ten czarny facet z wielkimi brązowymi oczami i seksownie ostrzyżoną głową jest niewątpliwie słodki. A ten drugi to jeszcze dzieciak.

— Mówią, że mógł to zrobić Ralph Maestro — dodała. — A co wy myślicie?

— Co mógł zrobić? — spytał Bobby, gotów podpisać rachunek po dodaniu więcej niż hojnego napiwku.

— Strzelić żonie w twarz — wyjaśniła Tree, patrząc, czy nie nadchodzi kierownik, który nie aprobował rozmów kelnerek z gośćmi.

— Co takiego?! — wykrzyknął M.J.

— Mówisz, że zastrzelono Gemmę Summer? — spytał zaszokowany Bobby. — Skąd to wiesz?

— Wszędzie się o tym mówi. — Była zdumiona, że nie słyszeli o takim wydarzeniu jak zastrzelenie sławnej gwiazdy filmowej w jej własnym łóżku. — To jest w telewizji, w internecie, wszędzie.

— Jasna cholera! Lepiej chodźmy poszukać Frankiego — powiedział Bobby. — Musi od razu wracać do Annabelle.

— Kto to jest Annabelle? — dopytywała się Tree.

Nieważne. — Bobby szybko podpisał rachunek i zerwał się z krzesła. —  
Musimy iść.

Myślicie, że mogę się spotkać z waszym przyjacielem? — spytała z  
nadzieją Tree.

— Nie stawiałbym na to — odrzekł M.J., wysuwając się zza stołu. —  
Mam przeczucie, że jednak się nie zjawi.

Po tych słowach obydwaj się oddalili, pozostawiając zdziwioną kelnerkę  
pełną nadziei i marzeń, które z pewnością szybko się nie spełnią.

*Rozdział dziewiąty*  
Annabelle

Otulając się futrem, żeby ukryć rozdartą suknię, Annabelle wreszcie zdołała wyjść z apartamentu, w którym Omar Rani — jeśli rzeczywiście tak się nazywał — więził ją przez ostatnie dwie godziny. To, co jej się przydarzyło, było nie do pomyślenia. Została niemal zgwałcona i sterroryzowana, potraktowana jak przedmiot służący przyjemności jednego mężczyzny. Omar zachował się wyjątkowo brutalnie, nie okazał jej najmniejszego szacunku. Uznał, że została kupiona, co jego zdaniem dawało mu prawo robienia wszystkiego, na co miał ochotę. Jej prośby nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Wrywała się, ale bez skutku. Był niezmordowany. Drań potraktował ją jak tanią uliczną dziwkę. Drżącymi rękami wyjęła z torebki komórkę, której używała tylko wtedy, gdy szła na „schadzkę”, i nacisnęła numer Chipa.

— Wychodzę — oznajmiła, wsiadając do windy. — Jesteś przy wejściu?

— Ten cholerny portier kazał mi odjechać — narzekał Chip swoim zwykłym jęklwym tonem. — Wydawało mi się, że miałaś wyjść najdalej za pół godziny.

Nieważne, co ci się wydawało — syknęła, kiedy winda szybko ruszyła na dół. — Podjedź zaraz.

Drzwi windy się otworzyły i Annabelle wyszła do wielkiego lobby, mając nadzieję, że nie natknie się na nikogo znajomego.

Przez moment stała nieruchomo, drżąc na wspomnienie spoconych dłoni Omara na swoim ciele, dokonujących inwazji w miejsca najbardziej intymne, ugniatających i miażdżących, jakby była kawałkiem mięsa. Pieprzyć tłustego drania. Nie pewno nie pozwoli, żeby uszło mu to na sucho. Niech tylko Sharif Rani się dowie, co się stało, wtedy dopiero gównem się rozprysnie.

Przed hotelem nie było Chipa. Klnąc pod nosem, kazała portierowi zawołać taksówkę.

Chip podjechał mercedesem dokładnie w chwili, gdy wsiadała do taksówki. Zawahała się przez moment, próbując zdecydować, czy jechać taksówką, czy z Chipem.

Chip nacisnął klakson.

Kretyn. Ostatnia rzecz, jaka jest jej teraz potrzebna, to zwracanie na siebie uwagi. Cisnęła taksówkarzowi pieniądze, odwróciła się i ruszyła do mercedesa.

— Gdzie byłeś? — rzuciła władczo, wślizgując się na tylne siedzenie.

— Korki — jęknął Chip. — To cud, że dojechałem tak szybko.

- Zwalniam cię — warknęła, wyładowując frustrację na byłym już szoferze.

- Nie ma mowy. — Chip patrzył na nią we wstecznym lusterku. — To nie moja wina, że w tym mieście jest większy ruch niż w mrowisku pełnym mrówek. Annabelle milczała.

Nie wyglądasz najlepiej — zaryzykował, o mało nie potrącając nieostrożnego przechodnia. — Dobrze się czujesz?

— Siedź cicho — wymamrotała, gotując się z wściekłości. — Płacę ci za prowadzenie samochodu, nie za rozmowy.

Chip powstrzymał się od ciętej odpowiedzi. Już raz go wyrzuciła, jeśli zrobiła to po raz drugi, może rzeczywiście o to jej chodzi. A nie chciał stracić tej pracy, bo jest bardzo wygodna.

\* \* \*

Sharif Rani był w połowie ważnego spotkania biznesowego, kiedy w kieszeni marynarki zaczął wibrować jeden z jego licznych telefonów komórkowych. Przeprosił zebranych, odszedł od stołu konferencyjnego, wyciągnął wibrującą komórkę i uświadomił sobie, że to seksofon — telefon, którego używał tylko do umawiania tego typu spotkań. Sharif Rani miał bardzo zazdrosną, bardzo młodą czwartą żonę, nie mówiąc o licznych partnerach biznesowych, którzy chętnie zdobyliby na niego jakieś haki. Stąd seksofon, zarejestrowany na nazwisko jednego z jego przybocznych i używany wyłącznie do aranżowania „specjalnych” spotkań. Identyfikator pokazał, że dzwoni Belle Svetlana.

Do jasnej cholery, po co ona dzwoni? Miała korzystać z tego telefonu tylko po to, żeby potwierdzać spotkania. A reszta tygodnia została już umówiona — co drugi dzień inna kobieta — specjalnie dla niego wybrana przez Belle. Zna jego gust.

Zastanawiał się, czy w ogóle odebrać, uznał jednak, że lepiej to zrobić, bo może Belle musi zmienić termin któregoś ze spotkań.

— Słucham — powiedział cicho, zbliżając się do drzwi sali konferencyjnej.

— Sharif? — upewniała się Annabelle, a głos jej wibrował wściekłością.

— Czego chcesz? — spytał poirytowany.

Annabelle nie była w odpowiednim nastroju na błyskotliwe riposty.

Sharif Rani pewnie doskonale wie, czego ona chce.

Umówił ją z oszalałym na punkcie seksu nastoletnim potworem, dla którego na pewno nie był to pierwszy raz. Teraz będzie musiał ponieść tego konsekwencje.

— Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłeś — powiedziała.

— Czego chcesz? — powtórzył, a ton jego głosu z każdą sekundą stawał się bardziej lodowaty.

— Chcę, chcę... — jękając się, Annabella uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, czego chce. Przeprasiny, tak, o to jej chodzi, o przeprosiny za narażenie jej na kontakt z takim prymitywnym gównem, tak zwanym synem Sharifa. I jeszcze jedno, chce, żeby chłopak też ją przeprosił! „Chłopak"! Dobrze sobie!

— Twój syn to świnia! — wrzasnęła. — Potraktował mnie strasznie. Był lekceważący, nieokrzesany i brutalny. Powiedziałeś mi, że to piętnastoletni prawiczek, a przecież wiesz, że to nieprawda. Chcę... Annabelle była tak zajęta narzekaniem, że nie usłyszała kliknięcia po drugiej stronie.

Kiedy się zorientowała, że Sharif się rozłączył, była wściekła. Rozłączył się podczas rozmowy z nią! Ten człowiek ma straszne maniery. Za kogo on ją bierze?

Jakiś głos w głowie szeptał: „Za dziwkę, kurwę, prostytutkę”.

Nie chciała się zastanawiać nad tymi słowami. Żadne z nich nie odnosi się do niej. Ona jest elegancką, bogatą mieszkanką Nowego Jorku, której udało się urządzić samodzielnie, bez pomocy rodziców, gwiazd filmowych.

W jej oczach pojawiły się łzy frustracji. Gdzie jest Frankie, kiedy go potrzebuje?

\* \* \*

Frankie był w klubie striptizowym, a na jego kolanach wiła się nadąsana ruda dziewczyna z olbrzymimi sztucznymi piersiami i bardzo aktywnym językiem. Striptizerka była zajęta

wylizywaniem jego szyi, kiedy niespodziewanie przyszło mu do głowy, że obrażanie się na Bobby'ego i M.J. to strata czasu. Są po prostu zazdrośni, że jemu udało się rozkręcić taki słodki biznes. I nie można mieć do nich żalu. Przecież nie będzie przez całe życie didżejem, musi iść do przodu. A jeśli oznacza to zgarnianie dużych pieniędzy, tym lepiej dla niego. Bobby i M.J. pochodzą z zamożnych rodzin, nie mają pojęcia co to znaczy być zdany tylko na siebie.

Frankie uważał się za twardziela. Szedł trudną drogą i dotarł na sam szczyt.

Ale po drodze żałował paru rzeczy. Kilku ciemnych i złowieszczych historii, do których nie ma ochoty wracać. Kilku bardzo mrocznych wspomnień, które spycha na dno pamięci, ilekroć się pojawiają.

Koka pomaga mu zapomnieć o złych rzeczach. Zawsze wprawia go w łagodny nastrój, ułatwia osiągnięcie tego, co zaplanował, sprawia, że czuje się jak zwycięzca.

Kto by pomyślał, że wdychanie białego proszku może dawać tak podnoszące na duchu rezultaty.

To kosztowne przyzwyczajenie, ale uważał, że warte każdego wydanego centa. Nigdy nie interesował go crack, heroina ani inne twarde narkotyki. Lubił kokainę.

Wielka rzecz!

Striptizerka zaczęła się denerwować. Wykonywała swoje najlepsze ruchy, a on nie reagował. Potrząsała pokrytymi plastikiem sutkami niepokojąco blisko jego ust, równocześnie napierając na w jego krocze. Język nadal intensywnie pracował na jego szyi, zmierzając w stronę lewego ucha, choć dotykanie klienta było surowo zabronione.

Striptizerka ciężko pracowała na wysoki napiwek.

Frankie podniósł się gwałtownie, zrzucając ją z kolan.

Rozciągnięta na podłodze już miała bluznąć wyzwiskami,



kiedy wyjął z kieszeni zwitek dwudziestodolarowych banknotów i jej rzucił.

— Innym razem — mruknął. — Nie mam nastroju.

\* \* \*

Frankie nie odbierał, więc przygnębiona Annabelle wysłała mu SMS-a, po czym zadzwoniła do Bethany, jednej z dziewczyn, które czasami dla niej pracowały.

— Mogłabyś wpaść? — Potrzebowała towarzystwa. — Frankie pojechał do Atlantic City, jestem sama.

Bethany, piosenkarka barowa, która udzielała się o kilka lat za długo, chętnie wyświadczyła Annabelle tę przysługę. Zjawiała się po półgodzinie z butelką szampana — oczywiście marki Cristal — i kartonem soku pomarańczowego.

— Pomyślałam, że zrobię nam Mimozy — oznajmiła, zmierzając do kuchni.

— Fantastyczny pomysł — pochwaliła Annabelle, uśmiechając się, choć nadal czuła się wykorzystana, sponiewierana i wściekła.

— Belle, wszystko w porządku? — pytała zaciekawiona Bethany.

— Nie, nie w porządku. — Annabelle poszła za Bethany do nieskazitelnie czystej kuchni, bo Annabelle nigdy nie gotowała. Była wychowana w domu, w którym służba przyrządzała posiłki i wykonywała wszelkie inne niezbędne prace.

~— Chodzi o Frankiego? — pytała Bethany współczująco, ale mimo to gotowa na pikantne ploteczki. — Pokłóciliście się? To fajny facet, ale na pewno nie najłatwiejszy...

Dlaczego miałoby chodzić o niego? — przerwała jej Annabelle, natychmiast przechodząc do obrony. Bethany otworzyła lodówkę i wzięła trochę lodu.

Ponieważ zazwyczaj chodzi o mężczyznę — powiedziała, wyjmując dwie wysokie szklanki z kuchennej szafki i wrzucając

do nich lód. — Mężczyźni to dranie. Nie rozumiem, dlaczego godzimy się na to całe gówno. Oni tylko jedzą, pierdzą, śpią i chrapią. Mogę cię zapewnić, że lepszych doznań dostarcza mi wibrator.

Najwyraźniej nigdy nie spała z Frankiem, pomyślała Annabelle.

— Ja zrezygnowałam z mężczyzn — ciągnęła Bethany. — Chyba że płacą. Teraz zajmuję się tylko moją karierą, tylko to jest dla mnie ważne.

— No więc... — powiedziała Annabelle i ruszyła do salonu — skoro mowa o płaceniach... czy spotkałaś kiedyś... klienta... który... no...

potraktował cię źle?

— Nie nazywaj ich klientami — zaprotestowała Bethany, sadowiac się na kanapie. — Wtedy wyglądamy na dziwki, a nimi nie jesteśmy. Jesteśmy pracującymi kobietami, które zarabiają mnóstwo pieniędzy, robiąc to, co inne robią za darmo.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. — Annabelle nie interesowała analiza działalności agencji z dziewczynami na telefon dokonywana przez Bethany.

— Twoje pytanie... no... — Bethany obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem. — nie wiedziałam, że ty też chodzisz do pracy, Belle.

— Nie chodzę — odparła szybko Annabelle. — Pytam w imieniu jednej z dziewczyn. Została sponiewierana.

— Sponiewierana? W jaki sposób? — Bethany uniosła starannie wyregulowane brwi.

— No... facet był wobec niej brutalny. Właściwie ją zgwałcił.

— A zapłacił? — spytała rzeczowo Bethany.

— Tak.

— No więc to nie był gwałt, prawda? — Bethany sączyła koktajl. — Zawarto umowę.

Annabelle była coraz bardziej zdenerwowana. Bethany nic nie rozumie!

— Ale przypuśćmy, że ona tego nie chciała — upierała się. — A jeśli zmieniła zdanie, nie podobał jej się jego wygląd?

— Zasadnicze pytanie brzmi: czy wzięła pieniądze? — zauważyła rozsądnie Bethany.

— Powiedziałam ci, że tak.

— No to, jak już mówiłam, została zawarta umowa i nie ma żadnego gwałtu. Sprawa zamknięta. Czy masz Peach Schnapps? Jeśli dodamy ją do naszych drinków, będziemy miały bardzo relaksujący koktajl. A wtedy opowiesz mi dokładnie, kto cię tak zdenerwował.

Godzinę później, nadal zdenerwowana i lekko wstawiona Annabelle zdołała pozbyć się Bethany. Nie było to łatwe, bo Bethany była przy trzecim drinku i choć Annabelle myślała, że potrzebuje towarzystwa, uświadomiła sobie, że znacznie lepiej poczuje się sama.

Czując nadchodzący ból głowy, dotarła do sypialni i padła na łóżko.

A jeśli ten niewątpliwie lewy syn Sharifa, tłusty potwór, czymś ją zaraził? Albo jeszcze gorzej: zaszła w ciążę?

Miała prezerwatywy w torebce, ale napalony mały drań uniemożliwił jej sięgnięcie po nią.

Może podać go do sądu. Owszem, oskarżyć Sharifa Raniego i całą jego pieprzoną rodzinę. Pewnie ma czeredę synów z różnymi kobietami.

Białych, czarnych, Arabów, Amerykanów, Azjatów...

No tak, ale jak może go skarżyć, nie ujawniając całej gry? Jej gry...

Mogła sobie wyobrazić gwiazdorskie twarze mamy i taty, gdyby się dowiedzieli, jaki to interes prowadzi ich mała córeczka... Po jakimś czasie zapadła w półsen. Frankie wszystko załatwi. Frankie zawsze wszystko załatwia.

## *Rozdział dziesiąty*

### Denver

Mario jest idealny, ma wszystko, czego pragnę, i jeszcze więcej. Jest bardzo seksowny, od czubków pięknie ukształtowanych palców po oliwkową skórę. A co do jego mięśni brzucha... to mogę tylko powiedzieć: jeszcze, jeszcze! Światowa klasa.

Czuję słabość do mięśni brzucha, mam pewnie do nich taki stosunek jak większość mężczyzn do cyków. Rodzaj obsesji.

Może nie powinnam była iść z nim do łóżka po pierwszym spotkaniu na drinku, bo trudno to nazwać randką. Ale co tam, dwa koktajle Cosmos i wszystkie postanowienia uleciały z wiatrem.

Zgoda, zachowywaliśmy się jak opętani. Pojechaliśmy prosto do niego. Skoczyliśmy do łóżka, gorączkowo rozrzucając ciuchy. Na szczęście założył prezerwatywę, bo ja z pewnością nie myślałam racjonalnie. A potem poszliśmy na całość i jeszcze dalej. Ale było dooobrze.

Teraz on śpi, a ja oglądam najpierw jego ciało, a potem jego mieszkanie. Można się dużo dowiedzieć o człowieku na podstawie tego,

jak mieszka, a ponieważ Mario nie spodziewał się, że przyjdę do jego małego domku przy Fountain, jestem pod wrażeniem, bo bardzo tu czysto i porządnie. Prawie nie ma bałaganu, zaledwie kilka brudnych naczyń w zlewie, pognieciona koszula na podłodze w łazience. Poza tym raczej schludnie. Zbyt schludnie?

Mogę tylko stwierdzić, że jest o wiele bardziej schludny niż Josh, który był strasznym flejtuchem.

A jeśli chodzi o aktywność w łóżku... dwa razy, trzy razy HURRA! Nie mówiąc o...

Mario sprawił, że doszłam od razu, co nie zawsze mi się zdarza. Czasami mijały tygodnie, zanim Josh doprowadził mnie do stanu, w którym osiągałam wielkie O.

Może to dlatego, że obydwójce wpadliśmy w rutynę. Było nudno. A kiedy do związku wkrada się nuda...

Prawda sprowadza się do tego, że chociaż to Josh ze mną skończył, wierzcie mi, wcale mnie to nie zmartwiło.

— Halo! — zawołał Mario z sypialni. — Gdzie jesteś?

— Okradam twoje mieszkanie. Tyle że nie mogę znaleźć niczego wartego zabrania oprócz dwóch płyt Santany i zdjęcia Dereka Jetera z autografem. Skąd się to u ciebie wzięło?

— To długa historia — odparł z uśmiechem i wyszedł z sypialni bezwstydnie nagi.

Byłam zadowolona, że czujnie zarekwirowałam jego szlafrok, najwyraźniej ukradziony z imprezy „Vanity Fair”, ponieważ na plecach miał napis: „Vanity Fair wydanie hollywoodzkie”. Tak, zmuszenie go do chodzenia na golasa było wspaniałym posunięciem.

Patrzyłam na jego zachwycająco umięśnione ciało. Co za widok!

Chodź no tutaj — powiedział, leniwie wyciągając rękę. — Natychmiast wracaj do łóżka.

Podobał mi się jego sposób myślenia. Znowu do łóżka,

a zaledwie godziną temu zachowywaliśmy się jak para napalonych nastolatków w noc szkolnego balu. Ale z jakiego powodu miałabym się opierać? Mario Riviera jest dokładnie taką rozrywką, jakiej szukałam. No, może nie tyle „szukałam”, ile „miałam na nią nadzieję”. To chyba lepszy opis sytuacji.

Jest wysportowany.

Staralam się nie sprawić mu zawodu.

Jest pełen inwencji.

Ja też.

Jest nienasycony.

Niestety, zaczynam się czuć lekko wyczerpana. To był wyjątkowo długi dzień, a nie jestem przyzwyczajona do tak spontanicznej i cudownej aktywności seksualnej. Bolał mnie uda, sutki robią się nadwrażliwe, a całonocny sen we własnym łóżku zaczyna się wydawać wspaniałym pomysłem.

Ale... o Boże! Zanim zdążyłam o tym pomyśleć, znowu znaleźliśmy się w łóżku i on sprawia, że mam orgazm.

Drzę, tak wspaniale się czuję.

— Jesteś łatwa — stwierdził, uśmiechając się do mnie z góry.

Zobaczyłam jego zęby, idealnie równe i wyjątkowo białe.

Przypomniały mi zęby Marka Consuelo. Na wypadek gdybyście nie widzieli, Mark Consuelo to niezwykle przystojny mąż Kelly Ripy. A na wypadek gdybyście nadal nie widzieli, Kelly Ripa to partnerka antenowa pozbawionej wieku gwiazdy TV, Regisa Philbina.

— Łatwa? — powtórzyłam, też się uśmiechając. — Czy to obelga?

— Nic podobnego. Seks sprawia ci taką samą przyjemność jak mnie.

Podoba mi się to, że w odróżnieniu od innych dziewczyn niczego nie udajesz.

Czy to ocena pozytywna, czy negatywna?

Nie spytałam, bo całkiem dobrze czułam się z mężczyzną,

którego prawie nie znałam. To śmieszne, bo przecież mógł być gwałcicielem, seryjnym zabójcą, złodziejem czy...

Przestań tak myśleć. Zawsze miałam bardzo bujną wyobraźnię, co czasami powodowało spore kłopoty.

— Chyba powinnam już iść. Dawno minęła moja pora spania.

— Pora spania już przeszła — oznajmił z lubieżnym uśmiechem. — Teraz umieram z głodu. Co powiesz na hamburgera?

Cudownie! Muszę przyznać, że też jestem głodna. Wspaniały seks zawsze pobudza apetyt.

Zanim zdążyłam powiedzieć „tak”, moja komórka w torbie zaczęła grać *If I Were a Boy* Beyonce.

Sięgnęłam po nią.

Błąd.

Ralph Maestro. A jest druga w nocy! Cholera! Po co odebrałam?

Bo to moja praca. A do Zęba Rekina nie można się dodzwonić po dwudziestą drugą.

— Cześć! — powiedziałam ostrożnie. — Wszystko w porządku?

— Muszę z tobą porozmawiać — oznajmił Ralph szorstko jak zwykle.

Jest druga w nocy — zauważyłam, choć niewątpliwie musiał to wiedzieć.

Jesteś mi tu potrzebna — rzucił, zanim się rozłączył.

Kto to był? — spytał Mario, wchodząc w rolę wścibskiego reportera.

Zazdrosny kochanek — wyjaśniłam niezbyt precyzyjnie, biorąc dzinsy i przebiegając wzrokiem podłogę w poszukiwaniu slringów, które najwyraźniej przepadły.

Nie wierzę ci.

To oczywiste. Nawet nie powinieneś. Mario obrzucił mnie długim pytającym spojrzeniem.

— Jesteś inna od większości dziewcząt, z którymi się stykam — powiedział.

— Mieszkamy w Los Angeles, więc Bogu dzięki za to — mruknęłam.

— Jesteś bezpośrednia. I właściwie to mi się podoba.

— W takim razie dzięki za niezapomniany seks. Obawiam się jednak, że muszę już iść.

Wybuchnął śmiechem. Ja też.

Pochylił się i pocałował mnie w usta — długi, namiętny pocałunek, ależ to przyjemne!

— Zadzwoń do ciebie — obiecał.

— To brzmi jak plan — stwierdziłam, zakładając buty. — Nie zwlekaj zbyt długo.

Wyszłam, wsiadłam do samochodu i ruszyłam w stronę rezydencji Maestro.

\* \* \*

Ralph Maestro palił w salonie olbrzymie cygaro, wydmuchując kłęby gęstego dymu.

Ubrany był w gruby jedwabny szlafrok w kolorze kasztanowym, ozdobiony czarnymi lamówkami. Na nogach miał kapcie pasujące kolorem do szlafroka. Po raz kolejny nie odniosłam wrażenia, że jest to mężczyzna w żałobie.

Zdecydowanie była to dla mnie noc mężczyzn w szlafrokach, tyle że wołałam prostsza białą wersję Maria. A już na pewno wołałam to, co było pod spodem.

— Cześć — rzuciłam, powstrzymując się od komentarza, że nie cierpię dymu z cygara.

— Wyglądasz, jakby cię ktoś wypieprzył — zauważył Ralph. Nie należał do ludzi, którzy myślą, zanim się odezwą.

Postanowiłam zignorować ten seksistowski komentarz.

— W czym mogę pomóc, panie Maestro? — zapytałam, próbując utrzymać profesjonalną relację klient—prawnik i za-



stanawiając się równocześnie, czy wyglądam równie promiennie, jak się czuję. Najwyraźniej tak było.

— Możesz wsiąść do samolotu i polecieć do Nowego Jorku — odpowiedział rzeczowo.

— A niby dlaczego miałabym to zrobić? — Nauczyłam się, że nigdy nie należy się dziwić żadnym propozycjom klienta, choć lot do Nowego Jorku o drugiej w nocy był czymś niecodziennym.

— Ponieważ — mówił wolno Ralph — znasz moją córkę, u ja nie mogę się z nią skontaktować. Więc do ciebie należy sprowadzenie jej tutaj.

— Co takiego? — uniosłam brwi, bo była to śmieszna prośba.

— Chyba nie ogłuchłaś?

— Słucham? — Pomyślałam, że jest chamem, i niewykluczone, że zastrzelił swoją piękną żonę.

— Na miłość boską, dziewczyno, nie proszę, żebyś poleciała na Księżyc

— prychnął poirytowany. — Annabelle powinna być tutaj ze mną, a ty przysłałaś mi do głowy jako jedyna osoba, która może ją przywieźć.

- Panie Maestro... Ralph — zaczęłam niepewnie — nie widziałam Annabelle ani nie rozmawiałam z nią od wielu lat, więc nie przypuszczam, żeby...

Omówiłem to już z Felixem — przerwał mi, jakby to, co mam do powiedzenia, w ogóle się nie liczyło. — On zgadza się, że Annabelle powinna być tutaj. Zgadza się też, że jesteś jedyną osobą, która może ją do tego przekonać.

Ale...

Ralph nie miał nastroju do słuchania.

W twoim laptopie jest e-bilet — powiedział rzeczowo. — Linia United. Siódma rano. — Podał mi wydruk komputerowy. Tu jest jej adres i numer telefonu. Na sekretarce zostawiłem wiadomość, że jesteś w drodze.

Po tych słowach wydmuchał mi w twarz chmurę ohydneho dymu i machnął lekceważąco ręką.

— Dobranoc — powiedział, ucinając wszelką dyskusję.

Więcej niż wściekła opuściłam rezydencję Maestro. Za kogo on mnie bierze? Za dziewczynę na posyłki?

To jakaś bzdura, nie mogę uwierzyć, że Felix się na to zgodził.

Pieprzę Ralpa, pana gwiazdora Maestro. Pieprzę pana Ząb Rekina.

Jestem prawnikiem, a nie jakąś cholerną agencją towarzyską.

Dlaczego mam lecieć do Nowego Jorku, żeby przywieźć Annabelle Maestro na pogrzeb jej matki? Dlaczego ja?

## *Rozdział jedenasty*

Carolyn

Po telefonie do Denver i połączeniu się z jej pocztą głosową Carolyn żałowała, że nie zapytała Kerri, dokąd się wybiera, i że z nią nie poszła. Czowała przyływ adrenaliny i nie miała ochoty spędzać samotnie sobotniego wieczoru w swoim małym mieszkaniu.

Co robi Gregory? Czy o niej myśli? Czy myśli o ich dziecku i o wspólnej przyszłości? Czy jest tak samo szczęśliwy jak ona?

Po prostu nie mogła się doczekać, kiedy oficjalnie, na oczach wszystkich, będą mogli być razem. Wyobrażała sobie twarz jego żony, kiedy jej o tym powie. Evelyn to zimna ryba i najwyraźniej Ho nie kocha, więc dlaczego Carolyn miałaby się nią przejmować?

Gregory mówił jej wielokrotnie, że on i Evelyn nigdy się nie kochają, nie mają wspólnych zainteresowań i że już dawno by się z nią rozwiódł, gdyby nie dzieci.

Carolyn wiedziała, że to typowa sytuacja: żonaty mężczyzna, którego żona nie rozumie, ale ona wierzy mu mimo wszystko. Gregory jest inny, uczciwy, a ona kocha go całym sercem.

Myśląc teraz o wcześniejszej scenie w biurze, żałowała, że musiała krzyczeć i grozić. Ale ciąży nie należy traktować

lekką, musiała nim potrząsnąć, żeby zrozumiał, że teraz sytuacja powinna się zmienić.

Dotarło to do niego. Wreszcie do niego dotarło.

Teraz musi tylko jeszcze trochę poczekać.

\* \* \*

— Chryste, Evelyn, kim są ci ludzie? — syknął Gregory do ucha żony. Evelyn poprawiła kolczyki od Cartiera z rubinem i diamentami i odpowiedziała *sotto voce*:

— Ci ludzie to nawróceni przestępcy, dzięki którym nasze miasto jest znacznie bezpieczniejsze.

— Co to znaczy, do wszystkich diabłów? — warknął, niezadowolony, że wyciągnęła go na jeszcze jedno z tych swoich dobroczynnych spotkań.

— Widzisz tamtego człowieka? — wskazała brodatego Latynosa w źle leżącym garniturze z tatuażem na szyi i złotym kołkiem w uchu.

— Owszem, widzę go. I co z tego?

— To był członek gangu, który przeszedł na naszą stronę. Teraz doradza młodemu chłopakom, jak nie wpaść w pułapkę gangów.

Słuchając słów Evelyn, Gregory nagle uświadomił sobie, jak bardzo są niestosowne. Co ona, do cholery, może wiedzieć o życiu gangów? Jego żona, wieczny dobroczyńca. Zawsze broni jakiejś sprawy. Cholerna świętoszka.

— Chodź — powiedziała, biorąc go pod rękę. — Przedstawię ci go.

Gregory w ogóle nie miał ochoty poznawać byłego członka gangu. Miał co innego na głowie, choćby to, co zrobić z Carolyn. Z tą jęczącą, ciężką, robiącą mu loda Carolyn?

Evelyn poprowadziła go przez salę i swoim najbardziej arystokratycznym głosem powiedziała:

Ramirez, chciałabym ci przedstawić mojego męża, senatora Gregory'ego Stonemana.

Ramirez spojrział na niego twardo.

Gregory znał to spojrzenie. Oznaczało: „Pieprz się, biały dupku”. Ten facet nie jest zreformowanym gangsterem. Jest cwany przestępcą, który wyrabia sobie kontakty.

— Miło pana poznać — powiedział Gregory, przywołując fałszywy uśmiech polityka. — Żona mówi, że prowadzi pan bardzo pożyteczną dla miasta działalność.

— Staram się — odparł Ramirez. Miał rozbiegany wzrok. — Nie jest to proste, ale się staram.

— Wspaniale. — Gregory skinął na kelnera. Musiał wypić kolejnego drinka.

— Owszem — Evelyn bawiła się cienką bransoletką z brylantami — potrzebujemy większych funduszy dla ośrodków, które Ramirez zamierza otworzyć w całym mieście. Teraz mamy tylko jeden, a to taka ważna praca, nie wypuścić młodych chłopców na ulicę. Mam nadzieję, że uda mi się zorganizować specjalny koncert, żeby zdobyć pieniądze. Ramirez sądzi, że możemy zachęcić do tego projektu kilku raperów. Raperów! W jakim świecie żyje Evelyn? Nawet on wie, że prawidłowe określenie brzmi „artyści rapu”.

— Wszystko, co może pomóc — powiedział Ramirez. — Może mógłby pan jutro wpaść i zobaczyć, co robimy.

Jasne, pomyślał Gregory, właśnie tak zamierzam spędzić niedzielę.

— Może tak zrobię — odparł. A może nie. Ramirez nie odrywał wzroku od bransoletki Evelyn. Cholera, mam nadzieję, że on nie wie, gdzie mieszkamy,

pomyślał Gregory.

\* \* \*

Nellie Fortuna mieszkała w apartamencie obok Carolyn. Była stara — dobrze po osiemdziesiątce — i najwyraźniej nie został jej już nikt, wszyscy umarli. Nie miała żadnych krewnych. Żadnych przyjaciół. Nikogo.

Dawno temu i daleko stąd Nellie Fortuna była piękną osiemnastoletnią gwiazdeczką filmową, mieszkającą w hollywoodzkiej rezydencji z przywidłym starym producentem, który przypadkiem był milionerem. Dawno temu, w latach trzydziestych milionerzy coś znaczyli. Dzisiaj trzeba mieć miliardy, żeby być branym pod uwagę. W każdym razie tak twierdziła Nellie, a była bardzo rozmowna i raczej niezwykła.

Carolyn starała się wstępować do niej przynajmniej raz na dwa dni, żeby sprawdzić, czy miła staruszka jeszcze żyje i nakarmić jej sparszywiąłego kota Gable'a. Podobno u szczytu kariery Nellie była kochanką wielu ikon srebrnego ekranu, w tym Clarke'a Gable'a, którego wypłowiałe zdjęcie stało dumnie w srebrnej ramce w stylu art deco na kominku. Było podpisane: *Kochanej Neli z miłością Clark.*

Mogło to być zdjęcie przeznaczone dla wielbicieli, ale mógł to być autentyk.

— Każdego kocura nazywałam Gable — mówi często Nellie, po czym uśmiecha się, a w jej oczach pojawia się rozmarzenie. — Co za mężczyzna. Nigdy go nie zapomnę.

Kiedy Carolyn miała czas, lubiła słuchać opowieści Nellie o dawnym Hollywood. Był w nich cały blask starych czasów, a Nellie snuła swoje historie z wielkim upodobaniem.

— Te dzisiejsze dziewczyny, wszystkie wyglądają jednakowo — zrzędziła. — I te ich stroje. Czysta ohyda. Za moich czasów...

Myśląc o Gregorym, Carolyn zapukała do drzwi Nellie i jak zawsze z ulgą przekonała się, że starsza pani żyje, dobrze się czuje i siedzi przed telewizorem, oglądając swój ulubiony kanał E.

— Tylko sprawdzam! — uprzedziła Carolyn. — Nie mogę zostać.  
— Halo, skarbie, ładnie dziś wyglądasz — powiedziała Nellie, jak zwykle czujna i bystra. — Masz taki blask w oczach. Czyżby nowy chłopak? Carolyn musiała się uśmiechnąć.  
— No, może niezupełnie nowy — powiedziała cicho. — Raczej chyba... sama nie wiem... bardziej zaangażowany.  
Podszedł kot Gable i zaczął leniwie ocierać się o jej nogi. Pochyliła się, żeby go pogłaskać, a on zamruczał głośno.  
— Chyba wiem — stwierdziła Nellie, domyślnie kiwając głową. — To ten miły młody człowiek, twój chłopak, jak on ma na imię? A tak, Matt. Poprosił, żebyś za niego wyszła, tak?  
— Nie. — Carolyn pokręciła głową. — Matt to już historia.  
— Ale masz kogoś, prawda? — upierała się Nellie. — Kto to jest? Carolyn żałowała, że nie może jej powiedzieć. Chciałaby wyśpiewywać to ze wszystkich dachów. Jestem w ciąży z senatorem Gregorym Stonemanem. Jestem w ciąży, w ciąży, w ciąży!  
— Stary przyjaciel — wyjaśniła zdawkowo.  
— Ach, starzy przyjaciele — westchnęła Nellie. — Miałam ich mnóstwo. Dawne gwiazdy. Dawni kochankowie. Starzy żonaci mężczyźni, którzy nie mogli utrzymać go w spodniach. Tak, tak, starzy przyjaciele...  
— Nakarmiła pani Gable'a? — spytała Carolyn, chcąc zmienić temat. Nellie lubiła opowiadać o swoich licznych romansach, a dzisiaj Carolyn nie miała nastroju, by tego słuchać.  
— Owszem, kochanie, wszystko zrobiłam. Ale dziękuję, że wpadłaś, wiesz, jak bardzo jestem za to wdzięczna.  
— To mnie jest przyjemnie — rzuciła Carolyn, wychodząc. Pomyślała, że ładnym gestem byłoby zaproszenie Nellie Fortuny na ślub.

*Senator Gregory Stoneman i*

*panna Carolyn Henderson*

*Zapraszają do wzięcia udziału  
w uroczystości połączenia ich węzłem małżeńskim...*

Tak! Tak! Tak!

\* \* \*

— Nie! — zaprotestował ostro Gregory, kiedy siedzieli z Evelyn w samochodzie, jadąc do domu. — Nie będę odwiedzał żadnych ośrodków pełnych szczerów i gangsterów, chociaż ty uważasz, że to dobry pomysł. Evelyn jak zwykle zachowała spokój.

— Gregory, kochanie — powiedziała głosem gładkim jak jedwab — odwiedzenie centrum Ramireza poprawi twoją reputację. Wyborcy docenią taki gest dobrej woli. Zawsze doceniają. Niech ta twoja mała asystentka powiadomi prasę. To świetna okazja do zdjęć.

Dlaczego zawsze mówi o Carolyn „ta twoja mała asystentka”? Carolyn ma co najmniej pięć stóp osiem cali wzrostu, trudno więc uznać ją za małą. W ten sposób Evelyn chce ją pomniejszyć. Nie żeby coś podejrzewała, po prostu o innych kobietach zawsze wyraża się mniej niż przychylnie. Na kolacji w Białym Domu posadzono go koło Gwyneth Paltrow, a Evelyn nazwała ją potem chudym małym stworem. Należy zwrócić uwagę na zastosowanie słowa „mały”. To w ustach Evelyn wyraz największej pogardy. Chodzi jej o to, że te osoby w porównaniu z nią są małe i nieważne.

Evelyn to snobka. Wyszła za niego tylko dlatego, że czekała go kariera polityczna, szczególnie jeśli będzie stała za nim ona i jej wpływowa rodzina.

Czy kiedykolwiek go kochała?



Chyba nie.

Mają jednak dwoje wspaniałych zdrowych dzieci, jego kariera zmierza w dobrym kierunku. Tak, życie ogólnie nie jest takie najgorsze.

Ale teraz „mała” Carolyn Henderson postanowiła wszystko spieprzyć. I co on ma z tym zrobić? Jedno nie ulega wątpliwości: musi coś zrobić, i to szybko.

## *Rozdział dwunasty*

### Bobby

W apartamencie hotelowym M.J. uwijał się przy pakowaniu ich niewielkich bagaży, a Bobby próbował skontaktować się z Frankiem. Na próżno dzwonił na komórkę. Zatelefonował więc do Annabelle, żeby poinformować ją, że wracają. Ona też nie odbierała telefonu.

M.J. włączył telewizor i usłyszeli całą ponurą historię zamordowania Gemmy Summer.

— Trudno uwierzyć, że nie słyszeliśmy o tym wcześniej — powiedział zbity z tropu Bobby. — Głupio mi z powodu Annabelle, musi być w strasznym stanie.

— Myślisz, że mógł to zrobić jej ojciec? — spytał M.J. — Ja zawsze się go cholernie bałem.

— Może być głupim gwiazdorem, ale nie tak głupim, żeby zastrzelić ją w ich własnym domu — spekulował Bobby. — Kto mógłby zrobić coś podobnego?

— No tak... Głupi, a może tak arogancki, że wierzy w swoją bezkarność — zastanawiał się M.J.

— Media dostaną szału, to dla nich wymarzony temat — stwierdził Bobby. — Dwie gwiazdy filmowe i morderstwo.

Czy powinien zadzwonić do Lucky? Pamiętał, że kiedy była właścicielką Panther Studios zarówno Ralph Maestro, jak i Gemma Summer pojawiali się w filmach produkowanych przez tę wytwórnię. Musi znać Gemmę, może nawet się przyjaźniły.

W tym momencie do apartamentu wpadł Frankie. Wyglądał bardzo nieświeżo.

— Szukaliście mnie? — spytał, a długie włosy opadały mu na oczy. — Co to ma znaczyć? Byłem bliski wielkiej wygranej w kości.

— Domyślam się, że nie oglądałeś wiadomości — powiedział Bobby poważnie.

— Jakich wiadomości? — dopytywał się Frankie. Jasna cholera, dowiedzieli się. Żegnaj weekendzie wolności z chłopakami. Niech to wszyscy diabli, pomyślał.

— Strzelano do matki Annabelle. Dowiedzieliśmy się o tym przed chwilą — powiedział Bobby bezbarwnym tonem.

— Jezu! — Frankie starał się wyglądać na zaszokowanego. — Co się stało, do cholery? Kiedy? W jaki sposób? Nie żyje?

— Nie żyje, jak najbardziej. Obejrzyj telewizję. Powinieneś od razu zadzwonić do Annabelle.

— Tak, chłopie — włączył się M.J. — Musimy cię dostarczyć do Nowego Jorku.

— Wiecie, że Annabelle rzadko ma przy sobie telefon. — Frankie był wściekły, że zapowiada się szybki wyjazd.

— To spróbuj zadzwonić do domu — poradził Bobby. — Na pewno tam jest.

— Jasne. — Frankie podszedł do telewizora i udawał, że po raz pierwszy ogląda te wiadomości.

Chodzą plotki, że mógł to zrobić jej ojciec — wtrącił M.J. — To okropna historia. Co o tym myślisz?

Nigdy nie poznałem jej rodziców — przyznał Frankie. — Ale możecie mi wierzyć, że Annabelle nie była z nimi blisko. Rzadko się kontaktowali.

— Musisz teraz być z nią — powiedział Bobby. — Jesteśmy spakowani i gotowi do wyjazdu, więc proponuję, żebyśmy wyruszyli.

— Oczywiście — zgodził się Frankie, choć bez entuzjazmu. Żegnaj randko z seksowną kelnerką od Mortona. Niedobrze.

Mógłby ją wypieprzyć, a potem zatrudnić.

\* \* \*

Kilka godzin później Bobby zatrzymał bmw przed budynkiem, w którym znajdowało się mieszkanie Frankiego i Annabelle.

Frankie bez pośpiechu wysiadał z samochodu. Minęła północ i ostatnią rzeczą, jakiej miał ochotę słuchać, było narzekanie Annabelle na rodziców. Narzekanie na mamusię i tatusia należało do jej ulubionych zajęć. Zawsze opowiadała, jak bardzo byli zajęci sobą, że kiedy dorastała, nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Zwykle mówił jej, żeby przestała narzekać, ale dziś wieczorem sytuacja jest inna, ze względu na całą tę tragedię i tak dalej. Będzie musiał wysłuchiwać tego godzinami. Akurat dobra pora na granie współczującego chłopaka, nie miał co do tego wątpliwości.

— Chcesz, żebyśmy weszli z tobą na górę? — spytał Bobby, bo choć nie miał na to ochoty, to jednak się starał.

— Człowieku, może powinniśmy z tobą pójść — przekonywał M.J., lecz bez entuzjazmu. Obaj wiedzieli, jaką artystką potrafi być Annabelle, a teraz pewnie straciła nad sobą kontrolę i pewnie histeryzuje.

Frankie uznał, że nie jest to konieczne.

— Dam sobie z nią radę.

— Jak chcesz... — mruknął Bobby. — Ale nie zapomnij przekazać naszych uścisków i wyrazów współczucia. Odezwiemy się rano.

— Dobra. — Frankie wreszcie wysiadł z samochodu.

Kiedy zniknął w budynku, Bobby powiedział:

— Może powinniśmy wstąpić do klubu, zaskoczyć ich?

— Zgoda. Chętnie przekonałbym się, ilu naszych kelnerów wybiega tylnym wyjściem z ładunkiem steków w spodniach — odrzekł M.J.

M.J. miał obsesję na temat złodziejstwa personelu. Gdyby mógł postawić na swoim, wszędzie zainstalowałby ukryte kamery — od kuchni po szatnię.

Bobby był bardziej zrelaksowany, nauczył się od Lucky, że w hotelu czy w klubie trzeba wiele rzeczy przewidywać. Smutna rzeczywistość była taka, że barman zastępuje Grey Goose Vodka tańszym gatunkiem, kelnerzy kradną, a pracownicy kuchni zabierają do domów, co tylko się da. Jeśli kradzieże nie są na dużą skalę, lepiej się z nimi pogodzić i nie stresować się.

Bobby zastanawiał się, czy Zeena będzie w klubie, jak zwykle w otoczeniu wielbicieli.

Miał nadzieję, że będzie, i niemal w tej samej chwili zapragnął, żeby jej nie było.

Do diabła, ta słabość do niej jest po prostu śmieszna. Może być sławną, utalentowaną supergwiazdą, ale zachowuje się tak, jakby on nie istniał, a nie jest przyzwyczajony do tego, by go ignorowano.

W końcu nazywa się Stanislopoulos, a jego matką jest Lucky Santangelo. Zasluguje na szacunek. I zamierza być szanowany.

\* \* \*

Jeszcze raz Bellini — powiedziała Zeena gardłowym, ochrypłym głosem z lekkim akcentem.

Chłopak siedzący po jej lewej stronie poderwał się na nogi. Był to peruwiański model, dziewiętnastoletni, ostatnia zabawka Zeeny.

Prezentowała go jak trofeum, a chłopiec był piękny, z sennymi, sypialnianymi oczami, dużymi ustami i zarumienionymi policzkami.

Zeena nazywała go Szczeniak. Nazywała tak ich wszystkich, co miesiąc pojawiała się z nowym.

Kątem egzotycznie umalowanych oczu dostrzegła wchodzącego do klubu Bobby'ego Stanislopoulosa Santangela.

Ale przystojniak. Tak bardzo stara się zachować spokój. I tak marzy o zdjęciu jej majtek.

Zastanawiała się nad tym, jak bardzo byłby zaskoczony, gdyby dowiedział się, że dwadzieścia pięć lat temu, kiedy miała zaledwie piętnaście lat, jego ojciec, wielki Dimitri, rozdzwiczył ją na swoim wspaniałym jachcie na południu Francji.

Na jej szkarłatnych wargach igrał uśmiech. Ach, Dimitri... co za mężczyzna, co za kochanek... Jaki ojciec, taki syn? Czy powinna to sprawdzić?

Niewykluczone. To może być zabawne. Choć niekoniecznie.

Bobby zbliżał się do jej stolika. Dzisiaj był spóźniony, zazwyczaj zjawiał się dużo wcześniej. Obserwując go, musiała przyznać, że ma styl, chociaż styl to nie wszystko. Ważniejsze są przyprawy. Jeśli nie mieli dziewiętnastu lat, wtedy Zeena wołała, żeby byli starsi i wpływowi.

Młodość i władza — dla Zeeny to były dwa najpotężniejsze afrodyzjaki.

Nadal obserwowała, jak Bobby zatrzymuje się przy każdym stoliku.

Patrzyła, jak wszystkie obecne w klubie kobiety biorą go za rękę, próbując nakłonić, by usiadł przy ich stoliku, jak odmawia, uprzejmie kręcąc głową i wypowiadając kilka miłych słów.

Wreszcie stanął przy jej stoliku.

— Zeeno — zaczął, jak przystało na idealnego gospodarza — miło cię widzieć. Potrzebujesz czegoś? Mogę coś podać?

— Bobby, jeśli Zeena czegoś chce — przeciągała samogłoski, bawiąc się długimi włosami Szczeniaka — to Zeena prosi kelnera.

Bobby skinął głową. Przynajmniej dzisiaj pamięta jego imię, co nie zawsze się zdarzało.

— Jasne. Chciałbym jednak przysłać butelkę Cristala dla ciebie i twoich gości.

— Bobby, tylko jedną butelkę? — spytała, lekko przekrzywiając głowę. Chryste! Tak bardzo przypomina mu Serenity, choć jest co najmniej dwadzieścia lat starsza. Ma identycznie kpiące podejście.

— Może dwie — poprawił się, gotów stawić jej czoło. Szczeniak uśmiechnął się ironicznie.

Dobra, śmieję się, gnojku, wkrótce będziesz modelem z poprzedniego miesiąca, pomyślał Bobby.

Zeena obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem, zanim skryła się za kurtyną czarnych włosów, które sięgały poniżej talii.

— Pięć butelek, Bobby — powiedziała, wskazując otaczającą ją grupę wielbicieli. — Przyjaciele Zeeny są spragnieni.

Bobby zachował spokój, starając się nie myśleć o tym, jak malowniczo wygląda w ciemnoczekoladowej ażurowej sukience, która ledwie zakrywa piersi. Widział jej sutki. Owszem, zdecydowanie widział jej sutki.

— Dwie butelki na koszt firmy — powiedział chłodno. — Resztę, niestety, będę musiał doliczyć do rachunku.

Uniosła umalowane brwi.

— Chyba nie mówisz poważnie?

Nie ustąpił. Może cierpieć na rodzaj niezdrowego zauroczenia, ale interes to interes.

- Takie są zasady — oznajmił uprzejmie. Och, Bobby — westchnęła — zdajesz sobie sprawę, że Zeena może iść w każde miejsce na świecie i wszystko dostanie za darmo?

Szczeniara z ciebie — powiedział, testując ją. Czy wstanie i wyjdzie? Czy zostanie? Co by go zadowoliło?

Prawdą mówiąc, nie miał pojęcia.

— Owszem — powiedziała cicho. — Zeena jest szczęściarą. — Długa przerwa. — A ty, Bobby? Jesteś szczęściarzem?

Była to najdłuższa wymiana zdań, do jakiej między nimi doszło, a ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Zeena zostanie, zastanawiał się nad wykonaniem kolejnego ruchu, choć jedna jej ręka nadal pieściła kark Szczeniaka.

Szczeniak obrzucał go piorunującym spojrzeniem, co nie przeszkadzało, że emitował rodzaj homoerotycznych fal. O co tu chodzi?

— Ja... lubię myśleć, że to od człowieka zależy, czy ma szczęście, czy nie.

— powiedział Bobby.

— I myśl tak dalej — odparła Zeena. — Naiwność to taka wyjątkowa cecha.

I bez ceregieli przyciągnęła głowę Szczeniaka i zainicjowała długi, intymny pocałunek z udziałem języków.

Bobby odszedł od stolika. Do cholery z Zeeną i jej pochlebcami. Bawi się nim, a on tego nie lubi.

A może właśnie lubi?



*Rozdział trzynasty*  
Annabelle

— Obudź się, dziecinko — gruchał Frankie. — No, dalej, kotku, otwórz te swoje seksowne oczka.

Annabelle przeturlała się po łóżku. Ktoś szarpał ją za ramię, ktoś wyciągał ją z najpiękniejszego snu, jaki kiedykolwiek jej się przyśnił. W tym śnie leżała na łóżku w luksusowym hotelu z widokiem na ocean. Byli z nią Chace Crawford i Brad Pitt. Chace był zajęty całowaniem jej karku, a Brad cierpliwie czekał na swoją kolej — ale w pewnym momencie nie mógł już wytrzymać, zaczął gwałtownie szarpać ją za ramię i...

— O Boże! — wykrzyknęła, budząc się nagle i widząc stojącego nad nią Frankiego. — Co ty tu robisz? Miałaś być w Atlantic City.

— Wróciłem, gdy tylko usłyszałem — skłamał, siadając na brzegu łóżka.

— Chyba nie myślałaś, że zostawię cię z tym samą?

Annabelle przecierała oczy, niechętnie porzucając sen, jednak uszczęśliwiona tym, że Frankie wystarczająco przejął się jej poniżającym doświadczeniem z synem Sharifa Raniego, by zrezygnować z weekendu z chłopakami i do niej przyjechać.

— Frankie — szepnęła, dotykając palcami jego policzka — To było straszne...

— Wiem, dziecinko. To straszne, ale bądźmy szczerzy, przecież nie byliście tak blisko.

— Blisko! — wykrzyknęła, próbując usiąść. — Blisko! Byłam w tym samym pokoju, do cholery! O ile bliżej można być?

— Uspokój się. — Frankie uświadomił sobie, że Annabelle jest w szoku i nie ma pojęcia, co mówi.

— Która godzina? — spytała, patrząc na niego z niechęcią. — Zresztą bez względu na godzinę chcę, żebyś zadzwonił do tego sukinsyna i wypieprzył tego wypierdka. Mówiłam ci, że odłożył słuchawkę? Naprawdę wyłączył telefon. Wyobrażasz sobie?

A więc Ralph Maestro przerwał rozmowę z własną córką. Może jednak zastrzelił żonę i teraz gnębi go poczucie winy? W końcu są ludźmi Hollywood, diabli wiedzą, do jakiego bestialstwa mogą się posunąć. Myśli Frankiego zaczęły galopować. Jeśli Ralph Maestro rzeczywiście zamordował żonę, zostanie skazany i w końcu wsadzony do więzienia, to kto odziedziczy cały majątek?

Oczywiście Annabelle, jako ich jedyne dziecko. Całe to morderstwo może jeszcze wyjść im na dobre.

Frankie wyobraził sobie, jak mieszka w Los Angeles, w rezydencji, wydaje szalone bankiety nad basenem, utrzymuje kontakty z wielkimi supergwiazdami. Film, sport, muzyka... będzie znał ich wszystkich. Denerwowało go to, że ilekroć proponował wyjazd do Los Angeles, Annabelle zawsze go gasiła: „Nigdy więcej nie chcę tam jechać. Pobyt w Los Angeles to były najbardziej nieszczęśliwe dni w moim życiu”. Teraz wszystko się zmienia.

— No więc? — pytała Annabelle z determinacją. — Dzwonisz do niego czy nie?

— Hej — Frankie wzruszył ramionami — chodzi o to, że nawet nie znam faceta, więc co miałbym mu powiedzieć?

— Na miłość boską — warknęła Annabelle, jej zielone oczy rzucały błyski — oczywiście, że go znasz. Powiedz mu tylko, że już nigdy nie będziemy robili z nim interesów.

— Co? — Frankie czuł się trochę zagubiony. Annabelle przejęła się tym bardziej, niż oczekiwał.

— Ja... go nienawidzę — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — I do twojej wiadomości: nie dbam o to, ile pieniędzy stracimy. Żaden problem, powetujemy sobie gdzie indziej. Jest pełno innych miliarderów, zarzucimy sieć i kilku wyłowimy.

Bredzi, to jedno nie ulega wątpliwości.

— Słuchaj, dziecinko, ja wiem, że to trudne...

— Trudne! — wybuchła. — Może obejrzysz moje siniaki? Mam ich pełno.

— Co takiego? — wymamrotał, z każdą chwilą coraz bardziej zdezorientowany. Annabelle zbzikowała.

— Siniaki, Frankie — powiedziała, mrużąc oczy. — Siniaki zrobione przez wielkiego tłustego kretyna, który na pewno nie miał piętnastu lat. I ugryzienia. On mnie ugryzł w udo! Sharif Kani powinien się wstydzić, nasyłając na mnie tego tak zwanego syna. Nieślubnego, na pewno, bo to z pewnością nie był niewinny arabski chłopiec, o którym opowiadał Sharif. To był wielki, tłusty, włochaty amerykański gwałciciel!

O cholera! Annabelle nie mówi o zamordowaniu swojej matki. Cały czas chodzi jej o popołudniowe spotkanie z synem Sharifa Raniego. Jezu Chryste! Czy w ogóle wie, że jej matka nie żyje? Czy nikt jej nie powiedział? - Słuchałaś wiadomości? — zapytał. Czytałeś SMS-a, którego ci wysłałam? — spytała. — Bo wydaje się, że nie przejmujesz się tym, że zostałam pobita i zgwałcona. Co się z tobą dzieje?

— Przecież tu jestem, prawda? — spytał, żałując, że nie sprawdził poczty. Był zbyt zajęty przegrywaniem w blackjacka, podrywaniem ładnych kelnerek i rozkoszowaniem się tańcem striptizerki.

— Dziecinko — zaczął, bo w końcu uświadomił sobie, że to on musi jej powiedzieć — jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

— Niby co? — prychnęła wściekła.

— Chodzi o... twoją matkę.

— Co z nią?

— Jezu, nawet nie wiem, jak ci to powiedzieć — wymamrotał. — Więc chyba nie ma innego sposobu, tylko walić wprost. — Zamilkł i nabrał powietrza. — Dzisiaj zamordowano twoją matkę. Strzałem w twarz. Zapadła ciężka cisza.

— Myślałem... że ty... że wiesz — wybąkał, obserwując jej reakcję. Annabelle przyglądała mu się z niedowierzaniem. Co on mówi? Czy ona nadal śni? Czy jej sen zamienił się w jakiś groteskowy koszmar?

— Przykro mi, dziecinko. To kompletne dno, wiem.

— Kiedy? — odezwała się w końcu, łapiąc oddech. — Kiedy to się stało?

— Dziś rano w Los Angeles. Ale ja wiem tylko to, co zobaczyłem w telewizji. Gdy tylko usłyszałem wiadomości, wsiadłem w samochód i popędziłem do domu.

— Dziś rano — powtórzyła tępo. — Jak to możliwe, że nikt mnie nie zawiadomił?

— Jestem pewny, że ktoś próbował. Sprawdziałaś wiadomości na sekretarce?

Pokręciła głową. Nagle wszystko wydało jej się surrealistyczne. Matka została zamordowana. Jej matka, piękność światowej klasy. Kobieta kochana przez wszystkich. Heroina niezliczonych filmów. Nagrodzona Oscarem aktorka o wielkim talencie.

Jej matka. Nietykalna Gemma Summer. Kobieta, z którą nigdy nie była blisko. Kobieta, która pozwoliła, by jej jedyne dziecko wychowywały kolejne obojętne niania. Kobieta, która większość dzieciństwa swojej córki spędziła na kręceniu filmów w plenerze — chyba że potrzebna była okładka do „People” czy „Vanity Fair” — wtedy uroczą pięciolatkę ozdabiała zdjęcie. A potem, gdy skończyła osiem lat, nie było już sesji fotograficznych. Osiem lat to za dużo, żeby być uroczym dzieckiem, choć ojciec czasami zabierał ją na mecz Lakersów i fotografowano ich razem. Ale nawet ojciec przestał to robić, kiedy zaczęła dojrzewać.

A tak, dojrzewanie. Południowoafrykańska niania wprowadziła ją w sprawy seksu. Matka uznała, że w wieku czternastu lat potrzebna jej operacja nosa. A młody meksykański ogrodnik, który pracował w ich posiadłości, nauczył ją, jak obciągać druta.

W szkole udoskonaliła tę sztukę, stała się najpopularniejszą dziewczyną w klasie. Seks był dla niej sposobem zwracania na siebie uwagi. Była w tym niedościgniona.

No i jeszcze zakupy, bo rodzice nie skąpili, kiedy chodziło o dawanie jej pieniędzy. Dostała stertę kart kredytowych, a na szesnaste urodziny sprezentowali jej porsche. Byle tylko nie wchodziła im w drogę.

Była popularną, bogatą, rozkapryszoną dziewczyną i nikt nie mógł jej powstrzymać od robienia tego, na co miała ochotę.

A miała ochotę przede wszystkim na to, żeby pożegnać zajętych sobą gwiazdorów filmowych, którzy byli jej rodzicami. Uciec z klatki, zgubić etykietkę: „To Annabelle, jej matką jest Gemma Summer, a ojcem Ralph Maestro”.

Przeprowadzka do Nowego Jorku to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła. Tylko nieliczni wiedzieli, kim są jej rodzice. To jej się podobało. Gemma Summer. Matka. Nie żyje. A ona nigdy tak naprawdę jej nie poznała.

— Sprawdź wiadomości na telefonie w mieszkaniu w So-Ho —  
powiedziała ze ściśniętym gardłem. — To jedyny numer, jaki ma Ralph.  
Frankie tak zrobił i oczywiście na sekretarce było mnóstwo wiadomości,  
w tym zwięzła od samego Ralpa, który informował, że wysyła do  
Nowego Jorku jednego ze swoich prawników, żeby przywiózł ją do  
domu.

Kiedy Frank powiedział o tym Annabelle, uparcie kręciła głową.

— Odmawiam wyjazdu do Los Angeles — oznajmiła beznamiętnie. —

Po co miałabym jechać?

— Bo chodzi o twoją mamę. Musisz to zrobić, dziecinko. Będzie pogrzeb  
i musisz na nim być. Pojadę z tobą. Nie martw się, przez cały czas będę  
przy tobie.

## *Rozdział czternasty*

### Denver

Lot do Nowego Jorku przebiegł spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że dostrzegłam Denisa Leary'ego, chodzącego w tę i z powrotem w oczekiwaniu na wejście do samolotu. A ponieważ jestem wielbicielką *Rescue Me*, zastanawiałam się, czy podejść i powiedzieć mu, jaki to mądry i rozrywkowy program, ale uświadomiłam sobie, że on już to wie i wypadnę jak jakaś niedorozwinięta, gapowata wielbicielka, a może nawet gorzej: wyjdzie na to, że go nękam. Zapanowałam więc nad sobą i zabrałam się do przeglądania „New York Post” i „USA Today”. W obydwu gazetach nagłówki krzyczały o brutalnym zamordowaniu Gemmy Summer Maestro.

Dzięki nim dotarło do mnie, że kiedy dojadę do Annabelle, będzie już znała szokującą nowinę, w istocie może już nawet będzie siedziała w samolocie odlatującym do Los Angeles. Możemy się minąć w powietrzu, co oznacza, że moja podróż do Nowego Jorku będzie bezcelowa. Zastanawiałam się, jak Annabelle przyjmie wiadomość o śmierci matki. To takie straszne wydarzenie. Strzałem w twarz we własnym łóżku...

Przez sekundę próbowałam się postawić na miejscu Annabelle. A gdyby to dotknęło moją mamę? Bogu dzięki, to niemożliwe. Czy rzeczywiście? Kto wie, co się czai tuż za rogiem. Wszyscy rozumiemy, że los może płać figle.

Wróciłam myślami do Maria. Czy powinnam do niego zadzwonić lub wysłać SMS-a, że wyjeżdżam z miasta? Czy przyjąłby to jako zbyt dużo zbyt wcześnie?

Gównu. W ogóle nie powinnam tak myśleć. Przecież to nie związek. Mario nie jest moim chłopakiem, a ja wcale nie chcę, żeby nim był. Jestem szczęśliwa bez nikogo. Usatysfakcjonowana. Bardzo serdecznie dziękuję.

Chociaż... czasami brak mi przytulania w łóżku, jak dwie łyżki obok siebie; tego, co można mieć tylko z własnym chłopakiem.

Po wyjściu z samolotu sprawdziłam przede wszystkim BlackBerry. Było na nim dużo wiadomości i SMS-ów. Ojciec zobaczył moje nazwisko w gazecie, co się dzieje ze sprawą? Nie miałam chwili czasu, żeby do niego zadzwonić. Felix powtarzał, że powinnam możliwie jak najszybciej przywieźć Annabelle. A także — jak fajnie — telefon od Carolyn, która ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Carolyn to moja najlepsza przyjaciółka od zawsze. Mam nadzieję, że chodzi o dobrą wiadomość, na przykład, że zeszli się z Mattem i zamierzają się pobrać. Carolyn powinna być mężatką, jest takim typem dziewczyny. Bystra, wrażliwa i troskliwa, każdy mężczyzna byłby szczęściarzem, gdyby należała do niego.

Ja nie jestem stworzona do małżeństwa. Nie mam ochoty być na zawsze przywiązana do jednego mężczyzny. Nie mam instynktu macierzyńskiego, chociaż lubię dzieci, ale cudze. A już na pewno nie jestem troskliwa. Nie, muszę przyznać, że najważniejsza jest dla mnie kariera, a teraz zdecydowanie znajduje się ona na pierwszym miejscu. I dlatego właśnie



jestem w Nowym Jorku, zamiast leniwie przeciągać się w łóżku z Mariem, uprawiając niesamowity seks.

Nie widziałyśmy się z Carolyn od bardzo dawna i brakuje mi jej. Nie mogę się doczekać, kiedy spotkamy się w Los Angeles. Obiecała przyjechać na dziesięć dni i mam na ten czas mnóstwo planów. Myślę, że mogłybyśmy się wymknąć do Las Vegas na dwa dni, może odwiedzić jakieś spa. Obydwe pracujemy tak ciężko, że jej wizyta będzie doskonałym pretekstem, żeby nic nie robić i się zrelaksować. Już uprzedziłam Felixa, że przedłużę przerwę z okazji Bożego Narodzenia o kilka dni zaoszczędzonego urlopu. Nie był tym zachwycony. Stałam przed terminalem, drżąc z zimna, szukałam taksówki i zastanawiałam się, czy seks z Mariem był rzeczywiście taki wyjątkowy. Może wydawał się wspaniały, bo od dłuższego czasu z nikim się nie kochałam? A może Josh był naprawdę beznadziejny w łóżku? Biedny Josh... Ale to już nie mój problem.

Wreszcie zobaczyłam taksówkę i przywołałam ją, zanim zdążył to zrobić ktoś inny.

— Dokąd? — spytał kierowca, chamowaty biały mężczyzna z dziwnymi dreadami, któremu brakowało przedniego zęba.

Dobre pytanie. Nie zarezerwowałam hotelu, bo zamierzałam tylko spotkać się z Annabelle, namówić ją na powrót ze mną do Los Angeles i złapać następny samolot.

Sprawdziłam na BlackBerry adres w SoHo, który dał mi Ralph, i powiedziałam kierowcy, żeby mnie tam zawiózł. Potem spróbowałam zadzwonić na numer telefonu, który też dostałam od Ralph, i połączyłam się z pocztą głosową, co wydało mi się rozsądne, bo trudno, żeby w takiej sytuacji Annabelle odbierała telefony.

Zostawiłam wiadomość: „Halo, tu Denver Jones. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, teraz pracuję jako prawnik w kancelarii, z której usług korzysta twój ojciec. Przyjechałam tu, żeby ci

towarzyszyć w drodze powrotnej do Los Angeles na pogrzeb. — I dodałam niezręcznie: — Bardzo mi przykro z powodu twojej straty". Zastanawiałam się, czy mnie pamięta. W końcu Denver to nie jest częste imię. Nieźle się bawiłyśmy, zanim mnie odstawiła. Ale to było bardzo dawno temu, byliśmy wtedy dziećmi, jestem pewna, że teraz jest sympatyczniejsza.

Pod wpływem impulsu zadzwoniłam do Maria. Nie miałam takiego zamiaru, ale to mój telefon tak zdecydował.

— Halo — odezwał się.

— Halo. Zgadnij, gdzie jestem.

— Wiem, gdzie powinnaś być. — Wydawał się zadowolony, że słyszy mój głos.

— Niby gdzie? — odpowiedziałam zalotnie, co mnie samą przeraziło, bo nie jestem zalotną dziewczyną. To Mario ma w sobie coś takiego, co wydobywa ze mnie dziewczęcość. Może to te światowej klasy mięśnie brzucha? Bardziej prawdopodobne, że światowej klasy kutas.

— W moim łóżku, obok mnie.

Chichot. Cholera, na własnych oczach rozpadam się na kawałki.

— Jestem w Nowym Jorku — wyjąkałam niemal bez tchu. Ta informacja wyraźnie go zaciekawiła.

— Tak? I co tam robisz?

Czy powinnam mu powiedzieć?

Nie. Jest reporterem telewizyjnym, nie może wiedzieć za dużo.

— Muszę załatwić kilka spraw osobistych. — Staralam się, by zabrzmiało to enigmatycznie.

— Sądziłem, że prowadzisz sprawę Ralpa Maestro — odparł podejrzliwie.

Czy próbuje coś ze mnie wyciągnąć? Prawdopodobnie, przecież jest dziennikarzem. Musi być ciekawski.

— Owszem — odpowiedziałam ostrożnie. — To znaczy, moja kancelaria prowadzi. Ale akurat teraz nie ma nic do roboty.

— Chyba że Ralph Maestro znajdzie się w areszcie.

— A dlaczego miałyby się tam znaleźć? — zapytałam dość zimno, bo zamierzałam odbyć intymną konwersację o nocy zadziwiającego seksu, a nie dyskutować o sprawie Maestro.

— Mówi się, że nie mają nikogo innego — wyjaśnił Mario. — Powinnaś popatrzeć na błogi, wszędzie o tym piszą.

— To śmieszne — prychnęłam.

— Tak? — Mario się nie spieszył. — Jesteś pewna?

— Muszę kończyć — powiedziałam, bo nagle zapragnęłam się rozłączyć.

— Kiedy wracasz?

— Później. A może jutro.

— Krótki wypad?

— Owszem.

— A więc... Denver — jego głos stał się seksowny i uwodzicielski. — Kolacja zaraz po twoim powrocie? Zgoda?

Uwielbiałam sposób, w jaki wypowiadał moje imię. Udało mi się powiedzieć zdawkowe „jasne” i szybko się rozłączyłam.

Mario Riviera może oznaczać kłopoty. Spędziłam z nim tylko jedną noc, a już myślę o nim zdecydowanie za dużo.

\* \* \*

Po godzinie straszliwych korków i jazdy ze śmiercią w oczach mój taksówkarz wreszcie dowiózł mnie przed dom w SoHo.

Spojrzałam na zegarek. Było prawie wpół do piątej czasu nowojorskiego i dojmująco zimno. Otulając się niezbyt ciepłym żakietem, studiowałam rząd przycisków przy drzwiach, aż znalazłam A. Maestro. Nacisnęłam przycisk i czekałam... czekałam...

Nic.

Jestem pewna, że instynkt mnie nie zawiódł i Annabelle jest właśnie w samolocie do Los Angeles.

Do diabła z Ralphem Maestro i jego durnymi poleceniami. Mogłam być teraz w moim słonecznym biurze w Century City, zamiast odmrażać sobie tyłek przed zamkniętymi drzwiami kamienicy w SoHo.

Kiedy zastanawiałam się nad następnym ruchem, z budynku wyszedł wysoki, dość młody mężczyzna opatulony długim wojskowym płaszczem moro, w pasiastym szaliku i w takiej samej wełnianej czapce, w jakiej zwykle fotografuje się Jake Gyllenhaal.

Miałam ochotę zerwać mu tę czapkę z głowy, tak mi było zimno. Nikt mnie nie przygotował na nowojorską zimą, więc ubrałam się nieodpowiednio.

— Przepraszam, może zna pan Annabelle Maestro? — spytałam obcesowo.

— Kogo? — zatrzymał się na chwilę.

— A. Maestro — powiedziałam, wskazując przyciski dzwonków. — Mieszka tutaj.

— A, pewnie chodzi pani o tę rudą z ostatniego piętra. W ciągu roku widziałem ją kilka razy. Niezbyt często tu przychodzi.

— Sądziłam, że tu mieszka.

— Nie. Podobno ma chłopaka w mieście. Pewnie koczuje u niego.

— A może wie pan gdzie? — spytałam, zacierając ręce w nadziei, że wytworzę w ten sposób trochę tak potrzebnego ciepła.

— Przykro mi, ale nie potrafię pani pomóc. — Uśmiechnął się i oddalił szybkim krokiem.

Zanim drzwi się zamknęły, zdążyłam wślizgnąć się do środka. W korytarzu przynajmniej było cieplej, mogłam zastanowić się, co dalej. Stałam przy skrzynkach pocztowych, więc szybko rzuciłam okiem, co kryje A. Maestro. Facet w wojskowym płaszczu miał

rację, Annabelle najwyraźniej nie spędzała tu dużo czasu. Jej skrzynka była przepełniona, a ponieważ nie była zamknięta na kluczyk, przejrzałam pocztę, żeby sprawdzić, czy znajdę gdzieś nazwisko jej chłopaka.

Nie było jednak niczego prócz śmieci, rachunków i licznych magazynów „Vogue”, „InStyle”, „Harpers”. Tak, to na pewno skrzynka Annabelle. I nagle, na samym dnie sterty dostrzegłam egzemplarz „Rolling Stone”. Odbiorcą był Frankie Romano, adres Annabelle. Bingo! To musi być jej chłopak.

Co dalej?

Postanowiłam zadzwonić do Ralpha Maestro. Pana Przyjaznego. Oczywiście niegrzeczny głos asystentki poinformował mnie, że pan Maestro nie odbiera telefonów, a kiedy zapewniłam, że to ważne i dotyczy jego córki, rzuciła ostro „żadnych wyjątków” i się rozłączyła. Bardzo miło.

Następnie zadzwoniłam do Felixa i przekazałam mu, czego się dowiedziałam.

— Nie rezygnuj — powiedział. — Dowiem się, gdzie ona jest i dam ci znać.

Dobre sobie, nie rezygnuj. On chyba nie zdaje sobie sprawy, że temperatura w Nowym Jorku jest poniżej zera.

Niechętnie wyszłam z budynku, przeszłam do następnej przecznicy i zobaczyłam niewielką obskurną kawiarenkę. Kiedy mówię „obskurną”, chodzi mi o to, że nie była tak lśniąca i nieskazitelna jak Starbucks czy Coffee Bean. Było to miejsce z charakterem, był tu także facet w wojskowym płaszczu. Siedział przy stoliku, pił kawę z kubka i stukał w klawiaturę laptopa. Cześć — rzuciłam, idąc do baru.

Nawet nie oderwał wzroku od komputera.

To tyle, jeśli chodzi o moją atrakcyjność. Co prawda podejrzewam, że nie wyglądałam najlepiej z brudnymi włosami

związanymi w nieporządny koński ogon, z przekrwionymi z braku snu oczami i czerwonym nosem.

Niemal prosto z łóżka Maria pojechałam na lotnisko, a spanie w samolocie to nie jest moje ulubione zajęcie. Na wszelki wypadek wolę zachowywać czujność.

Podeszłam do baru, zamówiłam cappuccino i kawałek apetycznej szarlotki u krępego barmana w średnim wieku, który wyglądał, jakby właśnie zszedł z planu *Rodziny Soprano*. Był nieogolony, miał źle ufarbowane czarne włosy wytapirowane w stylu Donalda Trumpa, bladą karnacją i ciężkie opuchnięte powieki.

Powodowana impulsem zapytałam go, czy zna niejakiego Frankiego Romano.

Mężczyzna myślał przez chwilę, po czym powiedział:

— Tak, ale Frankie już tu nie przychodzi.

— A nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

— Ten dzieciak jest didżejem, ma wygodną pracę, zarabia na życie, puszczając płyty. Kiedyś bywał tutaj każdego ranka.

— Jest jakiś sposób, żeby go odszukać? — dopytywałam się, w czym pewnie zbytnio przypominałam prawnika.

— A po co? Jesteś w ciąży? — Mężczyzna wybuchnął śmiechem, zadowolony ze swojej seksistowskiej uwagi.

Wojskowy Płaszcz podniósł wzrok znad komputera. Zdjął czapkę i zobaczyłam burzę jasnych kręconych włosów.

— Prawdę mówiąc — odrzekłam z godnością — Frankie odziedziczył pieniądze. Właśnie dlatego muszę go znaleźć, żeby się upewnić, iż o tym wie.

Ząb Rekina, z domu Felix, nauczył mnie, żeby zawsze, kiedy próbuje się kogoś odnaleźć, wspominać o pieniądzach. To słowo ma magiczną moc otwierania drzwi.

— Dzieciak się ucieszy — stwierdził mężczyzna za barem, drapiąc się po brodzie. — Chyba mamy tu wizytówkę czy coś. Mara! — ryknął. — Rusz tę swoją tłustą dupę!

Mara wychyłała z zaplecza, z jej ust zwisał zakazany papieros. Najwyraźniej była żoną barmana i miała wygląd odpowiedni do roli. Gruba warstwa makijażu, szerokie biodra i skwaszona mina. HBO w sekundę by ją obsadziło.

— Czego? — warknęła.

— Ta dziewczyna szuka Frankiego Romano, pamiętasz, tego młodego didżeja, który ciągle tu przesiadywał. Chyba dał ci wizytówkę, bo chciałaś go zatrudnić na weselu kuzynki.

— Za drogi — westchnęła Mara. — Co sobie taki gnojek myśli? Że śpimy na pieniądzech?

— Fakt — przytaknął mężczyzna. — Ale masz jeszcze jego wizytówkę, co?

— Wyrzuciłam. — Mara zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem, zdziwiona, że w ogóle ośmielałam się pytać.

— Przykro mi, mała — powiedział mój mafijny don. — Szarlotka na koszt firmy. Smacznego.

Wzięłam szarlotkę i cappuccino i wycofałam się do stolika w rogu. Dwie minuty później nad stolikiem pochylił się facet w wojskowym płaszczu — jak już mówiłam, lokal był mikroskopijny — i podał mi niewielką kartkę.

— Co to jest? — zapytałam, zauważając przy tym, że ma bardzo atrakcyjne brązowe oczy i długie gęste rzęsy.

— Numer Frankiego Romano.

— Skąd...

— Podśluchałem waszą rozmowę i wyszukałem go w Google: Frankie Romano, dyskdzokej, przyjęcia, uroczystości.

— Och, dzięki — powiedziałam z wdzięcznością. — Naprawdę muszę się z nim skontaktować.

— Nie jesteś z Nowego Jorku, prawda?

— Po czym to poznajesz?

- Nie wiem, chyba po ubraniu. A co mnie zdradza? — pytałam zaciekawiona.

— Lekki żakiet. Pantofle. Brak szalika. Brak rękawiczek. Musi być ci zimno.

— Owszem, jest — przyznałam, stwierdzając przy tym, że brązowe oczy doskonale pasują do jasnych kręconych włosów. — Prawdę mówiąc, gdy tylko cię zobaczyłam, miałam ochotę zedrzeć ci z głowy tę ciepłą czapkę — dodałam żartem.

Wojskowy Płaszcz się uśmiechnął. Miał krzywe zęby, nie tak idealne jak każdy facet w Los Angeles, po prostu na tyle krzywe, że robiły wrażenie.

— Jest twoja — powiedział szarmancko, wręczając mi czapkę.

— Nie, nie mogę jej przyjąć.

— Jasne, że możesz. Nie daję ci przecież brylantu. Poza tym twoje włosy wydają się rozpaczliwie potrzebować ratunku. Kiepska noc?

— W istocie była to wspaniała noc — odpowiedziałam, myśląc o Mariu.

— A potem musiałam wsiąść do samolotu o siódmej rano i przylecieć tutaj.

— Z?

— Z Los Angeles. Nie domyśliłeś się?

— Nie. — Pokręcił głową.

— Naprawdę?

— Tak.

— Dlaczego?

— Między innymi brak sztucznej opalenizny. — Znowu się uśmiechnął i wyciągnął rękę. — Jestem Sam, a ty?

— Denver.

— Ciekawe imię. Inne niż wszystkie.

— Moi rodzice tak właśnie myśleli.

— Denver, a tak naprawdę, po co tu przyjechałaś? — spytał, dosypując więcej cukru do kawy i energicznie ją mieszając.

— W interesach.

— Jakiego rodzaju?



— Ale jesteś ciekawski.

— Owszem, już wcześniej mi to mówiono — powiedział z kwaśnym uśmiechem. — To dlatego, że jestem pisarzem i chcę wszystko wiedzieć. W mojej głowie odezwał się sygnał alarmowy. Pisarz czy dziennikarz? Wścibski reporter zaczajony w domu Annabelle czy zwykły sąsiad?

— Co piszesz? — zapytałam.

— Scenariusze — odparł, upijając łyk kawy. — A jaka jest twoja specjalność?

— Jestem prawnikiem w kancelarii adwokackiej w Los Angeles — powiedziałam, skubiąc szarlotkę i myśląc, że ten nieszczęśnik powinien się przenieść do Los Angeles, gdzie każdy pisze scenariusze. Nie ma żadnych szans na karierę w Nowym Jorku.

— A tak naprawdę, po co szukasz Frankiego Romano? — spytał, pochylając się w moją stronę.

Nie miałam ochoty zmieniać wersji.

— Odziedziczył pieniądze — odpowiedziałam niejasno. — Przyjechałam tu, by się upewnić, że o tym wie.

— No tak — mruknął Sam ze sceptyczną miną.

— Muszę iść do toalety. — Zdecydowanie chciałam zmienić temat rozmowy.

Wstałam i podeszłam do mafijnego dona za barem.

— Czy jest tu damska toaleta, z której mogłabym skorzystać? — zapytałam słodko. W końcu postawił mi kawałek szarlotki.

— Dla ciebie, skarbie, wszystko — powiedział. Najwyraźniej poczuł do mnie sympatię w chwili, gdy wspomniałam o pieniądzach. — Mara! — wrzasnął, odwracając głowę. — Klientka idzie na zaplecze do toalety. Podniósł klapę lady i mnie wpuścił. Przez moment myślałam, że poklepie mnie po tyłku, ale na szczęście się opanował.

Nie chciało mi się sikać. Musiałam natomiast zadzwonić do tego Frankiego Romano i zapytać, czy wie, gdzie jest Annabelle, żebym mogła ją zabrać do Los Angeles.

W holu na zapleczu Mara powitała mnie niemiłym grymasem i zapachem papierosów.

— Tutaj — wymamrotała, kierując mnie do maleńkiej ciemnej toalety. — I nie wrzucaj niczego do muszli — ostrzegła. — Nie chcę mieć zatkanej kanalizacji.

Po tych słodkich słówkach zamknęła za mną drzwi.

Wyjęłam komórkę i wybrałam numer Frankiego Romano.

*Rozdział piętnasty*  
Carolyn

W niedzielny poranek Carolyn wstała późno. Zwykle budzik zrywał ją o szóstej, ale dziś była niedziela, mogła więc wylegiwać się w łóżku, jak długo chciała. Szkoda, że Gregory nie wyleguje się obok niej, ale już niedługo...

Próbowała sobie wyobrazić, jakie będą niedziele, kiedy już zamieszkają razem. Długie i leniwe. Ona przygotowuje śniadanie, kiedy on będzie czytał gazety i oglądał programy o polityce w telewizji. Wiedziała, że to lubi, bo przed kilkoma miesiącami zabrał ją w podróż służbową do Nowego Jorku i spędzili razem cały weekend. Pełnia szczęścia, choć jeśli miałyby być zupełnie szczerą, czasami jego upodobania seksualne były dość egoistyczne. Uwielbiał seks oralny, twierdził, że nikt nie jest w tym lepszy od niej. Smutne tylko, że nigdy nie dbał o jej potrzeby, czym była bardzo zawiedziona.

Nie miała jednak wątpliwości, że kiedy zamieszkają razem, wszystko się zmieni. Powie mu możliwie najdelikatniej, czego chce w łóżku, a on oczywiście się do tego dostosuje. Bo dlaczego nie miałyby tego zrobić? Teraz, leżąc w łóżku, żałowała, że nie może do niego

zadzwoić, choćby po to, by powiedzieć mu „dzień dobry” i usłyszeć jego głos.

Ale nie, bo przecież kategorycznie zabronił jej dzwonić do siebie do domu w niedzielę. „Spędzam cały dzień z dziećmi, powiedział. Żadnego przeszkadzania, chyba że będzie jakaś nagła sytuacja o światowym zasięgu”.

Szanując jego prośbę, opanowała gwałtowną potrzebę skontaktowania się z nim i zadzwoniła do Kerri powiedzieć jej, że chętnie pójdzie z nią do centrum handlowego. Miały się spotkać w południe.

Carolyn wstała, wzięła prysznic, obejrzała swój brzuch w łazienkowym lustrze, by się przekonać, czy coś już widać, ale uświadomiła sobie, że jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek zauważyć, choćby najdrobniejszą wypukłość.

Ciężarna! Wyruszała w ekscytującą podróż.

\* \* \*

Wszystko, byle wyrwać się z domu i wyzwolić od przesłodzonej obecności Evelyn! Ta kobieta go dusi, Gregory z każdym dniem odczuwał to coraz mocniej.

Siedząc za masywnym mahoniowym biurkiem w swoim gabinecie, zastanawiał się, czy zadzwonić do Katy, angielskiej dziennikarki, którą poznał niedawno na konferencji prasowej. Katy była młoda, ambitna i wysyłała zdecydowanie odpowiednie sygnały.

Ale przyszło mu do głowy, że dzwonienie do niej w niedzielę świadczyłoby o nadmiernym zapale. Najlepiej poczekać dzień czy dwa, a potem poprosić Muriel, żeby umówiła lunch w przyszłym tygodniu. Katy powiedziała, że chce z nim przeprowadzić wywiad. Więc niech przeprowadzi.

Nadal ma problem, czeka go perspektywa długiej i nudnej niedzieli. Dzieci pojechały na cały weekend do dziadków ze strony mamy, więc pozostaje tylko Evelyn.

Po chwili problem rozwiązał Ramirez Ortego, dzwoniąc na jego prywatny telefon.

Jak, do diabła, Ramirez zdobył ten numer? Evelyn, oczywiście.

— Senatorze — zaczął — pomyślałem, że nawiążę do naszej wczorajszej rozmowy. Gdyby mógł pan się zjawić dzisiaj, moi ludzie byliby bardzo zadowoleni ze spotkania.

Zanim pomyślał, jaki podać powód tego, że nie może przyjść, Ramirez wyjaśnił mu szczegółowo, dokąd ma przyjechać.

Nie był specjalnie zły, bo to przynajmniej dawało mu dobry powód wyjścia z domu. Był pewny, że ukochana żona nie zechce mu towarzyszyć i nie pomylił się. Oznajmiła, że ma zbyt dużo zajęć, by dokądkolwiek chodzić, po czym zapytała:

— Zadzwoń do tej twojej małej sekretarki, żeby uprzedziła prasę?

— Nie mam zamiaru absorbować mojej asystentki w niedzielę — powiedział, kładąc szczególny nacisk na słowo asystentka.

— A szkoda. — Evelyn wyglądała elegancko w kremowym spodniem i perłach.

— To wspaniała okazja, by zrobić zdjęcia.

— Owszem — prychnął. — Ja w otoczeniu członków gangu. Co za zdjęcie!

— Nie, skarbie, ty w ośrodku komunalnym, starasz się, by nasze piękne miasto było bezpieczne — poprawiła go Evelyn.

Boże, w głowie jego żony kłębi się tyle bzdur.

Przyszło mu na myśl, że teraz ma prawdziwy powód, by zadzwonić do tej angielskiej dziennikarki. Może zapytać, czy chciałyby mieć wyłączność na jego wizytę w centrum pomocy, bo rozpaczliwie potrzebuje jakiejś rozrywki. Nie mógł zapomnieć o Carolyn i jej ciąży. Jak, do diabła, ma załatwić ten

problem? Na pewno nie pozwoli jej zrujnować wszystkiego, co jest mu drogie. Jeśli Evelyn się dowie, postara się, by został ukarany na wszystkie możliwe sposoby. Od razu zabierze dzieci, spróbuje zepsuć mu reputację, a skandal niewątpliwie położy kres jego karierze.

Musi wyrzucić Carolyn ze swojego życia, i musi to zrobić szybko. Ale jak? Oto jest pytanie.

Do diabła z Carolyn, i z Evelyn też. To cipy różnego co prawda kalibru, ale zawsze cipy.

\* \* \*

Kerri uwielbiała zakupy, a szczególną miłością darzyła centra handlowe. Carolyn nie znosiła zakupów, a wielkich centrów handlowych wręcz nienawidziła.

Kerri pędziła od sklepu do sklepu z entuzjazmem młodego szczeniaka. Carolyn wlokła się za nią.

— Jak ja to lubię! — wykrzykiwała uszczęśliwiona Kerri, mierząc pantofle na wysokich obcasach w setkach kolorów. — Co o tym myślisz? — pytała, drepcząc po sklepie w żółtych szpilkach, w których jej nogi wydawały się jeszcze krótsze niż w rzeczywistości.

— Beż może się okazać bardziej praktyczny — zasugerowała Carolyn dyplomatycznie. — Pasuje do wszystkiego. Albo czarne.

— To nuda! — zapiszczała Kerri. — A to jedyna rzecz, o którą nikt mnie jeszcze nie oskarżył. Nuda! Neeee!

Carolyn skłonna była w to uwierzyć, bo Kerri nie przestawała mówić, a zawsze miała coś do powiedzenia. Ostatnio o swoich przygodach w internecie.

— Są zupełnie niewiarygodne strony — zapewniała ze znaczącym mrugnięciem. — Wystarczy tylko posłać swoje zdjęcie z krótkim opisem i zanim się zorientujesz, w okamgnieniu po prostu deszcz mężczyzn.

Carolyn pokiwała głową, udając zainteresowanie, choć nie potrafiła sobie wyobrazić niczego okropniej szego niż poznawanie mężczyzn przez internet. Poza tym ma swojego mężczyznę, a Gregory Stoneman to mężczyzna wymarzony.

\* \* \*

Ulica, przy której mieściło się centrum pomocy Ramireza, znajdowała się dokładnie w środku slumsów. Gregory rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby zaparkować swój drogi samochód. Żałował, że nie wezwał kierowcy. Evelyn mogła go przynajmniej ostrzec. Choć znając ją, można było przypuszczać, że dużo mówi, ale prawdopodobnie nigdy nie była w tej okolicy, nie ma więc pojęcia, dokąd go posyła.

Przynajmniej Katy jest w drodze. Katy z brytyjskim akcentem, smukłą sylwetką i całkiem apetycznymi cyckami. Zadzwoił do niej, powiedział, dokąd jedzie, a ona ucieszyła się z okazji.

— Czy mogę zabrać swojego fotografa? — zapytała.

— A dlaczego nie?

Miał plany związane z Katy, kiedy tylko Carolyn zniknie ze sceny.

Mężczyzna nie może liczyć wyłącznie na Evelyn, jeśli chodzi o satysfakcję seksualną, potrzebuje więcej, a Katy wygląda na odpowiednią kandydatkę.

Znalazł miejsce przy pustej parceli, niechętnie zostawił samochód, mając nadzieję, że kiedy wróci, nadal będzie tu stał.

Idąc w stronę centrum oddalonego o pół przecznicy, zobaczył kilku zasmarkanych pijaczków opartych o ścianę rozpadającego się budynku z jedną butelką taniego alkoholu. Minęła go Meksykanka pchająca sfatygowany wózek z dwójką niemowląt, a za nią włókł się mały dzieciak z paluchem w buzi. Kilku podejrzanie wyglądających młodych Latynosów tkwiło na stopniach centrum. Patrzyli nieprzyjaźnie na Gregory'ego, kiedy

ich mijał i wchodził do budynku, który był starym opuszczonym magazynem.

Wszedł do piwnicznego pomieszczenia i zobaczył grupki ludzi różnych ras. Rozejrzał się pośpiesznie, dostrzegł Ramireza i zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę.

Ramirez przerwał rozmowę z otyłą kobietą w afrykańskim stroju, białym kaznodzieją i z wyglądającym na zdenerwowanego nastolatkiem.

Podszedł, żeby się z nim przywitać.

— Jednak pan przyszedł — stwierdził.

— Myślał pan, że nie przyjdę? — spytał Gregory. Śmierdziało rozkładającymi się śmieciami i uryną.

— Politycy dużo obiecują i nic nie robią — powiedział Ramirez obojętnie.

— A co powinniśmy zrobić według pana? — spytał Gregory, a fałszywa troska na dłużej zagościła na jego twarzy.

— Pieniądze — odparł Ramirez. — To miejsce przypomina wychodek. Potrzebujemy pieniędzy, żeby je wyremontować, zainstalować ogrzewanie, zdobyć jakieś krzesła, żeby ludzie mogli usiąść, i lodówkę, która działa. Zrobić z tego ośrodek, do którego dzieciaki będą chciały przychodzić. Musimy zabrać je z ulicy. Tylko tak można coś zmienić.

— W naszej rodzinie od zbierania funduszy jest Evelyn — powiedział gładko Gregory. — Powinien pan porozmawiać z nią.

— Przecież pan może nam pomóc. — Ramirez zignorował wzmiankę o Evelyn. — Słowo w odpowiednim miejscu może przyczynić się do tego, że dostaniemy grant.

— Zobaczę, co da się zrobić. — Gregory zastanawiał się, kiedy przyjedzie Katy. Lepiej, żeby zrobiła to jak najszybciej, bo on nie ma zamiaru zostawać tu długo.

— Właśnie pan jest człowiekiem, który na pewno może to spowodować

— ciągnął Ramirez. — Proszę za mną, powinien



pan poznać moich pomocników, zorientować się, jak ciężko wszyscy pracują.

— Doskonale. — Gregory uświadomił sobie, że szybko stąd nie ucieknie.

\* \*\*

Carolyn siedziała w Food Court, jedząc wraz z Kerri chińskie danie z Panda Express. Kerri jak zwykle nie zamykały się usta.

— Chodziłam z takim jednym facetem — mówiła, pogryzając tłuste żeberka. — Początkowo wydawał się zupełnie normalny. No, nie był to dokładnie Zac Efron, ale prawie.

Carolyn skinęła głową, rozpaczliwie próbując okazać zainteresowanie randkowymi przygodami Kerri.

— Spotkaliśmy się dwa razy — informowała Kerri, zlizując z palców sos — po czym oznajmił, że płacił na dwóch randkach, więc przyszła pora na seks. Wyobrażasz sobie? Tak zwyczajnie z tym wyskoczył.

— Szokujące — wymamrotała Carolyn, wypijając łyk wody.

— Bynajmniej! — wykrzyknęła Kerri. — Jeszcze nie doszłam do szokującego momentu.

— No to mów. — Carolyn udało się spojrzeć ukradkiem na zegarek.

— Chciał uprawiać seks ze mną i swoją byłą dziewczyną! Podobno ona czekała u niego w domu, cała gotowa do zabawy. — Kerri wzniosła oczy do nieba. — Wyobrażasz sobie? Taki cham!

— Spodziewam się, że odmówiłaś.

— No... czy wyglądam na idiotkę? Carolyn znowu spojrzała na zegarek.

— Muszę wracać do domu — powiedziała, kręcąc się nerwowo. — Nie będziesz miała mi za złe, jeśli niedługo pójdę?

Naprawdę? — Na twarzy Kerri odmalowało się rozczarowanie. — Nie omówiliśmy jeszcze nawet połowy historii.

— Mam trochę roboty do skończenia, obiecałam też wstąpić do Nellie — wyjaśniła Carolyn. — Jest zupełnie sama, musi być jej ciężko bez przyjaciół czy rodziny.

— Jesteś naprawdę dobra, że do niej zaglądasz. — Kerri westchnęła, wpychając do ust kawałek słodko-kwaśnego kurczaka. — Zawsze mam zamiar zajrzeć i zobaczyć, jak się trzyma, ale nigdy nie mam czasu, choć co miesiąc wykupuję jej lekarstwa.

— Domyślam się, że randki są absorbujące — powiedziała Carolyn z lekką drwiną. — Na ilu portalach randkowych jesteś?

— Na wielu — odparła Kerri z pogodnym uśmiechem. — Wiesz co? Ciebie też musimy wciągnąć. Spodoba ci się. To bardzo zabawne! Nie, myślała Carolyn. Wcale mi się nie spodoba. Spotkałam miłość mojego życia i wkrótce będzie tylko mój.

*Ro^d^ial szesnasty Bobby*

Grupa chłopaków spotykała się w parku w niedzielne poranki, żeby pograć w softball. Mieli ustalony zwyczaj, zbierało się ich dziewięciu czy dziesięciu i co tydzień po grze jeden z nich podejmował pozostałych u siebie w domu. Oznaczało to zapewnienie jedzenia z delikatesów, zapasu europejskiego piwa i co najważniejsze — wszystkich programów sportowych w najnowszej telewizji HD Blue-ray.

Nazwali się bandą Niedziela w Parku. Jej założycielami byli Bobby i M.J. Bobby bardzo sobie cenił czas spędzany z chłopakami — kobiet nie dopuszczano. To był męski dzień. Frankie nie należał do klubu, bo kumple go nie interesowali. Wolał spędzać czas z Annabelle, obejrzeć najnowszy film akcji, grać w bilard albo w karty.

Bobby poczuł ulgę, bo chociaż on sam i M.J. pogodzili się, co prawda niechętnie, z tym, że Frankie ćpa, pozostali nie byliby tym zachwyceni. W ich pojęciu stałe branie kokainy jest dobre dla przegranych, da się zaakceptować okazjonalnie na imprezie, ale wciąganie jej przez nos kilka razy dziennie oceniali

zdecydowanie negatywnie. Bobby czasami próbował rozmawiać z Frankiem o jego zbyt przywiązaniu do białego proszku, ale on nigdy nie chciał słuchać, więc zazwyczaj rozmowa do niczego nie prowadziła. Niedziela w Parku składała się z dwóch facetów z funduszy hedgingowych, geniusza komputerowego, perkusisty z kapeli rockowej, bankiera inwestycyjnego, sławnego szefa kuchni, zawodowego tenisisty i aktora występującego w nadawanej w ciągu dnia operze mydlanej. Najmłodszy z członków miał dwadzieścia trzy lata, a był to szef kuchni. Najstarszy, bankier inwestycyjny, skończył trzydziestkę. Wszyscy zostawiali kłopoty w domu i cieszyli się beztresowym dniem. Żaden z nich nie był żonaty, żaden nie był bliski zrobienia tego ważnego kroku, choć temat kobiet zawsze był na porządku dziennym. Zwykle jeden z nich miał do opowiedzenia jakiejś historii o randkach, pozostali czuli się w obowiązku udzielać mu rad. „Pieprzyłeś ją?” — brzmiało najczęściej zadawane pytanie.

Tej niedzieli rola gospodarza przypadła Bobby'emu, ale martwił się o Frankiego i Annabelle. Zastanawiał się, czy powinien rzucić wszystko i spędzić z nimi więcej czasu. Annabelle była męcząca, ale znał ją od szkoły średniej i było mu jej trochę żal, szczególnie teraz.

Zadzwoił do Frankiego, który wymamrotał, że śpi i zadzwoni później. — Jak się czuje Annabelle? — chciał wiedzieć Bobby.

— Człowieku, później — odpowiedział Frankie, ziewając. To tyle, jeśli chodzi o spędzenie z nimi czasu. Frankie najwyraźniej panuje nad sytuacją.

W parku powietrze było świeże i zimne, co prowokowało Bobby'ego do jeszcze intensywniejszej gry, więc kiedy wrócili do domu, był pełen energii, gotów na wszystko.

Przez moment, kiedy wykładał na blat kuchenny zimne mięsa, kartony sałatek — kartoflanej i coleslaw — pomyślał,

że może przydałaby się dziewczyna do pomocy. Nigdy takiej nie było, z żadną nie związał się na dłużej niż dwa miesiące. Po prostu nie zainteresowały go te dziewczyny, które znał — piękne modelki i aktorki, bywalczyńce bankietów i młode panny z towarzystwa. Większość z nich szukała bogatego męża. (Owszem, wspaniałe na kilka tygodni czy miesiące przyjemnego seksu, ale na tym koniec.

Specjalnie się tym nie przejmował. Zbliżały się jego dwudzieste szóstte urodziny, a to zbyt wcześnie, by myśleć o małżeństwie. Ale dziewczyna na stałe może nie byłaby taka zła?

Frankie ma dziewczynę, Annabelle, i najwięcej wysiłku wkłada w to, żeby ją zdradzić, więc może jednak nie warto?

Wspaniałym przykładem tego, jaki powinien być związek, byli dla Bobby'ego Lucky i Lennie. Obydwoje niezależni, a równocześnie kochający i nieprzewidywalni, namiętni i szaleni, po wielu latach małżeństwa nadal bardzo w sobie zakochani. Tego właśnie chciał. Związku pełnego ognia.

Zeena to ogień. Jest od niego dużo starsza, wie jednak, że nigdy by się z nią nie nudził.

Zresztą jakie znaczenie ma wiek? Madonna jest po pięćdziesiątce, a seksowna jak diabli. Demi Moore wyszła za faceta młodszego o dobrych piętnaście lat. Nie mówiąc o najlepszej przyjaciółce mamy — bardzo seksownej i cudownej Venus — żonie Billy'ego Meliny, dużo od niej młodszego gwiazdora filmowego.

Do diabła z tym! Obiecał sobie, że kiedy następnym razem spotka Zeenę, zrobi odpowiedni krok.

\* \* \*

Następny raz zdarzył się szybciej, niż się spodziewał. Upychając naczynia w zmywarce po wyjściu chłopaków, nie wyłączając M.J., miał po raz drugi zadzwonić do Frankiego, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Otworzył, myśląc, że któryś z kumpli coś zostawił. A w drzwiach stała Zeena.

— Bobby — rzekła, przeciągając samogłoski. Weszła do mieszkania tak, jakby odwiedziła je już mnóstwo razy. — Zeena znalazła się w pobliżu. Postanowiła przekonać się osobiście, jak mieszka dziedzic okrętowej fortuny.

Zaszokowany i zaskoczony od razu się rozzłościł, że Zeena zna jego pochodzenie. Nigdy nie robił wokół siebie szumu, trzymał się z dala od rubryk z plotkami, nigdy nie mówił o swoim dziedzictwie z nikim prócz MJ. Jak się dowiedziała?

I co robi u niego w domu?

Choć to mu nie przeszkadzało.

Jak mogło mu przeszkadzać, skoro obiekt jego fantazji stoi w salonie, od stóp do głów przyodziany w czarną skórę. Miała na sobie króciutką skórzaną spódniczkę, siatkowe pończochy, buty do połowy uda i czarny kaszmirowy golf, a na nim miękką skórzaną kurtkę motocyklową nabijaną ćwiekami. Jej kruczoczarne włosy opadały gęstą kurtyną na plecy, a oryginalny makijaż podkreślał migdałowy kształt oczu.

Wyglądała na kobietę dominującą, ale Bobby się tym nie przejął.

Znalazła się tutaj, w jego mieszkaniu, i teraz do niego należy następny ruch.

Czego od niego oczekuje? — tak brzmi pytanie. Był tak przyzwyczajony do panowania nad sytuacją, że to doświadczenie było dla niego zupełnie nowe.

Zeena wyjęła z olbrzymiej torebki od Prądy paczkę gauloise'ów i zapaliła papierosa srebrną zapalniczką w stylu art deco.

Przytknęła płomień do koniuszka papierosa w sposób niezwykle seksowny. Bobby postanowił nie mówić jej, że w jego domu obowiązuje zakaz palenia.

Zaciągnęła się głęboko, po czym obserwując go kocimi oczami, powoli wypuściła dym.

— No proszę — powiedziała, a pióropusz mocno śmier-

dzącego dymu unosił się w powietrzu między nimi —jesteśmy sami. Czy nie na to czekałeś, Bobby?

— Nie ma żadnych młodych ogierków? — spytał, starając się, by zabrzmiało to lekko. — Żadnych towarzyszy chłonących każde twoje słowo? Co się z nimi stało?

— Rozczarowany? Miałeś nadzieję na tercet? A może jesteś gejem? — Długie westchnienie. — Cudownie! — Kolejne westchnienie. — Bobby, jesteś gejem?

Boże! Przypomina mu Serenity, cały ten sarkazm i złośliwości...

Rozpaczliwie pragnął pocałować Zeenę. Czy właśnie to go podnieca?

Najwyraźniej tak, bo czuł, jak twardnieje mu członek, i chciał tylko rzucić się na nią i to zrobić. Przecież tylko po to tu przyszła.

Panna Supergwiazda przybyła z wizytą, żeby się przekonać, co Bobby ma jej do zaoferowania. I zamierzał jej to pokazać.

*Rozdział siedemnasty*  
Annabelle

Frankie i Annabelle z niewiadomego powodu stoczyli ciężką bitwę, zanim w końcu zapadli w sen wcześniej rano w niedzielę. W połowie zmagania Annabelle zaczęła pić wódkę prosto z butelki. A ponieważ miała słabą głowę, wkrótce była kompletnie pijana. Frankie przygotował kilka linijek koki i wciągał na oczach Annabelle. Zazwyczaj nie robił tego przy niej, bo nie brała żadnych narkotyków, wolała alkohol. Ale miał ochotę być na ostrym haju. Klótnia między nimi nabierała tempa. Annabelle nazwała go bezużytecznym ćpunem bez jaj. On nazwał ją pieprzoną księżniczką pozbawioną sumienia. Ona wrzeszczała, że jest zwykłym alfonsem i nie ma o niczym pojęcia. On w odpowiedzi wykrzykiwał, że jest egoistyczną cipą bez serca, pozbawioną uczuć, myślącą tylko o sobie. A to tylko niektóre z wymienianych obelg. W końcu Annabelle pokuśtykała do sypialni, ciągle ściskając w ręku do połowy opróżnioną butelkę wódki. Zatrzasnęła drzwi

przed nosem Frankiego, padła na łóżko i natychmiast zaczęła szlochać, bo wiadomość, że jej matka została zamordowana, wreszcie do niej dotarła. Frankie czuł silną potrzebę wyjścia z domu, ale nie bardzo miał dokąd pójść, więc w końcu położył się na kanapie.

Obydwoje spali aż do niedzielnego popołudnia, Annabelle obudziła się dopiero koło szesnastej ze strasznym kacem.

Przez chwilę leżała nieruchomo, przypominając sobie wydarzenia poprzedniego dnia, i nagle dotarł do niej koszmar tego, co się wydarzyło w Los Angeles. Znowu zaczęła płakać.

Jej szlochanie obudziło Frankiego, który zapomniał już o kłótni i pospieszył do sypialni, bo jeśli coś w ogóle robiło na nim wrażenie, to płacz kobiety. Powracały przykre wspomnienia. Jego brutalny ojciec bił matkę co tydzień i odkąd Frankie sięgał pamięcią, musiał ją pocieszać. Zawsze miał poczucie winy, że się wyniósł, bo kto podnosi ją na duchu po jego wyjeździe?

Nikt, i właśnie na tym polega problem. Frankie odszedł i zaczął nowe życie.

— Cicho, dziecinko — uspokajał Annabelle, tuląc ją. — Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

— Nieprawda — pociągnęła nosem. — Moja mama nie żyje i wiesz co, Frankie? Wcale jej nie znałam.

— To nie twoja wina. — Podał jej papierową chusteczkę.

— A może moja. — Usiadła i otarła łzy. — Może powinnam była zostać i zmusić ją, żeby zwróciła na mnie uwagę.

— W żaden sposób nie mogłabyś tego zrobić — zapewniał. — Z twoich opowiadań wynika, że zawsze była na planie filmowym albo pozowała do zdjęć w magazynach. Była zapracowaną kobietą.

— Powinnam była bardziej się starać — lamentowała Annabelle.

— Nic podobnego, dziecinko. — Frankie szedł na całość w roli dobrego chłopaka. — Robiłaś, co mogłaś.



— Naprawdę tak myślisz? — spytała z lękiem.

— Nie ma co do tego wątpliwości, dziecinko. Najmniejszych.

Resztę popołudnia Annabelle spędziła na oglądaniu wszystkich reportaży i informacji o śmierci swojej matki. Jakby wreszcie zdała sobie sprawę, co się naprawdę stało, i teraz żadna była szczegółów.

Frankie kilka razy sugerował, żeby zadzwoniła do Ralpha, ale uciszała go ruchem ręki i nadal siedziała przed telewizorem.

Wydawało się, że przynajmniej zapomniała o przejściach z synem Sharifa Raniego, co Frankie przyjął z ulgą, bo Sharif to ich najlepszy klient i jeśli się wycofa, to będzie klęska.

Gdy tylko uspokoił Annabelle, zaparzył jej filiżankę zielonej herbaty, dał dwie pastylki advilu i przekonał, by została w łóżku, póki nie poczuje się lepiej. Potem zadzwonił do ich asystentki Janey Bonafacio, żeby sprawdzić, co słyhać.

Janey nie przychodziła w weekendy, pracowała w domu na komputerze, który jej kupił.

— Tak mi przykro! — zawyła w telefon. — Jak się trzyma Annabelle? A jeszcze ważniejsze, jak ty się czujesz?

Janey należała do nielicznych osób z ich otoczenia, które wiedziały, kim są rodzice Annabelle. Frankie kazał jej przysiąc, że dotrzyma tajemnicy, i ostrzegął, że jeśli wyjawি cokolwiek na temat Annabelle czy interesu, który prowadzą, straci pracę. A ponieważ Janey nie dopuściłaby, żeby cokolwiek stało pomiędzy nią a ukochanym kuzynem, zgodziła się. Nie dotyczyło to jednak jej syna Chipa.

Frankie nigdy nie postrzegał Chipa jako zagrożenia. Jego zdaniem syn Janey był po prostu po to, żeby robić, co mu się każe. Umiał prowadzić samochód i należał do rodziny, a to się liczyło. A poza tym Chip nigdy nie ośmieliłby się sprzeciwić matce.

Frankie polecił Janey dokładnie sprawdzać wszystkie „spotkania” i upewnić się, że sprawy idą jak należy.

— Annabelle będzie potrzebowała kilku wolnych dni — wyjaśnił. — Może polecimy do Los Angeles, więc pełna kontrola nad wszystkim będzie należała do ciebie. Żadnych pomyłek. Janey, czeka cię niezła premia, więc postaraj się, żeby Frankie był z ciebie dumny.

— Czy mam dzisiaj przyjść? — pytała Janey, pragnąc być możliwie najbliższej Frankiego. — Mogę być za godzinę.

— Nie ma potrzeby — odparł, chcąc jak najprędzej się rozłączyć. — Zadzwoń później. Muszę kończyć, dzwoni drugi telefon.

\* \* \*

Aspiracje Chipa Bonafacio sięgały znacznie dalej niż prowadzenie samochodu dla bandy dziwek, odbieranie z pralni chemicznej rzeczy kuzyna Frankiego i wypełnianie poleceń tej przemądrzałej cipy Annabelle Maestro.

Owszem, doskonale wiedział, kim ona jest. Postarał się to sprawdzić, gdy tylko zaczął u nich pracować, chociaż mama robiła wszystko, żeby powiedzieć mu możliwie jak najmniej o interesie, jaki prowadzą Annabelle i Frankie.

Co ona sobie wyobraża? Że on jest kretynem?

Najwyraźniej tak.

To, że Janey miała go za głupka, wychodziło mu na dobre. Nadal mieszkał w domu — był zbyt leniwy, by się wyprowadzić — a mama wszystko robiła. Gotowała, sprzątała, prała, dawała mu pieniądze, ilekroć ich potrzebował, starała się nie zrzędzić, choć czasami błagała, żeby się czymś zainteresował. Czymkolwiek. W porządku.

Kiedy nie biegał z jakimś poleceniem Frankiego — człowieka, któremu zazdrościł i którego nienawdził — wolał leniuchować, oglądać telewizję, ściągać filmy porno, robić piłkarskie zakłady, pieprzyć dziewczyny, które udało mu się dopaść, i pić tyle piwa, ile się da.

Mamie nigdy nawet nie przyszło do głowy, że on wie, co się dzieje, że zna nawet tożsamość niektórych bardziej popularnych kobiet, które wozi na te ich brudne świńskie randki. Wszyscy zachowywali się tak, jakby był niewidzialny, a tymczasem miał więcej rozumu, niż im się wydawało, i prowadził swój czarny notatnik, wypełniając go zebranymi informacjami. Zamordowanie Gemmy Summer Maestro było okazją, na którą czekał. Ta ponura historia pojawiła się na pierwszych stronach wszystkich gazet i wszystkich portali internetowych w całym kraju.

Chip nie miał wątpliwości, że znalazł się blisko zarobienia dużych pieniędzy.

Chip Bonafacio miał wielkie plany na przyszłość. Ale nie obejmowały jego grubej, uzależnionej od Frankiego, durnej, denerwującej matki. Na pewno nie.

*Rozdział osiemnasty*

Denver

— Halo — powiedziałam, czując wielką ulgę, bo wreszcie ktoś odebrał telefon w domu chłopaka Annabelle. — Czy to Frankie Romano?

— A kto pyta?! — warknął podejrzliwy męski głos.

— Nazywam się Denver Jones — przedstawiłam się szybko. — Jestem prawnikiem pracującym dla Ralpa Maestri i przyjechałam do Nowego Jorku, żeby skontaktować się z jego córką Annabelle.

— Po co? — spytał ostrożnie.

— No... na pewno słyszał pan o tragedii.

— A kto nie słyszał?

— Więc rozumie pan, że muszę porozmawiać z Annabelle. To bardzo pilne. Czy może mi pan podać numer telefonu, pod którym mogłabym się z nią skontaktować?

— Skąd pani wzięła mój numer?

— Jest pan w spisie — odpowiedziałam krótko. — Frankie Romano, didżej, prawda? Chłopak Annabelle.

Dlaczego pani uważa, że jestem jej chłopakiem?

Na miłość boską! Jest bardziej podejrzliwy niż CIA! Byłam zmarznięta i zmęczona, od kilku godzin próbowałam się skon-

taktować z Annabelle. Dzięki Bogu, że spotkałam Sama, który się nade mną ulitował, zaprosił do siebie i stamtąd usiłowałam dodzwonić się do chłopaka Annabelle, który teraz zachowywał się niezwykle irytująco. Dlaczego w ogóle wyskoczyłam z łóżka Maria? Chciałabym tam być, przytulona do niego w ciepłe pościeli, gotowa na wspaniały seks. A zamiast tego znalazłam się w mieszkaniu obcego mężczyzny, no, nie tak zupełnie obcego — jest atrakcyjny w typie Owena Wilsona — tyłek mi zmarzł i zastanawiam się, do której latają samoloty do Los Angeles.

— Może mi pan pomóc ją znaleźć czy nie? — Powoli traciłam cierpliwość.

— Czy Ralph przyśle prywatny odrzutowiec?

— Słucham? — Uświadomiłam sobie, że ten facet jest nie tylko dupkiem, ale bezczelnym dupkiem.

— Powinien mieć własny samolot — upierał się Frankie.

— Ale nie ma — oświadczyłam stanowczo, choć nie wiedziałam, czy to prawda. A jeśli nawet ma samolot, to z pewnością go nie zaproponował.

— Czy mogę porozmawiać z Annabelle? Zostawiłam kilka wiadomości, ale na żadną nie odpowiedziała.

— Annabelle jest nieosiągalna. Wyciągnęłam z rękawa kartę atutową:

— Ja jąznam. Chodziłyśmy razem do szkoły w Los Angeles. Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Denver Jones. Jestem pewna, że sobie mnie przypomni.

— Wie pani co? Będę musiał do pani zadzwonić. Cholera! Chciałam jechać do domu. Ta podróż nie jest dla

mnie udana. Dlaczego Felix do mnie nie zadzwonił?

Podaliśmy Frankiemu numer mojej komórki i powiedziałam:

— Proszę zadzwonić jak najszybciej. — I rozłączyłam się.

— Problemy? — spytał Sam, wchodząc z kubkiem jakiegoś gorącego napoju.

— Chłopak Annabelle to kompletny kretyn — jęknęłam.

Do tej pory zdążyłam już powiedzieć Samowi, po co przyjechałam do Nowego Jorku. Po pierwszej próbie dodzwonienia się do Frankiego, kiedy byliśmy jeszcze w kawiarni, skuliłam się przy stoliku w kącie, zastanawiając się, co właściwie mam robić. Czułam się zagubiona i w końcu powiedziałam mu prawdę o celu mojej wizyty i o tym, że nie mogę wrócić do Los Angeles bez Annabelle.

Sam okazał się bardzo wyrozumiałym słuchaczem. Po godzinie zasugerował, że mogę od niego zadzwonić do Annabelle czy Frankiego. Przyjęłam tę propozycję z wdzięcznością i teraz siedziałam na kanapie w jego bardzo przyjemnym, przestronnym mieszkaniu i sfrustrowana czekałam, aż dupkowaty chłopak Annabelle do mnie oddzwoni.

— Wypij to — powiedział Sam, podając mi kubek.

— A co to jest? — zapytałam, zastanawiając się, czy zamierza mi podać pigułkę gwałtu i wykorzystać moje nieszczęsne zmarznięte ciało. Chociaż wyglądałam tak, że nikt nie chciałby mnie zniewolić. Mogę się założyć, że mam bardziej czerwony nos niż renifer Rudolph!

— To gorąca czekolada z pastylką gwałtu — wyjaśnił z kamienną twarzą. Uff, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

— Jestem prawnikiem — przypomniałam surowo. Wiem. Dlatego od razu podaję ci wszystkie informacje. —

Zamilkł i lekko się uśmiechnął. — Przecież dokładnie tak pomyślałaś.

Nic podobnego. — Stłumiłam zażenowany uśmiech. Owszem. —

Popatrzył na mnie porozumiewawczo. — Dokładnie tak.

Uśmiechnęłam się do niego. Nagle poczułam się bardzo swobodnie w mieszkaniu człowieka, którego poznałam dwie godziny temu.

Siedziałam na kanapie, popijając gorącą czekoladę i modląc się, by Frankie Romano oddzwonił jak najprędzej i połączył mnie z Annabelle, żebym mogła wreszcie wrócić do Los Angeles.

Chociaż... wcale nie było tak źle. Sam był całkiem atrakcyjny, wysoki i tyczkowaty — musiałam przyznać, że zanosilo się na naprawdę poważny flirt.

Czy jestem niewierna wobec Maria?

Nie, do diabła! Mario nie jest moim chłopakiem, a ponadto nie wskakuje przecież Samowi do łóżka.

Chociaż... taka myśl przyszła mi do głowy.

Od całkowitej abstynencji do dwóch seksownych amantów, i to wszystko w ciągu dwóch zabawnych, niezwyklej dni. To szaleństwo.

— Jesteś głodna? — spytał Sam, przechodząc do części kuchennej. — Mogę przygotować jakieś jajka, a jeśli naprawdę umierasz z głodu, to za rogiem jest knajpka, w której podają spaghetti.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? — spytałam, wstając z kanapy i idąc za nim.

— No, może dlatego, że jesteś bystra i pociągająca i od razu cię polubiłem. Poza tym wyglądasz fantastycznie.

Fantastycznie! Czy on mówi o mnie? Rozczochranej, z czerwonym nosem i drżącej z zimna?

— Czy wróciłeś niedawno z bezludnej wyspy, gdzie byłeś pozbawiony towarzystwa kobiet?

— Nie umiesz przyjąć komplementu, co? — przekomarzał się ze mną.

— Nigdy nie byłam w tym dobra.

— No więc, wyglądasz fantastycznie — powtórzył. — Masz w sobie coś z Julii Roberts.

— Z *Pretty Woman* czy *Erin Brockovich*?

— Dziwka albo cwane maleństwo. Nazwałbym to niezłą kombinacją.

— Mógłbyś przestać? — poprosiłam, ale trudno mi było powstrzymać uśmiech.

Roześmiał się i oparł łokcie na blacie.

— Niedawno zerwałem zaręczyny z kompletną cipą.

— Naprawdę? — Przysiadłam na brzegu wysokiego stołka, zadowolona, że konwersacja zmierza w innym kierunku.

— Jeszcze jak. Przyłapałem ją, jak się pieprzyła z moim najlepszym przyjacielem. Niezły stereotyp, co? — Pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że jemu się to przydarzyło. — Gdybym to opisał — dodał cierpko — wszyscy by mnie wyśmiali.

— Ja bym się nie śmiała.

— A to dlaczego?

— Bo to zawsze jest najlepszy przyjaciel. Zawsze się sprawdza.

— Osobiste doświadczenia? — spytał, przyglądając mi się uważnie.

— Ależ skąd — zaprotestowałam stanowczo.

— A ty? — Starał się mówić obojętnie. — Jesteś obecnie w jakimś związku?

— Ależ skąd — powtórzyłam. I po znaczącej pauzie po prostu musiałam zapytać: — A ty?

— Ależ skąd — odrzekł, naśladując mój głos, po czym wybuchnął śmiechem.

Doszłam do wniosku, że mogłabym polubić tego faceta. Zaraźliwy śmiech, wygląd Owena Wilsona, pisarz i do tego z poczuciem humoru. Podejrzewam oczywiście, że nie ma tak cudownych mięśni brzucha jak Mario, ale czy te mięśnie są naprawdę tak istotne?

Nie, po prostu dobrze wyglądają.

A więc — Sam poruszał długimi, smukłymi palcami — jaka jest nasza decyzja? Spaghetti czy jajka?



Użył słowa „nasza”, jakbyśmy byli parą, którą zdecydowanie nie jesteście.

— Jeśli spaghetti oznacza wyjście na dwór — udałam, że przeszedł mnie dreszcz — to głosuję za jajkami.

— Dobry wybór. — Wyjął z szafki patelnię. — Wybacz, że się chwale, ale jestem mistrzem w przyrządzaniu jajek.

— Czyżby?

— O tak. Jajecznicą? Smażone z dwóch stron? W koszulkach? A może omlet?

Zerknęłam na zegarek, dochodziła dwudziesta. Czy jest szansa, żeby znaleźć Annabelle i wsadzić ją dzisiaj wieczorem do samolotu? Mało prawdopodobne.

— Jajecznicą.

— Gęsta czy rzadka?

— Słucham?

— Mówię o jajkach.

Uśmiechnęliśmy się obydwoje. Miałam wrażenie, że znam go co najmniej od tygodnia.

— Rządka — wymamrotałam, odsuwając na razie myśli o Mariu.

— Ja też taką lubię — powiedział, wyciągając z lodówki pojemnik z ekologicznymi jajkami.

— Wiesz, że zaraz po jedzeniu powinnam zacząć szukać hotelu?

Odwrócony do mnie plecami powiedział bez troski:

— Możesz zostać tutaj, jeśli chcesz.

Cholera, pewnie moje słowa zabrzmiały tak, jakbym robiła aluzję.

— Nie ma sprawy — rzuciłam szybko. — Bardzo lubię zatrzymywać się w hotelach.

— Naprawdę? — Nie wierzył mi nawet przez minutę. Czyżbym z każdą chwilą stawała się coraz bardziej żalosna?

Bardzo lubię zatrzymywać się w hotelach. Prawda jest taka, że

nienawidzę hoteli, odkąd pogryzły mnie pluskwy w hotelu w Phoenix, gdzie zbierałam dla Felixa informacje o jakiejś niewiernej żonie. Pokój wypełnił śpiew Beyonce *If I Were A Boy*. Odezwał się mój BlackBerry, więc szybko wyciągnęłam go z kieszeni.

— Jutro rano — oznajmił Frankie Romano bardzo oficjalnie. — O dziesiątej w naszym apartamencie w SoHo. Wie pani, gdzie to jest? No... owszem.

— Proszę zarezerwować dwa bilety pierwszej klasy na lot United do Los Angeles o drugiej. Na lotnisko ma nas zawieźć limuzyna, a druga ma czekać na miejscu. Potrzebny nam będzie apartament w hotelu Beverly Hills i samochód z kierowcą do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny. Do zobaczenia u nas. — I nie czekając, aż powiem choćby słowo, odłożył słuchawkę.

Zadanie wykonane.

W każdym razie tak mi się wydawało.

*Rozdział dziewiętnasty*  
Carolyn

Skoro Carolyn odgrywa dobrą sąsiadkę, Kerri uznała, że ona też musi przynajmniej się postarać i towarzyszyć jej do mieszkania Nellie.

Carolyn nie zamierzała odwiedzać Nellie tak szybko po ostatniej wizycie, ale ponieważ posłużyło jej to za wykręt, by opuścić centrum handlowe, to teraz nie miała wyboru, kiedy Kerri zaproponowała, że pójdą razem.

Przez ponad godzinę gawędziły o niczym z gadatliwą starą kobietą. Nellie była bardzo podekscytowana zamordowaniem słynnej gwiazdy filmowej Gemmy Summer Maestro. Miała mnóstwo teorii na temat tego, co mogło się stać. A kiedy wyczerpała najróżniejsze wymyślone przez siebie scenariusze, zaczęła cofać się w przeszłość i wspominać skandal związany z Fatty Arbuckle, który miał miejsce w Hollywood przed kilkudziesięciu laty. Potem zaczęła opowiadać o Marilyn Monroe i jej powiązaniach z Johnem i Bobbym Kennedy. „Znałam Marilyn”, oznajmiła z tajemniczym uśmiechem, co miało wskazywać, że mogła to być bardzo zażyła znajomość. „Była taką świetlistą piękną. Chociaż grubościstą. Ale to bez

znaczenia, bo każdy mężczyzna, którego spotkała, natychmiast pałał żądzą. Było co oglądać".

Po dziesięciu minutach całkowicie poświęconych Marilyn i Kennedym Nellie wróciła do sprawy zamordowania Gemmy Summer.

W tym momencie Carolyn uznała, że lepiej nie wspominać o tym, że w dzieciństwie uczestniczyła w wielu przyjęciach urodzinowych córki Gemmy Summer, Annabelle, w rezydencji państwa Maestro. Z jakichś powodów mama zmuszała ją do chodzenia tam, utrzymując, że wymaga tego grzeczność, skoro zaproszona jest cała klasa. Miała wtedy dziesięć lat, jak mogła się sprzeciwić?

Na każdym przyjęciu nieśmiało chowała się w kącie, obserwując występy kłownów z cyrku, przemarsz żywych słoni przez wypielegnowany trawnik czy kucyki wożące dzieciaki. Był także olbrzymi namiot bankietowy ze stołami uginającymi się od hot dogów, hamburgerów, pizzy, ciasteczek i ciast. Carolyn pamiętała, że było tam tyle jedzenia, że można by było żywić bezdomnych przez cały rok.

Gemma Summer pojawiała się tylko wtedy, kiedy pracowały kamery. Carolyn przypomina sobie, że nie wydawała jej się wtedy szczególnie troskliwą matką, ale też Annabelle nie należała do najłatwiejszych dzieci. Zawsze puszyła się przed rówieśnikami, przechwalając się, jakie ma wspaniałe życie.

Na szczęście dla Carolyn, kiedy Annabelle skończyła trzynaście lat, przyjęcia się skończyły. A przynajmniej, ku wielkiemu zadowoleniu Carolyn, zaproszenia przestały przychodzić. Właśnie wtedy zaprzyjaźniła się z Denver, i ta przyjaźń przetrwała do dziś.

Denver nadal nie zadzwoniła, co było o tyle zaskakujące, że Carolyn zostawiła w poczcie głosowej bardzo tajemniczą wiadomość.

Boże! Musi opowiedzieć komuś o tych ekscytujących nowinach, bo inaczej pęknie!

\* \* \*

— Musimy w każdy możliwy sposób przerywać cykl, w którym dzieciaki bez ojców wpadają w pułapkę gangów — tłumaczył Ramirez, a jego pociągła ospowata twarz przypominała maskę. Miał chropowaty głos. — Kiedy w domu nie ma ojca, a matka ćpa albo pracuje na dwóch posadach, żeby utrzymać rodzinę, wtedy ci chłopcy wybierają sobie nową rodzinę, taką, która działa na ulicach. A ja coś o tym wiem, bo byłem jednym z nich.

Grupa osób stojących obok niego głośno wyraziła uznanie.

— Gangi uliczne muszą mieć swoje armie — ciągnął Ramirez — więc zaczynają rekrutować dzieci jedenasto-, dwunastoletnie. Kiedy te dzieci kończą lat szesnaście, są już zahartowanymi przestępcami bez przyszłości. Wszyscy musimy pomóc i położyć temu kres. To nasz obywatelski obowiązek. Ludzie, my możemy to zrobić.

— No proszę — zapiszczała Katy, angielska dziennikarka, która pojawiła się akurat wtedy, gdy Gregory zastanawiał się, jak szybko zniknąć.

Gregory już zauważył, że doskonale nadaje się do pieprzenia, w wysokich do kolan butach, obcisłych dzinsach i puchatym niebieskim wdzianku.

Miała jednak niefortunny dodatek w postaci męża, który okazał się fotografem.

Gregory był niezadowolony, wprost nie mógł uwierzyć w swojego pecha. Najpierw ciężarna asystentka, a teraz ta dziewczyna, z którą w myślach już szedł do łóżka, okazała się mężatką.

Po chwili namysłu uznał, że wcale nie jest taka seksowna. Za młoda i zbyt beztroska. Jej wysoki podekscytowany głos i brytyjski akcent szybko zaczęły go denerwować. Nie ulegało też wątpliwości, że obgryza paznokcie. Obrzydliwy zwyczaj.

Ramirez nadal gadał, więc Gregory pogodził się z tym, że nic ma ucieczki, póki ten wykład o życiu gangów nie dobiegnie końca. Katy wydawała się zafascynowana, podczas gdy jej mąż, wysoki, chudy kretyn w jeszcze bardziej obcisłych dżinsach niż le, które miała na sobie żona, pstrykał zdjęcia.

Gregory starał się przybrać zatroskany wyraz twarzy. Nie było to łatwe. Czy Ramirez kiedykolwiek się zamknie?

\* \* \*

*To znowu ja, gdzie jesteś? Zadzwoń, jak tylko to dostaniesz. Mam ważne nowiny* — napisała Carolyn do Denver.

Jeszcze raz sprawdziła automatyczną sekretarkę, żeby mieć pewność, że Gregory nie próbował się z nią kontaktować.

Oczywiście, że do niej nie zadzwoni, niedziela to dzień rodzinny. Jednak z uwagi na swój stan spodziewała się chociaż krótkiej wiadomości. Z pewnością nie są to zbyt wygórowane wymagania.

Owszem, są. Najprawdopodobniej zajmuje się dziećmi, obojętny na całą resztę. Gregory to wspaniały ojciec, wkrótce będzie też wspaniałym ojcem dla jej dziecka.

Niełatwo było uciec z mieszkania Nellie. Staruszka lubiła mówić, więc jej opowieści i nieustanne gadanie Kerri sprawiły, że był to męczący dzień. Carolyn nie mogła się doczekać poniedziałku, kiedy wróci do biura, a Gregory będzie tuż obok. Tymczasem nie miała do roboty nic innego, jak tylko marzyć o wspólnej przyszłości.

Przecież to nic złego.

\* \* \*

Po niekończącym się wykładzie Ramireza wreszcie pojawiło się wybawienie w postaci dwóch Latynosów po dwudziestce, którzy pomaszrowali prosto do Ramireza — roztrącając lu-

dzi — i zaczęli napastować go po hiszpańsku, coś wykrzykiwali i wymachiwali rękami, jakby mu grozili.

Ramirez najwyraźniej próbował zachować spokój, ale po kilku minutach nie wytrzymał i też zaczął wrzeszczeć.

Jezu Chryste! Co tu się dzieje? — pomyślał Gregory.

Szybko spojrzął w stronę drzwi, zastanawiając się, czy powinien po prostu wyjść, zanim sytuacja się pogorszy. Nie znał hiszpańskiego, ale agresja wprost wisiała w powietrzu.

Katy przyglądała się całej scenie z otwartymi ustami, podczas gdy jej mąż kontynuował fotografowanie, dopóki jeden z mężczyzn nie pokazał mu środkowego palca i nie bluznął:

— Wynoś się z tym pieprzonym aparatem, bo wepchnę ci go w tę pieprzoną białą dupę.

Miło wiedzieć, że mówią po angielsku. Zdenerwowany mężczyzna znów odwrócił się do Ramireza i podjęli kłótnię.

Katy podeszła do Gregory'ego.

— Zna pan hiszpański, senatorze? — szepnęła.

— Nie znam — odparł, czując przyjemną woń jej kwiatowych perfum. — A ty?

— Kłóćą się o jakąś transakcję narkotykową — powiedziała cicho. —

Utrzymują, że Ramirez jest im winien pieniądze i ma zapłacić, bo inaczej...

— A co on na to?

— Mówi, żeby się wynosili.

— Ale go nie słuchają?

— Nie. — Pokręciła głową. — Wydaje mi się, że ten w czerwonej bandanie to jego brat.

Gregory jeszcze raz popatrzył na mężczyznę w czerwonej chustce związanej na czole. Był ubrany w zwyczajowy „mundur”, za duży podkoszulek, szerokie spodnie wyglądające tak, jakby zaraz miały opaść, zasnurowane żółto-czarno-srebrne adidasy. Na długim łańcuchu na szyi wisiał duży złoty medalion,

przedramiona pokrywały tatuaże. Rzeczywiście przypominał młodszą wersję Ramireza, ale podczas gdy z Ramireza emanował spokój, twarz tego młodego samca wykrzywił gniew.

Mąż Katy spakował sprzęt fotograficzny i wziął żonę za rękę.

- Chodźmy. Nie wiadomo, jak to się skończy. - Senatorze Stoneman — Katy szeroko otworzyła oczy — powinien pan wyjść z nami.

— Owszem, myślę, że to doskonały pomysł — przyznał Gregory, przeklinając w duchu Evelyn, że pozwoliła mu znaleźć się w tak niebezpiecznej sytuacji. — Idźcie przodem, ja za wami.

Gdy znaleźli się na dworze, mąż Katy wepchnął ją do furgonetki, którą zaparkował równolegle do innych samochodów. Nawet nie dał żonie szansy pożegnania się z Gregorym i odjechał, zostawiając lekko rozbawionego i lekko poirytowanego senatora stojącego samotnie na popękkanym chodniku, (Gregory nie był zadowolony. Żeby tak zmarnować niedzielę!

Kiedy ruszył w dół ulicy, mając nadzieję i modląc się, że znajdzie samochód dokładnie tam, gdzie go zostawił, przed ośrodkiem wybuchło zamieszanie i dwaj Latynosi, którzy kłócili się z Ramirezem, wypadli na dwór i pobiegli ulicą. Nadszedł stary, poobtlukiwany samochód.

Gregory odwrócił się, żeby popatrzeć. Nagle rozległy się strzały. Poczul, że coś otarło się o jego głowę. Upadł na plecy.

A potem spadał, spadał... i wszystko zrobiło się czarne.



## *Rozdział dwudziesty*

### Bobby

— Mam nieodparte przeczucie, że dla ciebie to tylko zabawa — powiedział Bobby, uświadamiając sobie, że wpadł w pułapkę sprytnie zastawioną przez Zeenę.

Przyszła do niego z zamiarem zaciągnięta go do łóżka, a on oczywiście uległ. Dlaczego nie miałby tego zrobić? Była superseksowna, a on czuł do niej słabość. To był odruch. Tylko dlaczego — po akcie — czuł się jak dziewczyna, która oddała się już na pierwszej randce. Wypieprzona o wiele za szybko.

O rany, ale był na siebie wściekły.

— Zabawa? — dopytywała się Zeena, opierając się na łokciu, a długie ciemne włosy owijały się wokół jej szerokich ramion. Była naga — miała gładką błyszczącą skórę, mocne mięśnie i smukłe nogi.

— Owszem, zabawa — mruknął. A następnie, zdecydowany postawić na swoim, dorzucił: — Ale wiesz co, Zeeno, nie jestem jednym z tych twoich małych chłopaczków, jednym z tych facetów, którymi się zabawiasz, a potem odstawiasz na bok.

— A czy ja mówiłam, że jesteś, Bobby? — Przeciągała

samogłoski, wyginając idealnie wyskubane brwi. — Chciałabym przy okazji podkreślić, że w twoim przypadku nie może być mowy o niczym małym. Ale jestem pewna, że wiele kobiet ci to mówiło.

- Mówię poważnie. — Próbował pozbyć się wrażenia, że wykorzystwała go dla własnej przyjemności i zabawy.

- Taki młody — westchnęła, powoli oblizując usta. — Smutne, że Zeena zawsze grawituje w stronę młodych.

— Jak to możliwe, że mówisz o swoim wieku? — spytał poirytowany, ponieważ jej nonszalancka postawa wywoływała więcej niż zniecierpliwienie. — O ile jesteś ode mnie starsza? Piętnaście lat? Dzisiaj to się nie liczy.

— W istocie — potwierdziła, sięgając do torby z krokodylej skóry, którą położyła na podłodze. Jej niezwykle duże i twarde sutki otarły się o jego tors — jesteś bardziej dojrzały niż moje podboje.

Podboje. Czy mówi o nim jak o dotychczasowym podboju? Do diabła! Za kogo ona go bierze? W końcu nazywa się Santangelo, więc lepiej, żeby okazał się godny tego nazwiska.

Wyjmując paczkę gauloise'ów z torebki, Zeena zaśmiała się gardłowo.

- Biedny Bobby — powiedziała kpiąco — taki przystojny, laki bogaty... Musisz jednak popracować nad samooceną, a twoja technika seksualna też mogłaby się poprawić.

Kręcąc ze zdziwieniem głową, zdał sobie sprawę, że to druga Serenity — nadęta cipa, próbująca osłabić jego pewność siebie. Nikt jeszcze nie narzekał na jego techniki erotyczne. Według własnego przekonania był doświadczonym kochankiem, uważnym, nie za szybkim, miał pewność, że robi wszystko, jak trzeba. O co jej chodzi?

Wydawało mi się, że miałaś orgazm — powiedział. Bobby, Zeena zawsze ma orgazm — oznajmiła, zapalając papierosa. — Stara się o to.

Teraz był naprawdę zły.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie jestem ci potrzebny? Że możesz to wszystko zrobić sama?

— Każda kobieta, która liczy, że mężczyzna da jej orgazm, jest albo szalona, albo zakochana — odrzekła, wydmuchując w jego stronę kóleciska dymu. — Zeena odkryła to bardzo dawno temu.

Wspaniale, po prostu wspaniale. Zrobił wszystko najlepiej, jak potrafił, a ona go dołuje. Czy to jej pomysł na „chwile po”? Większość kobiet lubi pieśczoty i kilka miłych słów, ale Zeena woli uderzać w najczulsze miejsca.

Powinien był to przewidzieć.

— Rozumiem, że skończyliśmy. — Był zdecydowany nie dopuścić, by dłużej mu dokuczała.

— Zeena się nie spieszy. Jak tylko będziesz gotowy, to może powinniśmy spróbować jeszcze raz.

Mówiąc to, zgasiła papierosa na szklanym blacie stolika przy łóżku, odwróciła się do Bobby'ego, przesunęła smukłymi palcami po jego torsie i powiedziała cicho:

— Jak myślisz, Bobby, jak długo to potrwa? Zeena potrafi być bardzo niecierpliwa.

\* \* \*

Nie miał pojęcia, kiedy Zeena wyszła. Był już wczesny poniedziałkowy ranek i nie było po niej śladu.

Choć kiedy usiadł na łóżku i rozejrzył się po pokoju, zauważył kilka śladów. Niedopałki papierosów na stoliku przy łóżku, kieliszek do połowy wypełniony koniakiem z odciskiem krwistoczerwonej szminki, zapach jej piżmowych perfum unoszący się w powietrzu.

Czy był zaskoczony?

Nie. Powinien był się domyślić, że wyjdzie po cichu w środku nocy, bez pożegnania.

To ona jest mężczyzną. On — kobietą.

Cholera! Ta sytuacja budziła w nim wściekłość.

Ilekcio zasugerowała, by się kochali, był posłuszny. No, to już więcej się nie zdarzy! Stanie się mężczyzną, skończy z tym dziewczęcym oczarowaniem i zrehabilituje swoje jaja.

Kiedy pieprzyli się po raz drugi, czuł się jak uczestnik przesłuchań do roli idealnego kochanka. Miał wrażenie, że ona w każdej chwili może zawołać: „Przykro mi, nie dość dobrze. Następny!”.

Co za pieprzona modliszka!

A mimo to...

Nie! Nie wystąpi w drugiej rundzie. Nie ma mowy. Zadzwoił telefon i Bobby zerwał się, żeby odebrać. Może to Zeena chce powiedzieć, że spędziła wspaniale czas, że były to niezapomniane chwile, a on jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała, więc kiedy będzie można to powtórzyć?

Ale to dzwonił M.J. - Co jest? — wymamrotał Bobby, po raz kolejny oglądając kupkę niedopałków na szklanym blacie stolika. Panna Super-gwiazda mogła przynajmniej poprosić o popielniczkę. Ale nie, to nie w jej stylu. Zeena żyje po to, by się pieprzyć, badać ludzi i sprawdzać, jak daleko może się posunąć.

O jedenastej mamy spotkanie z rosyjskimi inwestorami w sprawie umowy z Miami, a być może i moskiewskiej — przypomniał mu M.J. — Tylko mi nie mów, że zapomniałeś. Hobby rzucił okiem na zegarek. M.J., jeszcze nawet nie ma ósmej. Skąd ta panika? Żadna panika, człowieku. Uznałem, że przed spotkaniem powinniśmy wpaść do Annabelle i złożyć jej kondolencje.

Masz rację — przyznał Bobby. — Zadzwoię do Frankiego i uprzedzę go, że przyjedziemy.

— Dobra, a tymczasem może mi powiesz, co się z tobą działo wczoraj wieczorem? Sądziłem, że do nas dołączysz.

— Nie mogłem się wyrwać.

— Ktoś, kogo znam?

— Dawna dziewczyna przejazdem

— Czy...

— Nawet nie pytaj — uciął Bobby. — Powiedzmy, że był to bardzo długi wieczór.

Rozłączył się, wziął z kuchni papierowy ręcznik, wrócił do sypialni i sprzątnął zostawione przez Zeenę niedopałki.

Kto może zrobić coś podobnego? To chamstwo. Dlaczego me poprosiła o popielniczkę? Z pewnością nie krępowała się, prosząc, żebym polizał jej cipkę. Właściwie nie była to prośba, raczej cesarski rozkaz.

„Bobby, pozwól Zeenie się przekonać, co potrafi twój język”, szeptała, jakby jego kutas w ogóle się nie liczył. Boże! Przy niej czuł się taki niekompetentny. Lizał tę cipkę prawie pół godziny, ale Zeena nie doszła. Wstrzymywała się celowo, nie miał co do tego wątpliwości.

Potem zaczęli się pieprzyć od nowa. Nie oszczędzał się, ale energia tej kobiety była niewyczerpana, przybierała takie pozycje, jakby ćwiczyła jogę. Kiedy skończyli, czuł się tak, jakby odbył wiele rund z Mikiem Tysonem w szczycie formy. Domagała się kajdanków. Których nie miał. Zażądała wibratora. Którego też nie miał.

Powiedziała, że ekscytują ją klapsy wymierzane skórzanymi rękawicami. Trudno. Skórzane rękawice to nie jego styl. Podobnie jak klapsy, wibratory czy kajdanki. Czyż nie są to fetysze starców?

— Następnym razem Zeena przyjdzie przygotowana — prychnęła.

Skąd jej przyszło do głowy, że będzie następny raz?

Po seksualnym maratonie Bobby zapadł w sen i obudził się, kiedy jej już nie było.

Teraz nastał poranek, a ona zniknęła.

Wylecz się z tego, mówił sobie. Zapomnij o perwersyjnej Pannie Supergwieździe. Ona jest jak zły narkotyk i dobrze o tym wiesz.

Przeszła mu słabość do niej.

O tak, zdecydowanie przeszła.

*Rozdział dwudziesty pierwszy*

Annabelle

— Jutro lecimy do Los Angeles — poinformował Annabelle Frankie. — Rano najpierw idziemy do mieszkania w SoHo, gdzie spotkamy się z prawnikiem twojego ojca. Co ty na to?

Annabelle obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem.

— Chyba już ci mówiłam...

— Nie! — przerwał jej gwałtownie. — Musisz być na pogrzebie matki, nigdy sobie nie wybaczysz, jeśli tego nie zrobisz. Więc pojedziemy, dziecinko. Tak zdecydowałem i tak będzie. Prawnik załatwi nam podróż w odpowiednim stylu.

Annabelle chciała jeszcze się opierać, jednak po chwili uznała, że to nie ma sensu. Frankie ma rację — powinna pojechać na pogrzeb matki. Poza tym naoglądała się relacji w telewizji o tej dramatycznej historii i chciała poznać prawdę.

Czy to możliwe, że ojciec jest podejrzany?

Nie. Niemożliwe. Tatuś, gwiazdor filmowy, nigdy nie skrzywdziłby Gemmy, kochał i wielbił swoją piękną żonę, nie dbając o innych ludzi, nawet o własną córkę.

Annabelle często zastanawiała się nad tymi kilkoma sytua-

cjami, kiedy była sama ze swoim gwiazdorskim tatą. Nigdy jej nie pochwalił ani nie zapytał, co u niej słychać, zawsze mówiło się o tym, jak wspaniała i utalentowana jest Gemma, jak lojalna i jakie ma łagodne usposobienie. „Powinnaś się starać bardziej jej przypominać”, powiedział kiedyś szorstko. „Twoja matka jest kobietą idealną”.

Annabelle uznała, że to stwierdzenie czyni z niej niedoskonałą córkę. Nic dziwnego, że nie mogła się doczekać, kiedy wyrwie się z domu. Daleko, jak najdalej.

A teraz wraca, bo Frankie ma rację, żałowałyby do końca życia, gdyby tego nie zrobiła.

Kalifornio, oto nadchodzę, pomyślała z goryczą.

— Po co mamy jechać do mieszkania w SoHo? — zapytała, próbując zdecydować, jakie ubrania powinna zabrać.

— Bo twoja rodzina myśli, że tam mieszkamy — wyjaśnił Frankie. — A jeśli się dowiedzą o Park Avenue, może to wywołać cholerną lawinę pytań.

— A może powinnam powiedzieć najdroższemu tatusiowi o naszym jakże korzystnym biznesie? — zapytała ze złośliwym błyskiem w oczach.

— Może dzięki temu wreszcie mnie zauważą.

— Daj spokój, dziecinko — jęknął Frankie. — Ralph nie może być aż tak zły.

— Sam się przekonasz. Pan Gwiazdor Filmowy nie ma łatwego charakteru, poznasz to na własnej skórze.

— Owszem, tylko zapominasz, że ze wszystkimi mam dobre układy — puszył się Frankie. — Pan tatuś gwiazdor ekranu bardzo mnie polubi.

— Przekonamy się — mruknęła Annabelle, otwierając szufladę z biżuterią i wybierając błyskotki, które ze sobą zabierze. —

i od razu cię uprzedzam — dodała — że na pewno nie będę mieszkała w jego domu.



— Wszystko już załatwione — oznajmił triumfalnie Fran-  
kie. — Apartament w hotelu Beverly Hills. Limuzyna do dyspozycji przez  
dwadzieścia cztery godziny. Przecież nie jestem głupi.

— Ralph się na to wszystko zgodził? — spytała zaskoczona, że jej  
despotyczny ojciec nie nalegał, żeby zamieszkali u niego.

— Chce, żebyś przyjechała do Los Angeles, prawda?

— Pewnie tak. — Była przerażona koniecznością spędzenia czasu z  
ojcem. — A propos, co z naszym biznesem? Nie możemy tak po prostu  
wyjechać.

— Dziecinko, panuję nad sytuacją. Janey się tym zajmie, przypilnuje,  
żeby wszystko przebiegało gładko i bez wstrząsów.

— Wspaniale — zakpiła Annabelle.

— Praktycznie i tak to robi — zauważył Frankie.

— Niezupełnie. Ty znajdujesz dziewczyny, a ja mam do czynienia z  
klientami.

— Poproszę Janey, żeby tu zamieszkała, kiedy nas nie będzie.

— Wobec tego lepiej, żebym zamknęła szafę na klucz. Jestem pewna, że  
bardzo by jej się podobało przebieranie w moje rzeczy.

— Dlaczego zawsze tak się jej czepiasz? — Frankie poczuł tik w lewym  
oku. — Dobrze się spisuje.

Annabelle miała co do tego wątpliwości. Nie lubiła Janey i nie ukrywała  
tego. Prowadzą z Frankiem kwitnący biznes, zgarniają wielkie pieniądze,  
więc nie chciała, żeby ktoś to zepsuł. Pozostawienie kontroli nad  
wszystkim kuzynce Frankiego może być poważnym błędem.

— Może powinienes zostać tutaj z Janey — zasugerowała. — Wiesz, na  
wypadek gdyby pojawiły się jakieś problemy.

— Nie ma mowy. — Frankie ściągnął brwi. Nie chciał, żeby podróż do  
Los Angeles przeszła mu koło nosa. — Janey da

sobie radę ze wszystkim. A poza tym — przysunął się bliżej i pogłaskał rękę Annabelle — moja najlepsza dziewczynka nigdzie beze mnie nie pojedzie, tak obiecuje Frankie Romano.

\* \* \*

— Chcę mówić z szefem — upierał się Chip Bonafacio, a jego niespokojne oczka strzelały na wszystkie strony.

Był wczesny poniedziałkowy ranek, Chip stał przy ladzie recepcji w wielkim budynku ze szkła i chromu, w którym mieścił się jeden z największych brukowców „Truth & Fact”.

Dziewczyna za biurkiem, wulgarna farbowana blondynka z podobnymi do słomy przedłużonymi włosami, maglowała go niemiłosiernie, chociaż wyjaśnił, że ma do sprzedania ważną historię.

— Jest pan umówiony? — pytała po raz trzeci.

— Powtarzam pani, że nie muszę być umówiony. — Miał świadomość, że trądzik wykwitł na całej jego szyi. Tego się obawiał.

— Owszem, musi pan. — Wpatrywała się w niego nieżyczliwie. — Każdy musi.

Nawet George Clooney? — spytał wyzywająco.

Ale pan nie jest George'em Clooneyem — prychnęła pogardliwie, zastanawiając się, czy będzie musiała wezwać ochronę, żeby pozbyć się tego typka.

Jak się pani nazywa? — warknął.

Jak ja się nazywam? A po co to panu?

Bo jak kupię moją historię za milion dolców, postaram się, żeby wywalili stąd twoją chudą dupę.

Czyżby? — zapytała z pogardą. — Można by pomyśleć, że naprawdę ma pan jakąś historię do sprzedania. Chip cofnął się o krok.

Jesteś gotowa zaryzykować? — spytał, obrzucając ją najbardziej groźnym wzrokiem, na jaki potrafił się zdobyć. —

Przyjechałem tu mercedesem, nie jestem jakimś łachudrą z ulicy. Mam kontakty, znam ważnych ludzi.

Dziewczyna stuknęła podobnymi do obcasów paznokciami w szklany blat lady recepcji. Podobnie jak rzesy paznokcie były sztuczne, a poprzedniego wieczoru poszła na przyjęcie ze swoim chłopakiem, który chce zostać raperem, i zgubiła jeden tips. W głowie pulsowało jej od koktajli Appletini wypitych wieczorem i ta rozmowa nie bardzo jej się podobała. A już na pewno nie groźby tego krety, że doprowadzi do jej zwolnienia. A jeśli naprawdę ma jakąś pikantną historię? Czy będą ją obwiniali za to, że go nie wpuściła?

Postanowiła nie ryzykować i podjęła błyskawiczną decyzję.

— Pana Waitrose'a dzisiaj nie ma, ale jest jego prawa ręka — powiedziała, unikając kontaktu wzrokowego. — Może pan iść na górę. Szóste piętro. Ktoś będzie na pana czekał przy windzie.

Chip był wniebowzięty. Ta bzdura z zapisywaniem nazwiska pracownicy rzeczywiście podziałała. Obserwował dziesiątki razy, jak robił to Frankie, i zawsze skutkowało. Teraz on, Chip Bonafacio, także stał się mężczyzną. Zajebicie dobra robota!

\* \* \*

Przed wyruszeniem do apartamentu w SoHo Annabelle zadzwoniła do kilku dziewczyn, które od czasu do czasu dla nich pracowały. Chciała mieć pewność, że wszystkie wiedzą, iż rządy Janey potrwać tylko do końca jej krótkiej wizyty Los Angeles.

Następnie zadzwoniła do Janey i udzieliła jej wskazówek, jak ma się zachowywać wobec dziewcząt.

— Żadnych plotek — ostrzegła. — Nie zdenerwuj ich głupimi tekstami. I żadnych próśb o autografy. Rozumiesz?

— Jakby mi na tym zależało — prychnęła Janey, zapominając o tym, jak prosiła znaną modelkę bielizny o podpis na

rozkładówce „Playboya”. Nie zносиła mieć do czynienia z Annabelle, jej bohaterem był Frankie.

— Ważne, żebyśmy się dobrze rozumiały — powiedziała Annabelle, myśląc o propozycji Frankiego z poprzedniego wieczoru, by podać Janey szyfr do ich sejfów. Powiedziała wlewy, że to wykluczone.

— Daj spokój, dziecinko — przekonywał. — A co ma zrobić z gotówką, którą przyniosą dziewczyny?

— Może na niej posadzić swoją grubą dupę — odparowała Annabelle, nie zamierzając ustąpić w tej sprawie. — Jestem pewna, że jest wystarczająco duża.

Decyzja Frankiego, by honorować tylko gotówkę, została wprowadzona w życie. Czasami klienci płacili z góry, jak Sharif Rani, ale zazwyczaj to dziewczyny przyjmowały pieniądze, a potem podrzucały im prowizję.

Nie był to najlepszy sposób prowadzenia biznesu, ale Frankie trzymał się zasady niezostawiania śladów na papierze. Uważał, że dzięki temu nigdy nie wpadną.

Jego naiwność robiła wrażenie.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

### Denver

Nie jestem łatwa, a już na pewno nie puszczałska, których to określeń lubią używać mężczyźni, żeby zdeprecjonować kobiety. Po prostu tak się składa, że lubię seks i szczerze mówiąc, dlaczego, do diabła, miałabym nie lubić. Jeśli człowiek odpowiednio się zabezpiecza, nie ma nic złego w przygodzie na jedną noc.

No dobrze, to były dwie noce przygody.

Przecież gdybym była facetem, nikt by nawet nie mrugnął.

Jak już wielokrotnie wspominałam, wychodziłam właśnie z długiego okresu postu i spotkałam dwóch interesujących i seksownych facetów: Maria o cudownych mięśniach brzucha i Sama, który jest trochę dziwakiem, ale wydaje się naprawdę miły. Może nie ma tak wspaniałej klaty jak Mario, ale wszystko inne jest w doskonałej kondycji, no i, owszem, seks znowu okazał się niezapomniany.

Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, co się stało. To znaczy, właściwie mogę. Kiedy dopięłam wszystkie szczegóły podróży Annabelle i Frankiego, Sam uznał, że muszę się odprężyć, więc otworzył butelkę czerwonego wina. Zartowaliś-

my, że niekoniecznie pasuje ono do jajecznicy, ale była to niezwykła mieszanka.

Nie, nie upiłam się, byłam tylko trochę... szczęśliwa. A kiedy mnie pocałował, było to ciepłe i przyjemne. Całowanie to sztuka, a Sam chyba dobrze ją opanował.

Całowaliśmy się już przez dłuższy czas, zanim posunął się dalej, ale to nie miało znaczenia, ponieważ całował dobrze. Przecież obydwójce jesteśmy dorośli, a całowanie trwało do chwili, w której już żadne z nas nie chciało przerwać. Zresztą nie było najmniejszego powodu, żebyśmy to zrobili.

Ruchy Sama przypominały mi balladę *Slow Hand Pointer Sisters* o fantastycznym kochaniu. Adele albo Duffy powinny popędzić do studia i nagrać remake. Na pewno byłby to wielki przebój.

Ale odbiegam od tematu. Pozwólcie, że sformułuję to następująco: Sam także w łóżku był niezły. W zupełnie innym stylu niż Mario, ale jednak dobry. Jego dotyk był rozważny, przyjemniejszy, jakby bardziej czuły.

Wiem, że to brzmi śmiesznie, ponieważ znam go zaledwie od kilku godzin, ale mam wrażenie, że między nami zaiskrzyło.

Czy nie panuję nad sobą?

Nie ma mowy. Jestem normalną, zdrową Amerykanką, która zachowuje się jak normalna zdrowa Amerykanka. Powodzenia!

Jest poniedziałek rano i jestem lekko podekscytowana. Dzisiaj będę towarzyszyła Annabelle i jej beczelnemu chłopakowi w drodze do Los Angeles.

Sam jest pod prysznicem. Chciałam do niego dołączyć, ale ponieważ nie jesteśmy właściwie parą, powstrzymałam się.

Josh i ja zwykle braliśmy prysznic razem. Była to oszczędność energii, a my mieliśmy prawdopodobnie najlepszy seks w kaskadach wody.

Zastanawiam się, czy Josh wchodzi pod prysznic z panną stylistką gwiazd? Pewnie nie. Ja zawsze to inicjowałam.

Ale właściwie dlaczego myślę o Joshu?

Czasami to mi się zdarza. Bez powodu.

Wyskoczyłam z wygodnego i ciepłego łóżka Sama i sięgnęłam po BlackBerry. Znalazłam sporo wiadomości, jednak żadna nie wymagała natychmiastowej odpowiedzi. Uśmiechnęłam się, czytając zaszyfrowany SMS Carolyn i natychmiast odpisałam: *W Nowym Jorku. Dziś wracam do LA. Nie mogę się doczekać twoich rewelacji.*

Sam wyszedł z łazienki z ręcznikiem niedbale zawiązanym w pasie.

— Wszystko do twojej dyspozycji — oznajmił.

Czy chodzi mu o prysznic, czy o to, co według mojej wiedzy czai się pod ręcznikiem?

Skarciłam się w duchu. Zbyt dobrze się bawię, a powinnam koncentrować się na pracy. Poza tym zależy mi na powrocie do Los Angeles i dowiedzeniu się, co się naprawdę dzieje. Czy Ralph jest podejrzany o zamordowanie żony, czy media po prostu wymyślają nieprawdziwe nagłówki, żeby sprzedać gazety, magazyny i programy telewizyjne.

— Dziękuję — powiedziałam, nie czując się niezręcznie z powodu tego, co zaszło poprzedniego wieczoru, ani tego, że byłam owinięta prześcieradłem i mogłam się ubrać jedynie w to, co miałam na sobie wczoraj.

Weszłam do łazienki i zamknęłam drzwi. Sam zostawił na wierzchu szczoteczkę do zębów, nierozpakowaną, i małą podróżną tubkę pasty. Do listy jego zalet dorzuciłam troskliwość.

Nie mogłam się już doczekać, kiedy opowiem Carolyn o moich dwóch facetach. Superogier Mario — namiętny, gorący seks latynoski. I Sam — pełen rezerwy, inteligentny i czuły.

Stanie pod strumieniem kojącej ciepłej wody było cudowne. Myślałam o czekającym mnie spotkaniu z Annabelle. Jaka ona teraz jest? Nadal tak samo rozkapryszona? A może się zmieniła? A Frankie Romano? Przez telefon wydawał się bardzo zuchwały z tą swoją listą wymagań. Czy znienawidzę go od pierwszego

wejrzenia? Mam określony stosunek do mężczyzn, którzy uważają się za istoty wyższe. A Frankie robił wrażenie właśnie lakiego faceta.

Spojrzałam na siebie w łazienkowym lustrze. Nie najlepiej. Julia Roberts, dobre sobie. Raczej Julia Child! W każdym razie zrobiłam, co mogłam, żeby wyglądać przyzwoicie podczas czekających mnie obowiązków osoby towarzyszącej.

Ubrałam się i wyszłam z łazienki. Zastałam Sama zajętego smażeniem naleśników.

— Czy ty na pewno jesteś pisarzem, nie szefem kuchni? — spytałam, myśląc, jak wspaniale wygląda w wypłowiałej drelichowej koszuli i dżinsach. Był bosy, a jego kręcone włosy, jeszcze mokre po kąpieli, były potargane i seksowne.

- Wczorajszy dzień to wielka niespodzianka — powiedział, obrzucając mnie pełnym aprobaty spojrzeniem. — Nie spodziewałem się, że do mojej lokalnej kawiarni trafi tak piękna kobieta.

Poczułam, że się rumienię. A nie należę do dziewczyn, które się rumienia. Nie spodziewałam się, że spędzę noc z takim... no... z tak interesującym mężczyzną — udało mi się wydusić. Uniósł brwi i leciutko się uśmiechnął.

Interesującym? To wszystko, na co cię stać? Daj mi trochę czasu. Ile tylko chcesz.

Dzięki — powiedziałam lekko zdenerwowana — ale mam zawieźć dwie osoby na lotnisko, więc będziesz musiał odłożyć to na później.

Jest dopiero dziewiąta — zauważył, podając mi szklanę z czymś, co przypominało świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Usiądź i rozkoszuj się naleśnikami.

Mówisz jak moja mama.

Wielkie dzięki — powiedział oschle. — Moją życiową ambicją zawsze było przypomnianie czyjejs mamy.



Nagle przyszło mi do głowy, że zdecydowanie powinnam zjeść śniadanie z tym mężczyzną, z którym spędziłam noc, bo prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. Zresztą polubiłam go. A poza tym nie mam dokąd pójść. Trudno byłoby przez godzinę stać pod drzwiami Annabelle.

— Mogę dostać syrop do naleśników? Autentyczny, nie jakąś podróbkę z niską zawartością tłuszczu.

— Czyja wyglądam na faceta, który częstowałby cię erzacem?

— No nie — przyznałam, siadając na stołku i obserwując, jak przewraca naleśnika na patelni.

— To się odpręż i jedz. — Przerzucił naleśnika z patelni na talerz, postawił talerz na stole, a następnie podał mi szklaną butelkę organicznego syropu klonowego, dość drogiej firmy. Nie dla niego Aunt Jemima.

Poląłam naleśnika syropem i spróbowałam.

— Cudowne! — wykrzyknęłam. — Kto cię nauczył być takim czarodziejem w kuchni?

— Pamiętasz tę dziwkę, moją narzeczoną, o której ci opowiadałem...

— Żartujesz?

— Ona była... jest... szefem kuchni.

— No to przynajmniej coś ci po niej zostało.

— Zależy, jak na to spojrzeć.

— Jesteś rozgoryczony.

— Nic podobnego. Wierzę, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, a gdybym nadal był z nią, nie spędzałbym poranka z tak bystrą i piękną panią adwokat z Los Angeles.

Hmm... już drugi raz nazwał mnie piękną. Pochlebstwo zdecydowanie zaprowadzi go tam, dokąd zechce zajść.

— Szafujesz komplementami — zauważyłam, popijając sok pomarańczowy, rzeczywiście świeżo wyciśnięty.

— Ale tylko zasłużonymi. — Wrzucił na mój talerz drugiego naleśnika.

— Czy próbujesz mnie utuczyć? Już jestem olbrzymia, jak na standardy Los Angeles.

— Masz wprost niewiarygodne ciało — stwierdził.

No, komplementy płyną szybko, wręcz wściekle. Już wystarczy.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby włączyć telewizor? — spytałam. — Muszę zobaczyć, co się dzieje ze sprawą Maestro.

Podał mi pilota.

— Możesz włączyć.

*Today Show* był tylko o tym. Matt, Meredith, Al i Ann byli w trakcie jednej z tych swoich dyskusji. Tematem była sprawiedliwość Hollywood. I pytanie, jak to się dzieje, że sławnym ludziom zawsze wszystko uchodzi na sucho. Nie wymienili Ralpa z nazwiska, ale z ich słów wynikało, że mógł to zrobić. Że to wielce prawdopodobne.

— Podaj mi swoją komórkę — poprosił Sam, pochylając się nade mną.

— Słucham?

— Wprowadzę tam wszystkie swoje dane, więc nie będziesz miała wytłumaczenia, żeby się nie odezwać.

Nie widziałam rozsądnego powodu, żeby zaprotestować. Poza tym chciałam mieć wszystkie dane umożliwiające skontaktowanie się z nim: adres, komórkę, telefon domowy, e-mail. Właśnie spędziłam z facetem noc, więc dlaczego nie?

Posłusznie podałam mu komórkę, a on w zamian wręczył mi swoją.

Najwyraźniej to najnowsza forma intymności: wprowadzanie swoich danych do czyjegoś telefonu komórkowego. No to... — zaczęłam — niedługo pójdę. Mam coś dla ciebie.

O rety, chyba nie jest to zapłata za namiętą noc? To by było upokarzające, gdyby myślał, że jestem dziwką udającą prawnika.

Czy wspominałam już o tym, że mam bardzo bujną wyobraźnię?

— Co to takiego? — spytałam niepewnie.

— Żadnych dyskusji — zarządził, podając mi swoją włóczkową czapkę i pasiasty szalik.

— Oj! — wykrzyknęłam, z wdzięcznością przyjmując dar.

— Przynajmniej nie zmarzniesz w drodze na lotnisko.

— Dzięki, Sam. — Byłam wzruszona, że się o mnie troszczy. — To bardzo miłe z twojej strony.

Uśmiechnął się, eksponując krzywe zęby.

— Nie ma o czym mówić. — Pochylił się i serdecznie mnie uściskał.

Od wzajemniłam uścisk, wdychając z lubością jego męski zapach.

Jaka szkoda, że nie mieszka w Los Angeles. Mogłoby to być początkiem czegoś ważnego... Albo i nie.

*Rozdział dwudziesty trzeci*

Carolyn

Obudziwszy się na nieposłanym łóżku w nieznanym pokoju, senator Gregory Stoneman usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i co dokładnie się zdarzyło. Jezu Chryste! Czy został postrzelony? Chyba powinien być w szpitalu. Co to wszystko znaczy, do cholery?

W głowie mu pulsowało, kiedy próbował usiąść i zorientować się w sytuacji.

Naburmuszona, choć ładna młoda dziewczyna w obciętych dżinsach i obcisłym pomarańczowym podkoszulku popatrzyła na niego i zawołała przez ramię:

- Hej, Benito, ten stary łeb się obudził.

Do pokoju wpadł Benito, energiczny Latynos z czołem przepasanym czerwoną bandaną.

- Dobra, człowieku — wymamrotał, a oczy miał rozbiegane jak szczur w klatce. — Przydarzył ci się upadek na dupę. Wzięliśmy cię do siebie, żeby pomóc.

O czym pan mówi? — spytał Gregory, dotykając ręką głowy. Skroń bolała i była dziwnie miękka. — Nie upadłem — powiedział z nagłym przebłyskiem gniewu. — O ile dobrze pamiętam, ktoś do mnie strzelał.

— Człowieku, to był wypadek — stwierdził Benito, przebierając nogami w kolorowych adidasach. — Kula przeleciała obok, ledwo drasnęła cię w kretyńską skroń.

— Słucham? — Gregory, czuł, że jest coraz bardziej wściekły.

— Człowieku, posłuchaj, nikt nie chce kłopotów, a ty nie chcesz złej reklamy w tym swoim gównie, dlatego żeśmy ci pomogli.

— Nie pomogliście mi — wściekał się Gregory, któremu wreszcie udało się usiąść. — Nie wątpię, że to ty do mnie strzelałeś. Dzwonię po policję.

— Mówiłam ci — naburmuszona dziewczyna zapiała z triumfem — on wyda ten twój gruby tyłek.

— Zamknij japę, do kurwy nędzy — warknął Benito, odwracając się do niej. — On nie wezwie żadnych pieprzonych gliniarzy.

— Dlaczego tu jestem? — dopytywał się Gregory. — Dlaczego nie zawieźliście mnie prosto na izbę przyjęć?

— Bo ci powiedziałem, to tylko draśnięcie — wyjaśnił Benito. — Szczęśliwy z ciebie sukinsyn. Broń wypaliła przypadkiem, ale jak się gliny zwiedzą, to idę z powrotem do pudła, a ja nie wrócę tam z powodu jakiegoś pieprzonego wypadku. Kapujesz?

— Nie. Nie rozumiem.

Benito zakołysał się na piętach. Wielki złoty medalion na jego piersi przesuwał się po rozciągniętym podkoszulku.

— Wypadek, człowieku — powtórzył, dla dodania sobie animuszu łapiąc się za krocze. — Musisz skapować. Zrobiłem tobie coś źle, teraz jesteś tutaj, a ja mówię ci, że mi przykro. I jakbyś chciał, żebyś coś dla ciebie zrobił, cokolwiek, to będziemy kwita.

Gregory nagle poczuł, że wszystko znalazło się na właściwym miejscu. Zrozumiał. Już kapował.

Bóg usłyszał jego wołanie o pomoc i zesłał mu rozwiązanie najtrudniejszego ze wszystkich problemów. Przed nim stoi Benito. Jego wybawiciel.

\* \* \*

Większość ludzi nie cierpi chodzić do pracy w poniedziałki, bo to oznacza koniec weekendu i perspektywę pięciu długich dni. Jednak Carolyn nie mogła się doczekać. Dla niej poniedziałkowy poranek oznaczał pięć ekscytujących dni spędzonych w pobliżu senatora Gregory'ego Stonemana. Jej senatora Gregory'ego Stonemana, bo niedługo już będzie należał tylko do niej.

Nie mogła się powstrzymać od rozważań, czy już powiedział Evelyn. Czy pojawiła się taka szansa? A jeśli nie, to dlaczego? Nadszedł czas, żeby skończył z nędznymi usprawiedliwieniami, żeby stał się silny i postawił się Evelyn raz na zawsze. Bo dokładnie to obiecał zrobić.

Wchodząc do biura, uśmiechała się. Powitała praktykanta Gregory'ego, skinęła głową drugiej asystentce Muriel, starszej kobiecie, która zajmowała się organizacją wystąpień senatora i spotkaniami towarzyskimi.

— Dzień dobry wszystkim — powiedziała pogodnie. — Piękny dzień dziś mamy.

Muriel, bezbarwna w spodniem w kolorze brudnego beżu, które podkreślało jej gruszkowatą figurę, popatrzyła, jakby Carolyn postradała rozum.

— Prawdę mówiąc, jest bardzo zimno — syknęła przez zaciśnięte zęby.

— A prognoza na dzisiejsze popołudnie przewiduje deszcz, a może nawet śnieg.

— No tak — przyznała radośnie Carolyn — ale teraz słońce wygląda zza chmur, a później, jeśli będziemy mieli szczęście, możemy nawet zobaczyć tęczę.

Wieczna optymistka — powiedziała Muriel w taki sposób, jakby słowo „optymistka” było nieprzyzwoite.

Obydwie kobiety niezbyt się lubiły. Muriel pracowała dla senatora od dziesięciu lat, a kiedy zjawiała się Carolyn, poczuła się ignorowana. Muriel zawsze żywiła urazę do Carolyn, szczególnie od czasu, gdy nabrała podejrzeń, że może coś być między „ta nową”, jak zawsze nazywała Carolyn, a jej szefem, szacownym senatorem.

— Senatora Stonemana nie będzie dziś rano — oznajmiła Muriel, zachwycona, że to ona udziela informacji, a nie Carolyn.

— Co to znaczy nie będzie? — spytała Carolyn, a z jej twarzy zniknął uśmiech. — Skąd wiesz?

— Pani Stoneman dzwoniła do mnie do domu.

— I co powiedziała? — Carolyn zastanawiała się gorączkowo, co się stało.

— Powiedziała, że senator przyjdzie dopiero po południu.

— Dlaczego dzwoniła do ciebie?

— Czy ci to przeszkadza? — warknęła Muriel, wyciągając chudą szyję.

— No... nie. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie zadzwoniła do mnie.

— Znam żonę senatora od wielu lat — przypomniała Muriel z uśmiechem wyższości. — Często rozmawiamy przez telefon.

— Nie ma... problemu — wybąkała Carolyn, która za nic nie chciała pokazać, jak bardzo jest zbita z tropu. — Czy mówiła, z jakiego powodu senator przyjdzie później?

— Nie. — Muriel czuła satysfakcję, bo udało jej się popsuć dzień „tej nowej”. — Odwołałam już wszystkie poranne i południowe spotkania senatora, nie musisz się tym przejmować.

Carolyn wycofała się do swojego niewielkiego, ale przyjemnego biura, wściekła, że Muriel odwołała spotkania, którymi powinna zajmować się ona.

Czyżby Gregory powiedział Evelyn i dlatego przyjdzie później do pracy? Istnieje taka możliwość. Evelyn mogła dostać histerii, więc to całkiem zrozumiałe, że jest zajęty opanowywa-

niem sytuacji. Może już mają spotkanie z prawnikiem od rozwodów? Z dreszczem podniecenia Carolyn doszła do wniosku, że Gregory wreszcie to zrobił. Nie miała co do tego wątpliwości. Po ich sobotniej rozmowie, kiedy wyznała, że jest w ciąży, najwyraźniej zrozumiał, że pora działać. Nie można dłużej zwlekać.

Bardzo dobrze, Gregory. Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy.

\* \* \*

Późnym popołudniem w niedzielę Gregory wrócił do domu z plastrem na skroni i potwornym bólem głowy. Evelyn grała w salonie w kanastę z kilkoma przyjaciółkami. Ledwo podniosła wzrok, kiedy Gregory wszedł do domu. Dopiero później zauważyła plaster i spytała obojętnie, co się stało.

— Wpadłem na drzwi w tym cholernym slumsie, do którego mnie wysłałaś.

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby zapytać, jak było.

Tej nocy prawie nie spał. Jego umysł pracował na wysokich obrotach.

Zastanawiał się, czy scenariusz ułożony z bratem Ramireza, Benitem, się sprawdzi. Przyszedł mu do głowy szalony plan, miał tego świadomość.

Czy jednak Carolyn zostawiła mu jakikolwiek wybór?

Nie.

Carolyn była zdecydowana zniszczyć jego życie. Zmusiła go do obrony.

To nie jego wina, winna jest tylko i wyłącznie ona.

Benito. Młody Latynos o złych skłonnościach. Dealer narkotyków, od czternastego roku życia zamykany i wypuszczany z poprawczaka, a

potem więzienia. Człowiek zdesperowany, bo gdyby oskarżono go o

strzelanie do senatora, na pewno miałyby to poważne konsekwencje. I na

dodatek porwanie. Zamiast zawieźć go do szpitala czy na pogotowie,

Benito



wrzucił go do swojego samochodu i przewiózł do rozpadającego się budynku, który nazywał domem.

Tak, to było najprawdziwsze porwanie — przestępstwo federalne.

Prawda była taka, że chłopak w ogóle do Gregory'ego nie strzelał. Kiedy Benito wychodził z centrum pomocy, przejeżdżał akurat samochód członków wrogiego gangu, którzy zauważyli go i zaczęli strzelać. Benito natychmiast odpowiedział i stąd ta zabłąkana kula, która przemknęła obok głowy senatora.

Gregory zdawał sobie sprawę, że gdyby kulka go trafiła, zginąłby na miejscu. Po prostu. W ciągu kilku sekund.

Ale kulka nie trafiła. I jak się okazało, było to raczej szczęśliwe wydarzenie. Toteż zamierzał w pełni je wykorzystać.

\* \* \*

Ponad godzinę Carolyn biła się z myślami: czy powinna zadzwonić do Gregory'ego do domu? W końcu jest przecież jego asystentką, a to dzień pracy. Z pewnością wolno jej dzwonić.

Chyba że Evelyn o niej wie, wtedy nie byłoby to dobre posunięcie. Nie, wcale nie takie dobre.

Ale... chciała porozmawiać z nim, choćby tylko po to, żeby usłyszeć jego głos.

Z niechęcią weszła do pokoju Muriel. Pachniało tu bzem i dymem z papierosów. Muriel paliła, choć udawała, że rzuciła. Zapach bzu niczego nie maskował.

— Czy pani Stoneman napomykała, o której senator może dzisiaj przyjść? — spytała Carolyn.

Muriel podniosła głowę i zmarszczyła brwi.

— Nie, nie mówiła.

— Rozumiem — powiedziała Carolyn i dodała pogodnie: — Na pewno niedługo będzie.

— Albo i nie — warknęła Muriel.

— Słucham?

— Może wziął wolny dzień — zasugerowała Muriel z podstępny  
uśmieszkiem. — Może spędza miło czas z panią Stoneman, kiedy dzieci  
są w szkole.

Carolyn nie potrafiła się opanować.

— A niby dlaczego miałyby to robić?! — wykrzyknęła.

— W przyszłym tygodniu mają rocznicę ślubu — wyjaśniła Muriel, a ten  
specyficzny uśmieszek nie schodził jej z ust. — Wyobrażam sobie, że  
senator mógł ją zabrać na zakupy do jej ulubionego jubilera.

Carolyn wycofała się z pokoju. To się na pewno nie zdarzy. On niedługo  
przyjdzie i wszystko będzie dobrze.

*Rozdział dwudziesty czwarty*  
Bobby i Annabelle

Kiedy Bobby czekał, aż przyjedzie po niego M.J., zadzwonił Frankie, by poinformować, że jeśli chcą się zobaczyć z Annabelle, to powinni przyjechać do mieszkania w SoHo.

— Będziemy tam — zapewnił Bobby.

Mimo usilnych starań nie potrafił przestać myśleć o Zeenie. Ciągłe widział ją w wyobraźni. Co za idiotyzm! Kobieta jest sławna, cholerna supergwiazda, a on nawet nie ma jej numeru telefonu.

Bo nie poprosił.

A ona nie zaproponowała.

Więc gdyby chciał się z nią skontaktować, to jak miałby to zrobić?

Ostrzegawczy głos w jego głowie mówił: to wykluczone.

Inny głos powtarzał: jasne, dlaczego nie? To szalona jazda. Dlaczego jej nie wykorzystać?

Domyślał się, że ilekroć Zeena tak zdecyduje, po prostu zjawi się w jego mieszkaniu, tak jak za pierwszym razem, a znając ją, można być pewnym, że spodziewa się miłego przyjęcia.

To nie jest zdrowa sytuacja. Ta kobieta miesza mu w głowie. C idyby był sprytny, wyzwoliłby się teraz, zanim znów pojawi się w jego drzwiach, tym razem wyposażona w kajdanki, wibratory i Bóg wie co jeszcze.

Czy ma dość siły, by ją odrzucić?

Będzie musiał to sprawdzić.

\* \* \*

Annabelle kręciła się na tylnym siedzeniu mercedesa. Była spakowana i gotowa na Los Angeles, ale kiedy jechali do mieszkania w SoHo, gdzie czekał na nich prawnik przysłany przez ojca, nie mogła się uwolnić od strachu. Jak to będzie, spotkać się z Ralphem? Nie widziała się z nim ponad rok. Z matką też nie. Nie zobaczy jej już nigdy, chyba że Ralph wybierze otwartą trumnę, choć podejrzewała, iż na to nie pójdzie, skoro Gemmie strzelono prosto w twarz, co na zawsze zniszczyło jej zwiewną urodę.

Annabelle pamiętała ich ostatnie spotkanie. Najnowszy, dość niekonwencjonalny film Ralph'a miał akurat premierę w Nowym Jorku, na którą ją zaprosił. Nie chciała w tym uczestniczyć, więc wytłumaczyła się zajęciami w biznesie projektowania, wpadła jednak do hotelu Four Seasons, w którym się zatrzymali.

Siedzieli we trójkę przy śniadaniu w luksusowym apartamencie dla VIP-ów. Annabelle jak zwykle myślała, że nigdy nie widziała piękniejszej pary, tak idealnej pod każdym względem. Ralph, wysoki, z twarzą pooraną zmarszczkami, cudowny w jedwabnej piżamie, szlafroku w kolorze burgunda i kapciach z monogramami. Gemma, bajkowa księżniczka w jasnoróżowym peniuarze, ze złocistymi lokami wokół pięknej twarzy, w niewielkich diamentowych kolczykach w delikatnych uszach.

Wydawali się zadowoleni, że ją widzą.

Wyglądasz doskonale — powiedziała Gemma nieco zaskoczona.

Owszem. — Ralph skinął głową superbohatera. — Najwyraźniej Nowy Jork ci służy.

Zrozumiała, że woleliby, żeby została w Nowym Jorku, z dala od olśniewającego gwiazdorstwa sławnych rodziców.

Ralph wsunął jej do ręki czek na dziesięć tysięcy dolarów.

— Coś ekstra — powiedział, puszczając oko. — Wydaj to mądrze.

Dobrze, tatusiu, pomyślała. Obiecuję, że wydam je mądrze, nie wrócę do Los Angeles i nie zakłócę waszej idylli.

Tak było wtedy, a teraz jest inaczej. Wkrótce znowu znajdzie się w samolocie lecącym do tak nielubianego Los Angeles.

— W porządku? — spytał Frankie, klepiąc ją po kolanie.

— Oczywiście — odpowiedziała chłodno. — Chyba nie ma powodu, żeby było inaczej.

Frankie wzruszył ramionami. W jednej chwili dostawała histerii z powodu prymitywnego syna Sharifa Raniego, a za chwilę była pozbierana i spokojna, zastanawiała się, jak się ubrać na pobyt w Los Angeles. Wydawało się, że śmierć matki nie ma na nic wpływu. Nigdy nie zrozumie Annabelle i jej zmian nastroju. Ale kogo to obchodzi. Był zbyt zajęty okazywaniem zblazowania podróżą, choć czuł się zdecydowanie podekscytowany. Okoliczności może nie są idealne, ale, uwaga, jedzie do Los Angeles. I nie może się doczekać, kiedy się tam znajdzie.

\* \* \*

Zarówno Bobby, jak i M.J. uważali, że powinni złożyć Annabelle kondolencje i okazać trochę serdeczności. Cała trójka знаła się ze szkoły średniej i choć nigdy nie byli szczególnie blisko, mieli trochę wspólnych wspomnień, a zwłaszcza ten niesławny bal, kiedy wszyscy troje posunęli się za daleko i skończyli jako trio w apartamencie hotelu Beverly Hills, przezornie zarezerwowanym dla Annabelle przez kochających

rodziców, którzy chcieli, żeby córka spędziła pamiętny wieczór zakończenia szkoły z przyjaciółmi. O tak, wieczór okazał się niezapomniany, choć wspomnienia o nim były trochę niewyraźne z powodu zbyt dużej ilości alkoholu.

Frankie przywitał chłopaków w drzwiach apartamentu w SoI lo, dokąd ich zaprosił.

— Dlaczego jesteście tutaj, a nie przy Park Avenue? — chciał wiedzieć M.J.

— Bo Ralph myśli, że Annabelle tutaj mieszka — wyjaśnił Frankie. — Przesłał swojego prawnika, żeby eskortował nas do Los Angeles. Trzeba zachować spokój.

— Fakt — zgodził się Bobby.

— Jedziemy pierwszą klasą—puszył się Frankie. — Wszystko to załatwiłem.

— Nie śmiałybym wątpić — mruknął Bobby.

Pojawiła się Annabelle w eleganckim kombinezonie od Valentino, w obcisłych wysokich butach Jimmy'ego Choo i krótkiej stylowej kurtce z lisów. Jej jasnorude włosy były zebrane do tyłu, a duże okulary przeciwsłoneczne Chanel zasłaniały oczy.

— Cześć, chłopcy — rzuciła obojętnie.

Uściskali ją po kolei, wypowiadając zwyczajowe „tak bardzo ci współczuję”.

— A ja współczuję wam, że was tutaj ściągnęłam, to taka nora — narzekała Annabelle, rozglądając się po jasnej przestrzeni, którą trudno było nazwać „norą”.

— Mamy tu spędzić nie więcej niż piętnaście minut — powiedział ostro Frankie — więc przestań jęczyć.

Annabelle podniosła okulary słoneczne i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Frankie zaczynał działać jej na nerwy. Dlaczego nie związała się z kimś takim jak Bobby? Seksowny i przystojny.

Stworzyliby dynamiczną mieszankę. Poza tym jest bogaty. Bardzo bogaty. Gdyby związała się z Bobbym, mogłaby przestać zarządzać dziwkami i wieść luksusowe życie.

Ale... problem polegał na tym, że po tamtej nocy we trójkę Bobby nigdy się za nią nie uganiał, zupełnie jakby żałował tamtej historii. Poza tym był jednym z najlepszych przyjaciół Frankiego, więc dopóki ona i Frankie są parą, sprawy nie mogą posunąć się naprzód.

— W każdym razie, chłopaki, dziękuję, że wpadliście — powiedziała. — To miłe, że przyjechaliście taki kawał drogi.

— Nie ma sprawy — odparł Bobby, myśląc, że Annabelle wcale nie wydaje się poruszona tragedią, jaka wydarzyła się w Los Angeles. Zachowuje wręcz zadziwiający spokój. To Frankie jest nerwowy, miota się po mieszkaniu nafaszerowany kokainą po białka oczu.

Bobby próbował sobie wyobrazić, jak sam by się zachował, gdyby cokolwiek przydarzyło się jego mamie, niebezpiecznie pięknej i zawsze tak pełnej życia Lucky Santangelo. Na pewno byłby gotów zabić, szukałby zemsty, robiłby coś, przecież nazywa się Santangelo. Na pewno nie siedziałby spokojnie jak Annabelle. Jedno nie ulega wątpliwości — w jej żyłach nie płynie ani kropla włoskiej krwi.

— No gdzie ten prawnik? — niecierpliwiła się Annabelle, patrząc na zegarek. — Chyba powinien już tu być. Dochodzi dziesiąta.

— Zapomniałem powiedzieć — wtrącił Frankie. — Ten prawnik to kobieta, która twierdzi, że cię zna.

— Mnie? Jakim sposobem mogłaby mnie znać?

— Nie mam pojęcia — powiedział Frankie. — To nieważne, bo i tak wkrótce się tu zjawi. Interesuje nas tylko to, że chyba panuje nad sytuacją.

— Wspaniale! — prychnęła Annabelle, wydymając usta. — Teraz jeszcze będziemy musieli znosić jedną z tych nadętych zdzir chroniących Ralpa. Nie mogę się doczekać.

— Chyba już pójdziemy — powiedział Bobby. Nie zamierzał wysłuchiwać przepychanek Annabelle i Frankiego.

— Szkoda, że z nami nie jedziecie — westchnęła Annabelle. Potrzebne mi będzie wszelkie możliwe wsparcie, a ty zawsze byłeś takim dobrym przyjacielem, Bobby.

— Jesteś silna, dasz sobie radę — zapewnił. — Musisz tylko się trzymać. Nie dopuścić, żeby coś czy ktoś cię zdenerwował.

— Jasne — potwierdził M.J. — Zanim się zorientujesz, będziesz z powrotem.

— Pewnie tak... — Wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia Hobby'ego. Cofnął się odruchowo, czując, że Frankie nie byłby zadowolony ze sposobu, w jaki Annabelle próbuje się do niego zbliżyć. Język jej ciała był cholernie wymowny, a ona zdecydowanie pochylała się w jego stronę.

— Powinniśmy już iść — oznajmił M.J. — Wielkie spotkanie z grupą rosyjskich inwestorów. Mood, Moskwa, już to widzę!

— Brzmi ekscytująco — wymamrotała Annabelle. — Jeśli wszystko się uda, przylecę na wielkie otwarcie. My wszyscy w Rosji, to dopiero będzie podróż!

— Dobra, chłopaki, idźcie to rozgłosić — włączył się Frankie. — Oboje przyjedziemy do Moskwy, żeby z wami świętować. Kawior, wódka — czuję, że Moskwa to miasto dla mnie.

— Wszędzie tak czujesz — zażartował Bobby, kiedy wraz z M.J. zmierzał w stronę drzwi. Annabelle z żalem pożegnała ich gestem ręki. Frankie otworzył drzwi, żeby ich wypuścić, i w tym momencie pojawiła się Denver.

Na jej widok wszyscy trzej stanęli jak wryci.



## *Rozdział dwudziesty piąty*

### Denver

— Bobby! — jego imię wymknęło się z moich ust, zanim się zorientowałam. — Bobby Santangelo? — dodałam, udając, że nie jestem pewna, choć nie miałam żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości. Cofnęłam się w czasie do niezdarnej trzynastolatki nieprzytomnie zakochanej w chłopaku ze starszej klasy, który nawet nie wiedział o jej istnieniu.

Bobby Santangelo Stanislopoulos był obiektem westchnień wszystkich dziewcząt. Przystojny, charyzmatyczny, mistrz koszykówki, dobry również w futbolu, pochodził z niezwyklej rodziny. Razem ze swoim najlepszym, równie przystojnym, przyjacielem M.J. był prawdziwą gwiazdą, mógł mieć każdą dziewczynę. I miał, o tak, jak najbardziej. Przez lata zmieniał dziewczyny w alarmującym tempie, nie wyłączając pijackiej nocy po balu, kiedy zgodnie z krążącą legendą on i M.J. dopuścili się wybryku seksualnego z Annabelle. W szkole mówiło się o tym przez wiele tygodni. Annabelle chodziła z tajemniczym uśmiechem, chociaż pamiętam, że nigdy nie należała do szczęśliwych wybranek, które umawiały się z Bobbym na randki. Myślę, że musiało jej to bardzo doskwierać.

A teraz stoję na progu apartamentu Annabelle i widzę bohatera moich dzieciennych marzeń — Bobby'ego Santangelo Stanislopoulosa. To szaleństwo, że w ogóle pamiętam jego pełne nazwisko.

— Czy my się znamy? — zapytał ze zdumionym uśmiechem. Było oczywiste, że nie ma pojęcia, kim jestem.

Zdołałam się opanować i stanęłam na wysokości zadania.

— W istocie... właściwie nie. — Starłam się emanować spokojem. — Reprezentuję Ralpa Maestro.

— Tatę Annabelle?

— Tak. Jestem tu, by odwiedzić Annabelle do Los Angeles i... dziwnym zbiegiem okoliczności chodziłam z Annabelle do klasy, a ty byłeś w tej samej szkole średniej. Więc... pewnie się znamy, ale nie tak naprawdę. Bobby uśmiechał się szeroko. Idealne zęby. Oczywiście. Czy mogłabym się spodziewać czegoś innego? Zastanawiałam się, jak wyglądają jego mięśnie.

— Masz fantastyczną pamięć — powiedział z uznaniem. — Ja niczego nie pamiętam.

— Pewnie dlatego, że jestem prawnikiem. To sztuczka zawodowa. Nigdy nie zapominam twarzy. — Zwłaszcza twojej.

— Prawnikiem? — Czarne oczy przyglądały mi się badawczo. — Za młodo wyglądasz jak na prawnika.

Jeśli to komplement, to przyjmuję.

— Naprawdę? — Zauważyłam, że wygląda jeszcze lepiej niż w szkole średniej.

— To wcale nie jest takie złe. Mnie by to bardzo pochlebiało.

Wymieniliśmy długie spojrzenie. Wiecie, jedno z tych, które trwają o kilka sekund za długo, ale zmierzają w dobrym kierunku.

No więc... — zaczęłam i mieliśmy kontynuować nasz łagodny flirt, kiedy przerwał nam chudy facet z długimi włosami o ostrych rysach twarzy.

— Pani jest prawnikiem przysłanym przez Ralpa, tak? — zapytał. — Ma pani się wszystkim zająć?

— A pan musi być Frankie Romano — odparłam. Dostrzegłam odrobinę białego proszku pod lewą dziurką od nosa Frankiego. Cudownie, mam na karku ćpuna.

— Fakt. — Frankie po raz drugi zlustrował mnie lodowatymi niebieskimi oczami.

Najwyraźniej był to poranek inspekcji. Byłam zadowolona, że umyłam włosy i postarałam się wyglądać w miarę przyzwoicie. Oczywiście towarzyszył mi też blask dwóch nocy seksu, miałam więc pewność, że wyglądałam dobrze, mimo że nie jestem odpowiednio ubrana na nowojorską zimę.

MJ. obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem.

— Cześć.

— Cześć — odpowiedziałam z lekkim skinieniem głowy. To wszystko jest zbyt surrealistyczne. Powrót do przeszłości.

— Proszę wejść do środka — zarządził Frankie. — Ci faceci właśnie wychodzą.

— Krótko, ale słodko. — Bobby mrugnął do mnie przyjaźnie.

— Rzeczywiście — przyznałam, dorzucając pospiesznie: — Ä propos, gdybyś kiedyś potrzebował prawnika — młodego, ale niepokonanego — zwróć się do mnie. Denver Jones. Pracuję w kancelarii Saunders, Fields, Simmons i Johnson. — I zanim zdołałam się powstrzymać, wsunęłam mu do ręki wizytówkę.

Co ja robię? Jestem żenująca! To do mnie niepodobne, żeby zabiegać o pracę. O Boże! Ta zimowa pogoda zupełnie lasuje mi mózg.

Bobby i M.J. oddalili się, a ja weszłam za Frankiem do dużego, jasnego i dziwnie niezamieszkanego apartamentu.

Annabelle leżała na jasnozielonej kanapie, sącząc dietetyczną colę z puszki. Telewizor był nastawiony na *View*, a Elisabeth

Hasselbeck i Joy Behar naskakiwały na siebie, kłócąc się o jakąś politykę. Annabelle wyglądała na gotową do szybkiej ucieczki. Ubrana była na czarno, w drogą, bardzo drogą czerń. Błyszczące jasnorude włosy gładko zaczesane do tyłu, oczy ukryte za wielkimi ciemnymi okularami.

Splendor uosobiony. Czy mogłam się spodziewać czegoś innego?

Obojętnie rzuciła na mnie okiem, po czym nagle skojarzyła. Na tej części jej twarzy, którą widziałam, mimo gigantycznych okularów, pojawił się szok.

— Denver? — spytała piskliwie. — O mój Boże! To ty! Nie spodziewałam się, że mnie rozpozna, a już na pewno nie tego, że będzie pamiętała moje imię. Nie widziałyśmy się od wielu lat, a nie wątpię, że wyglądam zupełnie inaczej niż tamta raczej poważna nastolatka o nijakich brązowych włosach, z wieloma funtami nadwagi i z aparatem na zębach. W każdym razie mam taką nadzieję.

Nagle znowu miałam piętnaście lat, byłam brzydką, bystrą dziewczynką niepasującą do grona wtajemniczonych.

— To ja — powiedziałam, próbując się pozbierać. — Kopę lat!

— Faktycznie. — Annabelle zerwała się na równe nogi. — Co u ciebie? Wyglądasz wspaniale. Co za przemiana!

Ostatnią rzeczą, jakiej mogłam się spodziewać od Annabelle Maestro, był komplement. Przez moment wytrąciło mnie to z równowagi. Podczas wielu lat znajomości Annabelle nigdy nie powiedziała mi niczego miłego.

— Ty też — udało mi się wykrztusić. Przypomniałam sobie naszą ostatnią wyprawę na zakupy, kiedy to poinformowała mnie, że jestem o wiele za gruba, żeby wejść w džinsy od znanych projektantów sprzedawane u Freda Segala, którego sklep był mekką zakupową dla bogatych dziewczyn z Beverly Hills cierpiących na nadmiar pieniędzy.

Wówczas nosiłam zdrowy rozmiar osiem, podczas gdy Annabelle niezdrowe zero.

— Naprawdę jesteś prawnikiem? — spytała z odrobiną zainteresowania. Potwierdziłam skinieniem głowy.

— To niesamowite! — wykrzyknęła, siadając i odstawiając dietetyczną colę na stolik. — Jestem z ciebie taka dumna.

Niby dlaczego miałaby być ze mnie dumna? Po roku jednostronnej przyjaźni ledwo zauważyła moje istnienie.

— Twój ojciec jest bardzo szczęśliwy, że przyjeżdżasz do domu — oświadczyłam, co zabrzmiało bardzo nienaturalnie. — Chciałabym skorzystać z okazji i złożyć ci wyrazy współczucia z powodu mamy.

Annabelle zdjęła okulary i obrzuciła mnie kamiennym spojrzeniem.

— No więc, czy ten stary drań to zrobił? Czy pan gwiazdor ekranu w końcu pękł i zniszczył całą tę pieprzoną doskonałość?

Milczałam zaskoczona. Jad w jej głosie był niemal namacalny.

Sytuację uratował Frankie. Złapał mnie za rękę i pociągnął do okna.

— Nie zwracaj uwagi na to, co ona gada — powiedział cicho. — To głębokie wyparcie, nie ma pojęcia o czym mówi. Ignoruj ją.

Głos zatroskanego chłopaka. Dobra robota! Chciałam, żeby wytarł nos, ta resztką białego proszku tak go demaskowała.

Spojrzałam przez okno i zobaczyłam Sama, który szedł ulicą z laptopem pod pachą. Zmierzał pewnie do kawiarni, gdzie, jak przyznał, lubi pisać.

Zastanawiałam się, jak by ocenił tę scenę.

Annabelle wstała z kanapy.

— Jedziemy? — zapytała, a w jej głosie brzmiała lekka irytacja. — Im szybciej to załatwię, tym lepiej będę się czuła.

Frankie obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

— Czy limuzyna jest na dole?

— Stoi i czeka — odpowiedziałam.

— Musisz powiedzieć szoferowi, że ma przyjść po nasze bagaże.

— Oczywiście — rzekłam uprzejmie.

Jednym ruchem od prawnika do asystentki. Nie mogę się doczekać, kiedy pozbędę się tej parki. Annabelle i Frankie. Para skojarzona w niebie. A może nie?

Pewnie będę miała okazję to sprawdzić podczas długiej wędrówki na zachód.

\* \* \*

Nie potrzebowałam dużo czasu, by sobie uświadomić, że Annabelle w ogóle się nie zmieniła. Mogła być starsza, ale z pewnością nie mądrzejsza. Nie miała pojęcia, jak traktować ludzi, poczynając od kierowcy limuzyny. Gdy tylko wsiadła, zaczęła krytykować jego umiejętności. Według Annabelle jechał zbyt szybko, hamował gwałtownie, w samochodzie było za ciepło, a telewizor nie działał jak należy.

Jędza, jędza, jędza. Przez całą drogę na lotnisko.

Byłam zdziwiona, że w ogóle nie pyta o matkę, o to, jak Ralph sobie radzi, o szczegóły pogrzebu, o nic.

Wydawało się, że Frankie jest przyzwyczajony do jej narzekania.

Udawał, że się zgadza, a potem i tak robił po swojemu.

Mądra strategia.

Załatwiłam, żeby na lotnisku czekały na nas służby specjalne już przy wyjściu z samochodu. Annabelle wręczyła czekającej na nas kobiecie ciężki neseser Louisa Vuittona, a potem zachowywała się tak, jakby ona w ogóle nie istniała.

Na szczęście sprowadzanie biletów poszło gładko, dopiero

kiedy dotarliśmy do kontroli bezpieczeństwa, Annabelle udało się odegrać denerwujący dramat.

Czy muszę zdejmować buty? — zrzędziła. — Podłoga jest brudna.

— Wszyscy muszą — tłumaczyłam, marząc o tym, by się zamknęła. Za kogo ona się uważa, do jasnej cholery? — Musisz też zdjąć pasek i żakiet — dodałam, wkurzając ją jeszcze bardziej.

— Cholera — warknęła Annabelle, podczas gdy kolejka zdenerwowanych podróżnych czekała niecierpliwie, aż wyplącze się z sięgających do ud botków, co trwało wieczność.

Frankie już dawno przeszedł, mnie zostawiając opanowanie sytuacji.

Dzięki, Frankie. Ja też cię kocham. To twoja dziewczyna, powinieneś się zajmować jej głupotami.

Kiedy zaprowadziłam oboje do poczekalni dla VIP-ów, miałam dosyć. Zostawiłam ich pod opieką pracownika lotniska i wymknęłam się, żeby wykonać kilka krótkich telefonów.

Najpierw do Felixa, mojego szefa. Nie obchodziło mnie, że w Los Angeles jest wczesny ranek. Chciałam zameldować, że szczęśliwie jesteśmy w drodze.

— Grzeczna dziewczynka — pochwalił mnie Felix.

Nie znoszę, kiedy nazywa mnie dziewczynką, to cholernie protekcyjne. Może przyszła pora, żeby zmienić kancelarię, iść do przodu. Nie chciałabym, aby zabrzmiało to nieskromnie, ale udało mi się zostać gwiazdą, a czasami mam wrażenie, że Felix nie traktuje mnie z szacunkiem, na jaki zasługuję.

Następnie zadzwoniłam do taty. Wiem, że moja rodzina na pewno się zastanawia, co mi się, do diabła, przydarzyło, ponieważ częścią naszej rodzinnej tradycji jest telefon raz dziennie.

— Dlaczego wysłali cię do Nowego Jorku? — chciał wiedzieć tata. — Powinni wysłać asystentkę.

Zgodziłam się z nim entuzjastycznie i poinformowałam go, że będę na naszej stałej czwartkowej kolacji. — Mam nadzieję — powiedział. Kolacja w czwartkowy wieczór to też rodzinna tradycja. Wszyscy zbierają się w domu rodziców. To wielka scena zbiorowa: trzech moich braci, ich rozmaite żony i dziewczyny, liczni bratankowie i bratanice. Jest to wspaniałe, bo w całym szaleństwie pracy w Los Angeles ten czwartkowy wieczór daje poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Josh i ja uwielbialiśmy czwartkowe wieczory z rodziną.

Wspomnienie o Joshu natychmiast przywiodło mi na myśl Sama i Maria. Naprawdę nie miałam czasu, żeby przemyśleć najświeższe wydarzenia z mojego życia osobistego. Ostatnie dwa dni to było coś. Seks z dwoma zupełnie różnymi facetami. No, no, jestem bardzo dzielna.

Pod wpływem impulsu wysłałam SMS-a do Maria: *Wsiadam do samolotu. Co powiesz na kolację dziś wieczorem?*

Kolejny SMS do Carolyn: *Ciągle nie mogę cię złapać. Wracam do LA. Zadzwońię po powrocie.*

Wróciłam do poczekalni, gdzie Annabelle rozłożyła się na kanapce i kończyła trzecią wódkę z lodem.

Wspaniale. Kokainista i pijaczka. Jaki piękny początek dnia.



*Rozdział dwudziesty szósty*

Carolyn

— Gdzie jesteś? — spytała Carolyn, czując ulgę, że Gregory wreszcie zadzwonił. — Szalałam ze zdenerwowania. Czy wszystko w porządku? Ponieważ w ogóle nie przyszedł do biura, zaczęła się naprawdę niepokoić. Nigdy nie brał wolnych dni.

— Wszystko w porządku — zapewnił. — Dlaczego miałoby być inaczej?

— Wiesz dlaczego. — Starala się mówić cicho.

— Tak, oczywiście — powiedział, odchrząkając. — Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że muszę działać ostrożnie.

Działać ostrożnie? Co to ma znaczyć?

Nie mogła sobie odmówić wbicia małej szpileczki:

— Muriel sądziła, że poszedłeś z żoną kupować biżuterię.

— Na miłość boską! — wykrzyknął. — Tylko mi nie mów, że jej uwierzyłaś.

— Nie wiedziałam, co myśleć.

— Chyba znasz mnie wystarczająco dobrze.

— Owszem, ale kiedy dzisiaj nie przyszedłeś...

— Przestań gadać głupstwa — powiedział ostro.

— To nie są głupstwa. — Mocno ścisnęła telefon. — Niepokoiłam się. Zapadło krótkie milczenie.

— Czy ktoś wie, że rozmawiamy? — spytał Gregory w końcu.

— Słucham?

— Nie wypowiedziałaś głośno mojego imienia, prawda?

— Nie.

— Jesteś sama?

— Tak — odparła nieco zaintrygowana. — I nie rozumiem, dlaczego dzwonisz na moją komórkę. Dlaczego nie na telefon biurowy?

— Bo od tej pory wszystko, co jest między nami, ma pozostać prywatne.

— Znowu odchrząknął. — Nie ma powodu, żeby ktokolwiek się czegoś domyślił. Przygotowuję naszą przyszłość, Carolyn. Pamiętaj o tym.

— Czy to znaczy...

— To znaczy, że załatwiam wszystko po swoim, więc zacznij mi ufać i przestań zadawać tyle pytań.

Przeszył ją kolejny dreszcz podniecenia. Mężczyzna, którego kocha, wszystkim się zajmie, co oznacza, że już niedługo dowiedzą się wszyscy, nie wyłączając Muriel z tą jej sztywną, pełną dezaprobaty postawą.

— Ufam ci — zapewniła cicho. — Ale nie mogę przestać się martwić.

- Mam dla ciebie niespodziankę — oznajmił. Naprawdę?

Coś, na co zasługujesz. Na jej twarzy pojawił się jeszcze radośniejszy uśmiech.

Co to jest? — spytała podniecona.

Posłuchaj bardzo uważnie. — W jego głosie słyhać było napięcie. — A potem chciałbym, żebyś zastosowała się do moich instrukcji.

- To brzmi intrygująco.
- Nie ma tu niczego intrygującego. Jak mówiłem wcześniej, musimy być czujni i działać bardzo ostrożnie.
- Wiem, ciągle mi to powtarzasz.
- I mam nadzieję, że słuchasz.
- Słucham.
- Dobrze, Carolyn, proszę, posłuchaj jeszcze raz, bo chcę, żebyś dokładnie tak zrobiła...

*Rozdział dwudziesty siódmy*

Bobby

— Czy ze mną jest coś nie tak, czy ta dwójka jest najbardziej popieprzoną parą na świecie? — spytał M.J., kiedy zmierzali / Bobbym na spotkanie z potencjalnymi rosyjskimi inwestorami, które miało według nich doprowadzić do rozwoju ich klubowego biznesu.

— To zależy, co cię kręci — mruknął Bobby, wciąż myśląc o Zeenie.

- Annabelle jest zimna jak pieprzona ciężarówka z lodem — zrzędził M.J.

— Czy nie dotarło do niej, że jej matka została zamordowana? Jakby tak okazać choćby odrobinę uczucia?

- Zawsze taka była. Pamiętasz szkołę średnią? Pamiętam i żałuję. — M.J. się skrzywił.

- Czego żałujesz? Wiesz, tej nocy po balu.

Nikt nikogo nie skrzywdził — przypomniał Bobby. — Wszyscy się zgodzili, zresztą byliśmy tacy głupi.

Tak, ale wolałbym, żeby to się nigdy nie zdarzyło.

Teraz już za późno, po dziesięciu latach. — Bobby sięgnął po wibrującą komórkę. Zastanawiał się, czy to Zeena z prośbą, by powtórzyli numer.

Czy jest gotów na powtórkę? Być może tak. Być może nie.  
Jedno nie ulega wątpliwości — jest zdecydowanie zdezorientowany.  
Na szczęście, a może nie, nie była to Zeena, tylko Lucky.

— Wcześniej wstałaś — zauważył.

— Masz jeszcze jakieś nowiny?

— Mamo, co mogę dla ciebie zrobić?

— Zamieszkaj znowu w Los Angeles.

— Słucham?

— Żartuję — powiedziała beztrąsko Lucky. — Ale mam dla ciebie propozycję, która moim zdaniem cię zainteresuje.

— Naprawdę?

— Coś, o co mnie męczyłeś.

— Co takiego? — Był coraz bardziej zaintrygowany.

— Wczoraj wieczorem wyrzuciłam sukinsyna, który prowadzi najważniejszy nocny lokal w Keys. Nie przykładał się. Przyłapałam go na handlowaniu narkotykami i praniu pieniędzy. Wyobrażasz sobie? Niezbyt genialny pomysł, żeby robić takie świństwa w moim lokalu.

— W istocie.

— Powiedziałam dupkowi, że jeśli nie chce, żeby jego jaja podać na śniadanie z bekonem, to niech lepiej spieprza. Natychmiast.

Bobby zaczął się śmiać. Lubił sposób mówienia Lucky.

— A co na to dupek?

— Naprawdę przypuszczasz, że dałam mu czas na powiedzenie czegokolwiek? Znasz mnie, Bobby, trzymam się zasady: nie kombinuj z rodziną Santangelo.

— Jasne, mamo, znam te zasady.

— Kretyn mógł o nich pamiętać. Już go nie ma.

— Tak po prostu?

— Owszem. Tak po prostu.

— A teraz...

— A teraz mogę wreszcie poprosić cię o przejęcie klubu. ('oś, o co błagałeś mnie, odkąd otworzyłam Keys.

— Hola, mamó, tylko bez błagań. Nazywam się Santangelo, pamiętasz? Nasza rodzina o nic nie błaga.

— A jak ci się podoba „prosiłeś”?

— To było dwa lata temu. Wkrótce ruszymy w Miami. M.J. i ja mamy już właściwie licencję na prowadzenie Mood. Dziś rano spotykamy się z syndykatem rosyjskich inwestorów, więc nie jestem pewny...

— Tak czy nie, Bobby? — pytała niecierpliwie Lucky. — Chcesz to zrobić? Nie baw się ze mną w żadne podchody, bo oboje doskonale wiemy, kto wygra.

— Muszę porozmawiać z M.J.

— Porozmawiaj, a jeśli odpowiedź będzie twierdząca, oczekuję cię jutro, żeby spisać umowę.

— Jutro? W Las Vegas? Czy to nie za szybko?

— To jest biznes, Bobby. Oferta jednorazowa. Oddzwoń w ciągu godziny.

1 się rozłączyła. Lucky Santangelo. Kobieta interesu. Piękność światowej klasy. Modliszka. Niedająca się powstrzymać siła natury. Mama.

Co jest? — chciał wiedzieć M.J. - Nie uwierzysz. — Bobby powoli kręcił głową. Może lepiej się o tym przekonaj.

Keys. Jeśli chcemy przejąć koncesję na prowadzenie klubu, to może być nasza.

\* \* \*

Rosjanie stanowili grupę nieufnych miliarderów. Trzech mężczyzn i jedna żona, starsza kobieta ze złowieszczymi skośnymi oczami, twarzą po botoksie i jasnoczerwonymi wargami.

Wszyscy mężczyźni byli łysi, mieli duże brzuchy i żółte zęby. Bobby znienawidził ich wszystkich od pierwszego wejrzenia. Odziedziczył talent Lucky do natychmiastowej oceny sytuacji i doskonałe wyczucie biznesu Dimitria.

Rosjanie proponowali tak śmiesznie jednostronną umowę, że Bobby i M.J. nie mogli się doczekać, aż wyjdą z ich przesadnie udekorowanego biura.

— Wiesz — powiedział Bobby w windzie po niezbyt satysfakcjonującym spotkaniu — Lucky zawsze mi mówiła, że jeśli zamykają się jedne drzwi, to na pewno otworzą się drugie. A ja myślę, że patrzymy przez otwarte drzwi na Vegas. Co o tym sądzisz?

— Myślę, że jeśli chcemy umowy z Lucky, to musimy wsiadać do samolotu — powiedział M.J. z entuzjazmem. — Znasz mnie, wiesz, że kocham Los Angeles, a co do Vegas, to na pewno moglibyśmy to rozkręcić.

Bobby skinął głową. Zawsze marzył o Vegas, bo przecież to jego dziedzictwo. Dziadek Gino, razem z Bugsym Siegelem, był jednym z pionierów w końcu lat czterdziestych. Gino zbudował jeden z pierwszych wielkich hoteli w Vegas, zapoczątkował swoje tutejsze imperium, a Lucky poszła w jego ślady, budując dwa wspaniałe hotele.

Po raz pierwszy Bobby pomyślał o locie samolotem Stanis-lopoulosów. Na ogół nie korzystał z tak luksusowych premii, ale chodzi o Vegas, więc jeśli ten samolot ułatwi szybsze dotarcie na miejsce, to dlaczego nie.

M.J. podobał się ten pomysł.

— Nigdy nie leciałem samolotem Stanislopoulosów — oznajmił.

— Tylko dlatego, że ja nigdy go nie używam — powiedział Bobby.

— Bracie, gdybym ja miał do dyspozycji samolot...

— To samolot firmy. Jest do użytku zarządu.

— I twojego — przypomniał M.J.

— I Brigitte — dorzucił szybko Bobby. — Może latać tym samolotem, kiedy tylko chce.

— A co u niej słyhać? — zainteresował się M.J. — Ostatnio nie przychodzi do klubu, chętnie bym ją zobaczył.

Bobby poczuł ukłucie winy. Obiecał Lucky, że będzie czuwał nad Brigitte, a od wielu tygodni nawet do niej nie zadzwonił. Kiedy rozmawiał z nią po raz ostatni, wspominała o jakimś nowym facecie. Bobby wiedział, że powinien to śledzić, tak jak zrobiłaby Lucky, ale co, do diabła, ma inne sprawy na głowie. A Brigitte to duża dziewczynka, może o siebie zadbać. Ale czy rzeczywiście?

Nie. Wszyscy wiedzieli, że Brigitte przyciąga nieudaczników, pędzą w jej stronę jak mrówki do miski z miodem.

— Zadzwonię do Brigitte — zdecydował Bobby. — Dowiem się, czy chce polecieć z nami. Biznes plus zabawa.

— Spoko — odparł M.J. — A skoro lecimy twoim samolotem, to może wezmę moją dziewczynę?

— Jaką dziewczynę? — spytał Bobby z nutką zdziwienia.

— Dziewczynę, z którą się spotykam — powiedział beztrząsco M.J.

- Naprawdę?

- A co? Myślisz, że to mój wymysł?

- Nigdy nie wspominałeś, że się z kimś spotykasz.

Bo nigdy mnie o to nie pytałeś. A gdybyś zjawił się wczoraj na kolacji, tobyś ją poznał.

Kto to jest? — Bobby był zaintrygowany.

Ktoś bardzo niezwykle — odrzekł M.J. z uśmiechem samozadowolenia.

— Myślę, że wreszcie znalazłem Tę Jedyną. Hobby cynicznie uniósł brwi.

I teraz mi to mówisz?

Chciałem się upewnić, bracie. Nie ma w tym nic złego. Przyprowadź ją, to powiem ci, co o niej myślę.



— Z całym szacunkiem, ale w tym przypadku twoja opinia gówno mnie obchodzi.

\* \* \*

— Tak? — powiedziała Brigitte.

— Tak? — powtórzył Bobby.

— Dlaczego nie? To może być zabawna podróż — uznała Brigitte. — Od wieków nie korzystaliśmy z tego samolotu. Zabiorę Kris.

— Kto to jest Kris?

— Moja nowa miłość.

— Jeśli jesteś pewna, że chcesz...

— Tak, Bobby, polubicie się. Mogę ci uroczyście obiecać, że Kris nie należy do moich nieudaczników.

Na pewno. Słyszał to już wcześniej. Ale przynajmniej będzie miał okazję, żeby to ocenić, a Lucky niewątpliwie chętnie pozna nową osobę w życiu Brigitte.

A więc... podróż się odbędzie. Samolot ma być gotowy do startu o dwudziestej. M.J. zabiera swoją nową dziewczynę, Brigitte swoją najnowszą miłość. A Bobby? Cóż, Bobby leci sam.

*Rozdział dwudziesty ósmy*  
Annabelle

Powrót do Los Angeles obudził u Annabelle wiele wspomnień. Wsiadając z samolotu, znieruchomiała na kilka chwil i wdychała znajomy zapach miasta — smog i jaśmin. Oddychając głęboko, szykowałą się do powrotu, bez względu na to, jaki będzie. Na szczęście nie zamieszkają w rodzinnym domu. Frankie był na tyle sprytny, że załatwił dla nich apartament w hotelu Heverly Hills. Różowy Pałac, jak kiedyś nazywano ten luksusowy hotel. Ileż to razy Annabelle szła na wagary i kręciła się na dole w barze kanapkowym, wcinając hamburgery, słynną firmową sałatkę Neila McCarthy'ego i pijąc koktajle mleczne. Często trafiała na faceta, który chętnie spędzał czas z piętnastoletnią wagarowniczką, i to dopiero był ubaw, zwłaszcza kiedy w końcu wyjawiała mu, kim jest. Jeden stary producent, z którym doskonale się dogadywała, o mało się nie zesrał, kiedy się dowiedział, że jej tatą jest Ralph Maestro. Akurat obciągała mu w jego apartamencie

nad basenem i jego kutas praktycznie skrył się w jego własnej dupie.  
Dobre czasy!

A teraz wraca do Różowego Pałacu ze swoim chłopakiem Frankiem, który wie, jakie niespodzianki ją czekają.

Denver zameldowała ich w hotelu i towarzyszyła im do apartamentu.  
— Ojciec zaprasza cię jutro na wczesną kolację — poinformowała Annabelle.

— Z tobą?

— Nie, beze mnie.

— Ale ty musisz tam być! — zawyła Annabelle, czepiając się ręki Denver. — Bez ciebie nie pójdę. Jesteś dla mnie wsparciem. Potrzebuję cię.

— Nie jestem zaproszona — wyjaśniła Denver. Frankie obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

— Ona cię zaprasza — oznajmił, kładąc rękę na jej ramieniu i kierując ją w stronę drzwi. — Przecież zależy nam, żeby wszystko poszło gładko i bez problemów.

— Jestem jednym z prawników pana Maestro, nie opiekunką do dzieci — tłumaczyła Denver.

— Zrób to dla niej — nalegał Frankie. — Ona jest teraz wyjątkowo wrażliwa, potrzebna jej pomoc. A ty jesteś jedną z jej najstarszych przyjaciółek.

— Gówna prawda! — prychnęła Denver.

— To nie ma znaczenia. Po prostu to zrób — powiedział Frankie, wypychając ją łagodnie za drzwi.

Annabelle była zajęta oglądaniem apartamentu. Na szczęście był urządzone tak jak lubiła. Po sprawdzeniu łóżka zamówiła dwanaście dodatkowych poduszek i nową kołdrę. Potem zlustrowała marmurową łazienkę, zamówiła trzy tuziny dużych ręczników kąpielowych i dodatkowe szlafroki. Następnie umówiła się na wizytę w La Prairie spa.

Tymczasem Frankie przespacerował się po terenie hotelu. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. W ogrodzie rosły bouganville, dzikie róże i rozmaite egzotyczne palmy — nigdy nie widział czegoś podobnego. Pogoda była łagodna, bezchmurna, z lekką chłodzącą bryzą. Basen o rozmiarach olimpijskich otaczały prywatne kabiny. Frankie natychmiast zarezerwował jedną z nich, a potem skierował się do sławnej Polo Lounge, którą także obejrzał. Wydawało mu się, że zobaczył Justina Timberlake'a siedzącego w łoży z cudowną blondynką.

Cholera! To miasto jest w jego guście. Frankie zdecydowanie widział tutaj siebie. Frankie Romano, pierwszorzędny dostarczyciel pierwszej klasy księżniczek napalonym facetom, którzy wolą za to zapłacić, niż zawracać sobie głowę umawianiem się na randki. Ci napaleni sławni faceci wkrótce staną się jego najlepszymi kumplami. Wyobrażał sobie Cruise'a, Clooneya, Snoop Dogga, a może nawet Timberlake'a.

Frankie uśmiechnął się do siebie. Los Angeles to miejsce dla niego. I przy niewielkiej pomocy Annabelle postara się, żeby tu zostali.

\* \* \*

Simon Waitrose rozparł się na sfatygowanym, obitym skórą obrotowym krześle, stojącym za zarzuconym papierami biurkiem, i patrzył na niebudzącego zaufania młodzieńca, który przed chwilą wślizgnął się do jego gabinetu. Chip, co dla nas masz? — zapytał.

Chip Bonafacio zaczął szybko mrugać. Ten cały Simon Waitrose z tym swoim angielskim akcentem i przenikliwym spojrzeniem wprawiał go w zakłopotanie. Przypominał Chipowi niesławnego Simona Cowella z telewizji. Bezpośredni, stawiający wysokie wymagania, niegrzeczny. Ale Chip nie odwiedzał

gabinetu Simona w poszukiwaniu przyjaciół. Nie. Miał do sprzedania historię i przeprowadził już wstępne rozmowy, żeby zapłacono mu mnóstwo forsy. Musi tylko dostarczyć dowody, że historia jest prawdziwa.

Odbył już dwa spotkania w „Truth & Fact”, jedno z prawą ręką Simona — zgryźliwą kobietą o wystających zębach i ze strasznym zezem — i drugie z samym Simonem, który poinformował go, że jeśli może dostarczyć niezbite dowody, iż Annabelle Maestro prowadzi agencję dziewczyn na telefon, to dostanie pieniądze.

Niezbite dowody? A co stanowi niezbity dowód?

Przede wszystkim nie mógł się lepiej wstrzelić, jeśli chodzi o czas.

Annabelle i Frankie wyjechali, matka przeniosła się do ich apartamentu przy Park Avenue, miał więc idealną okazję, by prowadzić poszukiwania. Najpierw musi unieszkodliwić matkę. Jest wścibska, zawsze wtrąca się w jego sprawy.

Nie ma problemu. Opracował plan i późnym popołudniem w poniedziałek wprowadził go w życie, wrzucając jej dwie pastylki ambienu do herbaty. To posunięcie wkrótce przeniosło ją do krainy Morfeusza, dając mu swobodę myszkowania w tym przeklętym mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, co potwierdzi opowiedzianą przez niego historię.

Zabrał się do poszukiwań, zaczynając od głównej sypialni, gdzie znalazł tylko ciuchy znanych projektantów, buty i torebki. Annabelle Maestro najwyraźniej wydawała pieniądze tak, jakby wychodziły z mody.

Następnie przejrzał badziewie Frankiego, gdzie odkrył krawaty za dwieście pięćdziesiąt dolarów, jeszcze z metką, marynarki Hugo Bossa, ubrania od Brioniego, drogie stroje sportowe i z tuzin czarnych swetrów z kaszmiru z długimi rękawami.

Ta parka musiała przepuścić fortunę.

Chip poczuł ukłucie zazdrości. To on odwała całą choler-

na robotę, wozi dziwki tam, gdzie mają się stawić, podczas gdy panna Zadarty Nos Maestro i jej naćpany kochaś zgarniają kasę.

Do diabła z nimi. Chip ujawni ich brudny interes, nie bacząc na konsekwencje. Wkrótce sam będzie miał wielką forszę i będzie mógł nią szastać.

W zamkniętych szufladach biblioteki znalazł wszystkie dowody i zdjęcia, których potrzebował.

— Ma pan swoje dowody — powiedział, starając się zachowywać jak prawdziwy macho, kiedy rzucił szarą kopertę na zabałaganione biurko Simona.

— I co dokładnie tutaj mamy? — spytał Simon, otwierając ją i wysypując zawartość na blat biurka.

— Mnóstwo — pochwalił się Chip. — Same pikantne.

— Pikantne, tak? — nie dowierzał Simon. — Lepiej, żeby tak było, bo nie cierpię, gdy ktoś marnuje mój czas.

— Nigdy bym się nie ośmielił — zachichotał Chip.

— Nie, brachu, nie ośmieliłbyś się — stwierdził Simon, przeglądając materiały z koperty Chipa. Znalazł zdjęcie Annabelle ze sławnymi rodzicami i przyglądał mu się przez chwilę. Kiedy je zrobiono, Annabelle miała około piętnastu lat. — I, adna dziewczyna — zauważył. — Masz coś bardziej współczesnego?

- Proszę oglądać. Simon wyciągnął kolejne zdjęcie. Była na nim Annabelle, Frankie i dwie dziewczyny, które czasami dla nich pracowały — jedna dość znana piosenkarka, druga zaś aktorka z serialu. Obydwie miały rozpoznawalne twarze.

Te dwie to dziwki — wyjaśnił Chip. — Wozilem je na schadzki.

Naprawdę?

Jasne. Chętnie zarobią ekstra forszę. Dostają po osiem paczek za numer. Gotówką.

— Dowód?

— Zobacz pan. Mam ich zdjęcia w maskach, mam rachunki hotelowe. Mam daty, godziny, nazwiska klientów. Wszystko tu jest.

— No dobrze. — Simon przejrzał kolejne fotografie. — Wygląda na to, że mamy tu niezły materiał. A dobra wiadomość jest taka: jeśli to wezmę, damy na jedynkę środowego wydania, w samą porę na czwartkowy pogrzeb.

Denver

Ale mam francowate szczęście. Annabelle uznała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, a Felix uważa, że to wspaniała wiadomość. Można mnie poświęcić, byle tylko klient numer jeden, pan Ralph Maestro, był zadowolony. Dla dobra sprawy.

Nie ma, co prawda, sprawy, bo kiedy odmrażałam sobie tyłek w Nowym Jorku, pojawili się dwaj podejrzani. Zręczne działanie policji z Beverly Hills. Byłam pod wrażeniem.

Podejrzany numer jeden — usuwający Ralpa z tej uprzywilejowanej pozycji — to dręczyciel/wielbiciel, który rzekomo całą kampanię prześladowczą (listy, prezenty, groźby, deklaracje miłości/nienawiści) prowadził z Nowego Orleanu, toteż nikt nie brał jego groźb poważnie. Jednak po szeroko omawianym w mediach zamordowaniu Gemmy zgłosiła się jego siostra z informacją, iż rzeczony prześladowca/wielbiciel wyruszył dwa dni wcześniej do Los Angeles, zamierzając spotkać kobietę swoich snów/koszmarów.

Podejrzany numer dwa — spychający Ralpa jeszcze niżej na drabinie — to tajemniczy mężczyzna, którego paparazzi przyłapali na lunchu z Gemmą w małej restauracji na wzgórzach

nad Malibu. Zdjęcia zrobiono dzień przed jej śmiercią i nikt, łącznie z Ralphem, nie wiedział, kim jest ten mężczyzna.

Czy Gemma miała romans? Czy zdradzała Ralpha? Czy idealne małżeństwo filmowych gwiazd jednak nie było wcale takie idealne? Internetowe witryny plotkarskie się przegrzewały.

Ale wróćmy do mnie i mojej nowej najlepszej przyjaciółki Annabelle Maestro.

— Mam swoje życie — poinformowałam Felixa. — Dlaczego twoim zdaniem tak ważne jest to, żebym poszła na tę kolację z Annabelle? Ralph nawet mnie nie lubi, traktuje mnie, jakbym była twoją asystentką. Ale ja jestem doskonałym prawnikiem i zasługuję na szacunek.

Felix Saunders, znany także jako Ząb Rekina, ustawił mnie w sposób nieco wyniosły. Stosunki między klientem a prawnikiem są bardzo ważne, ponieważ klient jest uzależniony od swojego adwokata nie tylko w kwestiach prawnych. Klient powinien go traktować jak lojalnego przyjaciela i powiernika.

W końcu się poddałam, bo, prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko temu, żeby zobaczyć, jak odnoszą się do siebie Annabelle i jej sławny tata. Jako zajadła obserwatorka ludzkich zachowań w jakiś perwersyjny sposób na to czekałam. W sądzie zawsze uważnie obserwuję przysięgłych i ich reakcje na najdrobniejsze okruchy informacji. Przekonałam się, że kiedy przyjdzie co do czego, to się zawsze opłaca.

Mario odpowiedział mi SMS-em: *Kolacja aktualna. Nie mogę się doczekać.*

Zastanawiałam się, czy do niego zadzwonić, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Wystarczy kolejny SMS. Krótki i rzeczowy: *Przepraszam. Kolacja odwołana z powodów zawodowych. Może jutro wieczorem?* Aż tak bardzo mi nie zależy. Mario to rozrywka, a nie początek czegoś ważnego.



Kiedy siedziałam w samolocie, Carolyn przysłała mi kolejny SMS:

*Musimy pogadać! Tyle się dzieje!*

Miała przyjechać do Los Angeles na ferie bożonarodzeniowe za dwa tygodnie. Nie mogłam się doczekać, kiedy się wszystkiego dowiem. Będę spędzała z nią czas na różnych dziewczynskich zajęciach, na które nigdy nie mogę sobie pozwolić, kiedy jestem sama. Przewidywałam leniwy i relaksujący dzień w koreańskim spa. W idiotycznym sklepie w Grove. Mnóstwo filmów. Może nawet długi weekend w Palm Springs z moim przyjacielem, homoseksualistą Teddym, wspaniałym fryzjerem. Carolyn to prawdziwa przyjaciółka, osoba, na którą zawsze i bez względu na wszystko mogę liczyć. Czułam, że naprawdę jest czymś podekscytowana, i nie mogłam się doczekać, kiedy usłyszę od niej nowiny.

\* \* \*

Kiedy czekaliśmy przed hotelem na limuzynę, Annabelle złapała mnie za rękę i powiedziała:

— Dziękuję, że to robisz, Denver. Wiem, że to nie należy do zakresu twoich obowiązków, i naprawdę to doceniam.

Annabelle coś docenia. To zdecydowanie niezgodne z jej charakterem.

Po czym dodała, wywołując w mojej głowie jeszcze większy chaos:

— Czy wiesz, że w szkole zawsze ci zazdrościłam? Twoje życie wydawało się takie normalne w porównaniu z moim. Miałaś rodziców, którzy bywali w szkole, troszczyli się o ciebie. Byłam bardzo zazdrosna. Czy ona sobie, do cholery, robi ze mnie jaja? Annabelle Maestro zazdrosna o mnie! Nie ma mowy.

Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, przyskoczył Frankie, który właśnie przedstawił się słynnemu koszykarzowi czekającemu na swój samochód.

— Jezu! — wykrzyknął Frankie, zadowolony, że wypatrzył kolejną sławę. — Ten Rick Fox to naprawdę wysoki sukinsyn. Zaprosiłem go do Mood, kiedy będzie następnym razem w Nowym Jorku. Dałem mu wizytówkę.

— A kto to jest Rick Fox? — spytała obojętnie Annabelle.

— Kto to jest Rick Fox! — Frankie o mało się nie udławił. — Była gwiazda Lakersów. Wszyscy wiedzą, kto to jest Rick Fox. Był mężem Vanessy Williams, niezłej laski.

Annabelle już miała zapytać, kto to jest Vanessa Williams — i mogłabym jej to wytłumaczyć, bo jestem gorącą wielbicielką *Brzyduli Betty* — ale podjechała limuzyna i wpakowaliśmy się do środka.

Po dziesięciu minutach dotarliśmy na miejsce, Ralph Maestro z kamienną twarzą powitał nas przy drzwiach swojej imponującej rezydencji. Lekko skinął mi głową, ścisnął dłoń Frankiego i pochylił się, by uhonorować Annabelle niezręcznym uściskiem. Nie padło żadne słowo, kiedy szliśmy za nim do domu.

Spojrzałam na Annabelle. Idealny makijaż nie zdradzał niczego.

Ralph poprowadził nas do olbrzymiego salonu, w którym nad kominkiem dominował gigantyczny portret jego i Gemmy. Polana płonęły jasno, a za wyjątkowo długim barem kręcił się kelner.

— Zamówcie sobie drinki — powiedział Ralph, a w jego głosie usłyszałam napięcie. — Co chcecie.

Zauważyłam, że od naszego ostatniego spotkania zniknęła jego opalenizna. Być może odwiedzanie solarium w tak trudnym okresie nie należało do najlepszych pomysłów. Ale chyba Ralph ma ludzi, którzy przychodzą do niego?

Kiedy rozważałam problem zanikającej opalenizny, Annabelle zamówiła martini, a Frankie Jacka z lodem. Najwyraźniej był przekonany, że Jack (zauważcie: Jack w odróżnieniu od

Jacka Danielsa) to modny hollywoodzki drink. I chyba miał rację, bo Ralph zamówił to samo.

Ja poprosiłam o kieliszek białego wina. Napój mięczaków, ale przynajmniej wystarczy na jakiś czas, kiedy wszyscy wokół się upiją. A upicie się najwyraźniej było w planie, bo Annabelle wychyliła martini trzema dużymi łykami i natychmiast poprosiła o następne. Proszę bardzo! Trzymaj się, bo podejrzewam, że to będzie wyboisty wieczór.

\* \* \*

Wyobraźcie sobie kolację, podczas której nie ulega wątpliwości, że wszyscy nawzajem się nienawidzą, ale ze względu na pozory obowiązuje uprzejmość.

Można by pomyśleć, że Ralph wydaje kolację dla licznych wielbicieli, którzy wygrali wieczór w towarzystwie wielkiego gwiazdora. Był sztywny, skrepowany i chłodny.

Frankiemu natomiast nie zamykały się usta. Na swoim zwykłym napędzanym koką haju (o tak, niewiele czasu potrzebowałam, by się zorientować, że jego liczne wizyty w łazience nie mają na celu siusiania) plótł o hotelu, o mieście, o pogodzie i o tym, jaki to honor poznać wreszcie niepowtarzalnego Ralpa Maestra.

- Widziałem wszystkie pana filmy — paplał Frankie, co wywołało niechętnie spojrzenie Annabelle, która nie miała pojęcia, że jest aż takim wielbicielem jej ojca. — *Brain-dead*,

*I lie Great American Train Wreck, Jolt, Finding Mr Lee*. Dorastałem, oglądając pańskie filmy. Pan i Bruce Willis, wy dwaj, byliście niedościgli.

Miałam nieodparte wrażenie, że Ralph zamierzał okazać niechęć chłopakowi Annabelle, ale wyrazy uznania płynęły tak szybko, że jego rozbuchane ego nie mogło im się oprzeć. Kiwał ulową, przyjmując pochwały jako coś, co słusznie mu się należy.

Obydwie z Annabelle słuchałyśmy w milczącym osłupieniu, jak Frankie omawia szczegółowo każdy z licznych filmów Ralpa.

Po jakimś czasie zdawało się, że Annabelle dłużej tego nie zniesie.

— Przepraszamy — powiedziała, wstając i rzucając mi znaczące spojrzenie. — Zaraz wrócimy.

To chyba oznaczało, że mam z nią wyjść, zostawiając Frankiemu możliwość swobodnego wsadzania nochała w tyłek Ralpa, która to czynność chyba bardzo mu odpowiadała.

Annabelle zaprowadziła mnie do ozdobnej garderoby dla gości, gdzie wisiały niesamowite zasłony w kolorze turkusowym i złotym.

— Muszę zapalić — wymamrotała, szukając w torbie od Balenciagi paczki marlboro. — Prawdziwa tortura.

— Wyobrażam sobie, że twój tata nadal jest w szoku — powiedziałam bez przekonania. — Poza tym, że Frankie zmonopolizował rozmowę.

— Frankie potrafi być takim palantem — jęknęła Annabelle, przekreślając swojego chłopaka jednym gwałtownym machnięciem dłoni. — Kto wiedział, że wielbił Ralpa? Ja na pewno nie.

— Nie miałaś o tym pojęcia?

— Najmniejszego. *Nada*. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy o mojej rodzinie, a teraz ten popis adoracji. Szczerze mówiąc, jestem zde gustowana.

— Nie dziwię ci się.

— Och, Denver! — wykrzyknęła Annabelle, łapiąc mnie nagle za rękę.

— Jestem ci taka wdzięczna, że tu jesteś. Naprawdę nie mogłabym przez to przejść, gdybyś nie wspierała mnie swoją obecnością.

— Nonsens — mruknęłam, gwałtownie przetykając ślinę. — Poradziłabyś sobie doskonale.

— Nic podobnego.

— Jak najbardziej. O co tu chodzi? Dlaczego nagle stałam się niezbędna?

— W każdym razie jesteś tutaj — ciągnęła Annabelle — a dopóki jesteśmy razem, dam sobie radę. Pogrzeb jest w czwartek, a zaraz potem chcę być w samolocie do Nowego Jorku. Czy możesz to załatwić? Cholera! Więc do moich obowiązków trzeba jeszcze dodać prowadzenie biura podróży.

Przy stole w jadalni Frankie cytował kwestie z *Brain-dead*, a Ralph wreszcie sprawiał wrażenie znudzonego. Ignorując Frankiego, który był w połowie cytatu, Ralph obrzucił Annabelle jednym z tych swoich zimnych i stanowczych spojrzeń i powiedział:

— Spodziewam się, że skoro już tu jesteś, przejrzysz rzeczy matki. Służące ci pomogą. Tylko uważaj, żeby niczego nie gwizdnęły.

— Chcesz, żebym ja to zrobiła? — Ta perspektywa najwyraźniej nie ucieszyła Annabelle.

— Owszem, ty — powiedział ostro Ralph. — Nie ma nikogo innego, kto należałby do rodziny, więc to twój obowiązek. Hadź tu o dziesiątej rano.

- Ale...

— Annabelle — głos Ralpa był lodowato zimny — jesteś jej córką. Ona by sobie tego życzyła.

— Nie sądzę — wymamrotała Annabelle.

- A ja tak — powiedział Ralph, hipnotyzując ją tą swoją twarzą wielkiego gwiazdora.

Koniec dyskusji.

Wyszliśmy stamtąd o dwudziestej pierwszej trzydzięci. Pora na imprezę — stwierdził Frankie, zacierając ręce w przewidywaniu szalonej hollywoodzkiej nocy. — Dokąd tu się chodzi?

Jak na jeden wieczór miałam zdecydowanie dosyć Frankiego Romano.  
— Nie mam pojęcia — powiedziałam, wzruszając ramionami. — Ja idę do domu.

— Nie ma mowy — zaprotestował Frankie. — Dziś wieczorem się bawimy. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje w tym mieście. Złapać tutejsze vibracje.

— Przykro mi — powiedziałam, choć była to nieprawda — będziesz musiał zrobić to sam.

— Owszem — zgodziła się ze mną Annabelle. — Możesz iść sam, Frankie. Po tej kolacji w tak napiętej atmosferze jestem wykończona.

— Chryste! Co się z wami dzieje? — narzekał Frankie.

— Kierowca zawiezie cię, dokąd będziesz chciał — zaproponowałam. — Gdy już odwiezie nas do hotelu, skąd ja zabiorę swój samochód, a Annabelle będzie mogła się wyspać.

— Co wy? Macie po pięćdziesiąt lat? — kpił Frankie.

— Dokładnie dwadzieścia pięć — wyjaśniłam, z każdą chwilą nienawidząc go coraz bardziej. — Ale nie przejmuj się, nie wątpię, że potrafisz doskonale zabawić się bez nas.

Annabelle stłumiła chichot. Nieczęsto się zdarzało, by Frankie nie postawił na swoim.

Wysiadłyśmy z limuzyny przed hotelem, a Frankie wyruszył Bóg wie dokąd.

Wydawało się, że Annabelle wcale się tym nie przejmuje.

— Masz rację, on potrafi o siebie zadbać — powiedziała. — Do zobaczenia rano, Denver.

— Naprawdę?

— O dziesiątej. Razem pojedziemy do domu i zajmiemy się rzeczami mamy.

— Posłuchaj, Annabelle — zaczęłam, czując się nieswojo — chętnie bym ci pomogła, ale jest jedna przeszkoda: jutro muszę

być w biurze. Mam duże zaległości. Muszę się zająć tysiącem spraw.  
— Nie martw się — Annabelle machnęła ręką — Ralph załatwi to z  
twoim szefem. Zapamiętaj jedno: dopóki jestem w Los Angeles, należysz  
wyłącznie do mnie.

To się nazywa pułapka. Wydawało się, że nie mam nic do powiedzenia.

*Rozdział trzydziesty*  
Carolyn

We wtorkowy poranek Carolyn obudziła się wcześniej. Była zbyt podniecona, by spać. Gregory obiecał jej niespodziankę i zastanawianie się, co to może być, doprowadzało ją do szaleństwa. Nie miała wątpliwości, że będzie to coś, co ją ucieszy, coś, co będzie się wiązało z ich wspólną przyszłością, coś niezwykłego.

Nucąc pod nosem, zdecydowała, że ma dość czasu, by pobiegać przed pracą. Włożyła jasnoniebieski dres i buty Pумы. Wychodząc z mieszkania, nadziała się na Kerri.

— Ale się cieszę, że cię widzę! — wykrzyknęła sąsiadka. — Mam do ciebie wielką prośbę.

— Mianowicie?

— Wiesz, że raz w miesiącu wykupuję lekarstwa Nellie.

— Wiem, i ona naprawdę jest ci bardzo wdzięczna. To miłe z twojej strony.

Kerri skromnie wzruszyła ramionami.

— Pewnie to jeden z tych dwunastu dobrych uczynków w ciągu roku. Ale mam prośbę. Nie mogę dzisiaj tego załatwić, idę na bardzo ważną randkę, spotykam się z kimś pod pracą.



A ponieważ Nellie skończyły się pigułki nasenne i leki na serce, czy możesz je wykupić zamiast mnie i jej zanieść?

— Oczywiście — odrzekła Carolyn. — Nie ma sprawy.

— To już zapłacone — wyjaśniła Kerri. — Wczoraj zostawiłam receptę w aptece, wszystko będzie gotowe po siedemnastej.

— W porządku.

— Jesteś słodka. — Kerri uściskała Carolyn.

— Powinniśmy robić to na zmianę.

— Jestem za tym.

— Mogłam pomyśleć o tym wcześniej.

— Przecież robisz, co do ciebie należy, ciągle zaglądasz do staruszki, żeby się upewnić, czy jeszcze oddycha.

— Obydwe robimy, co w naszej mocy.

— Co powiesz na wczesne śniadanie jutro rano? — spytała Kerri. — Opowiem ci wszystkie pikantne szczegóły nocy, która, mam nadzieję, będzie wypełniona szaleńczą żądzą.

Brzmi interesująco — przyznała Carolyn. I nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać: — Niewykluczone, że ja też będę miała ekscytujące informacje.

Fantastycznie! Widujesz się z kimś?

Możliwe... — Carolyn odczuwała pokusę, by wszystko wyśpiewać.

Tak trzymaj. Możesz mi jutro wszystko o nim opowiedzieć. W tym samym miejscu, o tej samej porze. Ja stawiam. Carolyn skinęła głową.

Postaraj się zapamiętać najdrobniejsze szczegóły. Oczywiście. — Kerri promieniała. — O to się nie martw.

\* \* \*

Później tego samego dnia Carolyn weszła do biura Muriel i oznajmiła: Dzisiaj wychodzę wcześniej.

— A to dlaczego? — spytała Muriel, siedząc sztywno za biurkiem.

— Senator wie. Wspominałam mu o tym w ubiegłym tygodniu.

— Nic mi nie mówił.

— Czy mówi ci o wszystkim?

— Dokąd idziesz? — spytała Muriel, uderzając piórem o blat biurka.

„Nie twoja sprawa”, miała ochotę odpowiedzieć Carolyn. Ale nie zrobiła tego, nie straciła panowania nad sobą.

— Do dentysty.

— W środku dnia? Carolyn wzruszyła ramionami.

— Senator wyraził zgodę, a skoro wydaje się, że dzisiaj znowu nie przyjdzie, to chyba wybrałam właściwy moment.

— Sprawy osobiste powinno się załatwiać po godzinach pracy — powiedziała nadęta Muriel. — Z pewnością wiesz o tym?

— Owszem. Ale zdarzają się wyjątki.

— Dla niektórych osób — prychnęła z dezaprobatą sekretarka.

Carolyn nie mogła się powstrzymać od komentarza, który musiał rozzłościć Muriel, doskonale o tym wiedziała.

— Pewnie należę do tych osób. Do zobaczenia, Muriel. Uciekając z biura bez dalszych przesłuchań, udała się na podziemny parking. Wszystko się zmieni, to takie ekscytujące, już nie mogła się doczekać.

Wsiadła do pontiaca 2006 i przez kilka chwil siedziała nieruchomo, rozmyślając o przyszłości. Gregory zachowywał się tajemniczo, ale był niezwykle stanowczy. Niespodzianka. Co to może być?

Kiedy rozmawiali przez telefon poprzedniego dnia, udzielił jej dokładnych wskazówek i nie pozwolił zadawać żadnych pytań.

— Nic nikomu nie mów — ostrzegł. — Jeśli to zrobisz, wszystko zepsujesz.

Jakby mogła zrobić coś takiego. Mało prawdopodobne, by zwierzyła się pełnej dezaprobaty Muriel czy nowemu stażystce, który nosił o numer za duże lakierki i źle leżącą koszulę.

Słowa Gregory'ego odbijały się echem w jej głowie: „Pojeźdź główną drogą nad wiaduktem, a dalej drogą sto pięć. Zjedź zjazdem dziesiątym i mniej więcej po piętnastu minutach dojedziesz do nieczynnej stacji Shella. Czeka tam, aż się z tobą skontaktuję”.

Miała przeczucie, że dokładnie wie, co Gregory zaplanował. Chce się z nią spotkać w spokojnym miejscu, z dala od wścibskich oczu, a potem pojechać na oglądanie domu.

Jasne. Bo o jaką inną niespodziankę mogłoby chodzić?

Nie ma się nad czym zastanawiać. Gregory sieje ziarna ich wspólnego nowego życia.

Co do tego nie ma wątpliwości.

*Rozdział trzydziesty pierwszy*  
Bobby

Nowa dziewczyna M.J., Cassie, była młodszą wersją Janet Jackson. Jej uroda zapierała dech, miała figurę Wenus, zaledwie osiemnaście lat i bardzo chciała zaistnieć w przemyśle muzycznym.

Bobby wziął M.J. na bok, kiedy czekali na prywatnym lotnisku na przybycie Brigitte.

— Do jasnej cholery! To dzieciak! — wykrzyknął. — Do licha, M.J., ona jest prawie w tym samym wieku co Max. Co ty sobie myślisz?

— Myślę, że w końcu znalazłem Tę Jedyńą—odpowiedział M.J. — Nie ma w tym nic złego, sam powinieneś spróbować.

— Zabieramy ją poza granicę stanu — przypomniał Bobby. — Czy to w ogóle jest legalne?

— Hola, brachu, ona ma osiemnaście, nie dwanaście lat — warknął M.J.

— Ucieszyłbym się, gdybyś darował sobie komentarze, a zabrał się do realizowania programu.

— W porządku. Porywaj sobie dzieci, w końcu co mnie to obchodzi. Przyjaźnili się z M.J. od ósmej klasy. M.J. zawsze był

graczem, dziewczyny go uwielbiały. Bobby uważał, że przyjaciel jest o wiele za młody, żeby się ustatkować. Musiał przyznać, że M.J. i Cassie tworzą piękną parę, a Cassie wydawała się słodka, choć nie należała do typu dziewczyn, jakie lubił M.J. A lubił, żeby były pyskate i seksowne. Brigitte jak zwykle się spóźniała. Cechę tę odziedziczyła po swojej nieżyjącej matce Olympii, przyrodniej siostrze Bobby'ego. Chociaż Brigitte miała dziesięć lat więcej niż on, był jej wujem, który to fakt bardzo ich śmieszył.

— Spóźniłaś się — oznajmił rzecz oczywistą.

— Wiem — powiedziała z pogodnym, bynajmniej nie przepraszającym uśmiechem.

Bobby z zadowoleniem skonstatował, że Brigitte sprawia wrażenie szczęśliwej. To pewnie wpływ nowego chłopaka.

Z limuzyny Brigitte wysiadła wysoka wysportowana blondynka z krótko ostrzyżonymi włosami, szerokimi ramionami, zdrową opalenizną i szerokim uśmiechem.

Brigitte wzięła ją za rękę.

— Bobby — oznajmiła promiennie — chciałam cię poznać /. Kris. To kobieta, która przywróciła mi uśmiech. Czyż nie jest zadziwiająca?

\* \* \*

Podczas całego lotu do Las Vegas Bobby myślał o tym, co będzie miał do powiedzenia Lucky na temat tak niespodziewanego obrotu spraw.

Zmiana orientacji Brigitte była niespodzianką, choć kiedy się nad tym głębiej zastanowił, wcale nie był zaszokowany. Przecież Brigitte

przeżyła defiladę nieudaczników i psycholi — a wszyscy byli

mężczyznami, więc może z kobietą będzie miała więcej szczęścia. Z

pewnością była zadowolona i wyglądała fantastycznie. Żartowały z Kris jak para nastolatek.

Kris była zawodową tenisistką, odnoszącą pewne sukcesy.

— Poznałyśmy się u Hamptonów na przyjęciu P. Diddy tylko dla białych — wyznała Brigitte. — Przyszłam z bezrobotnym aktorem, który uznał, że jestem sposobem na zapłacenie wszystkich jego rachunków, nie wyłączając alimentów dla byłej żony. A Kris niedawno zerwała z długoletnią przyjaciółką.

— Byłyśmy razem osiem lat — wtrąciła Kris. — Ona chciała mieć akt ślubu i dziecko. A ja chciałam tylko z tym skończyć.

— Żadna z nas nie szukała...

— Póki na siebie nie spojrzaliśmy — przerwała Kris.

— I wtedy — Brigitte uśmiechnęła się przebiegle — nastąpiło uderzenie pioruna. Od razu wiedziałam, że Kris odmieni moje życie, i choć jesteśmy razem dopiero od lata, już to zrobiła.

Kris ścisnęła rękę Brigitte, po czym przez chwilę skoncentrowała się na Bobbym.

— Jestem szczęśliwa, że wreszcie cię poznałam — powiedziała. —

Wiem, że rodzina bardzo wiele znaczy dla Brigitte, więc kiedy nadarzyła się okazja, żeby wspólnie odbyć tę podróż, obydwie wymówiłyśmy dźwięczne „tak”. Nie mogę się doczekać spotkania z resztą rodziny.

— Doczekasz się — powiedział Bobby, rzucając okiem na M.J. i Cassie, którzy nie mogli się od siebie oderwać.

Wydawało się, że tylko on jest niedopasowany. Sam. Bez znaczącego dopełnienia.

Ma za to słabość do sławnej supergwiazdy, która potraktowała go jak ogiera. Miło.

\* \* \*

Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać Bobby, kiedy ośmioosobowa, wyjątkowo długa limuzyna zabierała ich z lotniska do kompleksu Keys, była olbrzymia tablica reklamowa zapowiadająca jedyny występ Zeeny w hotelu Cavendish. Miało się to odbyć następnego wieczoru.

Jezu! Czy nie ma ucieczki?

Cavendish — cieszący się powodzeniem hotel — był usytuowany obok Keys, a właścicielki — para lesbijek — przyjaźniły się z Lucky i Lennie. Bobby'emu przyszło do głowy, że następnego dnia wieczorem będzie ze swoimi bliskimi siedział w hotelu Cavendish, oglądając występ Zeeny. To tylko przeczucie, ale znając Lucky, mógł przypuszczać, że już załatwiła bilety. Kiedy do Las Vegas przyjeżdżali goście, Lucky zawsze starała się, by zobaczyli najlepszy program rozrywkowy, jaki aktualnie pokazywano.

Więc jeśli takie są plany, to co on zrobi?

Oczywiście pójdzie. Nie ma problemu, Zeena nawet nie będzie wiedziała o jego obecności. Zasiądzie na widowni jak każdy inny wielbiciel.

— Popatrzcie! — wykrzyknęła Cassie, wychylając się przez okno i wskazując tablicę reklamową. — Jutro wystąpi tu Zeena. Uwielbiam ją! M.J., pójdziemy?

Mogłaby równie dobrze poprosić, żeby rozebrał się do naga i biegał po ulicy, bo M.J. świata poza nią nie widział.

— Jasne, skarbie. Spróbuję zdobyć bilety.

— Lucky pewnie już to zrobiła — zauważył Bobby.

— A jeśli nie, to możesz sam zadzwonić do Zeeny — zasugerował M.J.

— Gapi się na ciebie, jakbyś miał być befsztykiem na najbliższą kolację. Bobby'ego poruszyła wiadomość, że M.J. to zauważył, i do tej pory nie powiedział ani słowa. — Tak sądzisz? — spytał obojętnie.

Daj spokój, brachu — przekomarzał się M.J. — Wiesz równie dobrze jak ja, że Zeena ma do ciebie słabość. Człowieku, ona ma chrapkę na twoje ciało. Chce zniewolić twój piękny tyłek.

Nie zauważyłem.

Jasne. — M.J. mrugnął porozumiewawczo do Cassie. — Ty nie zauważyłeś, ale wszyscy w klubie jak najbardziej.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła Cassie, klaszcząc. — Zeena jest fantastyczna.

— I biseksualna — dorzuciła Kris, włączając się do rozmowy. — Muszę przyznać, że lubię kobiety, które nie mogą się zdecydować.

Gdyby tylko wiedzieli, pomyślał Bobby. Zanim mógł głębiej się nad tym zastanowić, limuzyna dojechała do kompleksu Keys.



*Rozdział trzydziesty drugi*  
Annabelle

Śniadanie w Polo Lounge ze skacowanym Frankiem wypełniło poranek Annabelle. Przesuwała po talerzu jajka sadzone i niecierpliwie stukwała nogą w podłogę.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Nowego Jorku — mamrotała. Frankie zdjął raybany, ukazując przekrwione oczy.

— Daj spokój, dziecinko, to miejsce aż pulsuje. Szkoda, że nie poszłaś ze mną wczoraj wieczorem. Mówię ci, to było coś. Naprawdę dużo straciłaś.

— Nie wątpię — odrzekła sztywno Annabelle, najwyraźniej nie pamiętając, jak sama szalała, będąc nastolatką. — Mam pełną świadomość tego, co się dzieje w Los Angeles. Niedołężni starzy durnie z viagrową gorączką i głupkowate smarkule popisujące się brakiem bielizny. Cudowne!

— Wydaje mi się, że to właśnie jest miasto odpowiednie dla nas — odpowiedział Frankie, popijając świeży sok z pomarańczy. — Wiesz, dziecinko, że moglibyśmy tu nieźle zarobić. Po tym, co zobaczyłem, uważam, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę.

Po co nam Los Angeles, skoro mamy Nowy Jork? — spytała Annabelle, marszcząc brwi.

— Ekspansja, dziecinko. O to chodzi w biznesie.

— Ale Frankie, z pewnością rozumiesz, że musimy być na miejscu. Nie możemy prowadzić interesu z innego miasta.

— Więc należy się zastanowić nad tym, jak więcej czasu spędzać w Los Angeles. — Zapalił się do tego pomysłu. — Weźmiemy kogoś takiego jak Janey do prowadzenia spraw podczas naszej nieobecności.

— Jasne — prychnęła Annabelle. — W każdym kącie czai się jakaś Janey.

— Znajdę kogoś — upierał się Frankie. — Znasz mnie, zawsze potrafię je wywęszyć.

— Nie rozumiem, dlaczego nie możesz się zadowolić tym, co mamy. — Annabelle denerwowało, że Frankie jest taki uparty.

— Dlatego, że chcę więcej, dziecinko. To nic złego. Annabelle odsunęła talerz. Frankie znowu zaczynał zawracać jej głowę. Dlaczego tak się napalił na Los Angeles, przecież wie, że ona nienawidzi tego miasta.

Rzuciła okiem na zegarek. Gdzie Denver? Dzięki Bogu jest ktoś, na kim może polegać, kto przeprowadzi ją bezpiecznie przez całe to zamieszanie. Wspomnienia Annabelle ze szkoły dotyczące Denver były niewyraźne. Mgliście przypominała sobie, że przez jakiś czas trzymały się razem, ale Denver nie lubiła chodzić do klubów czy na zakupy, zawsze na pierwszym miejscu stawiała odrabianie lekcji i rodzinę, a poza tym nigdy nie miała pieniędzy. Prawdę mówiąc, Denver była straszliwą nudziarą. Jednak to nie miało znaczenia, ponieważ jest tu teraz, a Annabelle potrzebuje jej wsparcia. Boleśnie oczywiste stawało się bowiem to, że na Frankiego nie można liczyć.

— Czy to Mel Gibson? — spytał Frankie, zniżając głos, kiedy wielki aktor przechodził koło ich stolika. — Jezu! Facet wygląda wspaniale.

— Kogo to obchodzi? — Annabelle odrzuciła włosy do

tyłu. — A co oznaczały te brednie wielbiciela Ralpa podczas wczorajszej kolacji? Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakiego głupka z siebie zrobiłeś?

Słowo „głupek” nie odpowiadało Frankiemu.

— Co cię dzisiaj ugryzło? — zapytał.

— Najwyraźniej nie ty — odparowała Annabelle, nie patrząc na niego.

— Co to ma znaczyć?

— Ma znaczyć to, że oddaliśmy się od siebie — wyjaśniła, patrząc w przestrzeń.

Frankie milczał przez chwilę, przetrawiając ostatnie wydarzenia. Jego dziewczyna robi się wobec niego zgryźliwa, i to nui się nie podoba.

Zdawał sobie sprawę, że jest zgnębiona śmiercią matki — nawet jeśli sobie tego nie uświadamia — ale to nie powód, żeby się na nim odgrywać. Wreszcie znaleźli się w Los Angeles i powinni rozkoszować się każdą minutą, zamiast skakać sobie do oczu.

Postanowił uratować sytuację, włączyć wdzięk Frankiego Romano.

-- Posłuchaj, obydwójce jesteśmy spięci, przeżyliśmy kilka okropnych dni.

Ale przecież wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda, dziecinko? —

Pochylił się i musnął ustami jej szyję dokładnie w taki sposób, jaki ją kręcił. — Dziś wieczorem zabieram cię na kolację, tylko we dwoje. A potem...

Frankie... — zaczęła, bez przekonania próbując go odepchnąć.

Nawet nie próbuj się opierać — powiedział stanowczo. — Masz rację, musimy trochę czasu spędzić sami. Zostaw to mnie, dziecinko, wszystko zorganizuję.

\* \* \*

Masz chłopaka? — spytała Annabelle, kiedy limuzyna wiozła je do rezydencji Maestro.

— No, niezupełnie takiego na stałe — odparła Denver, nie chcąc zdradzać Annabelle żadnych szczegółów ze swojego życia uczuciowego.

— Bardzo mądrze. — Annabelle skinęła głową, zapalając papierosa. — Ale ty zawsze byłaś sprytna. Komu potrzebny facet? Żeby zagracał mieszkanie? A może ty masz dom?

— Nie mam domu.

— Mieszkania są lepsze.

— Pewnie tak — przyznała Denver, która w ogóle nie miała ochoty na gadanie.

— Ja mam wspaniały apartament w Nowym Jorku — pochwaliła się Annabelle.

— Wiem, widziałam go.

Annabelle szybko umilkła. Miała na myśli zapierające dech przestrzenie przy Park Avenue, a nie tę dziurę w SoHo. Denver pewnie nawet nie pojęłaby, na czym polega różnica.

Resztę drogi do rezydencji Maestro przebyły w milczeniu. Kiedy czekały, aż otworzy się brama na końcu podjazdu, z krzaków wypadło kilku paparazzich i zaczęli fotografować.

Annabelle natychmiast zakryła rękami twarz.

— O Boże, nie mogę być fotografowana. Ludzie w Nowym Jorku nie mają pojęcia, kim jestem.

Denver nie powiedziała, że na pogrzebie będą ekipy telewizyjne, reporterzy, prasa — szaleństwo mediów.

Kiedy dotarły do domu, drzwi otworzyła Lupe, gospodyni. Poprowadziła je główną klatką schodową do luksusowej garderoby Gemmy, prawie tak dużej jak całe mieszkanie Denver.

Annabelle rzuciła się na fantazyjną różową dwuosobową kanapkę i powiedziała z westchnieniem:

— Ja tego po prostu nie mogę zrobić, będziesz musiała zrobić to za mnie. Nagle Denver przytłoczyły niedobre wspomnienia. Annabelle jęcząca w szkole średniej: „Nie mogę napisać tego testu

**z** historii, musisz go napisać za mnie". „Nie zdążę dziś do kafeterii, musisz mi przynieść lunch". „Nie mogę iść na przyjęcie do Carolyn, musisz mnie wytłumaczyć".

Denver znalazła się w piekle złych wspomnień i nie była **z** tego zadowolona. Kiedyś rozpaczliwie chciała być jedną **z** tych popularnych dziewcząt, tak rozpaczliwie, że zrobiłaby wszystko, o co prosiła Annabelle. Ale teraz sytuacja jest inna i chciała tylko wrócić do swojego biura i nadrobić zaległości w pracy.

— Posłuchaj! — wykrzyknęła, uderzając palcem w zegarek. — Zapomniałam o bardzo ważnym spotkaniu, na którym miałam być dzisiaj rano. Przykro mi, ale muszę iść.

— Przecież jesteś mi potrzebna! — zawyła Annabelle. — Nie możesz wyjść.

- Nie martw się, przyślę ci moją asystentkę Megan. Jest superkompetentna, wszystkim się zajmie. Polubisz ją. — I zanim Annabelle mogła zgłosić sprzeciw, Denver skierowała się do drzwi. Annabelle była sina z wściekłości. Nie mogła uwierzyć, że opuszczono ją w potrzebie. Denver Jones powinna całować ją w tyłek, a nie przed nią uciekać. Niezła z niej przyjaciółka!

\* \* \*

Siedząc w prywatnej kabinie hotelu Beverly Hills, Frankie obserwował rozwój sytuacji. Niewiele się działo, jednak było dość wcześnie. Jeszcze dużo czasu, nim zjawi się plejada gwiazd filmowych. Najlepiej Jessica Alba i Megan Fox w możliwie najmniejszych brazylijskich bikini. Postawiono dla niego leżak nad basenem, więc po posmarowaniu się kremem z filtrem wyszedł z kabiny, zamówiwszy uprzednio Krwawą Mary.

Poprzedniego wieczoru uwikłał się w nie lada historię. Gdyby mówić o raju cip, to jest nim Los Angeles. Mnóstwo dziewczyn.

Dziewczyn z dekolcami na plecach, prawie topless, w krótkich skąpych ciuchach. Dziewczyn z długimi blond włosami i ewidentnie sztucznymi cyckami. Dziewczyn z długimi ciemnymi włosami i ewidentnie sztucznymi ustami, rozpaczliwie próbujących dorównać swojej bogini Angelinie. Szkoda, że żadnej się nie udało.

Frankie pojechał do kilku klubów, w których coś się działo. W drugim z nich zajął miejsce przy barze i obserwował akcję. Wsunął barmanowi wizytówkę i zapytał, czy są właściciele.

W końcu zjawił się Rick Greco, facet, który prowadził klub i był jego współwłaścicielem. Przedstawił się.

Frankie uznał, że jest w nim coś dziwnie znajomego, jednak nie potrafił określić co.

— Przykro mi, ale nie szukamy didżeja — powiedział Rick, klepiąc Frankiego przyjaźnie po plecach.

— Nie przejmuj się, bo ja nie szukam pracy — odparł Frankie. — Przyjechałem na pogrzeb matki mojej dziewczyny. Gemma Summer. Pewnie czytałeś o tym. Bardzo poważna sprawa.

— O cholera. — Rick był pod odpowiednim wrażeniem. — To ci dopiero. — I po krótkiej pauzie: — Jej córka naprawdę jest twoją dziewczyną?

Co ten kretyn sobie wyobraża? Że to zmyśliłem?

— Owszem — odpowiedział, rozglądając się obojętnie. — Annabelle Maestro. Mieszkamy razem w Nowym Jorku.

Rick strzelił palcami na barmana.

— Mogę ci postawić następnego drinka?

— Jasne — odparł uprzejmie Frankie. — Dlaczego nie? Zaczęli rozmawiać i Frankie uznał, że Rick mógłby być doskonałym łącznikiem, szczególnie kiedy wyjawiał mu, że w latach dziewięćdziesiątych był telewizyjnym idolem nastolatków.

— Tak mi się wydawało, że cię znam — powiedział Frankie,

wspominając dawne czasy. — Chyba występowałeś w tym programie z taką cholernie napaloną matką i dwójką ohydnych, obesranych dzieciaków?

- To byłem ja — przyznał Rick, pławiąc się we wspomnieniu dawnej chwały. — Byliśmy na antenie przez trzy lata. To coś, czego nigdy nie zapomnę.

Frankie jeszcze raz przyjrzał się facetowi, który przycupnął na sąsiednim stołku barowym. Rick był teraz po trzydziestce, ale pozostało mu coś z dawnego nastoletniego idola. Krowie brązowe oczy ukryte za okularami w drucianej oprawie. Pias-kowobrazowe włosy uczesane w jakimś niby-stylu. I ubranie, które niewątpliwie należało do lat dziewięćdziesiątych: różowa koszula z rogami kołnierzyka przypiętymi guziczkami, dopasowane lewisy i kowbojskie buty ze szpicami.

Co za kretyn, myślał Frankie. To miasto dojrzało do przejęcia, a ja jestem odpowiednim do tego człowiekiem. Jednak potrzebna mi pomoc i ten palant może mi ją zapewnić.

— Posłuchaj, Rick — zaczął — powinniśmy się spotkać... — Bardzo chętnie — skinął głową Rick.

— Może jutro? — zasugerował Frankie. — Moglibyśmy zjeść lunch nad basenem w hotelu Beverly Hills. Mam propozycję biznesową, która może cię zainteresować.

- Dlaczego nie? Jestem otwarty na nowe pomysły. Frankie się uśmiechnął. Jest królem niecodziennych powiązań. Przebywa w mieście niecałe dwadzieścia cztery godziny i już jest w akcji.

Życie jest dobre. Nawet bardzo dobre.

*Rozdział trzydziesty trzeci*

Denver

Dostałam SMS-a od Sama i czytałam go w drodze do biura.

*Brakuje mi mojej Los Angelino z czerwonym nosem. Czas spędzony razem był wyjątkowy. Ty jesteś wyjątkowa. Komu mam teraz smażyć naleśniki?*

Uśmiechnęłam się. Spodobało mi się, że za mną tęskni. Na pewno tęskni, skoro wysłał taką wiadomość.

Zastanawiałam się nad odpowiedzią. Muszę utrafić we właściwą nutę, nie mogę wyjść na mięczaka. Wreszcie napisałam: *Wspomnienia wyjątkowych naleśników. Z pewnością mam ochotę na jeszcze.*

Dwuznaczne. Jak należy.

Kiedy weszłam do biura, jeszcze się uśmiechałam.

Ząb Rekina szybko starł ten uśmiech z mojej twarzy cierpkim wykładem o znaczeniu relacji między klientem a adwokatem.

Byłam stanowcza. Powiedziałam mu, że są pewne granice i że nie jestem służącą.

W końcu zaakceptował fakt, że nie zmienię decyzji, i poinformował mnie, że w czwartek oboje będziemy uczestniczyli



w pogrzebie, żeby okazać szacunek. Zgodziłam się, choć oznaczało to nieobecność na rodzinnej kolacji.

Wreszcie dotarłam do mojego gabinetu, wezwałam Megan — stażystkę, która niestety nie była kompetentną asystentką, którą obiecałam Annabelle. Megan była córką biznesowego wspólnika Zęba Rekina i odznaczała się straszną tępotą. Próbowałam ju czegoś nauczyć, ale dotarcie do niej przypominało wędrówkę przez pustynię w samo południe w stroju narciarskim.

Megan była dziewczyną z Valley, którą interesowały tylko zakupy, nocne kluby i chłopcy. Jej bohaterki to Lindsay Lohan i Paris Hilton. Wielbiła Zaca Efrona, a George'a Clooneya i Brada Pitta uważała za bardzo starych.

Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że będzie to chyba idealna towarzyszka dla Annabelle. Dwie rozpuszczone dziewczuchy.

Wysłałam ją do rezydencji Maestro z zastrzeżeniem, żeby zachowywała się przyzwoicie i starała się odpowiednio reprezentować firmę.

Megan była zachwycona, że ucieknie od nudnych zajęć biurowych.

Po jej wyjściu usiadłam przy biurku i przejrzałam nagromadzone papiery. Sprawa kradzieży, w którą zamieszana była dawna sława telewizyjna, i nieduży butik. Sprawa napaści pomiędzy raperem i jednym z czołowych przedstawicieli papa-tazzieh. Nic szczególnie ekscytującego, ale ponieważ w obu przypadkach występują osoby dość dobrze znane, postaram się maksymalnie to wykorzystać.

Właściwie to żałowałam, że Ralpa nie oskarżono o zamordowanie żony. Fantastycznie byłoby pomagać w obronie. Felix spisałby się wspaniale, a ja byłabym przy nim, obserwując i ucząc się.

Po jakimś czasie zadzwoniłam do weterynarza, żeby zapytać o moją sukę Amy Winehouse. Amy nie bardzo lubiła zostawać

w psim pensjonacie, więc ilekroć wyjeżdżałam, zostawiałam ją u weterynarza, bo tam traktowano ją jak królową, za jaką się uważała.

— Zabiorę ją dzisiaj, tylko trochę później — poinformowałam recepcjonistkę.

— Panno Jones, pani przyjaciel przyszedł wczoraj rano ze swoim kotem, a kiedy zobaczył Amy, powiedział, że ją zabierze. Mówił, że pani o tym wie i wszystko jest ustalone.

— Mój przyjaciel?

— Pan Meyer.

Przez chwilę byłam zaszokowana i wściekła. Pan Meyer. Czyli Josh Meyer. Mój poprzedni współlokator.

— Co takiego? — wybąkałam.

— Amy wydawała się uszczęśliwiona, widząc go — stwierdziła recepcjonistka. — Machała ogonem jak szalona. Czy nie powinnam była jej wydać?

Nie, nie powinnaś, ty głupia krowo. Josh zawsze chciał zabrać Amy, a ja mu powiedziałam, że nie ma mowy. Zatrzymanie Amy to był mój sposób ukarania go, pokazania mu, że nie zawsze może postawić na swoim. A teraz ją po prostu zabrał. Do diabła z nim. To wojna.

— W przyszłości proszę nie wydawać mojego psa nikomu oprócz mnie — powiedziałam, próbując nie stracić panowania nad sobą.

— Tak mi przykro — tłumaczyła się recepcjonistka. — Mam nadzieję...

— To bez znaczenia — przerwałam jej. — Zajmę się tym. Po odłożeniu słuchawki zadzwoniłam na komórkę Josha. Na szczęście nie zmienił numeru, ale niestety nie dodzwoniłam się. Tylko do tej cholерnej poczty głosowej.

— Mówi Denver — starałam się nadać głosowi najbardziej lodowate brzmienie. — Zabrałeś Amy, i to mi się nie podoba.

Przecież uzgodniliśmy, że pies zostanie u mnie, więc co to znaczy, do cholery? Zadzwoń zaraz, jak tego wysłuchasz.

Rozłączyłam się rozwścieczona jego beczelnością. Jak śmie porywać mojego psa!

\* \* \*

O piątej Josh jeszcze nie oddzwonił.

Sukinsyn!

Hycel!

Cholerny dupek!

Uświadomiłam sobie, że jeśli chcę odzyskać Amy, to przyda się konfrontacja. Wiedziałam, gdzie Josh pracuje, troszcząc się o kończyny niektórych najważniejszych gwiazd sportu w mieście, uznałam jednak, że pójście do niego da mi większą szansę na odzyskanie psa. Więc kilka minut po siedemnastej pojechałam do jego domu przy Hancock Park. Owszem, po naszym rozstaniu Josh kupił dom, co nigdy nie przyszło mu do głowy, dopóki stanowiliśmy parę.

Nie byłam jeszcze w tym domu, choć muszę przyznać, że kiedy dowiedziałam się o zakupie, kilkakrotnie przejechałam obok. Nie obchodziło mnie to, ale ciekawość wzięła górę i chciałam się przekonać, na co tak oszczędzał.

Z zewnątrz dom wyglądał przyjemnie. Był oddalony od ulicy, otoczony dobrze utrzymanym trawnikiem i mnóstwem drzew. Sama budowla była w starym kolonialnym stylu i naprawdę robiła wrażenie.

Zaparkowałam na ulicy, podeszłam do frontowych drzwi i zadzwoniłam. Drzwi otworzyła przerażająco chuda niska kobieta z długimi złotymi lokami i nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Dobiegała trzydziestki i miała obowiązkową w Los Angeles sztuczną opaleniznę. Od stóp do głów ubrana była w luźne ciuchy od znanego projektanta.

— O co chodzi? — spytała, opierając rękę na kościstym biodrze. Miała głos równie przyjazny jak kubeł gówna.

— Cześć — powiedziałam, próbując zajrzeć do środka. — Jest Josh? Zmrużyła swoje twarde, zbyt mocno umalowane oczy.

— A kto chce wiedzieć?

— Ja.

— A pani jest?

— Denver. — Na naburmuszonej twarzy nie pojawiła się żadna oznaka rozpoznania. — Denver Jones — dodałam, bo byłam pewna, że musiał jej o mnie opowiadać. Nadal nic. — Eks Josha.

Ta informacja wreszcie dotarła do jej ptasiego mózdzku. Czyżbym była niesprawiedliwa? Nie sądzę. Widzę, że to idiotka.

— Ma mojego psa — powiedziałam obojętnie. — Chcę go dostać z powrotem.

— To wielka ulga — westchnęła Koścista. — Nie mogę znieść tego stworzenia. Mam alergię.

Chcąc udowodnić, że mówi prawdę, kichnęła dwa razy i popatrzyła na mnie tak, jakby to była moja wina. Szczęśliwy Josh, znalazł sobie odpowiednią kobietę.

— Gdzie jest Amy? — spytałam bardzo dotknięta.

— Amy? — powtórzyła niepewnie.

— Mój pies.

— A, to. Zamknęłam go w komórce za domem.

Moja wściekłość narastała. Miałam ochotę uderzyć tę babę.

— Dlaczego pani to zrobiła?

— Już mówiłam. Alergia. — Koścista stłumiła ziewanie. — Poza tym ten głupi pies ciągle szczeka. Jak pani to wytrzymuje?

— Amy szczeka, ponieważ pani ją zamknęła — wyjaśniłam. — Gdzie jest Josh?

— Pewnie w drodze do domu.

— Wobec tego zabiorę psa i pójdę.

— A czy Josh wie?

— O czym?

— Że pani zabiera psa.

— Tak — odpowiedziałam krótko. — Wszystko jest ustalone.

— No dobrze. Lepiej niech pani wejdzie, bo ja nie otworzę drzwi komórki. Ten dumny pies pewnie by mnie ugryzł.

Dobrze by zrobił!

Weszłam do domu, którego urządzenie stanowiło mieszaninę stylów.

Panował w nim potworny bałagan. W salonie stały wieszaki z ubraniami.

Na wszystkich stolikach piętrzyły się sterty rozmaitych akcesoriów.

Koścista panna stylistka gwiazd niewątpliwie znaczyła swoje terytorium.

Jedynym śladem tego, że mieszka tu również Josh, był wielki telewizor z płaskim ekranem i jego stary wygodny fotel, na którego wyrzucenie nigdy nie mogłam go namówić.

No cóż, fotela nie wyrzucił, ale bez problemu pozbył się mnie.

Co nie znaczy, że robi mi to różnicę. Naprawdę, w ogóle się tym nie przejmuję.

Z daleka dobiegało szczekanie Amy. Nagle do domu wpadł Josh.

Josh Meyer. Mój były. Mężczyzna, z którym spędziłam wiele cennych lat.

Popatrzyłam na niego. On popatrzył na mnie. Przez chwilę wydawało się, że czas się zatrzymał, znów jesteśmy razem i nic się nie zmieniło.

Co tu się dzieje? — spytał. — Denver, co tu robisz?

Spojrzałam na niego zimno. Kradnie mojego psa i jeszcze mu czelność pytać, co robię w jego domu!

Zauważyłam, że przytył co najmniej dziesięć funtów. Bardzo innie to ucieszyło, bo wiedziałam, że wyglądam dobrze, choć pewnie robię wrażenie olbrzymki, stojąc obok Kościstej, która nie miała nawet cała wzrostu więcej niż pięć stóp.

— Zabrałeś mojego psa — powiedziałam oskarżycielsko.  
— Naszego psa — odszczeknął.  
— Nie. Mojego psa.  
— Zostawiłaś Amy u weterynarza. Widziałem, że nie jest tam szczęśliwa, więc przywiozłem ją tutaj.  
— Nie miałaś prawa tego robić.  
— Miałem wszelkie prawa. Razem znaleźliśmy Amy, pamiętasz?  
— Owszem. A kiedy odszedłeś, zatrzymałam ją. Tak uzgodniliśmy.  
— Ty tak uzgodniłaś.  
— Twoja przyjaciółeczka nawet nie lubi psów, więc po co w ogóle ją zabrałeś?  
— Znowu to samo. Zawsze próbujesz wszystko kontrolować — wysyczał Josh. — Amy była naszym psem, więc mam prawo ją zabrać.  
— Nie, nie masz.  
— Owszem, mam.  
— Spokojnie! — rzuciła Koścista i wstawiła pomiędzy nas swoje nieistniejące ciało. — Zabieraj swojego psa i wyjdź. Przez was będę miała migrenę.  
Alergie, migreny, Josh znalazł sobie prawdziwe чудо.  
— Josh, oddaj mi mojego psa. — Byłam zmęczona tą utarczką.  
Usta Josha zacisnęły się w cienką prostą linię, nieomylny znak, że jest wkurzony.  
Czy ja naprawdę kiedykolwiek kochałam tego człowieka? Chyba tak, ale już mi przeszło.  
— Doskonale — wycedził.  
— Doskonale — powtórzyłam, wytrzymując jego spojrzenie. Kilka minut później byłam na ulicy razem z Amy Winehouse, obydwie szczęśliwe, że znalazłyśmy się na wolności.  
Musiałam na chwilę wstąpić do biura, a potem zaplanowałam

późną kolację z Mariem. Już przysłał mi SMS-a z potwierdzeniem, że spotkamy się w Ago. Zdamę tylko pójść do domu i przebrać się w coś odpowiedniego na wieczór, który na pewno skończy się u niego.

Po konfrontacji z Joshem potrzebowałam odrobinę czulej troski, a Mario to facet, który może mi to zapewnić.

Pojechałam do biura, zostawiłam Amy z moim ulubionym parkingowym i pojechałam windą aż na czterdzieste drugie piętro.

Megan wróciła rozpromieniona.

- Cudownie spędziłam czas — zachwycała się. — Annabelle jest wspaniała!

No tak, nie ma nic lepszego, jak przeglądanie ubrań zamordowanej gwiazdy filmowej w towarzystwie jej córki.

- Pan Saunders prosił, żebyś przejrzała te zdjęcia — dodała Megan, podając mi szarą kopertę o wymiarach osiem na dziesięć cali.

- Co to za zdjęcia?

- Nie mówił. Czy mogę już wyjść?

- Jasne — mruknęłam, rozdierając kopertę. Felix dołączył kilka słów: *Denver, obejrzyj te zdjęcia Gemmy Summer. Coś ci mówią? Ralph chciałby wiedzieć, kim jest ten mężczyzna.*

(Oczywiście, że Ralph chciałby wiedzieć. Jego piękną żonę sfotografowano z innym mężczyzną tydzień przed jej zamordowaniem. Przyjrzałam się uważnie zdjęciom. Było ich cztery. Gemma wyglądała pięknie, najwyraźniej zadowolona. Trącała się kieliszkiem z ledwie widocznym mężczyzną; widać było tylko jego profil. Zdjęcia zrobiono w ustronnej restauracji wysoko na wzgórzach nad Malibu. Fotograf musiał pojechać tam za Gemmą i ukryć się w krzakach.

Popatrzyłam raz, drugi, trzeci i wtedy do mnie dotarło.

Tajemniczy mężczyzna to ojciec Carolyn.

*Rozdział trzydziesty czwarty*  
Carolyn

Ostatnią rzeczą, jaką Carolyn pamiętała, było to, że zatrzymała się na od dawna zamkniętej stacji Shella i cierpliwie czekała na przyjazd Gregory'ego. Naprawdę nie potrafiła sobie przypomnieć, co się działo potem, niejasno pamiętała dziewczynę, która zapukała w okno samochodu. Młoda Latynoska wydawała się zdenerwowana, może miała jakieś problemy. Jako dobra samarytanka Carolyn odkręciła szybkę, żeby się przekonać, czy może pomóc, i na tym się skończyło. Niczego więcej nie pamiętała.

Ocknęła się w brudnym bagażniku jadącego samochodu, nogi i ręce miała związane, w ustach brudną szmatę.

Ogarnęła ją panika. Co to za koszmar? Na pewno za chwilę się obudzi. Ale nie. Leży związana w bagażniku samochodu, który dokądś jedzie. Żółć podeszła jej do gardła. Przełknęła ślinę przerażona tym, że może się udławić.

Próbowwała się poruszyć. Nic z tego.

Ręce miała związane na plecach kablem, który wrzynał się w nadgarstki, co sprawiało jej ból.

Boże, proszę, pomóż mi!

Rozpaczliwie chciała wypowiedzieć te słowa głośno, ale to



też było niemożliwe, więc powtarzała je w myślach jak pocieszającą mantrę i nie traciła nadziei, że On jednak jej wysłucha.

\* \* \*

— Jesteś pewien, że ona nam tu nie umrze? — pytała Rosa, szesnastoletnia dziewczyna Benita. Była ładna, choć jej urodę psuła biała blizna biegnąca przez lewy policzek, która była rezultatem walki gangów złożonych wyłącznie z dziewczyn. Mama ją za to ukarała — trzymała zamkniętą w domu przez całe dwa tygodnie.

— Ile razy mam ci mówić? — odpowiedział Benito, krzywiąc się paskudnie. — Mamy tylko trochę postraszyć tę *puta*, żeby straciła to pieprzone dziecko.

— A wszystko, co powinna zrobić, to kazać facetowi w porę wyciągnąć — stwierdziła Rosa. — To zawsze działa.

— I dlatego masz dziesięciomiesięcznego dzieciaka u swojej matki — podsumował Benito z kwaśną miną. — Poza tym to nie ona chce pozbyć się dzieciaka, tylko ten kutas senator.

— To palant — wymamrotała Rosa, popijając z puszkii red bulla. Otarła usta wierzchem dłoni. — A właściwie z jakiej racji robisz to dla niego?

— Bo nie chcę, żeby mnie z powrotem wsadzili do pierdla. A niby co masz z nią zrobić? — dopytywała się Rosa, otwierając torebkę i wyjmując puder w kamieniu CoverGirl, który ostatnio podpierzyła w drogerii.

Skąd ja mam wiedzieć? Ile czasu trzeba, żeby stracić pieprzonego dzieciaka?

Rosa wzruszyła ramionami i zaczęła oglądać swoją twarz w lusterku.

Nie wiem — powiedziała w końcu, odkrywając węża, którego należało wycisnąć. — Ale jedna dziewczyna ze szkoły poszła do takiego Irlandczyka i zrobił jej skrobankę za pięćdziesiąt dolców. Może ją tam zawieziemy?

— Ale to ma wyglądać na wypadek — tłumaczył Benito, pragnąc, by Rosa chociaż raz trzymała gębę na kłódkę.

— Dlaczego? — spytała, oblizując wargi.

— Odpieprz się z tymi cholernymi pytaniami — warknął. Chodził z Rosą, z przerwami, odkąd skończyła piętnaście

lat, czyli prawie sześć miesięcy. Prawdziwy rekord jak na niego. Była uczynna, nie zrzędziła i obciągała mu jak stara wyjadaczka.

Niewygoda polegała na tym, że miała dziecko z chłopakiem z wrogiego gangu i przy każdej okazji tamten palant próbował wysadzić mu tyłek.

Była to nieustająca walka i Benito poważnie rozważał porzucenie Rosy.

Ale nie teraz, nie z tą ciężarną dziwką senatora związaną w bagażniku jego samochodu. To nie byłoby rozsądne.

\* \* \*

— Dzisiaj smoking — przypomniała mężowi Evelyn Stone-man przez wewnętrzny domowy telefon.

Kolejne spotkanie w strojach wieczorowych to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował Gregory. Zdawał sobie jednak sprawę, że przezorność nakazuje mu w nim uczestniczyć, ponieważ dopóki Carolyn jest na liście osób zaginionych, każdy jego ruch musi być dobrze znany.

Co nie znaczy, że ktoś zgłosił zaginięcie Carolyn. Zważywszy, że mieszka sama, może to potrwać kilka dni, a wtedy na pewno ona będzie już z powrotem, tyle że bez dziecka rosnącego w jej brzuchu. Po powrocie Gregory będzie jej współczuł, przypominając, że prawo powinno być surowsze. A potem — kiedy nadejdzie odpowiednia chwila — zerwie z nią.

Jeśli będzie miał szczęście, to szok wywołany porwaniem powinien sprawić, że szybko straci dziecko, może nawet w ciągu kilku godzin. A kiedy to nastąpi, zostanie uwolniona i Gregory też będzie wolny. To idealny plan.

Poinstruował Benita, żeby nie robił jej krzywdy, tylko ją postraszył. Benito nie był co prawda najbardziej wiarygodną istotą na ziemi, ale Gregory nie miał wyboru. Dziecko musi zniknąć, a Benito wydawał się jedynym wyjściem.

Na progu garderoby Gregory'ego pojawiła się Evelyn ubrana w długą suknię od Caroliny Herrery i gustowne diamenty.

— Nie jesteś gotowy — skarciła go, grożąc palcem.

— Daj mi pięć minut — powiedział szorstko, sięgając po wykrochmaloną, białą, wieczorową koszulę. — Więcej nie potrzebuję.

\* \* \*

Po raz kolejny Carolyn poczuła, że żółć podchodzi jej do gardła i tym razem także udało jej się nie wymiotować.

Samochód jechał po wyboistym terenie i rzucało nią we wszystkie strony. Próbowwała się uspokoić i myśleć racjonalnie. Kiedy Gregory przyjechał na spotkanie i zobaczył, że jej nie ma, na pewno poinformował o jej zniknięciu policję.

Ale czy rzeczywiście to zrobił? Znając Gregory'ego, mogła przypuszczać, że był na to zbyt ostrożny, zawsze tak się trząsał o tę swoją cenną reputację.

Ale jeśli jej samochód nadal stoi na opuszczonej stacji benzynowej, to Gregory zorientował się, że na pewno coś jest nie w porządku i oczywiście zawiadomił policję; musiało mu to nakazać sumienie.

A jeżeli ten ktoś, kto zamknął ją w bagażniku, ukradł jej pontiaca i odjechał? Skąd Gregory się dowie, że została porwana?

Jej oczy napęłniły się łzami, które powoli spływały po policzkach. Skąd Gregory się dowie? To jest pytanie. I kto ją uratuje?

## *Rozdział trzydziesty piąty*

### Bobby

Oglądając klub w Keys w towarzystwie M.J. i Lucky, Bobby triumfował. Nareszcie przejmie to miejsce, zmieni nazwę na Mood i stworzy ciesząc się największym powodzeniem nocny klub w Las Vegas. To coś, o czym marzył od chwili, gdy Lucky zbudowała Keys. Zawsze marudził, żeby pozwoliła mu załatwić koncesję na prowadzenie klubu, ale sprzeciwiła się, mówiąc, że najpierw Bobby musi udowodnić, iż to potrafi. No więc nie ulega wątpliwości, że udowodnił. Po prawie trzech latach istnienia klub Mood w Nowym Jorku przynosił wielkie dochody, a on sam wkrótce będzie załatwiał otwarcie filii w Miami, teraz zaś może jeszcze liczyć na Vegas.

— Wiesz, że będziemy musieli wprowadzić zasadnicze zmiany — informował Lucky.

— Ouu—przeciągała samogłoski.—Jakże mnie to zaskakuje!

— Chcesz, żeby miało to nasz znak firmowy? — spytał, zauważając przy okazji, że mama w ogóle się nie zmienia. Z długimi ciemnymi lokami, ciemnooliwkową karnacją i oczami czarniejszymi niż noc nadal jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. I najsprytniejszą.

— Bobby, właśnie dlatego cię wezwałam.  
— Nic podobnego. Wezwałam mnie, dlatego że tylko mnie możesz zaufać, że nie założę własnego interesu w twoim lokalu.  
— To dalekie od prawdy. Jest mnóstwo szanowanych właścicieli klubów, którym mogłam to zaproponować: Rande Gerber, Brent Bolthouse...  
— Mamo, mów dalej — mruknął. — Przecież wiesz, że mnie potrzebujesz.  
— Naprawdę?  
— Owszem. I powiedz to — nalegał. — No, dalej, powiedz.  
— Bobby, potrzebuję cię — powiedziała trochę kpiąco, a trochę poważnie. — I ciebie też, M.J.  
— Dziękuję, pani Gol...  
— Lucky.  
— Dziękuję, Lucky — wymamrotał M.J. Wprost niewiarygodna mama Bobby'ego zawsze sprawiała, że czuł się jak dzieciak.  
— M.J., czy zdajesz sobie sprawę, że poznałam ciebie i twoją rodzinę, gdy miałeś dwanaście lat? — pytała Lucky, uśmiechając się do niego. — Twój ojciec opiekował się Ginem, kiedy miał kłopoty ze zdrowiem. A twoja mama to wyjątkowo zachwycająca kobieta.  
Jasne i założę się, że w ogóle nie masz pojęcia o tym, że M.J. nadal się w tobie kocha — zażartował Bobby. — Tyle że teraz ma dziewczynę, więc podejrzewam, że jesteś bezpieczna.  
A komu zależy na bezpieczeństwie? — przekomarzała się Lucky, lekko flirtując.  
M.J. spoglądał na Bobby'ego i nawet nie był zażenowany.  
Dlaczego nie powiedziałaś mamie, kto się kocha w tobie? - spytał, marszcząc brwi.  
A któż to może być? — zastanawiała się Lucky nieco zaniepokojona.  
Zeena — wypalił M.J. — Jest strasznie napalona na Bobby'ego.

Bobby obrzucił M.J. groźnym spojrzeniem. Bzdura prychnął.

— To naprawdę interesujący zbieg okoliczności — powiedziała Lucky — ponieważ jutro wieczorem obejrzymy jej występ. Słyszałam, że jest niesamowity, więc wzięłam bilety dla nas wszystkich.

— Nie mówmy o występie Zeeny. — Bobby był zdeterminowany, żeby porzucić temat drapieżnej supergwiazdy. — Nie interesuje cię, jakie zmiany zamierzam wprowadzić?

— Jestem prawie pewna, że się domyślam — oznajmiła Lucky z uśmiechem. — Ale mów.

Bobby zaczął rozwijać swoje plany dotyczące Mood w Las Vegas. Miał mnóstwo pomysłów. Przede wszystkim zamierzał zlikwidować oświetlone schody, wewnętrzne fontanny i zdjąć drogie obrazy. Chciał stworzyć replikę nowojorskiego Mood.

— To będzie miało spokojniejszą, bardziej powściągliwą aurę — tłumaczył. — Teraz to typowe Vegas.

— Interes zawsze się kręcił — zauważyła Lucky. — Ściągnięcie gości do klubu nigdy nie było problemem.

— Nie chodzi o to, ile przyciągniesz forsy — upierał się Bobby. — Chodzi o ludzi.

— A ludzie powinni być...

— Żadnych turystów, chyba że są młodzi i bardzo napaleni. Żadnych tłustych dup. Tak jak ci mówiłem, kiedy otwierałaś klub po raz pierwszy — musisz uczynić to miejsce atrakcyjnym dla miejscowych, żeby przychodzili tu po pracy. A więc... seksowne dziewczyny w seksownych strojach. Bogaci faceci, którzy parkują przed klubem ferrari i bentleye. Sławy. Wszyscy spokojni i na luzie. Na takiej aurze nam zależy.

— Dobra, chłopaki, chyba rozumiem.

— Naprawdę? — Bobby był zdumiony, że matka nie sprzeciwia się planowanym przez niego zmianom.

— Oczywiście. Więc może zawrzemy układ? Potem będziemy mogli się odprężyć i zabawić.

Bobby się uśmiechnął.

— Mamo, teraz naprawdę przykułaś moją uwagę...

\* \* \*

Później jeszcze skuteczniej przykuła tę uwagę jego przyrodnia siostra Max. Przyszła do jego pokoju w Keys. Energicznie zapukała do drzwi i wtargnęła do środka. Bobby nie krył zaskoczenia.

Nie widział Max od kilku miesięcy. W wieku lat siedemnastu rozkwitła i stała się piękna, ale nie straciła swojej dzikości. Była lustrzanym odbiciem Lucky w tym samym wieku. Wysoka i gibka, z burzą niesfornych czarnych loków, oliwkową cerą i pełnymi wargami. Jedyne ich oczy się różniły — Lucky były ciemne i przenikliwe, Max błyszczące, szmaragdowozielone.

Gdy tylko Bobby otworzył drzwi, rzuciła się na niego, oplatając długimi nogami jego talię i ściskając go mocno.

— Uff— sapnął ze śmiechem, próbując się wyswobodzić. — Jesteś już na to za stara.

— Aha! — Max zachichotała szaleńczo. — Przyleciałam tu na jeden dzień tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć. Mogę się przynajmniej spodziewać przyzwoitego powitania.

— Smarkula! — rzucił czule.

— Babiarz! — odparowała, a jej zielone oczy błyszczały. — Jesteś żaloszny, Bobby. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że przyjeżdżasz?

Musiałam się o tym dowiedzieć od mamy. Więc wskoczyłam w samolot, no i jestem.

— Też się cieszę, że cię widzę.

— Ale i tak cię kocham, mój wielki bracie.

— Kochasz mnie, tak?

— Tak.

— Miło to słyszeć.  
— Ty też mnie kochasz, prawda?  
— Czasami — przekomarzał się. — Kiedy mnie zbytnio nie wkurzasz.  
— Daj spokój, Bobby. Przestań mnie tak źle traktować.  
— A kto cię źle traktuje?  
— Ty! Ty! Ty! — wykrzykiwała.  
— Uspokój się.  
— Gdzie jest M.J.? — spytała, otwierając minibar. — Mam przywlec jego rozkołysany tyłek z powrotem do Los Angeles.  
— A to z powodu?  
— Ponieważ przyjaciółka mojej najlepszej przyjaciółki Cookie rozpaczliwie pragnie go przelecieć.  
— Przyjaciółka Cookie jest o wiele za młoda, żeby kogokolwiek przelatywać.  
— Litości! — Max wzniosła oczy do nieba. — W którym stuleciu ty się urodziłeś?  
— Też uważam, że wspaniale cię widzieć, dzieciaku — powiedział Bobby z uśmiechem. — Ciągłe te same sprytne usteczka.  
— Czy ktoś ci już powiedział, że zaczynasz przypominać dziadka Gina?  
— spytała Max, wyciągając z minibaru paczkę M&M'sów.  
— A czy to źle?  
— Bobby, propozycja jest taka. — Wepchnęła do ust garść M&M'sów. — Uważam, że nadszedł czas, żebym się przeniósła do Nowego Jorku i zamieszkała u ciebie. Dobry plan?  
— Nie — odparł, kręcąc głową. — To w ogóle nie jest żaden plan.  
— A niby dlaczego? Przed chwilą oznajmiłeś, że mnie kochasz. A ja będę się dobrze zachowywała. Naprawdę, Bobby, ty się zajmiesz swoimi sprawami, a ja swoimi.



— Dzięki — powiedział oschle. — Czy to znaczy, że mam twoje pozwolenie?

— Proszę cię, Bobby.

— Przykro mi. Odpowiedź brzmi „nie”.

— Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

— Dlatego, że masz iść do college'u. Wiesz, iż tego oczekują od ciebie Lucky i Lennie.

— Nie zamierzam tego robić.

— A to z powodu?

— Ponieważ mama nie chodziła, a ty poszedłeś tylko na dwie minuty i zaraz zrezygnowałeś. Więc dlaczego ja mam cierpieć? To nie w porządku.

— Max, dobre wykształcenie jest bardzo ważne.

— Bzdura! — wymamrotała, rzucając się na kanapę. Długie opalone nogi wystawały spod bardzo krótkiej spódniczki.

— Nie. Życiowa prawda.

— Człowieku, robisz się równie żaloszny jak mama. Chyba będę musiała wyruszyć samodzielnie, bez twojej pomocy.

— Wyruszyć dokąd?

— Zobaczysz. Żadnego college'u. Marzę o przygodach przez duże P. I chcę, żebyś wiedział, że nikt, naprawdę nikt, nie zdoła mi w tym przeszkodzić.

Bobby pokręcił głową. Było mu żal Lucky i Lenniego, mają poważny problem.

Jaki rodzaj przygody masz na myśli? — spytał.

Och wiesz... Przelecieć mnóstwo facetów. Takie życie na krawędzi.

Na krawędzi czego? — Z trudem powstrzymywał śmiech.

To do ciebie nie dociera, prawda? — Obrzuciła go niechętnym

spojrzeniem. — Jestem niezależna. Nie jestem mak| córeczką Lucky ani twoją małą siostrzyczką, ani złotym dzieciakiem Lenniego. Jestem sobą.

Nikt nie mówi, że jest inaczej.

- To dobrze, bo jestem wyjątkowa i zamierzam robić wyjątkowe rzeczy.
- A kiedy to ma nastąpić?
- Szybciej, niż ktokolwiek przypuszcza — odrzekła tajemniczo.
- Ach tak?
- Możesz się założyć, braciszku. — Zielone oczy Max rzucały niebezpieczne błyski.
- Teraz mówisz jak Lucky.
- A to źle? — spytała, naśladując go.
- Daj spokój, siostrzyczko. — Wziął ją za rękę i podniósł z kanapy. — Mamy iść na wielką kolację. Brigitte ze swoją nową przyjaciółką, M.J. i jego dziewczyna. Więc lepiej zachowuj się jak należy. Później będzie mnóstwo czasu, żeby porozmawiać o twojej przyszłości.
- Uwierz mi, Bobby, porozmawiamy. I tę rundę wygram ja, zobaczysz.

*Rozdział trzydziesty szósty*  
Annabelle

— Zapakuj wszystko i oddaj na przechowanie — poinstruowała Annabelle Lupe. — Jestem zbyt przygnębiona, by się teraz czymkolwiek zajmować. Wezmę się do tego innym razem.

— Dobrze, panno Anno — powiedziała posłusznie Lupe. Nigdy jakoś nie potrafiła wypowiedzieć pełnego imienia Annabelle. — A biżuteria panny Gemmy? — Co mam z nią zrobić?

Annabelle zakładała, że droga biżuteria matki spoczywa bezpiecznie w banku albo w domowym, dobrze ukrytym sejfie. — Zostaw ją. Przejrzę jutro.

W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby się stąd wydostać. Przebywanie w tym domu było strasznie przygnębiające, czuła się chora. Ze zdwojoną siłą powróciły wszystkie złe wspomnienia z okresu, kiedy była nastolatką. Musi uciec z domu swojego dzieciństwa i starać się myśleć o zbliżającym się pogrzebie.

Kiedy zeszła na dół, przy frontowych drzwiach stała Megan. Przysłała mnie Denver — oznajmiła. — A wpuściła mnie twoja gosposia. Jestem Megan i mam we wszystkim pomóc.

Annabelle rozejrzała się szybko, ale na szczęście Ralpa nigdzie nie było widać.

— Chodź — powiedziała, szybko oceniając dziewczynę i dochodząc do wniosku, że może być dobrą towarzyszką niezłej zabawy w placówkach handlu detalicznego. — Pójdziemy na zakupy.

\* \* \*

Frankie upewnił się, że siedzi przy najlepszym stoliku nad basenem, skąd wszystkich widzi. Przyszło mu do głowy, że mógł zamówić lunch w kabinie plażowej, jednak doskonały stolik tu, na froncie, robi większe wrażenie. A poza tym komu potrzebne siedzenie w ukryciu? Frankie bardzo chciał być widziany.

Wypatrzył już dziewczynę wprost idealnie nadającą się do ich przyszłych operacji w Los Angeles. Była wysoka i miała czym oddychać, a jej pieprzone ciało przypominało mu Ursulę Andress wychodzącą z morza we wczesnym filmie z Bondem, który Frankie oglądał niezliczoną ilość razy. Przypominał sobie, jak podniecał go fakt, że Bond był sukinsynem, facetem w jego typie. A co do Ursuli... No, to była kobieta ze snów, która przeprowadziła go przez wiele samotnych nastoletnich nocy. Z zachwycającą Ursulą osiągnął pierwszy orgazm.

Dziewczyna, którą się zainteresował, była ze starym dziadem; wyglądał, jakby za chwilę miał wykitować. Miał białe włosy — zadziwiająco dużo włosów — i niechlujną białą brodę. Dziewczyna była ubrana w bikini tak skąpe, że równie dobrze mogła w ogóle nie zawracać sobie głowy ubieraniem się. Od czasu do czasu Frankie zauważał, że patrzy w jego stronę. Wyczuwał, że marzy o tym, żeby ktoś ją przeleciał — stary pierdoła nie wyglądał na kogoś, kto potrafi zapanować nad kichnięciem, nie mówiąc o wszystkim innym. Frankie miał w pogotowiu wizytówkę, na wypadek gdyby podeszła.

Rick Greco spóźnił się dziesięć minut i zjawił się ubrany na biało.

— Wydawało mi się, że wspomniałeś o spotkaniu w Polo Lounge — powiedział wyraźnie niezadowolony. — Czekałem na górze.

— Nic podobnego — odparł Frankie, nie wstając, co miało świadczyć o jego sile. — Mówiłem, że nad basenem. Jestem z Nowego Jorku, więc muszę łapać słońce.

— Jasne — mruknął Rick, przysunął sobie krzesło i usiadł. — Jak ci się podoba nasza pogoda? Jest grudzień, więc chyba nie tak źle, co?

— Właśnie dlatego nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się tu przenieść — wyznał Frankie, żując chlebową pałeczkę.

— Naprawdę?

— Znudził mnie klimat. O scenerii nie wspominając — dodał, wskazując dziewczynę w bikini, która siedziała teraz na brzegu basenu, przebierając w wodzie długimi nogami.

— Możesz trafić dużo lepiej — stwierdził Rick z lubieżnym chichotem.

— Widziałeś już tę cipę, która bywa w moim klubie?

— Jasne.

— Jednak nie zapominajmy o tym, że masz dziewczynę, prawda?

— Taa, Annabelle — sapnął Frankie, przywołując kelnera, któremu wcześniej dał wielki napiwek, żeby zapewnić sobie jego nieustanne usługi. — Ale jestem tu po to, Rick, żeby ci powiedzieć, iż moja pani jest bardzo wyrozumiała i pozwala mi zajmować się tym, czym chcę.

— No, taką dziewczynę powinno się mieć — stwierdził Rick, zacierając ręce.

— Dobrze to ująłeś — pochwalił Frankie, zamawiając dla siebie Mimozę, podczas gdy Rick zdecydował się na wódkę z lodem.

On pije w dzień, pomyślał Frankie. Tym łatwiej będzie nim manipulować. Tego to sobie podporządkuję. Przejmę to cholerne miasto. Wszyscy będą wiedzieli, kim jest Frankie Romano.

\* \* \*

Annabelle była zadowolona, bo spędziła cały dzień na zakupach z Megan. Były we wszystkich najlepszych sklepach, w tym w ulubionym sklepie Annabelle u Freda Segala i w niemożliwym do pominięcia według Megan Kitsonie przy Robertson Boulevard. Potem obeszły wszystkie duże domy towarowe — Neiman Marcus, Barneys, Saks — a skończyły u Max-fielda przy Melrose Avenue, gdzie Annabelle spokojnie wydała osiem tysięcy na dwa modne ciuchy.

Kiedy pożegnała się z Megan i wracała do hotelu, była obładowana torbami i bardzo z siebie zadowolona. Zakupy zawsze sprawiały, że była na nieprawdopodobnym haju.

Frankie ma swoją kokę. Ona czarną kartę American Express.

Sprawiedliwy podział.

Zamierzała zadzwonić do Janey, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie gładko, kiedy zatelefonowano z miejscowego spa, żeby przypomnieć o popołudniowej wizycie.

Zrezygnowała z rozmowy z Janey i wyruszyła przygotowana na to, że będzie cudownie rozpieszczana.

\* \* \*

W połowie lunchu do Frankiego zadzwonił Bobby.

— Przepraszam — powiedział Frankie do Ricka, odwracając się, by odebrać.

— Zgadnij, gdzie jesteśmy? — spytał Bobby bardzo podekscytowany.

— W Atlantic City, zabawiacie się z moją kelnerką—zażartował Frankie.

— Jak ona miała na imię?

— Nie, bracie, jesteśmy w Vegas — powiedział Bobby ze śmiechem.  
— Nabierasz mnie.  
— Jestem tu z M.J. i jego dziewczyną.  
— To M.J. ma dziewczynę? — spytał zaskoczony Frankie. — Jaka ona jest?  
— Młoda, czarna i śliczna. On jest zakochany. Frankiego nie interesowało życie uczuciowe M.J., miał na głowie ważniejsze sprawy.  
— Co tam robicie? Dopiero co widziałem cię w Nowym Jorku, nie wyglądałeś na kogoś, kto zamierza dokądś wyjechać.  
— Zadzwoiła do mnie Lucky z pytaniem, czy chcemy przejąć koncesję na prowadzenie klubu w Keys.  
— To niespodzianka, ale przecież zawsze tego chciałeś, prawda?  
— Owszem. I pomyślałem sobie, że może ty i Annabelle chcielibyście sobie zrobić dwudziestoczwierogodzinną przerwę w Vegas. Wyślę po was samolot.  
— Używasz nareszcie swojego samolotu? — Frankie był w szoku. — Co ci się stało?  
— Musiałem dotrzeć tutaj szybko.  
— Jezu! — Frankie myślał gorączkowo. — Vegas wydaje się dobrym pomysłem.  
— Prawda?  
— Tak, ale problem polega na tym, że musimy tu być na pogrzebie w czwartek.  
— Nie ma sprawy. Wszyscy polecimy do Los Angeles w czwartek rano. Lennie wyjechał, więc Lucky poprosiła mnie, żebym jej towarzyszył.  
— Lucky wybiera się na pogrzeb?  
— Okazuje się, że Gemma nakręciła kilka filmów dla wytwórni Panther, kiedy Lucky ją prowadziła. Mama ją lubiła.  
- Porozmawiam z Annabelle — obiecał Frankie bardzo

podekscytowany. — Możesz się jednak założyć, że ja przyjadę, z nią czy bez niej.

— Wobec tego wszystko załatwię. Zadzwoń później.

— Na pewno to zrobię. — Frankie się rozłączył. Rick patrzył na niego wyczekująco.

— Mój najlepszy przyjaciel, Bobby Santangelo — wyjaśnił Frankie, zachowując spokój, choć myślał jednocześnie, że Bobby nie mógł zadzwonić w bardziej odpowiedniej chwili. Rick już był pod wrażeniem, więc to powinno go naprawdę poruszyć. — Wyśle po mnie samolot, żeby mnie zabrać do Vegas.

— Czy to ten Bobby Santangelo? — spytał Rick. — Syn Lucky Santangelo? Facet, który jest właścicielem Mood w Nowym Jorku?

— Bobby to mój najlepszy przyjaciel. Zastanawiamy się, czy nie wejść w spółkę.

— Nieźle!

— Prawda? — Frankie uśmiechał się bardzo z siebie zadowolony. — No więc, Rick, może byśmy trochę porozmawiali o interesach, co? Nie miałbym nic przeciwko otwarciu niewielkiego lokalu w Los Angeles.

\* \* \*

— Jak ci minął dzień? — spytał Frankie, kiedy w końcu spotkali się z Annabelle w apartamencie hotelowym przed siedemnastą.

— Gówniano — poskarżyła się, decydując się nie wspominać zakupowego szaleństwa i relaksującego pobytu w spa.

— Musiało ci być ciężko przeglądać rzeczy mamy — stwierdził Frankie, idąc na współczucie. — Żal mi ciebie, dziecinko.

— Było — przyznała Annabelle z westchnieniem osoby, którą wykorzystano. — Nawet sobie nie wyobrażasz.

— Nie przejmuj się, bo na dziś zaplanowałem romantyczną



kolację. A jutro zabiorę cię samolotem do Las Vegas na jeden dzień. Zdecydowałem, że potrzebna ci odmiana. Annabelle uniosła brwi.

— Do Vegas? A co tam jest?

— Przede wszystkim Bobby. Udało mi się go przekonać, żeby przysłał po nas samolot.

— A co Bobby robi w Vegas? — spytała z nadzieją, że sytuacja się poprawia.

— Przejmuje klub. I będzie na pogrzebie Gemmy razem ze swoją mamą, więc wszyscy razem przylecimy z powrotem w czwartek wcześniej rano. Jak ci się to podoba?

— Podoba — powiedziała Annabelle, nie okazując, jak bardzo jest zachwycona. — Masz absolutną rację. Muszę się trochę oderwać.

— Jasne, że musisz — przyznał Frankie, nie mając pewności, czy cieszy się tym, że ona wybiera się do Vegas, czy raczej jest zawiedziony. Zanim wyszli na kolację, zadzwonił Ralph. Annabelle była zajęta kończeniem makijażu w łazience, więc odebrał Frankie.

Oczekuję was oboje na kolacji w domu — powiedział oschle Ralph.

Naprawdę? — Frankiemu przynajmniej tym razem odebrało mowę.

— Nie wiedziałem. Właśnie wychodziliśmy, żeby przekąsić coś w Spago.

Doskonale. — Ralph był człowiekiem szybkich decyzji. Tam się spotkamy. — Rozłączył się, zanim Frankie zdążył zaprotestować.

Co nie znaczy, że zamierzał protestować. Wielbił Ralpha Maestro, choć był pewny, że spotkanie z nim w Spago nie przypadnie do gustu Annabelle. Będzie niezadowolona.

Zastanawiał się przez kilka minut i doszedł do wniosku, że sprytnie będzie nie mówić o telefonie Ralpha. Zgrywać durnia, u kiedy Ralph się zjawi, udawać zaskoczenie.

Annabelle wyłoniła się z łazienki w jednej z nowych sukienek.

— Dziecinko, wyglądasz jak gwiazda — skomentował Fran-kie. —  
Atrakcyjna i seksowna, moja kochana dziewczynka.

— Zatrzymałam się w drodze powrotnej do hotelu i zrobiłam zakupy —  
wyznała Annabelle, obracając się w lśniącej, brązowej sukni ze skóry od  
Dolce & Gabbany. — Podoba ci się?

— Suknia mnie zachwyca — powiedział, obejmując ją w talii. — Ale tak  
naprawdę to zachwyca mnie jej zawartość.

Annabelle uśmiechnęła się leniwie. Frankie czasami doskonale wie, co  
powiedzieć.

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

### Denver

Moja pierwsza myśl była taka, żeby zadzwonić do Carolyn. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co jej powiem, wiedziałam tylko, że musimy porozmawiać, zanim poinformuję kogokolwiek o moim odkryciu.

Nie odbierała telefonu, więc wysłałam jej SMS-a: *Zadzwoń do mnie natychmiast. Pilne.* Wyobrażałam sobie, że to zwróci jej uwagę.

Potem zaczęłam myśleć o jej rodzicach, o panu i pani Hendersonach. Nie znałam ich dobrze, wiedziałam jednak, że Carolyn zawsze mówiła o nich obojgu z miłością i czułością, a ilekroć przychodziłam do jej domu, kiedy byłyśmy młodsze i Carolyn mieszkała z rodzicami, George i jego żona Clare wyglądali na zgodne małżeństwo.

George Henderson był bardzo cenionym chirurgiem plastycznym. Czy w ten sposób poznał Gemmę?

A Clare, kiedyś asystentka George'a, pracowała teraz w handlu nieruchomościami. Pamiętałam ją jako sympatyczną kobietę, ładną, ale nie piękną.

George natomiast był mężczyzną bardzo atrakcyjnym, wysokim, smukłym, z nonszalanckim wdziękiem.

Nie widziałam ich od co najmniej dwóch lat, ale Carolyn często wspominała, że dobrze sobie radzą, szczególnie George. Nie puszył się, nigdy nie starał o reklamę, ale według Carolyn miał do czynienia z kilkoma najświetniejszymi twarzami Hollywood. Pracował także społecznie w szpitalu dziecięcym i dwa razy w roku odwiedzał biedniejsze kraje świata, by dzięki swoim umiejętnościom pomóc ludziom ze strasznymi okaleczeniami. Widziałam, że Carolyn jest z niego bardzo dumna.

George Henderson był mało prawdopodobnym kandydatem na kochanka jednej z najpiękniejszych kobiet świata. Ale jest tutaj sfotografowany z Gemmą, a patrząc na te zdjęcia, każdy głupi mógłby stwierdzić, że ta dwójka jest sobą zafascynowana.

Ale dlaczego tylko ja go rozpoznałam?

Ponieważ jego sławni klienci raczej się nie zgłoszą, skoro niemal każda aktorka w Hollywood twierdzi, że jej uroda jest darem Boga, nietkniętym przez skalpel chirurga.

Hm... George Henderson. Czy powinnam zadzwonić do Felixa i przyznać, że rozpoznałam mężczyznę, który jest na zdjęciach z Gemmą? Czy też poczekać, póki nie porozmawiam z Carolyn i nie dowiem się dokładnie, co się dzieje?

Postanowiłam poczekać. Nie chciałam robić niczego, nie rozmawiałyśmy z nią.

A tymczasem Mario czekał na mnie w Ago. Przydałby mi się przyzwoity posiłek, a potem trochę seksu w stylu Maria.

Chwileczkę! Zamieniłam się w maniaczkę seksualną.

Nie, po prostu się odprężam.

Oglądanie Josha w symbiozie z panną Kościstą nie należało do moich ulubionych sposobów spędzania popołudnia. Plusem było to, że przy Mariu Josh wychodził na mięczaka bez formy.

Szybko pojechałam do domu, nakarmiłam Amy, wzięłam prysznic, poprawiłam makijaż, wślizgnęłam się w bluzkę z dużym dekoltem i jedwabne spodnie, wskoczyłam do samochodu i ruszyłam do Ago.

Mario czekał. Może nie tyle czekał, ile siedział przy stoliku, który, jak zakładałam, był przeznaczony dla nas, pogrążony w intymnej rozmowie z hollywoodzką blondyną. Nazywam je hollywoodzkimi blondynami, ponieważ istnieje grupa kobiet, które wyglądają dokładnie tak samo. Wszystkie mają długie, gęste, lśniące blond włosy (ich wydłużenie pozwala zachować dokładnie taki styl). Gładkie opalone twarze bez zmarszczek (mieszanka botoksu, samoopalacza i cotygodniowych maseczek). Wysmukłe sylwetki (pilates, joga, rowerek). I duże sztuczne cycki. Ta, w ciaśniejszych niż obcisłe dzinsach True Religion i luźnej koronkowej bluzce z wiszącymi kolczykami i tuzinem bransoletek Me & Ro — nie wyłączając czerwonego sznurka kabały — idealnie pasowała do tego modelu.

Mario zobaczył mnie, szybko się poderwał, ale hollywoodzka blondynka nie miała zamiaru ruszać swojego pięknie ukształtowanego tyłka. Siedziała spokojnie, próbując mnie zignorować, jakbym to ja była intruzem.

— Cześć! — rzuciłam. Zawsze lepiej zachować się przyjaźnie.

Blondyna obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem, a tymczasem Mario wziął mnie w ramiona i powitał ciepłym uściskiem.

— Witaj po powrocie — wyszeptał mi do ucha. — Tęskniłem za tobą.

— Naprawdę? — spytałam, poddając się urokowi jego dołeczków.

— Lepiej w to uwierz.

Hollywoodzka blondynka wpatrywała się we mnie z niechęcią, a kiedy w końcu uświadomiła sobie, że jest piątym kołem u wozu, wstała z ociąganiem.

— Chyba wrócę do moich przyjaciół — oznajmiła, wyraźnie łudząc się, że Mario poprosi, żeby została.

Ale nie poprosił. Nie powstrzymało jej to od wzięcia go za rękę, oparcia się na nim i szeptania mu do ucha.

Trzeba oddać Mariowi sprawiedliwość, że od razu się odsunął.

— Miło było cię spotkać, Liso. Do zobaczenia.

— Zadzwoń do mnie — zamruczała, nadal ignorując moje istnienie, co w zasadzie było winą Maria, bo powinien przynajmniej nas sobie przedstawić.

W końcu sobie poszła, a ja szybko usiadłam. Siedzenie było jeszcze ciepłe od tyłka Lisy odzianego w True Religion.

Mario także usiadł, a na jego twarzy pojawił się zażenowany uśmiech.

Postanowiłam nie zadawać żadnych pytań. Udawanie zazdrosnej dziewczyny nie należało do mojego *modus operandi*. Przecież byliśmy tylko na jednej randce, nie mam do Maria żadnych praw.

— Lisa to stara przyjaciółka — wyjaśniał niepytany.

— Nie taka stara — zauważyłam, nie mogąc się powstrzymać.

Pochylił się nad stołem i wziął moje ręce w swoje dłonie.

— Zazdrosna? — spytał.

Niewykluczone. Ale właśnie uprawiałam seks z bardzo atrakcyjnym nieznajomym w Nowym Jorku. A więc zazdrosna? Nie sądzę.

— Może — odpowiedziałam, bo przyszło mi do głowy, że nie ma nic złego w podbechtaniu jego ego.

— Wcale nie musisz. Lisa to stara historia.

Zbyt dużo informacji. Nie chciałam wyobrażać sobie Maria w łóżku z jakąś Lisą. Nie sprzyjało to nocy nieposkromionej żądz, a ja przewidywałam bardzo namiętą noc.

— Dzięki za informacje — powiedziałam cierpko. — Zachowam je do późniejszego wykorzystania.

Błyskając tymi swoimi bielszymi niż biel zębami, oznajmił:

— To właśnie mi się w tobie podoba.

— Czyli co?

— Jesteś złośliwa.

— Czyżby?

— To bardzo odświeżające. Wiele pięknych kobiet nie ma nic do powiedzenia.

Czy naprawdę nazwał mnie piękną? Owszem, nazwał.

Tej nocy Mario zdecydowanie będzie miał dużo szczęścia.

\* \* \*

Seks ma w sobie coś uzależniającego. Kiedy nie uprawia się go przez jakiś czas, można bez niego żyć. Ale kiedy znowu wkroczy się do akcji, to biada!

Aja wkroczyłam do akcji na wielką skalę.

Po kolacji w Ago — cudownej soli dla mnie, pasta primavera dla niego i butelce czerwonego wina dla nas obojga — w pośpiechu zmierzaliśmy do jego domu. Jechałam za nim moim samochodem, przewidując, co nastąpi. Zaprosiłabym go do siebie, ale uznałam, że Amy Winehouse miała dosyć stresów jak na jeden dzień. Nie potrzebuje słuchać odgłosów amatorów moich i Maria.

Kiedy tylko znaleźliśmy się za drzwiami, zachowaliśmy się jak spragnione seksu nastolatki. Ciuchy zaczęły spadać na podłogę w przerażającym tempie. Najpierw jego, potem moje, aż obydwójce stanęliśmy nadzy w niewielkim saloniku jego skromnego mieszkania.

Moje piersi dotykały jego torsu, a jego członek napierał na moje udo. Obejmij mnie nogami w pasie — polecił, podtrzymując mój tyłek, żeby mi pomóc.

Oczywiście, nie ma problemu.

Ale chwileczkę, gdzie gra wstępna, w której był taki dobry poprzednim razem? Mogę być napalona (znowu?!), ale odro-

bina uwagi, by podniecić mnie jeszcze bardziej, byłaby mile widziana. Kiedy to pomyślałam, odezwał się dzwonek przy drzwiach. Było już po północy i dosiadanie go w jego salonie bez ubrania sprawiło, że nagle poczułam się bezbronna.

— Spodziewasz się kogoś? — zapytałam, opuszczając nogi.

— Ja? Nie? — odparł równie zadziwiony.

— Zignorujemy to?

— To może być coś ważnego. Idź, poczekaj w sypialni. Załatwię to.

Nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Pobiełam do sypialni i wślizgnęłam się do łóżka. Wtedy uświadomiłam sobie, że zostawiłam torebkę w salonie, czego zaraz pożałowałam, bo musiałam sprawdzić telefon, by się przekonać, czy Carolyn próbowała się ze mną skontaktować. Wiedziałam, że muszę rano wyjawić, iż mężczyzna na fotografii jest George'em Hendersonem, ale przedtem powinnam porozmawiać z Carolyn.

Nagle seks z Mariem wydał mi się nieważny. Ktokolwiek zadzwonił do jego drzwi, sprawił, że odczułam gwałtowną potrzebę, by się ubrać i pójść do domu. Ale nie mogłam, bo moje rzeczy były rozrzucone po całej podłodze salonu.

Wrócił Mario. Nadal nagi. Nadal z robiącym wrażenie penisem.

Postanowiłam, że zostanę, dopóki nie skończymy tego, co zaczęliśmy.

Dopiero potem wyjdę.

— Kto to był? — zapytałam. — I nie mów mi, że otworzyłeś drzwi, nie mając na sobie ubrania.

— Ratowałem swoją skromność poduszką — odparł. — Bardzo dużą poduszką.

— Sądziłam, że rozmiar nie ma znaczenia — powiedziałam lekko.

— Żartujesz, tak? — powiedział, wskoczył do łóżka i zaczął lizać moje sutki.



Proszę, teraz mamy grę wstępna.

— Jesteś żadna przygód, tak? — Jego głos był niski i chropawy. — Gotowa spróbować wszystkiego?

— Dlaczego? — spytałam bez tchu, znowu potwornie podniecona.

— Ponieważ ja jestem gotowy. To moja specjalność, mierzyć się z nieoczekiwanym. To może być prawdziwa przygoda.

Przy tych słowach odrzucił prześcieradła i zaczął poruszać swoim magicznym językiem wzdłuż mojego ciała. Silnymi rękami rozchylił moje uda.

Westchnęłam głęboko, uniosłam ręce i zakryłam oczy. Mężczyzna, który umie zrobić użytek z języka, jest prawdziwym skarbem. A Mario wiedział, jak zaspokoić kobietę. Nagle wszystkie myśli o odejściu odpłynęły, kiedy tak leżałam na wznak, rozkoszując się aktywnością uzdolnionego języka Maria.

Przerwał na chwilę.

— Cokolwiek robisz, jest zbyt przyjemne — mamrotałam. — Już prawie dochodzę...

Jego język znowu zaczął dawać mi prawdziwą rozkosz. Nie mogłam już dłużej się wstrzymać, byłam zbyt podniecona. Przeżyłam potężny, trwający bez końca orgazm.

— O... Boże — jęczałam, a moje ciało drżało z rozkoszy. — To było... orgiastyczne!

— Jak ona umie się posługiwać słowami — wyszeptał Mario, biorąc w usta koniuszek mojego ucha.

Chwileczkę, jak może zajmować się moim uchem, kiedy jego głowa nadal znajduje się między moimi nogami? Wtedy to do mnie dotarło. W sypialni był ktoś trzeci.

*Rozdział trzydziesty ósmy*  
Carolyn

— W żadnym razie nie kontaktuj się ze mną — Gregory ostrzegł Benita.

— Ja się z tobą skontaktuję, jeśli będzie to konieczne.

Benito nie miał z tym problemu. Dano mu robotę do wykonania, a kiedy ją wykona, on i senator nie będą mieli żadnego powodu, żeby jeszcze kiedykolwiek ze sobą rozmawiać. Chyba że wpadłby w kłopoty i potrzebował pomocy. W takim przypadku mógłby bez problemu poprosić senatora o interwencję. Jednej rzeczy Benito był pewny: nigdy już nie pozwoli się wsadzić. Nigdy. Śmierć i pochówek to jedyna sensowna alternatywa więzienia.

A tymczasem robota polegająca na porwaniu dziwki senatora i przestraszeniu jej tak, żeby straciła dziecko, trwała już zbyt długo. Myślał, że wszystko pójdzie szybko. Złapać *puta*, powozić ją w bagażniku samochodu przez parę godzin i koniec — nie ma dziecka. Ale nie, woził ją przez wiele godzin po najbardziej wyboistych drogach, aż w końcu Rosa, siedząca koło niego na siedzeniu pasażera, zaczęła jójczyć, że jest zmęczona i głodna, więc

lepiej, żeby się zatrzymali i sprawdzili, czy osiągnęli to, co było ich zamiarem.

— Otwieram bagażnik — warknął Benito, zatrzymując się na opuszczonej bocznej ulicy. Był już wieczór i sam chętnie zjadłby hamburgera. — A ty idź i popatrz na nią — polecił.

— Dlaczego ja? — protestowała Rosa, jak zwykle kłótniwa.

— Bo ja nie będę jej zaglądał między nogi! — wrzasnął Benito. — To nie jest zajęcie dla mężczyzny.

— To twoja zasrana robota — przypominała wojowniczo. — Ty nas w to wpakowałeś.

— Zamknij japę i pomóż! — rozkazał Benito. Wziął latarkę i wyskoczył z samochodu. Pobiegł na tył, otworzył bagażnik i oświetlił Carolyn. Leżała związana, tylko teraz się nie ruszała, co go cholernie wystraszyło.

Pierwsza myśl, jaka przebiegła mu przez głowę, to pytanie: a jeśli *puta* mi tu kojfnie? Jeśli tak się stanie, będzie to znaczyło, że zmierza z powrotem do celi, a może gorzej — na krzesło.

Natychmiast zatrzasnął klapy bagażnika, bez słowa wsiadł do samochodu i pojechał do swojej nory, którą podnajął od kuzyna dealera, właśnie odsiadującego karę. Zaparkował auto wśród gnijących śmieci na tyłach domu i z niechętną pomocą narzekającej Rosy zataszczył ciężarną dziewczynę do środka — trochę ją ciągnął, trochę niósł, po czym rzucił na łóżko i rozwiązał.

Dobra wiadomość była taka, że dziewczyna jeszcze oddychała. A zła taka, że nigdzie nie było widać krwi, a nawet on wiedział, że gdyby straciła dziecko, to musiałyby się pojawić krew. Rosa zapewniła, że tak będzie. „To oczywiste, tłumaczyła jego szesnastoletnia przyjaciółka, jakby była ekspertem. Nie wiemy, jak długo ona jest w ciąży. Jeśli dziecko jest duże, to je zobaczymy, jak wyjdzie na zewnątrz. Moja kuzynka straciła dziecko, a ten idiotyczny dzieciak był tak wielki, że nie mogła nawet spuścić go w sraczu”.

Benito nie miał ochoty tego słuchać. Co ta Rosa może wiedzieć? Nic. Po przywiązaniu prawej ręki kobiety do ramy łóżka mocnym kablem poszedł do drugiego pokoju, włączył telewizor, klapnął na krzesło i tępo wpatrzył się w ekran.

Instynkt podpowiadał mu, że to nie jest zdrowa sytuacja.

Instynkt podpowiadał mu, że powinien się tej kobiety pozbyć. Ona oznacza pecha, złą karmę.

Na szczęście go nie widziała, ale Rosę tak.

No i co z tego? Miliony dziewczyn wyglądają jak Rosa, w krótkich spódniczkach, butach na platformach, ze zbyt mocnym makijażem i natapirowanymi włosami. Ta baba nigdy nie rozpozna Rosy podczas konfrontacji, a nawet jeśli, Rosa nie odważy się otworzyć gęby i go obciążyć.

Jedno wiedział na pewno: musi wymyślić jakiś nowy plan, bo trzymanie w domu tej ciężarnej dziwki senatora to opcja nie do przyjęcia.

\* \* \*

Kiedy Benito usadowił się przed telewizorem, Rosa wykorzystała okazję, by wymknąć się na dwór i otworzyć tylne drzwiczki samochodu. Szukała torebki tej kobiety. Kiedy ją porywali, najpierw przytknęli jej do twarzy tampon z chloroformem, a wtedy Rosa wyrwała jej torebkę i szybko cisnęła na tylne siedzenie. Benito tego nie zauważył, zbyt był zajęty krępowaniem nieprzytomnej ofiary i próbą wepchnięcia jej do bagażnika. Czasami Benito jest takim głupkiem. Ta sprawa z porywaniem to głupota, Rosa akceptowała wszystko, czego chciał Benito, bo przecież był jej chłopakiem, a niełatwo znaleźć chłopaka, kiedy ma się w domu wrzeszczącego dzieciaka. Poza tym fakt, że ma starszego chłopaka, jak Benito, dawał jej władzę w szkole, ilekroć zadała sobie trud, żeby tam pójść.

Nikt nie odważył się zaczepiać dziewczyny Benita. Wszyscy wiedzieli, że jest jego własnością, i to czyniło ją nietykalną.

Rosa uznała, że wzięcie torebki to premia za pomoc. Nie odchodzi z pustymi rękami. Niby dlaczego miałyby tak zrobić?

Po wyjęciu torebki z samochodu wślizgnęła się do domu i schowała ją pod zlewem w kuchni. Później, kiedy Benito zaśnie, zobaczy, co w niej jest. Miała nadzieję, że pieniądze, bo Benito nic jej nie dawał i musiała wykraść forszę z jego kieszeni, kiedy spał.

— Hej! — rozdarł się. — Przynieś mi jeszcze jedno piwo i posadź tu swoją dupę.

Rosa wykonała polecenie. Wiedziała, o co mu chodzi. Piwo, a potem porządne obciążenie.

Sprzeciwianie się temu facetowi nigdy nie było mądre.

\* \* \*

Odzyskując przytomność, Carolyn uświadomiła sobie, że musiała zemdleć, bo nie leży już związana w bagażniku samochodu, lecz na wąskim, zapadającym się łóżku w ciemnym pokoju, z prawym nadgarstkiem mocno przywiązanym do ramy łóżka.

Nie miała pojęcia, że to ten sam pokój, w którym zaledwie kilka dni temu odzyskał przytomność Gregory.

Kiedy próbowała usiąść, ogarnął ją strach. Rozpaczliwie potrzebowała pójść do łazienki, bolał ją brzuch, nie mogła zapanować nad dreszczami. Pokój był niewielki, zimny i wilgotny. W powietrzu unosił się zapach dymu papierosowego i cebuli, podłogi nie przykrywał żaden dywan, a porwana zasłona na jednym z okien była przybita gwoździami. Zza ściany dobiegał dźwięk telewizora, nad głową rozbrzmiewał cichy warkot helikoptera.

Gdzie jest?

Co się z nią działo?

Nie jest bogata ani sławna, więc dlaczego ktoś chciałby ją porwać?  
Spanikowana nie potrafiła ocenić, ile czasu upłynęło, odkąd ją porwano.  
Kilka godzin? Cały dzień? Nie miała pojęcia, ale wydawało się, że jest noc, bo niespokojny żołądek informował ją, że jest głodna, podczas gdy wyschnięte usta marzyły o wodzie.  
Przestraszona i niepewna mogła tylko mieć nadzieję i modlić się, że lada chwila się obudzi i wszystko to okaże się chorym koszmarem.  
I wtedy przyszła jej do głowy myśl: Gregory przybędzie jej na ratunek.  
Musi.  
Przecież nosi jego dziecko.

## *Rozdział trzydziesty dziewiąty*

### Bobby

Kolacja w towarzystwie Brigitte i Kris, M.J. i Cassie, Lucky, Max i dwóch właścicielek hotelu Cavendish, Renee i Susie, bardzo się udała. Jak zwykle Bobby był pod wrażeniem towarzyskich talentów matki, dzięki którym wszyscy czuli się swobodnie, chociaż Max przez większość wieczoru jej dokuczała.

Lucky wydawała się zachwycona kochanką Brigitte, a Kris była po uszy zakochana w Lucky. Renee i Susy znalazły się w lesbijskim raju.

Tymczasem Cassie i Max natychmiast się zaprzyjaźniały.

Niby dlaczego nie? — myślał Bobby, obserwując dwie dziewczyny, które nie przestawały gadać. — Są prawie w tym samym wieku. M.J.

zdecydowanie bierze się do nieletnich.

W końcu trafiła mu się okazja, by porozmawiać na osobności z Lucky.

Co się dzieje z panną szaloną? — spytał, mając na myśli młodszą siostrę.

Max doprowadza nas do szaleństwa — wyznała Lucky. — Ale co możemy poradzić?

— A gdyby tak pozwolić jej samej podejmować decyzje? — zasugerował Bobby. — Ma prawie osiemnaście lat i jest sprytna.

— Nie taka sprytna jak ty w jej wieku. Zresztą ma tylko siedemnaście lat — przypomniała Lucky. — Zwariowałabym, widząc, że przechodzi podobne doświadczenia jak Brigitte.

— Na jakiej podstawie przypuszczasz, że tak będzie? — zapytał.

— Daj spokój — prychnęła Lucky. — Max jest młoda i zachwycająca, a w dodatku pochodzi z bardzo bogatej rodziny. Obydwoje wiemy, że każdy dupek szukający wielkiej wygranej będzie za nią ganiał i właśnie dlatego chcę ją bezpiecznie ukryć w college'u, aż dorośnie.

— Mamo, to niemożliwe. — Bobby pokręcił głową.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo mała siostrzyczka jest gotowa ruszyć w świat, z waszą aprobatą lub bez niej.

— Tak myślisz?

— Już mi powiedziała, że nie zamierza iść do college'u.

— To niedobrze, tym bardziej że ja nie zamierzam dawać jej swobody. Nie ma takiej możliwości.

— Może się okazać, że nie masz wyboru.

— Zawsze jest jakiś wybór — stwierdziła Lucky, a jej twarz spochmurniała. Po chwili podjęła: — Wiesz, na czym polega problem? Ona jest podobna do mnie, kiedy byłam w jej wieku. I możesz mi wierzyć: nigdy nikogo nie słuchałam.

— Czy wobec tego nie powinnaś jej rozumieć?

— Naprawdę próbuję.

— O ile pamiętam, Gino wydał cię za mąż, kiedy miałaś szesnaście lat.

— Tak — przyznała z ironicznym śmiechem. — Gino uznał, że w ten sposób będzie mógł mnie kontrolować. Co oczywiście się nie sprawdziło. Przechytrzyłam go.



- Ależ mam, przecież wyszło ci to na dobre. Tyle osiągnęłaś. I do wszystkiego doszłaś sama.

— Dzięki, Bobby, ale nadal nie rozumiesz. Już nic nie jest proste, żyjemy w niebezpiecznych czasach.

— A czy w tamtych czasach nie zamordowano twojej mamy? I brata, i faceta, z którym byłaś zaręczona? Chcesz mi powiedzieć, że wtedy nie było niebezpiecznie? Jezu, mam, daj spokój!

— Oczywiście, że było, ale tak jak powiedziałam, dziś żyjemy w innym świecie. Poza tym byłam wyjątkowo cwana, wiedziałam, jak zadbać o siebie w każdej sytuacji.

— Max też jest cwana. Przed paroma laty wywinęła się z całej tej afery z porwaniem.

— Po prostu miała szczęście. Zresztą Ace jej pomógł.

— A co się z nim dzieje? Kręci się tu jeszcze?

— Czasami.

— Chyba wiesz, że ona chce się przenieść do Nowego Jorku?

— O tak, słyszałam o tym. Wymyśliła sobie, że zamieszka / tobą.

— Nie ma mowy. Kocham moją małą siostrzyczkę, ale nie chcę być za nią odpowiedzialny.

— Bobby, możesz mi wierzyć, że cię rozumiem.

— Ty i Lennie jakoś to rozwiążecie.

— Na pewno będziemy się cholernie starali.

— No to powodzenia — powiedział Bobby z uśmiechem. — Będzie wam bardzo potrzebne.

Lucky uśmiechnęła się smutno.

— Dosyć o Max, co słyhać u mojego syna numer jeden?

— Przejmuję twój klub i będę miał z tym wystarczająco dużo pracy.

Bobby, chodziło mi raczej o związki uczuciowe. Jak wygląda sytuacja? Jest jakaś dziewczyna, o której powinnam wiedzieć?

— Nie ma nikogo specjalnego — odpowiedział beztrąsko. Chwila milczenia, kolejny uśmiech. — Nadal się rozglądam.

\* \* \*

Następnego ranka Max wróciła do Los Angeles. Bobby odwiózł ją na lotnisko. Jeszcze raz nalegał, żeby zastanowiła się nad pójściem do college'u, i na tym zakończył. Nie było sensu się spierać z nią. Max chciała mieć swobodę i uważała, że nikt nie może jej w tym przeszkodzić. Resztę dnia spędził w klubie z M.J. Sprowadzili architekta, projektanta wnętrz i przedsiębiorcę budowlanego. Szli na całość.

Uczestnicząc w spotkaniu, Bobby nie przestawał spoglądać na zegarek. Chciał zdążyć powitać Frankiego i Annabelle, kiedy przyjadą do hotelu. Nie bardzo rozumiał, dlaczego w ogóle ich zaprosił. Podjął decyzję pod wpływem impulsu i zaczynał tego żałować. Po namyśle doszedł do wniosku, że podświadomie pragnął wznieść wokół siebie mur, by chronić się przed Zeeną, pozeraczką mężczyzn. Nie zamierzał znowu zostać wessany, ale może to nieuniknione?

Gdzie się podziały wszystkie miłe dziewczyny — sprytne, inteligentne, w odpowiednim wieku? Na pewno nie kręcą się w klubie Mood. Ma dosyć modelek, bywalczyń bankietów i bogatych dziedziczek.

Przez chwilę jego myśli zwróciły się ku Denver, prawniczce, którą spotkał u Annabelle w Nowym Jorku. Wspomniała, że chodzili do tej samej szkoły średniej. Nie pamiętał jej z tamtych czasów, ale spodobała mu się, mimo iż widzieli się tak krótko. Dała mu swoją wizytówkę i pomyślał, że może powinien do niej zadzwonić. Wydawała się normalna. Emanował z niej pociągający blask, nie była chuda jak patyk i sprawiała wrażenie osoby, która nie pogardzi dobrym befsztykiem. Powinien był powiedzieć Frankiemu, żeby ją przywiózł.

Ale na to już za późno. O co mu chodzi? Po prostu próbuje chronić się przed Zeeną.

Na pewno? No, dalej, Panno Supergwiazdo, dam sobie radę ze wszystkim, co masz.

\* \* \*

Jak większość wielkich gwiazd, znanych tylko z imienia, Zeena uważała, że należy jej się wszystko i jeszcze trochę. Jej wymagania były wykalkulowane i dziwaczne, ale nikt nie ośmielił się jej sprzeciwić. Kroczyła przez życie w przekonaniu, że większość ludzi będzie jej się kłaniała, a wszystko ujdzie jej na sucho.

Zeena miała skłonność do wykorzystywania ludzi. Sprawdzała, jak daleko może się posunąć. To była zabawa, a jeśli po drodze kogoś zniszczyła, to trudno.

Mężczyźni ją intrygowali, choć nie miała nic przeciwko jednej czy drugiej kobiecie, jeśli nadarzała się okazja.

Bobby Santangelo Stanislopoulos też ją zaintrygował. Różnił się od młodszych mężczyzn, którzy zazwyczaj ją pociągali. Miał styl, pieniądze, klasę. Poza tym... mimo że krytykowała go w łóżku, na pewno wiedział, co robi.

Więc kiedy dowiedziała się, że Bobby będzie w Las Vegas tego wieczoru, podczas którego ona tam wystąpi, uznała to za szczęśliwy traf.

Renee, właścicielka hotelu Cavendish, ujawniła, że Lucky Santangelo wraz z grupą towarzyszących jej osób, łącznie z atrakcyjnym synem, zjawi się na jedynym występie Zeeny, którego dochód zostanie przeznaczony na cele dobroczynne.

Zeena udawała brak zainteresowania.

Czy to dla Zeeny ciekawi ludzie? — spytała. Chcesz powiedzieć, że nie znasz Lucky? — dziwiła się Kenee. — Wielki Boże! Lucky to zadziwiająca kobieta. Powinnyście przypaść sobie do gustu, polubisz ją.

— Zeena przywiązuje wielką wagę do tego, kogo lubi, a kogo nie — zaświergotała. — Jednak wierzę twojej ocenie, Renee, więc załatw, żeby po koncercie ta Lucky i jej towarzystwo zjedli z nami kolację.

— Załatwione! — wykrzyknęła Renee, klaszcząc. — Nie pożałujesz tego.

Zeena sięgnęła po gauloise'a stanowiącego jej znak firmowy.

— Mam nadzieję, że nie, bo Zeena nie znosi się nudzić. Nudzenie się to grzech śmiertelny.

\* \* \*

Po skończonym spotkaniu Bobby został sam. M.J. poszedł gdzieś z Cassie, Brigitte i Kris były w spa, a Lucky załatwiała jakieś sprawy przez telefon w swoim gabinecie urządzonej jak pałac.

Zastanawiał się, czy mógłby się jakoś wyłgać z pójścia na w koncert Zeeny, ale przypomniał sobie, że zaprosił na ten występ także Frankiego i Annabelle, więc nie ma ucieczki.

Zeena będzie przecież na estradzie. Nie musi się z nią spotkać ani spędzać z nią czasu sam na sam.

Pod wpływem impulsu postanowił, że pojedzie na lotnisko limuzyną, by osobiście powitać Frankiego i Annabelle. Lepsze to niż bezczynne siedzenie. Może po drodze zatrzymają się w hotelu Wynn i rozegrają kilka partyjek blackjacka.

Przechodząc przez hotelowe lobby, mijał kiosk z czasopismami i gazetami. Zauważył nagłówek na pierwszej stronie „Truth & Fact” i stanął jak wryty.

Jasna cholera. To nie były porady, jak stać się piękną.

*Rozdział czterdziesty*  
Annabelle

W samolocie Stanislopoulosa były dwie stewardesy: Gitta, atrakcyjna Dunka, i Hani, hawajska piękność. Obydwie miłe i kompetentne, potrafiły poradzić sobie w każdej sytuacji. Pracowały dla firmy Stanislopoulos Shipping and Industries od przeszło dziesięciu lat — Gitta od dwudziestego piątego roku życia, a Hani od dnia poprzedzającego jej dziewiętnaste urodziny. Jednak tego dnia wiedziały, że mają problem i zastanawiały się, jak sobie z nim poradzić.

Na pokładzie samolotu znajdował się Frankie Romano ze swoją dziewczyną Annabelle Maestro. Lecieli do Las Vegas, i tu właśnie zaczynał się problem. Gitta i Hani zastanawiały się, czy powiedzieć zakochanej parze, co na nich czeka, kiedy wysiądą z samolotu, czy też zachować dyskretne milczenie.

Gitta opowiadała się za milczeniem. Hani uważała, że lepiej młodych ostrzec.

Nie mogąc się dogadać, zapytały jednego z dwóch pilotów, starszego, żonatego mężczyznę, który po kryjomu kochał się w Hani.

Powinnyście postąpić tak, jak uważacie za słuszne — powiedział, wpatrując się w Hani, kobietę, której nigdy nie

będzie miał, z powodu żony i trójki małych dzieci czekających na niego w domu.

— No to im powiemy — postanowiła Hani.

— Nie im, tylko jemu — poprawiła jak zawsze dyplomatyczna Gitta. — To on powinien powiedzieć jej. To mniej krępujące.

— Może zajrzałbym do tego pisma? — zasugerował pilot.

— Nie mamy egzemplarza — wyjaśniła Gitta.

— Gitta uznała, że lepiej będzie nie zabierać tego na pokład — dorzuciła Hani.

Pilot wzruszył ramionami.

— Jeśli to jedno z tych brukowych pism, to pewnie cała historia oparta jest na kłamstwach — uznał. — Może byłoby najlepiej, żebyście o tym w ogóle nie wspominały. — Hani obrzuciła go zimnym spojrzeniem, które kazało mu szybko zmienić zdanie. — Chociaż — dodał pospiesznie — możecie wziąć na bok tego Romano i go ostrzec.

— Ja to zrobię — zaproponowała Gitta. — Lepiej, jeśli to wyjdzie ode mnie.

— Niby dlaczego? — zdziwiła się Hani. — Nie wierzysz, że dam sobie radę?

— Wiem, że sobie poradzisz — powiedziała uspokajająco Gitta. — Ale gdyby się zdenerwował, to jestem ekspertem od uspokajania ludzi.

— A ja nie?

— Obydwie to umiemy — zgodziła się Gitta. — Może przyprowadzę go do części kuchennej i obydwie mu powiemy.

— No to problem rozwiązany — ucieszył się pilot, zadowolony, że ma kłopot z głowy. — Dajcie znać, jak się skończyło.

\* \* \*

— Mam bardzo poważne podejrzenia, że jako dziecko mogłam być molestowana — mówiła Annabelle, pogryzając

orzeszki, kiedy samolot Bobby'ego wiozł ich w stronę Las Vegas.

— I dopiero teraz sobie o tym przypomniałaś? — spytał z niedowierzaniem Frankie.

— To wszystko mi się teraz przypomina. Najwyraźniej wyparłam te wspomnienia, ale teraz, kiedy zaciągnąłeś mnie do Los Angeles...

— Nigdzie cię nie zaciągnąłem — zaprotestował Frankie, mrużąc oczy. Jezu! Ona jet w okropnym nastroju.

— Chciałam ci przypomnieć, że ty wpadłeś na pomysł, żeby polecieć do Los Angeles na pogrzeb, zostawiając doskonale prosperujący interes, który prawdopodobnie Janey i jej głupkowaty syn akurat rozpieprzają, kiedy my tu sobie rozmawiamy.

— Janey niczego nie rozpieprza — warknął.

— Rozmawiałeś z nią? — Annabelle zdjęła ciemne okulary i wbiła w niego wzrok. — Sprawdziłeś?

— O Chryste, mała, dopiero przyjechaliśmy — jęknął. — Chyba już czas, żebyś przestała miazdżyć mijają.

— Myślałam, że jaja zostawiłeś u mojego tatusia — prychnęła Annabelle.

— Przewiązane różową satynową wstążeczką i czołówką jego najnowszego filmu.

— Potrafisz być prawdziwą dziwką — stwierdził Frankie, kręcąc głową.

— Ralph Maestro. Twój ideał — drwiła. — I prawdopodobnie człowiek, który mnie molestował.

— Odpieprz się ode mnie — powiedział ostro Frankie. — Kiedy postanowiłaś zmyślić tę historię?

— A więc dla ciebie to jest zmyślona historia? — Annabelle była bardzo niezadowolona, że od razu jej nie uwierzył. W końcu to może być prawda. Ściągnęła brwi i uznała, że musi pójść do jednego z tych psychiatrów od regresji, który wkopie się w głąb jej ponurego dzieciństwa i wszystko odkryje.

— Dziecinko, nie chodzi o to, że ci nie wierzę. — Frankie doszedł do wniosku, że musi ją udobruchać, bo kiedy wpadnie w jeden z tych swoich nastrojów, szybko może się to przerodzić w okropną walkę o nic. — Po prostu myślę, że fakt, iż twoja mama została zamordowana, odbija się na twoich emocjach.

Niespodziewanie oczy Annabelle napełniły się łzami. Oczywiście, że się odbija. To i atakujący ją wielki gruby syn Sharifa Raniego. A w tej ostatniej sprawie Frankie nie zrobił absolutnie nic.

W tym momencie podjęła decyzję zmieniającą życie: musi się pozbyć swojego chłopaka. Frankie to toksyczny sukinsyn, który myśli tylko o wciąganiu kokainy, zarabianiu forsy i zajmowaniu się sobą. Ponadto nie mogła znieść tego, że podlizywał się Ralphowi, jakby miał do czynienia z pieprzonym prezydentem Ameryki.

Dreszczyk ekscytacji definitywnie zniknął.

Czy powinna mu to powiedzieć teraz, w samolocie, dzięki czemu stanie się wolna i będzie mogła podrywać Bobby'ego?

Hmm... to interesujący pomysł. Ale pewnie mądrzej będzie poczekać, aż wrócą do Nowego Jorku i sytuacja się uspokoi.

Bobby zdecydowanie jest perspektywą na przyszłość, ale skoro to przyjaciel Frankiego, ona musi zadbać o to, by wszystko zdarzyło się w odpowiednim czasie. Jeśli porzuci Frankiego, Bobby na pewno zaoferuje jej pomoc i będzie mogła się wypłakać.

A potem... kto wie, co może się wydarzyć?

\* \* \*

— Przepraszam, panie Romano — powiedziała Gitta, lekko klepiąc go w ramię. — Czy mogłabym zamienić z panem słówko?



— Co takiego? — spytał Frankie, zastanawiając się, czy zostawił resztki koki na blacie w łazience, a ta kobieta w eleganckim różowo-zielonym mundurku zamierza mu powiedzieć, że wdychanie koki w samolocie jest sprzeczne z przepisami federalnymi.

Cholera! Co ona może zrobić? Aresztować go?

W żaden sposób. Zaczyna się zachowywać jak paranoik.

— Jest jakiś problem? — zapytał, automatycznie pocierając nos, żeby usunąć wymowne ślady białego proszku.

— Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć — wyjaśniła Gitta. — Chyba nie powinniśmy niepokoić panny Maestro, więc może zechciałby pan pójść ze mną?

Obydwoje popatrzyli na Annabelle, która zapadła w lekki sen, a egzemplarz „Us Magazine” prawie zsunął się z jej kolan.

Frankie pomyślał, że może coś się dzieje z samolotem. Zepsuty silnik, awaria urządzeń do lądowania, pożar. Jezu Chryste! To może być wszystko.

Wstał i poszedł za Gittą do kambuza, gdzie druga stewardesa, piękna hawajska dziewczyna, stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie robiła wrażenia spanikowanej, wyglądała zbyt spokojnie na to, by cokolwiek mogło się dziać z samolotem.

— O co chodzi, drogie panie? — spytał, myśląc, że młodsza z nich jest w jakiś taki egzotyczny sposób pociągająca.

— To dość niezręczna sytuacja, panie Romano — zaczęła Gitta — uznaliśmy jednak, że będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli poinformujemy pana, co się dzieje.

Przeklęty samolot spada. Takie jego pieprzone szczęście. - Jaka sytuacja? — udało mu się spytać. A gdzie ten pieprzony pilot?

W jednym z brukowców na pierwszej stronie ukazała się wiadomość — powiedziała Hani oschle i rzeczowo. — Chodzi o pana i pannę Maestro.

Więc... ich związek w końcu trafił do szmatławców. Co w tym niezręcznego? Annabelle nigdy nie szukała reklamy, ale jemu to zupełnie nie przeszkadza. Wyobrażał sobie nagłówki.

**FRANKIE ROMANO — OGIER NA SWOBODZIE  
PRZYSTOJNY CHŁOPAK CÓRKI ZAMORDOWANEJ GWIAZDY  
FILMOWEJ PODBIJA HOLLYWOOD**

Prawda była taka, że zawsze pociągała go sława.

— Obawiam się, że nie jest to zbyt budująca historia — ciągnęła Gitta. — Tak naprawdę jest skandaliczna, dlatego uznałyśmy, że lepiej pana uprzedzić, zanim wysiądzie pan z samolotu.

— Co to znaczy „niezbyt budująca”? — spytał, zastanawiając się, czy zrobił coś, co mogło rozkołysać łódź.

— No... — Hani wahała się przez chwilę — nazywają pannę Maestro znaną burdelmama, piszą też, że pan jest narkomanem i że dostarcza pan dziewczęta do agencji, którą obydwójce prowadzicie.

— Rozumiemy naturalnie, że to wszystko nieprawda — pospiesznie wtrąciła Gitta. — Ale uznałyśmy, że lepiej to powiedzieć, zanim rzucą się na was paparazzi.

— Mam nadzieję, że postąpiłyśmy słusznie — dorzuciła Hani, zastanawiając się, czy coś w tej historii jest prawdą.

Frankie stał nieruchomo. Był w szoku. Ich prywatny biznes na pierwszych stronach brukowców. Nazywano Annabelle znaną burdelmama, a jego narkomanem i stręczycielem. Jak to możliwe?

Annabelle dostanie szału. I jego obarczy winą, bo według jego uroczej dziewczyny wszystko zawsze jest jego winą.

— Gdzie jest ten kłamliwy główniany szmatławiec? — zapytał głosem przypominającym ciche warknięcie.

— Przykro mi, panie Romano — odrzekła Gitta — nie mamy egzemplarza na pokładzie.

— Dlaczego nie, do jasnej cholery?! — wrzasnął, nagle rozjuszony. — Opowiadacie mi jakieś gówna, a teraz nie możecie mi tego pokazać. Co z wami jest nie tak, do cholery?

— Panie Romano... — zaczęła Gitta.

— Przestańcie mi panromanować — wściekał się. — Powiem wam, co możecie dla mnie zrobić. Możecie zamknąć te swoje durne, pieprzone gęby i nie wspomnieć mojej dziewczynie ani słowem o tym zmyślonym gównie. Rozumiemy się?

— Jak pan sobie życzy. — Gitta posyłała Hani spojrzenie: „A nie mówiłam?”.

Hani była zaskoczona reakcją Frankiego. Jak on śmie mówić do nich w taki sposób? Historia w brukowcu pewnie jest prawdziwa. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że ktoś tak miły i dyskretny jak Bobby Stanisloupoulos przyjaźni się z tak nieokrzesanym człowiekiem?

Frankie Romano to świnia. Gitta jak zwykle miała rację. Nie powinny były mówić ani słowa, tylko pozwolić, żeby dowiedział się o wszystkim w swoim czasie.

\* \* \*

Annabelle przespała lądowanie. Frankie nie zadał sobie trudu, żeby ją obudzić. Im dalej będzie ją trzymał od tych dwóch gadatliwych stewardes, tym lepiej.

Miał mętlik w głowie, ale uświadomił sobie, że nic nie może zrobić, dopóki nie zobaczy tego obraźliwego artykułu i nie przeczyta każdego słowa.

Dranie! Wyprocesuje z nich całe gówno i jeszcze więcej. Wynajmie najostrzejszego adwokata w całym Nowym Jorku. Ralph zapłaci. Ralph będzie równie oburzony jak on, bo w grę wchodzi reputacja jego córki.

Skąd, do cholery, brukowiec wziął te informacje?

Chryste! Musi się dokładnie dowiedzieć, co wydrukowali. Trudno było opublikować to w gorszym momencie, przecież jutro pogrzeb. Ralph się zesra.

Musi zadzwonić do Janey, zorientować się, czy ona coś wie. Ale w tym momencie najważniejszym zadaniem jest wyprowadzenie Annabelle z samolotu, ukrycie jej w limuzynie przysłanej przez Bobby'ego na lotnisko i kupienie brukowca, w którym to napisano.

Nie może być aż tak źle.

A może jest?

*Rozdział czterdziesty pierwszy*

Denver

Stwierdzenie, że byłam wściekła, byłoby określeniem łagodnym. Raczej upokorzona, zawstydzona i ponizona. Jak mogłam dopuścić do tego, by wpaść w tak szokującą pułapkę?

Nie jestem pruderyjna, ale trójkąt bez mojej wiedzy? Nie! Nie! Nie! Inna kobieta przemycona do łóżka przez Maria — mojego rycerza w bardzo poplamionej zbroi? Raczej nie.

Co za sukinsyn! Dupek! Jak mogłam go lubić? Ja, która zawsze uważałam się za znawcę ludzkich charakterów.

I zgadnijcie, kto był tym trzecim kołem u wozu?

Owszem, dobrze zgadujecie: była to hollywoodzka blondyna we własnej osobie, bez dzinsów True Religion i koronkowej bluzki. Mnóstwo blond włosów na głowie, a niżej nic. Mężczyźni w Hollywood lubią takie ogolone, bo w ten sposób mogą udawać, że pieprzą dwunastolatki!

Gdy uświadomiłam sobie, co się dzieje, wyskoczyłam z łóżka z szybkością błyskawicy. Wypadłam z sypialni, porwałam swoje ciuchy z podłogi w salonie i rzuciłam się do drzwi, a nagi Mario gonił mnie, wrzeszcząc: „Wracaj! O co chodzi, skarbie? Myślałem, że spodoba ci się trochę nieszkodliwej zabawy”.

Nieszkodliwej zabawy! Czy on ze mnie kpi?

Nieszkodliwa zabawa z hollywoodzką blondyną czy jakąś inną kobietą zwyczajnie nie była w moim guście.

Dobiegłam do samochodu i ruszyłam, a nadal goły Mario biegł obok i walił w szybę od strony pasażera. Po przyjeździe do domu stałam pod prysznicem dobre dziesięć minut, próbując zmyć wszystkie ślady oszustwa tego dupka.

Teraz jest środa rano i nadal jestem wściekła. Mam poczucie, że zrobiono ze mnie idiotkę, czuję się też zgwałcona i potwornie głupia, skoro pozwoliłam, by to się stało. Powinnam się była zorientować, kiedy Mario wrócił do łóżka, nie mówiąc mi, kto dzwonił do drzwi. A ja głupia z jakiegoś powodu nie domagałam się odpowiedzi. Boże! Do jakiego stopnia można zidiociec?

Po kolejnym długim prysznicu włożyłam wygodny dres, związałam włosy w koński ogon i bez makijażu przebiegłam ze spragnioną ruchy Amy Winehouse kilka razy dokoła kwartału domów.

Kiedy zmierzałam do domu, Amy natychmiast zaczęła machać ogonem. Szybko się przekonałam, że nie dzieje się tak bez powodu: przed wejściem czaił się mój kochający eks, czyli Josh. Akurat jego widok nie był mi potrzebny, szczególnie że nie byłam odpowiednio ubrana na konfrontację z byłym chłopakiem.

Josh trzymał dwa pojemniki z kawą Starbucks, torebkę z bajglami i najwyraźniej miał zamiar wejść do mieszkania.

Amy Winehouse skoczyła na niego radośnie, a ja obrzuciłam go lodowatym spojrzeniem.

— Cześć.

— Co tu robisz? — zapytałam rzeczowo. Przestało mnie obchodzić, że zobaczy mnie bez makijażu.

Podał mi kawę.

— Gałązka oliwna — powiedział, próbując przyjaznego

podejścia. — Źle postąpiłem, zabierając Amy, i przyszedłem przeprosić. Josh zawsze doskonale wyczuwał, kiedy należy coś zrobić. Nic z tego.

— Mogę wejść? — zapytał, pochylając się, by poklepać psa.

— Prawdę mówiąc — odegrałam scenę spoglądania na zegarek — muszę się przebrać. Jestem spóźniona.

— Pięć minut. Tylko tyle.

Zmięklam. Nie chciałam, żeby Josh wszedł do mojego mieszkania, ale miałam tę głupią niechęć do robienia ludziom przykrości, a on przyniósł mi kawę. Poza tym chętnie zjadłabym grzanek z bajgila, zanim stawię czoło reszcie dnia.

— Dobrze — westchnęłam. — Tylko pięć minut.

— To twarda kobieta — powiedział Josh tym swoim żartobliwym tonem, który tym razem nie zrobił na mnie wrażenia.

Zmierzaliśmy do mojego mieszkania, które kiedyś było naszym.

Wskazałam ręką papierową torbę.

— Bajgle? — zapytałam.

— Z twojego ulubionego sklepu — wyjaśnił bardzo z siebie zadowolony.

— Czy mam zrobić grzanki?

— Nie ma przeszkód — powiedziałam i nagle poczułam się zmęczona.

Nie miałam pojęcia, po co Josh przyszedł, i szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodziło.

Josh wszedł za bufet, który oddzielał salon od części kuchennej, i wrzucił do toastera dwa kawałki bajgla.

— Kupiłeś dom — stwierdziłam obojętnie, siadając przy bufecie.

— Jak ci się podobał? — spytał radośnie, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi.

— Bardzo ładny. Ty to masz szczęście. — Mój ton był jadowity, bo tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Kupiłeś dom beze mnie, to nie w porządku”.

To doskonała inwestycja — zauważył Josh. — Zwłaszcza przy obecnej koniunkturze.

— Dlaczego? Żenisz się? — Czułam się podle.

— Nie ma mowy — powiedział gwałtownie. — Tori i ja to sprawa tymczasowa.

Tori. Oczywiście.

— A ona o tym wie? — spytałam, chcąc się dowiedzieć, czy ją zwodzi. Josh postanowił zignorować moje pytanie. To dla niego typowe.

Wyciągnął bajgle z tostery; lekko przypalone, dokładnie takie, jak lubię. Posmarował jeden masłem, położył na talerzyku i podał mi.

Zupełnie jak dawniej. Gdyby była niedziela, sięgalibyśmy po „New York Timesa”, szykując się do niespiesznej lektury.

Ale nie jest niedziela, tylko środa, i mam mnóstwo do zrobienia. Poza tym Josh i ja nie jesteśmy już parą, więc co on, do diabła, robi w moim mieszkaniu?

— Wyglądasz wspaniale — oznajmił, drapiąc się w podbródek i lustrując mnie od stóp do głów. — Schudłaś?

Czy chce powiedzieć, że kiedy widział mnie ostatni raz, byłam gruba? Sukinsyn!

— Nie — odpowiedziałam krótko, myśląc, że jemu zdecydowanie przybyło kilka funtów. — Nadal ta sama ja.

— Nadal ta sama i piękna ty — poprawił mnie, akcentując słowo „piękna”.

Co jest ostatnio z tymi komplementami? Zdecydowanie po bzykaniu wysyła się jakieś szalone sygnały.

Pogryzałam bajgla, sączyłam kawę, aż wreszcie powiedziałam:

— Josh, dziękuję za odwiedziny, ale naprawdę muszę się już szykować.

— Jasne — zgodził się pojednawczo, nim dorzucił z nadzieją: — Powinniśmy to powtórzyć, prawda?



Nieprawda. Ale skinęłam głową.

Później, już w biurze, żałowałam, że nie powiedziałam mu, żeby się odpieprzył. Ma czelność wpadać do mnie bez zapowiedzi. Co on sobie wyobraża?

Do drzwi mojego gabinetu zapukała Megan i weszła z dużym wazonem czerwonych róż.

— Ktoś cię lubi — stwierdziła, stawiając wazon na moim biurku. — A pan Saunders chce cię zobaczyć. *Pronto.*

Wzięłam bilecik dołączony do róż.

*„Przepraszam” wydaje się najtrudniejszym ze słów Mario.*

Dobra, dobra.

Następnie po raz piąty sprawdziłam komórkę, żeby zobaczyć, czy Carolyn odpowiedziała na mojego SMS-a. Nie zrobiła tego. Nie odbierała też telefonu, a kiedy zadzwoniłam do jej biura, powiedziano mi, że nie pojawiła się w pracy. Zastanawiałam się, czy wie o George'u i Gemmie. Zawsze była blisko z ojcem, może jej się zwierzył.

No, będę musiała powiedzieć Zębowi Rekina, kto jest na zdjęciu z Gemmą. Koniec z utajnianiem, nadeszła pora dokładnego odkrywania.

\* \* \*

Felix siedział za swoim olbrzymim biurkiem, a jego pociągła Iwarz miała ponury wyraz. Odziane w buty ze skóry jaszczurki nogi spoczywały na biurku. Dzisiaj były to buty ze skóry u farbowanej na szokujący róż, zdecydowanie nieodpowiedni w pracy.

Zanim zdążyłam się odezwać, rzucił mi przez biurko brukowy magazyn i spytał: Widziałaś to?

Wzięłam do ręki egzemplarz „Truth & Fact” i rzuciłam okiem. Przeraził mnie już sam nagłówek.

**CÓRKA ZAMORDOWANEJ GWIAZDY FILMOWEJ  
PROWADZI AGENCJĘ PROSTYTUTEK RAZEM ZE SWOIM  
CHŁOPAKIEM NARKOMANEM**

Obok nagłówka było zdjęcie Annabelle z zalotną miną w pięknej wieczorowej sukni.

Musiałam chyba otworzyć usta ze zdumienia, bo Ząb Rekina powiedział: — Zakładam, że nic o tym nie wiedziałaś? Słusznie zakładał. Byłam w szoku.

— No... nie — wybąkałam.

— Przecież byłaś z nimi w Nowym Jorku — przypomniał mi oskarżycielskim tonem, jakbym w krótkim czasie, jaki z nimi spędziłam, powinna dowiedzieć się wszystkiego. Jestem sprytna, ale nie aż tak.

— Akurat tak długo, żeby ich odwieźć na lotnisko — wyjaśniłam. — Nie spędziłam z nimi tygodnia czy dwóch, więc skąd niby miałabym wiedzieć o ich tak zwanym biznesie?

— Dobry prawnik wie wszystko — stwierdził Felix, obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem.

Dobry prawnik nie powinien nosić różowych butów ze skóry jaszczurki. To nieodpowiednie. Poza tym od tego koloru bolą mnie oczy.

— Przykro mi, że moje talenty detektywistyczne nie są na odpowiednio wysokim poziomie — rzuciłam z ironią. — Jednak znam nazwisko mężczyzny, który jest na zdjęciach z Gemmą Maestro w Malibu.

To zainteresowało mojego szefa.

— Naprawdę? — zapytał, stukając w błyszczący przedni ząb długim szczupłym palcem wskazującym.

— Nazywa się George Henderson. Jest chirurgiem plastycznym.  
— Jesteś pewna?  
— Jak najbardziej. To ojciec mojej przyjaciółki Carolyn Henderson. Carolyn, ja i Annabelle chodziłyśmy do tej samej szkoły średniej.  
— Wydaje się, że znasz wszystkich — stwierdził Felix z przekąsem.  
— Po prostu mieszkam tutaj od jedenastego roku życia.  
— Tak czy inaczej — Felix zdjął nogi z biurka — Ralph na nas czeka. Chodzi mu o ograniczenie szkód z powodu tych brukowych bzdur. Przekonamy się przy okazji, co wie o George'u Hendersonie.  
— Uważasz, że powinnam z tobą pójść? — spytałam, marząc, by powiedział „nie”.  
Oczywiście nie zrobił tego. Jak zwykle mam pecha. A więc rezydencjo Maestro — jeszcze raz! Żeby mój dzień był idealny, brakuje tylko Maria czekającego przed biurem.

*Rozdział czterdziesty drugi*  
Carolyn

Carolyn przetrwała długą i niespokojną noc, przysłuchując się szumowi ulewnego deszczu na dworze. Była zrozpaczona i wcale nie miała pewności, czy spała, czy nie. Bolał ją żołądek, zaczynała się martwić o dziecko.

Przez podartą zasłonę przesączało się światło, uznała więc, że jest rano. Zaczęła myśleć o dziewczynie, która poprzedniego wieczoru przyniosła jej chleb i wodę. Nie porwała jej sama, zaangażowany był też mężczyzna, który nie chciał, żeby zobaczyła jego twarz. Zawiązała jej oczy, po czym mężczyzna zaprowadził ją do łazienki i stał tam, kiedy sikała. Kolejne upokorzenie.

Kim są ci ludzie? A jeszcze ważniejsze: czego od niej chcą?

Przerażona Carolyn próbowała myśleć bardziej jasno i zorientować się, jak długo tu jest. Wiedziała, że porwano ją wczesnym popołudniem we wtorek, po czym wożono przez wiele godzin w bagażniku. Musiała kilka razy zemdleć, bo kiedy odzyskała przytomność, leżała w tym brudnym łóżku z prawym nadgarstkiem przywiązany do ramy łóżka mocnym kablem.

Teraz musi być środa, więc ludzie zorientują się, że zniknęła. Kerri dojdzie do wniosku, że coś jest nie tak, kiedy nie odbierze lekarstw Nellie i nie spotka się z nią na śniadaniu. Muriel na pewno nabierze podejrzeń, kiedy Carolyn nie pojawi się w biurze. A Gregory...

Zastanawiała się, co on robi, co myśli.

Kiedy przyjechał spotkać się z nią na opuszczonej stacji benzynowej, a jej tam nie było, jak zareagował?

Wszystko zależy od tego, czy jej samochód nadal tam stoi. Jeśli zostawili auto, a jej w nim nie było, wtedy musiał się domyślić, że stało się coś strasznego, i na pewno od razu wezwał policję.

A jeśli nie?

\* \* \*

Wtorkową noc Benito spędził, śpiąc w fotelu przed telewizorem, podczas gdy Rosa zwinęła się na zniszczonej starej kanapie. Chciała pójść do domu, ale Benito jej nie pozwolił.

— Zostajesz tutaj! — wrzasnął na nią. — Przestań mi tu pierdolić głupoty.

Zanim zasnęli, kazał jej rzucić okiem na uwięzioną, żeby się upewnić, czy jeszcze oddycha.

Kobieta przykuta do ramy łóżka patrzyła na nią przerażonym wzrokiem i błagała o wodę.

Przez krótki moment Rosie zrobiło się jej żal. Przyniosła kubek wody i dwie kromki starego chleba.

Po wypiciu wody i pochłonięciu chleba kobieta poprosiła o możliwość skorzystania z łazienki.

Rosa pobiegła do Benita, żeby zapytać, co ma zrobić. Nie chce, żeby naszczała mi do łóżka — wymamrotał. — Zawiąż jej oczy, zaprowadzimy ją.

Dlaczego ciągle mówił „my”? To denerwowało Rosę, jednak

mimo niechęci zrobiła to, o co prosił. Kiedy skończyła, Benito przyszedł do pokoju, odwiązał rękę kobiety i brutalnie zaciągnął ją do łazienki.

Kiedy tylko przyprowadził ją z powrotem do sypialni, znowu przywiązał jej nadgarstek do ramy łóżka i szybko wyszedł.

Rosa uświadomiła sobie, że jest w podobnej pułapce jak kobieta na łóżku. Dlaczego ma być zamieszana w interesy Benita? To nie jej gówna, tylko jego.

Zerwała przepaskę z oczu uwięzionej i wybiegła, zanim kobieta zdążyła coś powiedzieć, i dołączyła do Benita przed telewizorem.

Teraz był ranek, Rosa uznała, że lepiej będzie, jeśli zanieś kobiecie jeszcze trochę chleba i wody. Nie chciała, żeby im umarła, to nie byłoby dobrze. A z powodu Benita połowa winy pewnie spadłaby na nią.

\* \* \*

Umysł Carolyn pracował na najwyższych obrotach, ale nie wiedziała, co myśleć. W jednej chwili ogarniała ją panika, w następnej potrafiła się zmusić do zachowania spokoju.

Kiedy dziewczyna wróciła z dwoma kolejnymi kromkami starego chleba i butelką letniej wody, uznała, że powinna spróbować nawiązać z nią kontakt. Czytała gdzieś, że jeśli człowiek zostanie zakładnikiem, powinien próbować porozumieć się z prześladowcami, uświadomić im, że jest istotą ludzką.

— Dziękuję — powiedziała cicho i upiła łyk wody. — Mam na imię Carolyn.

Dziewczyna ją obserwowała. Miała twarz bez wyrazu.

— Jeżeli chodzi wam o pieniądze — Carolyn starała się mówić powoli, żeby dziewczyna ją zrozumiała — mój ojciec zapłaci. Powiem ci, jak się z nim skontaktować. — Zamilkła na

chwile. — Albo mój szef. Moim szefem jest senator, to bardzo ważny człowiek, on zapłaci, żeby mnie uwolnić. Dziewczyna nadal się nie odzywała.

— Nie wiem, czy macie świadomość tego, co robicie. — Carolyn mówiła cicho i spokojnie. — Ale ty i twój przyjaciel mnie porwaliście. Porwanie to przestępstwo federalne. Kara jest bardzo surowa, a ja... chyba powinnam wam powiedzieć, że jestem w ciąży, więc porywacie nie tylko mnie...

Dziewczyna nagle się ożywiła.

— Wiem, że chodzisz z brzuchem. Bo dlatego tu jesteś. — Zdała sobie sprawę, że pewnie powiedziała za dużo, i wybiegła z pokoju.

Carolyn ogarnęły fale mdłości. O tym, że jest w ciąży, wiedział tylko Gregory. Więc skąd wie o tym ta dziewczyna?

Wtedy przyszła jej do głowy myśl tak pokrętna i podła, że natychmiast próbowała ją odpędzić.

Czy Gregory ma z tym coś wspólnego?

Czy to możliwe?

Nie.

Tak.

Niewykluczone.

\* \* \*

— Nie ma mowy, żebym dalej trzymał tę sukę — oznajmił Benito zaraz po przebudzeniu. — Ten pieprzony gnojek wciągnie mnie do pierdła, to prawie pewne — dodał, energicznie drapiąc się po jajach. — Puszczam ją.

- A senator? — spytała Rosa, zastanawiając się, jak by tu uciec. Miała bardzo złe przeczucia na temat tego, co się dzieje, szczególnie po mrozących krew w żyłach słowach kobiety o porwaniu i surowej karze. To nie ona odpowiada za to wszystko, to wina Benita. Robi tylko to, co on jej każe. Poza

tym przejrzała już zawartość torebki kobiety i były tam cenne zdobycze, w tym iPhone i osiemdziesiąt dolarów w gotówce. Nie mogła się doczekać, kiedy to zabierze.

— Ten dupek nie wie, jak mnie znaleźć — powiedział Benito. Był bardzo pewny siebie. — Kutas nic nie może zrobić.

— Kiedy zamierzasz ją stąd zabrać? — spytała Rosa.

— Wyrzucimy ją wieczorem na ulicę — powiedział Benito, przeciągając się. — Jak tylko się ściemni.

— Jeśli ona wytrzyma tak długo — wymamrotała Rosa, pragnąc, by nie uwzględniał jej w swoich planach.

— Co takiego?

— Nie wygląda zdrowo.

— Ta dziwka straciła już bachora?

— Nie.

— Kurwa mać.

— Muszę iść do domu — zaryzykowała Rosa. — Rozmawiałam wieczorem z mamą, moje małe jest chore. Mama musi iść do roboty. Nie przyjmują dziecka do dziennego żłobka, gdy jest chore, więc muszę iść.

— Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie usuniemy stąd tej *puta* — zarządził Benito nadal naburmuszony.

— Nic nie rozumiesz, Benito. Ja muszę iść — błagała. — Jeśli nie zabiorę dziecka, mama mnie zabije.

— Może przestaniesz wreszcie jojczyć i zaczniesz chociaż raz robić to, co ci mówię?

— Ale moje dziecko jest chore — powtórzyła, próbując wycisnąć jedną czy dwie łzy, i już sama prawie uwierzyła we własne kłamstwo.

— Nie pieprz.

— A co powiem mamie?

— Nic! — warknął. — Dlaczego zawsze tak mnie maltretujesz?



— Przepraszam — burknęła nadąsana.

— Wiesz — zaczął ze złośliwym uśmiechem — lata za mną mnóstwo lasek. Mogę sobie wybrać *putę* jaką chcę, więc lepiej uważaj.

— I będą ci tak robić jak ja? — pytała Rosa.

— Nie potrzeba dyplomu, żeby mi obciągać druta. — Benito zachichotał.

— To dla nich frajda.

— *Hijo de puta* — wymamrotała Rosa. Było to jedyne hiszpańskie wyzwisko, jakie знаła.

Na szczęście Benito jej nie usłyszał.

*Rozdział czterdziesty trzeci*  
Annabelle i Bobby

Czy Frankie widział numer „Truth & Fact”? — zastanawiał się Bobby. A jeśli to widział, musi być wściekły.

Na wszelki wypadek Bobby ukrył pod marynarką egzemplarz obelżywego brukowca i czekał niecierpliwie, by powitać na lotnisku Frankiego i Annabelle.

W chwili gdy wysiedli z samolotu, zorientował się, że Annabelle o niczym nie wie. Cała w uśmiechach entuzjasmowała się perspektywą spędzenia nocy w Las Vegas i w ogóle nie wyglądała jak córka pogrążona w żałobie.

— Nie mogę się doczekać występu Zeeny — powiedziała, serdecznie obejmując Bobby'ego. — Zeena to niezwykła piosenkarka. W zeszłym roku widziałam jej występ w Miami. To prawdziwa supergwiazda jak Madonna.

Czy to jego wyobraźnia, czy Annabelle celowo ocierała się o niego piersiami?

Frankie natomiast wyglądał tak, jakby wiedział, że coś jest na rzeczy.

— Muszę się odlać — oznajmił, kiedy zbliżali się do limuzyny.

— Dlaczego nie zrobiłeś tego w samolocie? — spytała Annabelle, odwracając się w jego stronę ze zmarszczonymi brwiami.

— Bo wtedy mi się nie chciało — burknął. Drgała mu lewa powieka. — Czy Królowa Wszystkiego nie ma nic przeciwko temu, że się wysikam?

— Pójdę z tobą — zaproponował Bobby.

— Jak to miło — mizdrzyła się Annabelle. — Tylko dla chłopców.

— Zaraz wracamy — rzucił Frankie.

— W samochodzie jest szampan — dodał Bobby. — Rozgość się. Oddalili się od limuzyny, zmierzając w stronę budynków dworca lotniczego.

— Domyślam się, że wiesz — powiedział Frankie.

— Jasne, kurwa, że wiem. Te nagłówki biją po oczach w każdym stoisku z gazetami. Na wszystkich jest „Truth & Fact”.

— Jezu! — wykrzyknął Frankie, kiedy zbliżali się do męskiej toalety. — To prawda?

— Przecież widziałeś.

— Jeszcze nie. Twoje dwie stewardesy ostrzegły mnie, że to wyszło, ale nie przyniosły na pokład egzemplarza.

— Przygotuj się. To jest ostre — ostrzegł Bobby.

— Nie pieprz! — warknął ponuro Frankie.

— Trzymaj. — Bobby wyjął spod marynarki egzemplarz „Truth & Fact”.

— Przeczytaj i poderżnij sobie gardło.

Frankie wziął magazyn i zaczął czytać. Nagłówek był wystarczająco brutalny, nie mógł jednak uwierzyć w to, co znalazł w tekście. Godziny, daty, szczegóły transakcji finansowych, nazwiska rzekomych klientów i dziewcząt, które dla nich pracowały. A jeszcze gorsze były prywatne zdjęcia, które robili z Annabelle dla zabawy. Fotografie z ich prywatnej kolekcji.

Ukradzione fotografie. Annabelle żartująca z kilkoma dziewczynami, które zdjęły maski. Ich intymne zdjęcia w łóżku. I zdjęcia z dzieciństwa Annabelle z Gemmą i Ralphem.

W jaki sposób ten pieprzony brukowiec je zdobył?

Istniało tylko jedno wyjaśnienie: ktoś musiał się włamać do ich mieszkania przy Park Avenue i te zdjęcia ukraść.

Frankie czuł, że narasta w nim wściekłość jak w wulkanie na chwilę przed wybuchem. Dlaczego, do jasnej cholery, Janey nie poinformowała go o włamaniu? Płaci jej wystarczająco dużo, więc dlaczego, do kurwy nędzy, nie zadzwoniła, żeby go ostrzec?

Kolejna głupia torba, Annabelle miała rację. Nie powinien był jej zatrudniać.

— Muszę zadzwonić — powiedział do Bobby'ego.

— Do swojego prawnika?

— Nie. Do mojej przygłupiej kuzynki, która rzekomo pilnuje moich spraw.

— Niech wolno mi będzie powiedzieć, że robi to doskonale.

— Odpieprz się. — Frankie rzucił w Bobby'ego gazetą. — Widziałeś te zdjęcia? Wszystkie są podpieprzone z naszego mieszkania. Annabelle się wścieknie.

— Nic nie możesz poradzić, już się stało — próbował go uspokoić Bobby. — W przyszłym tygodniu to będą stare wiadomości.

— Nie wciskaj mi kitu. — Frankie gotował się z wściekłości. — Będę skarżył wszystkich, którzy maczali w tym palce.

— To cię będzie drogo kosztowało — zauważył Bobby. — Gdy raz oddasz się w ręce prawników...

— Mam pieniądze — przerwał mu Frankie, myśląc o forsie ukrytej w sejfie w Nowym Jorku. — Tego nie daruję.

— Dobra, ale jeśli to zignorujesz, przycichnie.

— Obsrali mi reputację, a ten rodzaj gówna trzyma się i zasmradza mój świat. Więc nie ma mowy o pieprzonym ignorowaniu.

— Przykro mi, bracie, to paskudna sytuacja.

— Posłuchaj, wyświadczyć mi przysługę i zawieź Annabelle do hotelu, a ja tymczasem pomyślę, jaki mam następny ruch. Powiedz jej, że dostałem sraczki czy coś...

— Przyjemnie.

— Może ona w ogóle tego nie zobaczy. Prawda?

— Daj spokój, Frankie. Myśl realnie. Ktoś na pewno o tym wspomni, choćby jej ojciec. Nie oszukuj się, na pogrzebie będą tabuny dziennikarzy.

— Wielkie dzięki. Już czuję się lepiej.

— Mówię ci tylko, jak to jest.

— No dobra.

— W porządku, nie przejmuj się. Odwiozę twoją dziewczynę do hotelu. I pamiętaj: w przyszłym tygodniu to będą przestarzałe wiadomości.

\* \* \*

Annabelle rozparła się na tylnym siedzeniu limuzyny, sącąc szampana i rozważając, jakie ma możliwości.

Bobby niewątpliwie ucieszył się na jej widok, powitał ją bardzo przyjaźnie, i to jej się spodobało. Uśmiechnęła się do siebie. Kiedy tylko pozbędzie się Frankiego, Bobby będzie łatwą zdobyczą, bo niby dlaczego nie? Bez kręcącego się przy nici Frankiego ona sama jest wspaniałą zdobyczą. Zrezygnuje z prowadzenia biznesu i przekaże go swojemu eks w ramach rekompensaty, szczególnie że od incydentu z synem Sharifa Kaniego zupełnie jej to zbrzydło.

Bobby'ego na pewno będzie stać na to, by zapewnić jej życie na odpowiednim poziomie, i nie będzie musiała prowadzić głupiej agencji z dziewczynami na telefon. On jest — a w każ-

dym razie będzie, kiedy wszystko odziedziczy — pieprzonym miliarderem.

Tak, gdy tylko wróca do Nowego Jorku, powie Frankiemu, żeby się wyprowadził. Podzielił gotówkę z sejfu i oboje będą mogli zająć się swoim sprawami.

Pogrzeb jest w czwartek. W piątek będą w samolocie lecącym do Nowego Jorku. A w sobotę przekaże nowinę swojemu uzależnionemu od kokainy chłopakowi.

To koniec, Frankie. Niech ci się przyjemnie żyje.

\* \* \*

— Cześć! — zawołał Bobby, wskakując na tył limuzyny i sadowiąc się obok Annabelle.

— Cześć — odpowiedziała, myśląc, jak bardzo jest przystojny i jak mądrą podjęła decyzję w sprawie swojej przyszłości. — Gdzie Frankie?

— Ma biegunkę i nie rusza się z toalety. Spotka się z nami w hotelu. Annabelle nie mogła uwierzyć, że ma takie szczęście. Sam na sam z Bobbym. Tak szybko! Wydawało się, że to idealny moment na rozpoczęcie działań.

— Wiesz — zaczęła cicho, żeby kierowca nie usłyszał — uzależnienie Frankiego od koki wymyka się spod kontroli. Nie jestem pewna, jak długo to wytrzymam.

— Mnie się wydawał w porządku — powiedział Bobby, zdecydowany zachować neutralność, zwłaszcza w perspektywie odkrycia, jakie ją czeka. Teraz nie pora na martwienie się o uzależnienie Frankiego od kokainy. Przed nią większe problemy.

— Ty nie musisz z nim żyć — mówiła rozgoryczona. — Nie musisz natykać się na niego w chwili, gdy wciąga do nosa ten obrzydliwy biały proszek, a potem przysięga, że to już ostatni raz, chociaż ja wiem, że robi to bez przerwy.

— No tak, to musi być nieprzyjemne. — Bobby starał się okazać współczucie.

— To coś znacznie gorszego — powiedziała zapalczywie. — Wiesz co, Bobby? Nie mogę już dać sobie z tym rady. Chcę zerwać.

Psiakrew! To ostatnia rzecz, jaką chciał usłyszeć. Annabelle i Frankie muszą stawić czoło gównianej burzy, a najlepszym na to sposobem jest prezentowanie jednolitego frontu.

— Rozmawiałaś z nim, mówiłaś, że to ci przeszkadza? — spytał.

— Frankie nie jest odpowiedzialnym facetem, takim jak ty, Bobby — odrzekła, przykrywając jego dłoń swoimi. — Czy próbowałeś kiedyś przemówić mu do rozsądku?

— On nie jest moim chłopakiem — zauważył Bobby, zastanawiając się, jak wyswobodzić rękę spod jej dłoni, żeby nie wyglądało to zbyt jednoznacznie.

— Wiesz — perorowała — Frankie nie jest jednym z nas, nigdy nie był. Ty, ja, M.J. zawsze byliśmy blisko. Pamiętasz szkołę średnią? Byliśmy jak trzej muszkietierowie, każdy chciał należeć do naszej grupy.

Bobby nie miał pojęcia, o czym ona mówi. On i M.J. nigdy nie trzymali się z Annabelle, poza tamtą nieszczęsną nocą balu, po której wychodzili z siebie, żeby unikać Annabelle i grupy uprzywilejowanych księżniczek spędzających z nią czas.

Oswobodził rękę pod pretekstem sięgnięcia po butelkę wody Iwian.

— A szampan? — spytała zalotnie, wyciągając rękę z kieliszkiem.

— Nie mogę pić w dzień — wyjaśnił, dolewając jej szampana. — Mam potem kaca.

— Biedactwo — gruchała. — Będziesz musiał nadrobić to

wieczorem. A propos, załatw tak, żebym siedziała koło ciebie. Mogą potrzebować moralnego wsparcia.

Jeżu! Co się dzieje z Annabelle? Nagle perspektywa spędzenia wieczoru z Zeeną wydała mu się całkiem zachęcająca. Wszystko będzie lepsze od znalezienia się w pułapce z napaloną Annabelle Maestro w przeddzień pogrzebu jej zamordowanej matki. Nawet igraszki seksualne z pożeraczką mężczyzn.

Denver

Wściekły Ralph Maestro to nie lada widok. Twarz wielkiego gwiazdora filmowego czerwona i pomarszczona. Oczy zionące jadem. Głos jak surowy pomruk. Postać wielka, groźna i przytłaczająca.

Chodził po salonie i najwyraźniej nie był człowiekiem szczęśliwym. Jego wieloletni rzecznik prasowy Pip — niewysoki mężczyzna w średnim wieku w białym garniturze i zawadiackim kapeluszu — siedział w milczeniu w zbyt dużym fotelu. W rezydencji Maestro wszystko prócz Pipa było zbyt duże, nie wyłączając samego Ralpa.

Ignorując mnie, jak zwykle, rzucił się na Felixa jak czarna pantera na ofiarę.

— Jestem oburzony i wstrząśnięty! — wykrzykiwał. — Te brudy to zwykły podstęp, żeby postawić mnie w głupiej sytuacji. Co zrobisz w tej sprawie?

— Uderzymy ich sądowym zakazem publikacji materiałów w następnym tygodniu — powiedział Felix, spokojny jak zawsze.

- W następnym tygodniu?! — ryczał Ralph. — Chcesz mi



powiedzieć, że to nie wszystko? — Zwrócił się ze złością do PIPA: — Wiedziałeś o tym?

Pip pokręcił głową z miną zbitego psa.

— Obawiam się, że nie — powiedział przepraszaście Felix. — Kiedy te szmatławce zwęszą jakąś historię, wiszą na niej tak długo, aż z ciała wypłynie cała krew.

Nawet ja byłam zaskoczona, że jest coś więcej. W drodze tutaj przeczytałam o całej sprawie i wydała mi się dosyć żalosa. Co gorszego można jeszcze opublikować? I dlaczego Felix nie powiedział mi, że to nie koniec? Nie lubię, kiedy nie wtajemnicza mnie we wszystko.

— Widziałeś historię z następnego tygodnia? — zapytałam. Oczy Ralpa o ciężkich, jak przystało na gwiazdora, powiekach spojrzały na mnie.

— Ty! — wrzasnął na cały głos. — Czyż nie byłeś z moją córką w Nowym Jorku? Musiałaś wiedzieć, co się dzieje.

— Ja tylko odwiozłam ich do Los Angeles — wyjaśniłam.

— To ten jej przekłety chłopak narkoman! — grzmiał Ralph. — To on ją w to wciągnął. Powinienem kazać załatwić tego bezczelnego drania!

Pip zapadł się głębiej w fotel. Felix i ja wymieniliśmy zaszokowane spojrzenia. Czy Ralph naprawdę to powiedział? Owszem. Niestety, tak. Pip odchrząknął.

— Ralphie, uważaj, co mówisz. Ściany mają uszy, a jeśli chłopak Annabelle ma skończyć na stole w kostnicy...

Nie musiał mówić więcej, implikacje były całkiem oczywiste.

— Gdzie oni są?! — ryknął Ralph. — Dzwoniłem do hotelu Beverly Hills i powiedziano mi, że wrócą dopiero jutro.

Przypomniałam sobie SMS-a, jakiego dostałam od Annabelle. Napisała, że lecą do Vegas obejrzeć występ Zeeny, ale zdążą na pogrzeb. Annabelle dodała tajemnicze postscriptum, spodzie-

wała się mianowicie, że będę im towarzyszyła w trakcie pogrzebu. Wydawało się, że jestem rozchwytywana: najpierw Felix chciał, żebym towarzyszyła jemu, a teraz Annabelle nalega, żebym pojechała z nią i z Frankiem. Przekazałam Ralphowi informację o Vegas.

— Vegas?! — wrzasnął. — Po co? Żeby poderwać więcej obleśnych dziwek do ich brudnego biznesu? Jak te brudy, waszym zdaniem, odbijają się na mnie? Jestem wielką gwiazdą, a nie ojcem jakiejś przeklętej dziwki. To może zrujnować mi karierę.

Jeśli mowa o przesadzie, to Ralph był niewątpliwym mistrzem.

— Wrócą jutro odpowiednio wcześniej — powiedziałam w nadziei, że rozładuję sytuację.

— To nie wystarczy — oznajmił złowieszczo Ralph. Znowu zwrócił się do Pipa: — Załatw mi samolot! — polecił, jakby zamawiał filiżankę kawy. — Lecimy do Las Vegas.

\* \* \*

A więc lecieliśmy wszyscy do Las Vegas. Nie było czasu, żeby pojechać do domu się przebrać. Nie było czasu na nic poza telefonem do sąsiada — eksperta sztuk walki — i poproszeniem go, żeby wyprowadzał Amy. Felix nie był zadowolony. Podejrzewam, że on też chętnie by się przebrał. Może nawet wzięłby mniej kolorowe buty.

Pip załatwił Ralphowi samolot należący do wytwórni, ale kiedy Maestro znalazł się na pokładzie, zachowywał się tak, jakby to on był właścicielem.

Ledwo zdążyliśmy wzbić się w powietrze, Felix poruszył temat George'a Hendersona.

— Oczywiście wiedziałem, że ona się z nim spotyka — powiedział Ralph głośno i ostro.

— Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś, że to on jest na zdjęciach w brukowcu? — zapytał Felix zupełnie wytrącony z równowagi. — Dlaczego nie powiedziałaś o tym policji? A przynajmniej powinieneś wspomnieć o tym mnie. Jestem twoim adwokatem.

— Gemma ceniła swoją prywatność — odparł Ralph, zapalając cuchnące cygaro. — Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że może mieć w planach jakieś zabiegi kosmetyczne.

A więc w ten sposób wytłumaczyła się mężowi z intymnych zdjęć. Bardzo sprytnie.

— Inspektorzy muszą to wiedzieć — tłumaczył Felix. Miał bzika na punkcie poprawnego zachowania w każdej sytuacji.

— Skoro są detektywami, to niech sami do tego dojdą — powiedział Ralph, wydmuchując ohydny dym z cygara na całą kabinę, po czym wypił jedną po drugiej dwie duże szkockie.

Obaj panowie zdecydowali, że to ja powinnam się dowiedzieć, w jakim hotelu zatrzymali się Frankie i Annabelle. I kto teraz jest detektywem?

Zaraz po wylądowaniu zadzwoniłam do Annabelle na komórkę. Nie odbierała, wobec tego spróbowałam dodzwonić się do Frankiego.

Odebrał natychmiast, jakby spodziewał się mojego telefonu.

— Frankie? — upewniłam się.

— Kto mówi? — pytał podejrzliwie.

— Denver.

— Czego chcesz?

Urocze! Co za miłe powitanie!

Postanowiłam nie wspominać o brukowcu. To zbyt ryzykowne. Mógłby się zapomnieć, nawet jeśli już o tym wie.

— Tylko się upewniam co do jutra — odrzekłam zdawkowo. —

Annabelle powiedziała, że spędzacie wieczór w Vegas. O której wracacie do Los Angeles?

— Nie mam pojęcia. Musisz zapytać Bobby'ego, wracamy jego samolotem.

A więc Bobby ma samolot. Co to wszystko znaczy?

— Gdzie mogę go znaleźć? — spytałam beztrąsko.

— W Keys.

— Wszyscy tam mieszkacie?

— Muszę kończyć — uciał Frankie.

Mam odpowiedź. Owszem, myślę, że byłabym wspaniałym detektywem.

\* \* \*

W drodze z lotniska białą niezwykle długą limuzyną, w której mogło się wygodnie pomieścić piętnaście osób, sprawdziłam SMS-y i pocztę głosową, a tymczasem Pip zadzwonił do Keys i polecił im przygotowanie apartamentu dla Ralpa Maestro.

Nadal nie było SMS-a od Carolyn i zaczynałam się trochę niepokoić.

Takie zniknięcie bez słowa nie jest w jej stylu? Ile razy powtarzałam w SMS-ach, że mam do niej ważną sprawę?

Postanowiłam, że po przyjeździe do hotelu znajdę spokojny kąt i jeszcze raz zadzwonię do jej biura. Jeśli wyjechała, na pewno będą wiedzieli dokąd.

Tymczasem wysłałam jej kolejnego SMS-a.

Musiałam odsłuchać wiele wiadomości zostawionych w poczcie głosowej, większość związana z pracą, a ponadto dwa telefony od Maria z pytaniami, czy dostałam kwiaty i kiedy możemy się spotkać.

A może nigdy?

A potem niespodzianka: telefon od ojca Carolyn, George'a. Czyżby w jakiś sposób dowiedział się, że rozpoznałam go na zdjęciach z Gemmą? To szaleństwo. Odsłuchałam wiadomość od niego.

„Denver, mówi George Henderson. Przepraszam, że przeszkadzam, ale Clare i ja dostaliśmy niepokojący telefon z policji z Waszyngtonu. Podobno znaleziono porzucony samochód Carolyn, który jest zarejestrowany na mnie. Nie mogą się z nią skontaktować, a ponieważ wiem, że jesteście ze sobą blisko, zastanawiam się, czy znasz miejsce jej pobytu. Proszę, zadzwoń do nas, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość". Serce podeszło mi do gardła. Intuicja podpowiadała mi, że nie jest to dobra wiadomość. Ślizgałam się po skórze niekończącego się bocznego siedzenia, aż w końcu znalazłam się na tyle blisko kierowcy, by zapytać go, kiedy dojedziemy do hotelu.

— Za pięć minut albo za pięćdziesiąt — oznajmił nieprzyjemnie. — Zależy od ruchu w naszym Vegas.

— Lepiej, żeby wyszło pięć — powiedziałam oschle. — Pan Maestro się spieszy.

— Oczywiście, panienko.

Czyja wyglądam jak panienka? Czy nie powinno się mówić do mnie „pani”?

Myślałam o różnych sprawach naraz, jak zwykle, gdy byłam zestresowana. Musiałam oddzwonić do taty Carolyn, ale nie chciałam tego robić w limuzynie, trzeba więc będzie z tym poczekać, co jest szalenie frustrujące.

Próbowałam zająć myśli czymś innym. Pojawił się w nich Bobby Santangelo Stanislopoulos. A więc... ma własny samolot. Jak do tego doszło?

I wtedy przypomniałam sobie, że nie tylko jest synem niesławnej Lucky Santangelo, ale po szkole krążyły plotki, że jego ojcem był jakiś grecki miliarder, potentat okrętowy, który zmarł, kiedy Bobby był mały, i że Bobby i siostrzenica jego ojca mają odziedziczyć wszystko, kiedy osiągną określony wiek.

Pewnie samolot jest częścią tego wszystkiego.

— Czy już dojeżdżamy? — spytał Ralph, a jego głos zabrzmiał jak warknięcie rozzłoszczonego psa.

— Za pięć minut albo za pięćdziesiąt — odpowiedziałam, starając się nie wdychać zbyt dużo dymu z cygara. — Wszystko zależy od ruchu w Las Vegas.

— Pieprzę ruch w Las Vegas! — szalał Ralph. Zwrócił się do swojego zgnębionego rzecznika, który z każdą minutą robił się starszy: — Pip, zadzwoń do kogoś i załatw mi policyjną eskortę. Muszę już być na miejscu!

*Rozdział czterdziesty piąty*  
Carolyn

Senator Gregory Stoneman zachowywał się tak jak zawsze. W oczach postronnych obserwatorów był skutecznym, zapracowanym człowiekiem, jak zwykle załatwiającym mnóstwo spraw. Jednak jego samopoczucie nie było najlepsze i miał nadzieję, że wkrótce pojawi się nieciążarna Carolyn i wszystko wróci do normy. No... prawie, minus jedno dziecko — nawet nie dziecko, tylko embrion rosnący w jej brzuchu. Nie zostawiła mu wyboru, mógł tylko jakoś zareagować, nim będzie za późno. Mógł tylko myśleć, jak powstrzymać ją przed zrujnowaniem mu życia i życia jego rodzinie, zwłaszcza ukochanym dzieciom, które zasługują na to, by chronić je za wszelką cenę.

Wynajęcie dealera i chuligana nie było idealnym sposobem rozwiązania sytuacji, ale tylko to przyszło mu do głowy. I w tamtej chwili wydawało się takie łatwe.

Teraz zaczynał się obawiać, że posunął się za daleko. Dzięki Bogu uprzedził Benita, że nie może jej skrzywdzić, wystarczy, że potrząśnie nią tak, żeby poroniła, a potem ją puści.

Chyba jednak to nie powinno trwać tak długo?

Została porwana wczesnym popołudniem we wtorek, a teraz jest późne popołudnie w środę, więc gdzie ona może być?

Zapisał numer komórki Benita, ale nie miał odwagi zadzwonić. Telefony komórkowe można wyśledzić, a najważniejsze, by w żaden sposób nie kojarzono go ze zniknięciem Carolyn.

Kiedy Gregory rozważał to wszystko, do jego gabinetu weszła Muriel. — Panie senatorze — powiedziała zaniepokojona — inspektor policji chce się z panem widzieć. Czy mam go wpuścić?

\* \* \*

Rosie udało się wymknąć z domu pod pretekstem pójścia na zakupy. Benito uwielbiał jedzenie z barów szybkiej obsługi. Zawsze miał ochotę na twinkies, pączki i solone chrupki, które zanurzał w wielkich pojemnikach z pikantnymi sosami. Więzienie nie nauczyło go niczego o zdrowym odżywianiu.

Rosa się tym nie przejmowała. Ona też odżywiała się niezdrowo, bo to było satysfakcjonujące i tanie.

Nim wyszła z domu, przerzuciła zawartość skórzanej torebki Carolyn do fałszywej torebki Louisa Vuittona kupionej u ulicznego sprzedawcy za piętnaście dolców. Zdobycz była wspaniała, a główną nagrodę stanowił iPhone. Pieprzony iPhone z muzyką, zdjęciami i różnymi innymi głównymi. Rosa była wniebowzięta. Miała już tanią komórkę prawie bez żadnych funkcji, a teraz stała się właścicielką iPhone'a.

Problem polegał na tym, jak uruchomić to diabelstwo. Wydawało się to skomplikowane. Udało jej się włączyć urządzenie i nacisnąć ikonkę „iTunes”. Ale numer! Ukazała się lista piosenek, więc wcisnęła *Boom Boom Pow* w wykonaniu Black-Eyed Peas.



Słuchając z uśmiechem piosenki, szła tanecznym krokiem do sklepu na rogu, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje wokół. Do tego stopnia, że nie zauważyła trzech nastolatków, które zjawiły się nie wiadomo skąd, otoczyły ją, wyrwały jej torebkę, wyszarpały z ręki i Phone'a, przewróciły, kopały po twarzy, głowie i po brzuchu, po czym uciekły.

Ostatnie, co pomyślała Rosa, to: Benito mnie zabije. Potem wszystko spowiała ciemność.

*Rozdział czterdziesty szósty*  
Bobby i Annabelle

— Dziecinko, zostajesz sam — poinformowała Bobby'ego Lucky. — Nie idę na występ Zeeny i proszę cię, żebyś nie zapomniał, że Renee i Susie później wydają prywatną kolację, więc musisz tam być. Renee oczekuje was wszystkich.

— O rany, mamó, to twoi przyjaciele — narzekał Bobby. — A teraz wystawiasz nas do wiatru. O co tu chodzi?

— Lennie zatrzymuje się w Los Angeles dokładnie na trzy godziny w drodze na plenery w Nowej Zelandii — wyjaśniła Lucky. — I zamierzam spędzić z nim całe te trzy godziny. W porządku, mój synu numer jeden?

— Pewnie dlatego twoje małżeństwo należy do najlepszych w mieście — stwierdził Bobby, zastanawiając się, czy jego małżeństwo będzie równie udane.

Lucky uśmiechnęła się tym swoim promiennym uśmiechem.

— Owszem, Bobby, dokładnie dlatego. Lennie zawsze jest na pierwszym miejscu.

A to oznaczało, że Bobby jest osaczony. Koncert. Prywatna kolacja. Zeena, Zeena, Zeena.

Wszyscy jego goście nie mogli się doczekać tego występu. Brigitte i Kris, M.J. i Cassie, Annabelle i Frankie. Co za ekipa!

Dlaczego nie może polecieć z Lucky do Los Angeles i zostawić ich wszystkich?

. Dlatego, że to on ich zaprosił i takie zachowanie byłoby niegrzeczne i niedelikatne.

A więc... nie ma ucieczki.

Zastanawiał się, jak Frankie sobie radzi. Czy dowiedział się, kto udostępnił brukowcowi tę historię? Powiedział o wszystkim Annabelle? A jeśli nie, czy będzie miał odwagę to zrobić? A kiedy to uczyni, czy wystarczy mu jeszcze jaj na cokolwiek? Annabelle już napomyka o rozstaniu z nim, więc „Truth & Fact” może się okazać gwoździem do trumny.

Chcąc się dowiedzieć, co wszyscy robią, zadzwonił do Brigitte, która oznajmiła, że wybierają się z Kris do kasyna.

— Kris jeszcze nigdy nie była w kasynie — powiedziała podekscytowana. — Nauczę ją grać w blackjacka.

Bobby miał nadzieję, że nie finansuje hazardowego szaleństwa przyjaciółki — to nie byłoby w porządku.

Następnie zadzwonił do M.J., który poinformował go, że on i Cassie zostaną w apartamencie do czasu koncertu.

— Spotkam się z wami w hotelowym foyer o siódmej — powiedział Bobby. — Nie spóźnijcie się.

— Spokojnie, bracie, będziemy punktualnie — zapewnił M.J. — Cassie jest naprawdę podekscytowana.

Nie wątpię, pomyślał Bobby. M.J. to prawdziwa zdobycz.

Kiedy Lucky zbudowała Keys, Bobby zastanawiał się, czy kupić mieszkanie w luksusowym apartamentowcu przy hotelu. Teraz był zadowolony, że tego nie zrobił. Vegas jest dobre na kawalerskie imprezy, wzięcie ślubu albo w miłosnym zaślepieniu, albo w pijackim otępieniu, i na tracenie pieniędzy przy stolikach. Lucky uwielbiała Las Vegas, ale Bobby niekoniecznie,

choć zrobienie z Mood najpopularniejszego klubu w mieście było pociągającym wyzwaniem. Już zdecydował, że przez kilka pierwszych miesięcy będzie dojeżdżał, a potem zostawi prowadzenie klubu kierownikowi, któremu zaufa.

Znudzony własnym towarzystwem postanowił zejść na dół i dołączyć do Brigitte i Kris. To lepsze niż próżnowanie.

\* \* \*

Kiedy Frankie dodzwonił się wreszcie do Janey, zaczął podejrzewać, że jest jakoś zamieszana w historię z brukowcem. Musiała o tym wiedzieć, więc dlaczego do niego nie zadzwoniła? A co gorsza, nie odbierała telefonu w apartamencie przy Park Avenue, gdzie miała rzekomo pilnować wszystkich spraw. Dopiero gdy Frankie zadzwonił trzeci raz, odebrała komórkę.

— Janey, co jest, do kurwy nędzy?! — ryczał do telefonu. — Kto to zrobił?! — I już w chwili, kiedy wymawiał te słowa, zrozumiał. Ten jej leniwy, do niczego się nie nadający, podstępny, pieprzony syn.

— To Chip, tak?! — wrzeszczał. — Ten kretyn nas sprzedał!

— Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nic o tym nie wiedziałam. — Janey natychmiast przeszła do defensywy.

— Nie pieprz mi tu. Dobrze wiesz, że to ci się nie opłaci.

— No, jeśli to był Chip — zaczęła wolno — musiał to zrobić za moimi plecami.

— Przestań mi wciskać takie gówno — krzyczał Frankie, a lewa powieka drgała mu ze złości. — Jak mógł dostać te zdjęcia bez twojej pomocy? Nie ma takiej możliwości. To ty opiekujesz się mieszkaniem. Musiałaś mu pomagać.

— Ukradł je — przyznała Janey i zaczęła pochlipywać. Musiał wszystko przeszukać, kiedy byłam nieprzytomna. Chwila ciszy. — Frankie — szloch, szloch — podejrzewam, że mnie uśpił. Swoją własną matkę! Jak mógł to zrobić?

— Gdzie jest ten palant? — spytał Frankie, wyobrażając

sobie, co zrobi Chipowi, gdy go dopadnie. — A ty lepiej go znajdź, bo jak wrócę, uknęę mu ten głupi łeb.

— Och Frankie — zawodziła Janey — proszę cię, nie mów takich rzeczy. Chip należy do rodziny, wiesz, że w gruncie rzeczy to dobry chłopak.

— Bzdura. To urodzony nieudacznik.

— Ktoś musiał zaproponować mnóstwo pieniędzy. On jest młody, nie rozumie.

— Czy ty naprawdę myślisz, że mnie to całe gówno cokolwiek obchodzi? Kiedy dopadnę twojego skretyniałego chłopaczka, dopiero wtedy zrozumie. Prawdę mówiąc, pożałuje, że w ogóle się urodził.

— Nie, Frankie — skomlała Janey. — Proszę cię, nie rób nic bez namysłu. Błagam.

— Janey, zamknij się, do jasnej cholery. Proponuję, żebyś ruszyła swoją grubą dupę i poszukała syneczka. Chip za to zapłaci. Nasz pieprzony biznes został zrujnowany, nie mówią o mojej reputacji.

— Frankie, tak mi przykro — chlipała.

— I powinno ci być przykro, że urodziłaś takiego drania — powiedział Frankie, zanim zamknął komórkę.

Nadal znajdował się w męskiej toalecie na lotnisku i wielu mężczyzn załatwiających swoje sprawy przyglądało mu się ze zdziwieniem.

Wkładając telefon do kieszeni, też im się przyglądał.

— Zły dzień? — zapytał jeden z nich.

— Odpieprz się — wymamrotał Frankie, zanim wyszedł, a pierwsza rzecz, jaką zobaczył, to było stoisko z prasą — wysoko spiętrzone egzemplarze brukowca „Truth & Fact”.

Jednym ruchem strącił je na podłogę, po czym, mamrocząc pod nosem, ruszył na poszukiwanie taksówki.

\* \* \*

Apartament, który Bobby załatwił im w Keys, był naprawdę luksusowy, bardziej nawet niż apartamenty w hotelu Beverly Hills, który zdaniem Annabelle był utrzymany w zbyt tradycyjnym stylu.

Apartament w Keys miał okrągłe olbrzymie łóżce z narzutami z futra (oczywiście sztucznego, bo Lucky była wielką zwolenniczką PETA), gigantyczny płaski telewizor, półkę pełną najnowszych DVD, CD i bestsellerowych książek.

Łazienkę wyłożono jasnozielonym marmurem, na suficie nad wanną znajdował się ekran telewizora, żeby gość mógł podczas kąpieli oglądać swój ulubiony program.

Annabelle żałowała, że nie zostają dłużej. Wolałaby też dzielić łóżko z Bobbym, a nie z Frankiem.

Wkrótce... tak, wkrótce... tego jest pewna.

A tak w ogóle, to gdzie, do diabła, podziewa się Frankie? Nie spieszył się z odjazdem z lotniska, a ona nie lubi czekać.

Zastanawiała się, czy kiedy się wreszcie zjawi, wywołać awanturę i w ten sposób zakończyć sprawę. A może jednak mądrzej będzie zrobić to po pogrzebie?

Prawdopodobnie. Jednak Annabelle była zwolenniczką natychmiastowej satysfakcji, a to oznaczało wyrzucenie jego nędznej dupy, gdy tylko dotrze do apartamentu.

Ale nie, powinna wykazać się sprytem i poczekać, aż wróci do Nowego Jorku. Jeśli zrobi to teraz, on może wrócić tam bez niej i opróżnić sejf. To do niego podobne, a w ich sejfie schowane jest mnóstwo gotówki, przynajmniej kilkaset tysięcy.

Nagle przyszło jej do głowy pytanie, dlaczego w ogóle miałyby się z nim dzielić? To ona jest mózgiem tego biznesu. Dlaczego nie zatrzymać wszystkiego dla siebie?

Była to wspaniała myśl. Zanim się go pozbędzie, wyjmie pieniądze i umieści w bezpiecznej depozytowej skrzynce w ban-

ku, którą zarejestruje na siebie. Frankie będzie mógł szaleć z wściekłości, ale nic nie zrobi. Niedobrze, Frankie.

Annabelle uświadomiła sobie, że zanim wykona jakiś ruch, musi przemyśleć wiele rzeczy.

\* \* \*

Sprawdzając, czy ma szczęście, Frankie w drodze do apartamentu zatrzymał się przy ruletce i postawił dwa tysiące dolarów na czarne. Wygrał. Pozwolił pracować czterem tysiącom i znowu wyszło czarne. Zysk wysokości sześciu tysięcy dolarów w ciągu kilku minut — nie najgorzej, jak na początkową stawkę. Może pech go opuszcza i cała ta sprawa z brukowcem rozplynie się i nikt jej nie zauważy.

Tak, na pewno, a z tyłka prezydenta Obamy wyrosną róże.

Nadal testując swoje szczęście, postawił całe osiem tysięcy. I czarne znowu wygrało, ku jego wielkiemu zaskoczeniu.

Porwał szesnaście tysięcy w tysiąc dolarowych żetonach i ruszył do kasy.

Po drodze przy jednym ze stolików do blackjacka zauważył Brigitte Stanislopoulos. Obok niej siedziała posągowa blondynka.

Nigdy nie przepuszczał okazji, skierował się więc w ich stronę.

— Przepraszam — powiedział, poklepując Brigitte po ramieniu —

Brigitte, prawda? Widzieliśmy się kilka razy w klubie Mood w Nowym Jorku. Jestem Frankie Romano, bliski przyjaciel Bobby'ego. Wieczorem wszyscy się spotykamy.

— Oczywiście, Frankie — odparła Brigitte z uprzejmym uśmiechem. — Bobby mnie uprzedził, a ciebie, owszem, pamiętam. Jesteś superdidżejem.

O rany, jest tak cholernie ładna, trochę starsza, niżby chciał — trzydziestka z hakiem — ale szalenie bogata, tak jak Bobby.

Słyszał tyle historii o Brigette Stanislopoulos i o tym, że przyciąga nieudaczników. Gdyby nie był z Annabelle, to potrzebowałby dokładnie takiej kobiety jak Brigette z jej uderzająco błyszczącymi niebieskimi oczami, kaskadą jasnych włosów i pieniędzmi. Nie ma nic przeciwko trochę starszym kobietom. Owszem, zdecydowanie mógłby sięgnąć po zmysłową dziedziczkę.

— To moja partnerka, Kris — Brigette przedstawiła mu blondynkę siedzącą obok niej, kolejną piękność.

Cholera! Dziedziczka okazała się lesbą. Niedobrze. Chociaż... potencjał ewentualnego trójka błysnął mu przed oczami i zainteresowało go to, co zobaczył.

Te fantazje przerwał Bobby, który stanął za nim i powiedział:

— Wróciłeś?

— Wróciłem — potwierdził Frankie.

— Widzę, że poznałeś Brigette.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedziała Brigette z życzliwym uśmiechem — bardzo bym chciała siedzieć i gadać, ale próbuję nauczyć Kris grać w blackjacka, więc może porozmawiamy później.

— W porządku. — Bobby wziął Frankiego za ramię. — Chodź, bracie. Przeszli przez kasyno.

— Właśnie wygrałem kupę forsy — oznajmił Frankie nadal lekko oszołomiony wielką wygraną. — Muszę odebrać.

— Powiedziałeś już Annabelle? — zapytał Bobby, kiedy szli do kasy.

— O swojej wygranej? — spytał nonszalancko.

— Nie. O całej historii, dupku.

— Myślę, że ona się o tym nie dowie — powiedział Frankie, rzucając żetony na kontuar kasy.

— To znaczy, że jesteś większym dupkiem, niż myślałem. — Bobby kręcił głową zadziwiony gruboskórnością Fran-



kiego. — Oczywiście, że się dowie. Uwierz mi, że będzie znacznie lepiej, jeśli usłyszy to od ciebie.

— Nie znasz Annabelle — stwierdził ponuro Frankie.

— Chyba znam. Więc posłuchaj mojej rady i jej powiedz.

— Później — mruknął Frankie, napychając kieszenie banknotami. —

Teraz jestem na fali. A nic nie zatrzyma Frankiego Romano, kiedy natrafi na gorący prąd.

## *Rozdział czterdziesty siódmy*

### Denver

Ralph Maestro naprawdę dostał policyjną eskortę. Nie wierzyłam własnym oczom! Dwaj mundurowi na motocyklach (bardzo łożkowi gliniarze na motocyklach) pojawili się znikąd i dzięki wyjącom syrenom rząd samochodów się rozsunał. Po ośmiu minutach dotarliśmy do hotelu. I to do jakiego! Keys to fantastyczne miejsce. W odróżnieniu od większości hoteli w Vegas ma klasę i styl.

Nie byłam w Vegas od czasu, gdy spędziłam tu weekend z Joshem w Hard Rock. Przyjechał wtedy na zjazd absolwentów i nalegał, żebym mu towarzyszyła. Koszmar. Jednak z jakiegoś niezrozumiałego powodu seks był wyjątkowy. Podejrzewam, że to Vegas tak podziało na Josha.

Pokojowi, portierzy, chłopcy hotelowi i dwóch facetów w ciemnych garniturach otoczyli naszą limuzynę, a kiedy pojawił się Ralph, wszyscy przyjęli postawę „pocałujmy-wielkiego-filmowego-gwiazdora-w-dupe”. Był to niezapomniany widok, choć najwyraźniej Ralph był do niego przyzwyczajony, bo zignorował praktycznie wszystkich, kiedy eskortowali go przez foyer do prywatnej windy i wspaniałego

apartamentu z czterema sypialniami, pełnym barkiem i białym fortepianem w salonie. Przed nim błyszczał turkusowy basen pośrodku tarasu ze wspaniale zaaranżowanym ogrodem.

Przyjechaliśmy — na ile? — najwyżej na dwie godziny. Ale tylko to, co najlepsze, było wystarczająco dobre dla Ralpa Maestro, Niepowtarzalnego Gwiazdora.

Musiałam odpowiedzieć na telefon George'a Hendersona, ale nie chciałam tego robić z pokoju, wymknęłam się więc pod pretekstem pójścia do apteki.

Wystarczy w obecności mężczyzn wypowiedzieć słowo „apteka”, a natychmiast się wycofują. Felix nie był wyjątkiem, choć powiedział, żebym się pospieszyła.

Na dole znalazłam spokojny kąt niedaleko bocznego wejścia i wyjęłam komórkę, ale zanim zdążyłam wybrać numer, zobaczyłam zmierzających w moją stronę Bobby'ego i Fran-kiego.

Nie miałam dokąd uciec. Zresztą było za późno, bo Frankie mnie zauważył i obaj zdecydowanym krokiem maszerowali w moim kierunku. — Co ty tu robisz, do cholery? — spytał Frankie, drgała mu powieka. — Przecież dzwoniłaś do mnie przed chwilą z Los Angeles.

— Nigdy nie mówiłam, że jestem w Los Angeles — odpowiedziałam defensywnie.

— Co się, do cholery, dzieje? — chciał wiedzieć, podchodząc bliżej i wkraczając w moją przestrzeń osobistą.

Cholera. Co miałam powiedzieć? Że przyleciałam tu z Ralphem, który gotów jest go zabić? I że gdyby był mądry, to zwiewałby, gdzie pieprz rośnie?

— Daj dziewczynie spokój — powiedział Bobby, obdarzając mnie cudownym uśmiechem. — Przesłuchujesz ją jak prokurator okręgowy.

— Nie lubię, jak się stosuje wobec mnie jakieś gierki.

Dlaczego udawała, że jest w Los Angeles? Coś jest nie tak, czuję to. Bobby popatrzył na mnie współczująco. Nie mogłam oderwać wzroku od jego ust. Czy to możliwe, że mężczyzna ma usta tak bardzo nadające się do całowania? Chyba tak, bo na pewno takie są usta Bobby'ego.

— Posłuchaj — zaczęłam, postanowiwszy wszystko wyjawić — jeśli chcesz wiedzieć, to przyleciałam z Ralphem Maestro. Jest strasznie wkurzony z powodu tej historii w „Truth & Fact” i przyleciał tu, żeby odnaleźć Annabelle i zabrać ją do domu.

Frankie wyglądał, jakby dostał w twarz zdechłą rybą.

— Ralph Maestro jest tutaj? — zdołał wymamrotać. — W Las Vegas?

— Obawiam się, że tak — powiedziałam spokojnie, rzucając kolejne spojrzenie na usta Bobby'ego.

— Cholera! — wykrzyknął Frankie, który stracił pewność siebie. — Chyba nie uwierzył w te gówna, co?

— Myślę, że uwierzył. Wiesz, są tam szczegóły, numery telefonów... — urwałam.

Wydawało się, że Frankie stoi w obliczu totalnej katastrofy.

— Co jest grane? — spytał Bobby. — Czy Frankie powinien się z nim zobaczyć, próbować wyjaśnić, że to pomyłka?

Podziwiałam Bobby'ego za to, że starał się pomóc przyjacielowi. Ale niby jaka to mogła być pomyłka?

— Moim zdaniem najrozsądniej byłoby, gdyby Frankie trzymał się od tego z daleka — powiedziałam. — Musicie zrozumieć, że Ralph jest wściekły. Szuka ofiary i może nią być Frankie.

— Annabelle nie widziała tego artykułu — wyjaśnił Romano, a drganie lewej powieki zupełnie wymknęło się spod kontroli. — Muszę do niej dotrzeć przed Ralphem.

Bobby pochylił się i dotknął mojego ramienia:

— Może zechcesz wyświadczyć nam przysługę i nie powiesz Ralphowi o spotkaniu z Frankiem. Daj mu czas, żeby wszystko przemyślał.

— Chyba mogę się na to zgodzić — odrzekłam, zupełnie nie przejmując się tym, że Bobby wkracza w moją przestrzeń osobistą.

— Muszę iść — oznajmił niespodziewanie Frankie. I zanim któreś z nas zdążyło powiedzieć słowo, poderwał się jak rakieta, zostawiając mnie sam na sam z Bobbym.

— O rany — westchnął Bobby. — Co za gówniana sytuacja. Chyba muszę się napić, a ty?

— To niezły pomysł — odpowiedziałam, zapominając o Felixie, Ralphie i służalczym Pipie. Będą musieli poradzić sobie beze mnie.

— Pójdziemy do Cavendish. — Bobby objął przywództwo. — Tam jest spokojniej.

Jak tu się spierać? Byłam w drodze na drinka z Bobbym Santangelo Stanislopoulosem, w którym kochałam się jako nastolatka, i nic nie mogło mnie zatrzymać.

\* \* \*

Godzinę później uświadomiłam sobie, że nadal nie zadzwoniłam ani do George'a Hendersona, ani nawet do Felixa, który musi być siny z wściekłości. Ale w życiu czasami trzeba iść z prądem, i to była właśnie jedna z takich chwil.

Siedzieliśmy na tarasie baru w hotelu Cavendish, popijając Mojito — no, to niezupełnie zgodne z rzeczywistością — to ja sączyłam Mojito, a Bobby pił piwo z butelki.

— Tak lepiej smakuje — poinformował mnie. Rozmawialiśmy bez przerwy, okazał się bardzo interesujący, wcale nie powierzchowny. W szkole wmówiłam sobie, że choć może być najprzystojniejszym dwunożnym stworzeniem, to jako bogaty dzieciak prawdopodobnie jest nudny i zarozumiały.

Nic podobnego. Absolutnie nie.

Opowiadał mi o swoim klubie w Nowym Jorku i o tym, że zamierza przejąć koncesję na prowadzenie klubu w Keys. Miał mnóstwo wspaniałych pomysłów i był pełen entuzjazmu. Potem zaczął wypytywać o mnie i o moje plany na przyszłość.

Hej! To była dwustronna konwersacja, coś niezwykłego, mówiąc ogólnie. Większość mężczyzn na pierwszej randce zaczyna opowiadać o sobie i tak już zostaje. Oczywiście nie umówiliśmy się na randkę, piliśmy tylko przyjacielskiego drinka, żeby przy okazji omówić trudną sytuację Frankiego. Choć mnie osobiście Frankie nic nie obchodzi, natomiast Bobby jako lojalny przyjaciel wydawał się zainteresowany jego sytuacją. Oczywiście randka byłaby zupełnie czymś innym. I kto wie...

No nie! O czym ja myślę? Bobby prawdopodobnie umawia się z modelkami i aktorkami, prawdziwymi pięknosciami, chudymi jak tyczki i ze skłonnościami do wymiotów.

— Dlaczego się uśmiechasz? — zapytał.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to robię.

— Robisz, uśmiechasz się jak prawdziwy kot z Cheshire.

— Naprawdę? — spytałam jak uosobienie niewinności.

— Naprawdę.

— Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy umawiasz się z dziewczynami, które wymiotują.

— Co takiego? — Spojrzał na mnie pytająco. — Dlaczego miałbym to robić?

— A dlaczego nie?

— Jesteś zabawna.

— Staram się — powiedziałam, a komórka zawibrowała w mojej kieszeni już chyba po raz szósty. — Nie masz nic przeciwko temu, że sprawdzę wiadomości i wykonam szybki telefon?

— Nie ma sprawy. Nie chcesz być sama?

— Nie. Wydaje się, że moja przyjaciółka z Waszyngtonu zaginęła. Muszę oddzwonić do jej ojca, sprawdzić, czy się dowiedział, co się z nią dzieje. Bobby skinął głową. Miał olbrzymie oczy, ciemne, o intensywnym spojrzeniu. Wyobrażam sobie, że w łóżku musi być mistrzem.

George Henderson zostawił kolejną prośbę, żebym do niego zadzwoniła, ale kiedy to zrobiłam, nie odebrał. Więc tym razem ja zostawiłam mu wiadomość, że nie mam pojęcia, gdzie jest Carolyn, i proszę, żeby jeszcze raz spróbował się do mnie dodzwonić.

Tymczasem zadzwoniła komórka Bobby'ego. Wstał i odszedł od stolika. Najwyraźniej on potrzebował prywatności.

Kiedy wrócił, na jego urodziwej twarzy malowała się zaduma.

— Wszystko w porządku? — zapytałam, sącząc Mojito.

— Przypuszczam, że mogę ci powiedzieć, bo wierzę, że jesteś po naszej stronie. — Wziął ze stolika butelkę piwa i upił duży łyk.

— Powiedzieć mi co? — zapytałam zachwycona tym, że mi ufa.

— Annabelle i Frankie lecą z powrotem do Los Angeles. Ratuja się ucieczką, dopóki to możliwe. Sprytnie.

— Och! — wykrzyknęłam. — Ralph wkurzy się jeszcze bardziej.

— Nie możesz mu o tym powiedzieć — ostrzegł Bobby. — To tylko między nami.

— Słowo skauta — odpowiedziałam, nawet nie zastanawiając się, wobec kogo powinnam być lojalna.

— Nie wyglądasz mi na skauta — powiedział z uśmiechem.

— Nie wyglądam? — zapytałam zalotnie.

— Nie — odpowiedział równie zalotnie.

O Boże! To mi sprawia zdecydowanie zbyt dużą przyjemność.

— A propos. Zostały mi teraz dodatkowe bilety na dzisiejszy występ Zeeny. Masz ochotę pójść? Jeśli chcesz, możesz kogoś przyprowadzić.

— Jestem tu sama — odpowiedziałam i dorzuciłam szybko: — Aktualnie nie ma nikogo.

Obrzucił mnie długim spojrzeniem.

— Witaj w klubie — powiedział.

Kiedy nasze oczy się spotkały, w barze akurat zrobiło się duże poruszenie, bo wkroczyła efektownie supergwiazda Zeena w towarzystwie pięciu facetów. Bobby się wyprostował, a ja z ciekawością przyglądałam się tej kobiecie. Raz widziałam na żywo Madonnę, wydawała się dużo niższa niż na estradzie czy w telewizji. Zeena wprost przeciwnie — wysoka, podobna do łabędzia istota z kruczoczarnymi włosami sięgającymi poniżej talii, z mocno umalowanymi kocimi oczami i bardzo rubinowymi wargami. Kiedy przeszła obok nas, zapach jej perfum był przytłaczający.

Bobby rzucił okiem na zegarek i natychmiast poprosił o rachunek.

— Odprowadzę cię do hotelu — zaproponował. — I pamiętaj, że nic nie wiesz o wyjeździe Annabelle i Frankiego.

— Nic nie wiem — powtórzyłam, układając historyjkę, którą opowiem Felixowi, a która wyjaśni, dlaczego zatrzymam się na noc w Vegas.

Przyniesiono rachunek, Bobby rzucił na stół gotówkę i wstaliśmy, żeby wyjść. Kiedy zbliżaliśmy się do drzwi, głęboki, gardłowy głos zawołał go po imieniu.

Bobby stanął i odwrócił się.

— Zeena — powiedział, jakby wcześniej jej nie zauważył. Jak mógł ją przeoczyć? — Co za niespodzianka.

- Niespodzianka, Bobby? — Przeciągała zgłoski, a jej smukłe, zwięzające się na końcach palce bawiły się nóżką



kieliszka w bardzo sugestywny sposób. — Jak może to być niespodzianka, skoro wybierasz się wieczorem na mój występ? — Owszem — powiedział szybko. — Czekamy na to z niecierpliwością. Bez słowa wziął mnie pod rękę i wyprowadził z baru.

\* \* \*

Felix był zły, dokładnie tak jak przewidywałam.

— Gdzie byłaś? — wysyczał mi do ucha z tak bliskiej odległości, że czułam miętówki w jego oddechu.

— Zabawna sprawa — odparłam, mając w pogotowiu wymyśloną naprędce historię. — Natknęłam się na siostrę mamy z rodziną. Mieszkają w Detroit i nie widziałam ich od pięciu lat.

— Jesteśmy tutaj służbowo — przypomniał z surową miną. — To nie pora na rodzinne spotkania.

— Rozumiem — odpowiedziałam, nie dając się zastraszyć. — I dlatego właśnie wyrwałam się, gdy tylko było to możliwe. Ale problem polega na tym, że musiałam obiecać, iż zostanę na noc. Nie martw się — dodałam szybko, nie zostawiając mu czasu na sprzeciw. — Rano złapię wczesny lot do Los Angeles. Zdążę na pogrzeb pani Maestro.

Felix nie znalazł błyskotliwej odpowiedzi, co nie zdarzało się często.

— Ralph nie mógł się dodzwonić do córki — powiedział w końcu. — A ponieważ nikt nie odpowiada w ich apartamencie, Maestro chce, żebyś zlokalizowała miejsce jej pobytu i przywiozła ją tutaj bez tego chłopaka. Z Frankiem Romano rozliczy się później.

— A niby jak miałabym to zrobić? — spytałam skonsternowana. — Ona może być wszędzie. A poza tym nigdzie nie chodzi bez Frankiego.

— Annabelle ci ufa — stwierdził Felix.

— Wiem o tym. — Ale jaki to ma związek z czymkolwiek? —  
pomyślałam, powiedziałam natomiast: — To miasto jest olbrzymie. Jak  
mam ją znaleźć?

— Wymyśl coś — powiedział krótko. — Masz na to godzinę. Potem  
wracamy do Los Angeles. A ty, młoda damo, popełniasz błąd, nie  
wracając z nami. — Pogroził mi palcem i obrzucił wyjątkowo surowym  
spojrzeniem. — Bardzo poważny błąd.

*Rozdział czterdziesty ósmy*  
Carolyn

Nikt nie wiedział, kim była ta latynoska dziewczyna w poplamionej krwią bluzce i maleńkiej obcisłej minispódnicy. Przez jakiś czas leżała na ulicy w ulewnym deszczu, zanim w końcu jakiś przechodzień zadzwonił pod numer 911 i przyjechała karetka.

Lekarz dyżurny na oddziale nagłych wypadków uważał, że jest bardzo młoda, choć po sprawdzeniu, czy nie została zgwałcona, zanim ją pobito, lekarka stwierdziła, że dziewczyna niedawno urodziła dziecko.

Była nieprzytomna, miała poważne obrażenia głowy i twarzy, szczególnie prawego oka. Lekarka nie była pewna, czy uda się to oko uratować, nie była specjalistką w tej dziedzinie. Czekali na okulistę. A tymczasem dziewczyna nadal była nieprzytomna i dopóki się nie obudzi, nikt nie dowie się, kim jest.

\* \* \*

— Nawet nie wspominaj o kolejnej imprezie dobroczynnej — ostrzegł Gregory Stoneman, a twarz pociemniała mu

z niezadowolenia. — Evelyn, co wieczór wleciesz mnie na te spotkania, chociaż wiesz, jak ich nienawidzę.

— Ludzie, którzy bywają na takich imprezach jak dzisiejsza, to ci, dzięki którym piastujesz ten urząd — zauważyła Evelyn, obrzucając go jednym z tych swoich pełnych dezaprobaty spojrzeń. — To oni na ciebie głosują, Gregory, i dobrze by było, żebyś o tym pamiętał.

Chryste! Evelyn jest taka świętoszkowata.

Nie miałby nic przeciwko temu, żeby teraz ktoś mu obciągnął. Jego kutas tęsknił za ustami Carolyn, za tym, jak trzymała nasadę jego penisa w rękach, kiedy się spuszczał, za tym, że nigdy nie powiedziała „nie”, zawsze pozwalała mu spuszczać się w swoich ustach.

— Gregory, czy ty mnie słuchasz? — spytała Evelyn władcym głosem królowej. — Masz godzinę na to, żeby się ubrać i przygotować. Stroje wieczorowe nie są konieczne, wystarczy garnitur. Włóż tę nową niebieską koszulę i złote spinki, które dostałeś od mojego ojca na ostatnie Boże Narodzenie.

Czy ona teraz mówi mu nawet, jak się ma ubrać? Boże! Ta kobieta jest nie do zniesienia.

Wyobrażał sobie, jak by zareagowała, gdyby położył ją na biurku i wziął od tyłu, gdyby wsadził swojego swędzącego liuta prosto w jej tyłek i tam się spuścił.

Krzyk, taka byłaby jej reakcja.

Och, Carolyn, Carolyn, co ja zrobiłem? Gdzie jesteś?

Wcześniej tego dnia przyszedł do jego biura detektyw. Policja znalazła porzucony samochód Carolyn, drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte. Detektyw chciał się dowiedzieć, czy Gregory nie domyśla się, gdzie ona może być.

Pokręcił głową i udało mu się zrobić zaniepokojoną minę. Wtedy Muriel wyskoczyła z informacją, że poprzedniego dnia

Carolyn wybierała się do dentysty i od tamtej pory nikt jej nie widział ani nie słyszał.

— To nic poważnego? — zapytał Gregory, udając, że jest szczerze zatroskany.

Detektyw odrzekł zdawkowo:

— Panie senatorze, proszę się z nami skontaktować, jeśli pan się czegoś dowie.

— Naturalnie — odparł Gregory.

Oczywiście to było poważne. Zaginiona kobieta. Samochód porzucony na pustkowiu. To było cholernie poważne.

Dlaczego Benito nie ukrył samochodu?

Ale dlaczego miałby ukryć? Jest żołnierzem gangu, nie żadnym mózgowcem.

Gregory'ego nagle przeszył dreszcz poczucia winy.

— A propos... — zaczęła Evelyn, bawiąc się jednym ze swoich rubinowych kolczyków o kaboszonowym szlifie. — Dzisiaj kontaktowałam się z mną Ramirez. Prosił, żebyś do niego zadzwonił albo wpadł do ośrodka. Chce z tobą coś przedyskutować.

Gregory poczuł ołów w żołądku. Czego, do diabła, ten Ramirez chce?

\* \* \*

Benito nie mógł uwierzyć, że Rosa zlekceważyła go i nie wróciła do domu po tym, jak pozwolił jej pójść do sklepu. Doskonale wiedział, gdzie jest: na pewno pobiegła do domu do swojego dzieciaka, którego ojcem jest inny mężczyzna, nieprzyjaciel, członek wrogiego gangu.

Klnąc pod nosem, poprzysiągł, że ukarze Rosę za takie zachowanie.

Żadnej kobiecie nie może ujść na sucho okazywanie mu braku szacunku.

Jak ona śmie przedkładać nad niego

swoje dziecko? To obelga. Ma szczęście, że jeszcze ją trzyma, niewdzięczna *puta*.

Teraz stanął przed problemem: jak pozbyć się z domu ciężarnej dziwki senatora bez pomocy Rosy. Skąd brać czas na takie gówna? Miał do załatwiania sprawy, spotkania z ludźmi. Interes narkotykowy nie prowadzi się sam.

\* \* \*

Sztywna ze strachu Carolyn zaczęła gorączkowo pracować nad kablem, którym związano jej prawy nadgarstek. Porywacze nie wzięli pod uwagę, że jest leworęczna, więc choć rozwiązywanie węzłów szło jej z trudem, odnosiła wrażenie, że robi postępy.

Gdyby tylko miała nóż lub coś, czym mogłaby przeciąć ten cholerny sznur, byłoby dużo łatwiej. W sąsiednim pokoju nieustannie słychać było grający telewizor. Ktokolwiek tam jest, z pewnością lubi oglądać telewizję, odbiornik był włączony przez większość dnia.

Zastanawiała się, czy i kiedy pojawi się dziewczyna. Musiało minąć wiele godzin i nikt nie przyszedł. Czy ich plan polegał na tym, by trzymać ją przywiązaną do łóżka jak psa, póki nie umrze z głodu? Już się zmoczyła, nie było innego wyjścia, skoro nie mogła wstać.

Jej strach był podszyty coraz większym gniewem. Carolyn nie była głupia, zaczynała rozumieć, że może miłość ją zaślepiła i nie zauważyła, jakim człowiekiem jest naprawdę Gregory Stoneman?

W jej głowie kłębiły się pytania. Dlaczego chciał się z nią spotkać w tak odludnym miejscu?

Dlaczego nalegał, żeby nikomu nie powiedziała o ciąży?

I najgorsze ze wszystkich: czy to Gregory załatwił, żeby ją porwano, bo spodziewa się jego dziecka?

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że Gregory może być w to zamieszany. Zrobiło jej się niedobrze. Jakim obrzydliwym człowiekiem musi być, skoro wpadł na taki pomysł? I jakich dokładnie rezultatów oczekiwał?

Czy ci ludzie mieli zabić ją i dziecko, które nosi? Czy o to chodziło? Wytrwale pracowała nad tym, żeby się uwolnić.

*Rozdział czterdziesty dziewiąty*  
Bobby i Denver

Spotkanie z Zeeną w barze Cavendish nie wstrząsnęło Bobbym. Z zadowoleniem stwierdził, że oglądanie jej w ostrym świetle dnia to duże przeżycie. Robi wrażenie surowej z tym swoim dramatycznym makijażem i długim ogonem kruczoczarnych włosów. Prawda jest taka, że może być sprawna w łóżku, ale poza nim jej jędrne ciało przypomina ciało mężczyzny. Ma mięśnie jak facet i długie umięśnione ręce. Nie ma w niej nic kobiecego.

A on siedział z normalną, niezwykle atrakcyjną dziewczyną o pełnych naturalnych ustach i wyjątkowo przyjaznych orzechowych oczach.

Denver. Ładna, inteligentna, a on czuł, że coraz bardziej mu się podoba. Po rozstaniu z nią wrócił do swojego apartamentu w stanie euforii. Może to będzie początek czegoś? Wspominała, że nie jest z nikim związana, a ponieważ on też nie, więc kto wie, co się może zdarzyć?

Zeena. Przygoda. Doświadczenie. Byłem tam, zrobiłem to.

Nagle uświadomił sobie, że oczarowanie Zeeną się skończyło.

Prysznic wydawał się dobrym pomysłem. Rozebrał się,



poszedł do łazienki i nastawił sufitowy telewizor na kanał sportowy. Stał pod sześcioma silnymi strumieniami wody, pozwalając, by uderzały w niego jak kaskada. Zastanawiał się, czy jego szalonej i cudownej matce spodoba się Denver. Powinna przypaść jej do gustu, ponieważ jest bystra i niezależna, a takie kobiety lubi Lucky. Max ją znienawidzi, bo siostrzyczka jest chorobliwie zazdrosna o każdą kobietę, z którą się umawiał. Dla Max jest starszym bratem i biada tej, która wyprzedzi ją w rywalizacji o jego względy.

Zimna woda dodawała energii. Telewizor był nastawiony tak głośno, że Bobby nie usłyszał, jak otworzyły się drzwi łazienki. Kiedy ktoś wślizgnął się pod prysznic obok niego, był zaskoczony.

— Cześć, Bobby — rzuciła zupełnie naga Zeena niskim, ochryplym głosem. Po czym ujęła w dłonie jego jądra i dodała: — Tęskniłeś za mną? Pomysł zaskoczenia go pod prysznicem był dla niej typowy.

— Jak się tu dostałaś, do diabła? — zapytał osłupiały, próbując się odsunąć, co było niemożliwe, ponieważ jego jaja znajdowały się w mocnym uścisku.

Gardłowy śmiech.

— Chyba wiesz, że Zeena może wejść wszędzie, gdzie zechce? I może dostać wszystko, co chce. Akurat w tej chwili Zeena chce twojego fiuta w buzi. Więc się nie broń, tylko się ciesz.

I zanim zdążył się poruszyć czy cokolwiek zrobić, super-gwiazda już klęczała przed nim i ssła jego fiuta — który miał własną wolę — ponieważ niespodziewanie stwardniał jak stal. Bobby nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Zeena nie robiła niczego połowicznie. Była, jak określiliby to faceci, mistrzem, czy raczej mistrzynią, w obciążaniu druta.

Odessała go do sucha i jeszcze trochę, a on w ogóle się nie bronił, to znaczy nie robił tego jego członek. Kiedy skończyła,

oznajmiła, że musi się przygotować do występu i zostawiwszy go pod prysznicem, wyszła równie nagle, jak się pojawiła.

Jasna cholera! Jakie to szczęście, że nie musi tłumaczyć się żadnej dziewczynie z tego, co się stało, bo gdyby miał dziewczynę, nigdy by mu nie uwierzyła.

Czuł się wykorzystany, był zły na siebie. Wyszedł spod prysznicza i szybko się ubrał.

Właściwie to Zeena go molestowała, a jego członek radośnie się temu poddał.

Do diabła! Dlaczego nie zamknął drzwi apartamentu? A przynajmniej drzwi do łazienki?

Ale znając Zeenę, można uznać, że żadne zamki nie będą dla niej przeszkodą. Supergwiazda mogłaby pewnie sforsować zamek swoją cipką!

Wkurzony opuścił apartament i zszedł na dół.

\* \* \*

No to zostałam w Vegas i nie miałam gdzie się podziać do czasu randki (tak, nazywam to randką) z Bobbym.

Dochodziła siedemnasta, do spotkania miałam dwie godziny. Kiedy Ralph ze swoją świtą odjechał, nie miałam już dostępu do luksusowego apartamentu, więc byłam zdana na siebie. Szybko doszłam do wniosku, że przydałaby się zmiana ubrania, a może nawet fryzjer. Poza tym powinnam chyba zarezerwować pokój na noc, chyba że... Nie! Za szybko! Bobby nie jest po prostu kolejnym facetem. Jest wyjątkowy. Poszłam do centrum handlowego poszukać odpowiedniej sukni. Nie za bardzo seksownej, to byłoby zbyt oczywiste. Kaczej czegoś subtelnego. Ale przecież jestem w Vegas, a tutaj trudno o subtelną seksowność. Po odwiedzeniu wielu sklepów w końcu znalazłam idealną

sukienkę. Miękki czerwony jedwabny dżersej projektu Donny Karan z jednym odkrytym ramieniem. O wiele za drogą, ale co tam, byłam w beztroskim nastroju. Co z tego, że pochłonie to niemal dwutygodniową pensję!

Problem polegał na tym, że jeśli kupię sukienkę, będę musiała kupić pasujące do niej buty.

Nie jestem na ogół osobą ekstrawagancką, ale dzisiejszego wieczoru zamierzam pójść na całość. Chociaż sama nie wiem dlaczego.

To znaczy, wiem doskonale. Ta tak zwana randka z Bobbym cofa mnie do czasów, gdy byłam niezdarną nastolatką. Należy więc podkreślić fakt, że chłopak, którego wówczas wszyscy uwielbiali, zwraca teraz uwagę na mnie.

Cały ten epizod jest taki młodzieżowy. Zlekceważyłam szefa, a także ważnego klienta kancelarii, żeby dogodzić sobie. Co za szalony postępek! A gdzie się podziała zasada, że praca zawsze jest na pierwszym miejscu? Zaczynam być na siebie wściekła. To tak zupełnie do mnie niepodobne. W tym momencie zauważyłam idealne pantofle — złote sandały na bardzo wysokich obcasach i w oszałamiająco wysokiej cenie.

Powinam? Czy nie powinam?

O rany! Zmieniam się w dziewczynę z *Seksu w wielkim mieście*, a to już zupełnie do mnie niepodobne.

Kupiłam buty, po czym udałam się do salonu kosmetycznego, gdzie umyło mi włosy i ułożono w miękkie loki, po czym namówiono mnie na profesjonalny makijaż. Dalszy ciąg szaleństw.

Kiedy skończyli ze mną artysta od makijażu i fryzjer, przebrałam się w toalecie w nową suknię i obejrzałam w dużym lustrze. Zobaczyłam superelegancką wersję samej siebie. Radykalna zmiana.

Czy spodobałam się sobie? Nie byłam pewna. Wiedziałam natomiast, że teraz jestem zdecydowanie bardziej w typie Bobby'ego, sztucznych rzęs i tak dalej.

M.J. i Cassie, oboje z lekko nieprzytomnymi uśmiechami, spotkali się z Bobbym w hotelowym barze na dole.

— Wyglądacie na szczęśliwych — zauważył, zamawiając piwo.

— Jak najbardziej — odparł M.J., wymieniając intymny uśmiech ze swoją młodą przyjaciółką.

— Dlaczego? Wygraliście w blackjacka?

— Znacznie lepiej. — M.J. z każdą chwilą uśmiechał się coraz szerzej.

— No to mów — polecił Bobby.

— Wzięliśmy ślub — zapiszczała Cassie, a jej ładna buzia promieniała.

— Czy to nie wspaniale?

— Co zrobiliście?

— Pobraliśmy się, gamoni — wyjaśnił podekscytowany M.J. —

Chcieliśmy, żebyś był naszym świadkiem, ale to był taki spontaniczny pomysł.

— Do diabła, M.J. — Bobby pokręcił głową. — Twoja mama cię zabije.

— Nie zrobi tego, kiedy pozna Cassie — powiedział z przekonaniem M.J.

— Na pewno ją polubi.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie, bracie. Czy mógłbyś chociaż udawać, że cieszysz się ze względu na nas?

— Nie mogę się doczekać występu Zeeny — wtrąciła Cassie. — Czy spotkamy się z nią po koncercie?

Jasne — powiedział Bobby, oplakując stratę najbliższego przyjaciela, nie wątpił bowiem, że teraz już nie ma szans na rozmowę z M.J. w cztery oczy.

— A gdzie Annabelle i Frankie? — zainteresował się M.J. — Muszą usłyszeć naszą nowinę. Czeka nas wielkie świętowanie.

— Wydarzyło się coś ważnego. Musieli polecieć z powrotem do Los Angeles — wyjaśnił Bobby.

— Szkoda — westchnął M.J. — Nie poznali mojej żony. Bobby nie miał nastroju do zajmowania się szaleństwem

M.J. Ślub w Las Vegas, to ci dopiero! Co za banał! Żadnych zaręczyn.

Ani prawdziwego wesela. Rodzice M.J. się wściekną.

Po chwili pojawiły się Brigitte i Kris, też całe w uśmiechach.

Wyglądało na to, że wszyscy doskonale się bawią. Oprócz niego. Bobby wiedział, że on też czułby się lepiej, gdyby nie incydent z Zeeną. Teraz myślał, że powinien był wypchnąć ją spod prysznicza i powiedzieć, żeby dała mu spokój i poszła do diabła.

Ale nie, nie zrobił tego, bo jego przeklęty członek był zbyt zajęty reagowaniem na jej względy.

Psiakrew! Dobrze by było panować nad sytuacją!

\* \* \*

Przedzierając się przez kasyno na obcasach znacznie wyższych od tych, do których byłam przyzwyczajona, uświadomiłam sobie, że przez obcisłą czerwoną suknię, nowe uczesanie i makijaż wyniosłam się ze strefy komfortu, do którego przywykłam.

Mężczyźni zwracali na mnie uwagę, i to mi się nie podobało. Czułam się wyeksponowana i bezbronna. A mówiąc o bezbronności, trzeba wspomnieć, że czerwona sukienka nie pozwalała na włożenie stanika, więc moje panienki wystawione były na widok publiczny.

Co się ze mną dzieje? Skąd ta nagła potrzeba, żeby zrobić z siebie glamurną panienkę?

Ponieważ najwyraźniej konkurowałam z legionem kobiet, które, jak sobie wyobrażałam, nieustannie uganiają się za Bobbym.

Zacząłam odczuwać irracjonalną złość. Na niego! To wszystko jego wina. Dlaczego postawiłam się w takiej sytuacji? To śmieszne. Powinnam była polecieć do Los Angeles z Zębem Rekina i gwiazdorem Ralphem. Jestem zawodowym prawnikiem, nie jakąś zakochaną siksą, która chce być zauważona.

Kiedy dotarłam do baru, w którym mieliśmy się spotkać, gotowa byłam powiedzieć Bobby'emu, że niestety nie mogę zostać, bardzo mi przykro. Ale wszystko przestało się liczyć w momencie, gdy wstał, by mnie powitać. Miał na sobie niebieską koszulę rozpiętą pod szyją, ciemne dżinsy, wąski skórzany pasek, a jego lekko wilgotne czarne włosy skręcały się na kołnierzyku koszuli.

Mario z dołeczkami i wspaniałymi mięśniami brzucha nawet nie zbliżał się do tak wspaniałego wyglądu.

— Uuuu! — Bobby przyciągnął mnie do siebie i uścisnął lekko, acz intymnie. — Popatrz na siebie!

Czy to komplement? Oby tak było.

— Uuuu! — odparowałam. — Ty popatrz na siebie!

— Zakładam, że obydwójce wyglądamy nieźle — powiedział z szerokim uśmiechem, któremu trudno było się oprzeć.

— Chyba tak — szepnęłam niemal bez tchu.

Poznał mnie ze swoimi przyjaciółmi, a potem utonęłam w jego ciemnych seksownych oczach.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że będzie to pamiętny wieczór.

*Rozdział pięćdziesiąty*  
Annabelle

Nie tylko że wracali do Los Angeles, zanim Ralph zdążył ich dopaść, zostali także poniżeni, ponieważ musieli podróżować samolotem rejsowym.

Annabelle rozsadzała wściekłość. Frankie zrujnował jej życie! Jej dobrze obmyślane plany cudownie nieskomplikowanej przyszłości z Bobbym sypały się w proch.

Problem polegał na tym, że jej naćpany chłopak zniszczył ich oboje, angażując tę oślicę swoją kuzynkę i jej zidiociałego synka. Co za żałosna para! Ile razy ostrzegała Frankiego, że ta dwójka jest do niczego, ale nie chciał słuchać. A teraz ich historia jest na pierwszej stronie najnędnieszego brukowca, a ona przedstawiona jest jako burdelmama! Burdelmama — czy może być coś śmieszniej szego?

Kiedy Frankie pojawił się wreszcie w apartamencie, miała zamiar go zwymyślać, że tak długo nie przychodził. Jednak zanim zdążyła się odezwać, podał jej ładnie opakowane pudełeczko i nalegał, żeby je otworzyła.

Annabelle nie potrzebowała zachęty, jeśli chodziło o odpakowywanie prezentów. Zdarła ozdobny papier, spod którego

wyłoniło się pudełeczko z czarnej skóry. Wewnątrz spoczywały kolczyki z brylantami.

No, pomyślała, może Frankie jednak wcale nie jest aż takim nieudacznikiem.

Kolczyki były drogie i wspaniałe. Chociaż raz Annabelle była pod wrażeniem.

Założyła je i podziwiała się w łazienkowym lustrze, a kiedy wróciła do sypialni, Frankie był nastrojony lubieżnie. Zareagowała pozytywnie, bo kiedy dobrze się zachowywał, seks mógł wypaść fantastycznie, a ostatnio jakoś nie kontaktowali.

Rozbierał ją powoli, aż została tylko w kolczykach z brylantami i pantoflach Jimmy'ego Choo. Potem posadził ją na brzegu jacuzzi, rozłożył jej nogi, uklęknął i zaczął lizać cipkę.

Seks oralny wcale nie leżał w zwyczaju Frankiego, więc Annabelle była zachwycona. Czego rezultatem był zadziwiający orgazm.

Następnie, w sposób dla siebie typowy, zepsuł wszystko, opowiadając jej o czołówce w brukowcu „Truth & Fact”. A na dodatek poinformował ją, że Ralph jest w Vegas, gotów ich rozdzielić i zaciągnąć ją z powrotem do Los Angeles, zamknąć tam i pewnie wyrzucić klucz.

Frankie przesadzał, ale Annabelle o tym nie wiedziała.

Kiedy wreszcie odważył się pokazać jej egzemplarz „Truth & Fact”, wpadła w szal. Przeczytać o sobie jako o burdelmami albo dziewczynie na telefon to prawdziwy szok. Była wstrząśnięta.

Musimy stąd pryskać — powiedział Frankie, podniecony i zlany potem. — Pakuj się i zjeżdżamy.

A co z koncertem Zeeny? — spytała. I z Bobbym, chciała dodać, ale nie zrobiła tego.

Pieprzyć koncert. Chcesz, żeby Ralph nas znalazł? Powinniśmy się zmyć już pół godziny temu.



Annabelle posłuchała go, jednak po drodze nie obyło się bez całej litanii sprzeciwów.

Teraz byli na lotnisku i, o zgrozo, wsiadali do rejsowego samolotu, w którym nie było klasy biznesowej! A co gorsza, mieli miejsca z tyłu samolotu.

Annabelle zgłosiła swoje zastrzeżenia afroamerykańskiej stewardesie, która miała je w nosie.

— Przykro mi — powiedziała, choć wcale nie było jej przykro. — Nie ma wolnych miejsc. Macie szczęście, że w ogóle dostaliście bilety.

— Szczęście? — syknęła Annabelle. — Nie sądzę. Stewardesa odeszła. Miała ciężki dzień i nie chciało jej się zajmować trudnymi pasażerami.

— Nienawidzę tego! — narzekała głośno Annabelle — Kim są ci wszyscy paskudni ludzie, którzy wloką na pokład taką masę gówna?

— To się nazywa bagaż podręczny — powiedział Frankie, pragnąc, by zamilkła. Próbował sobie wyobrazić ich następny ruch, co nie było łatwe. Czy powinni prysnąć z powrotem do Nowego Jorku, czy też stawić wszystkiemu czoło i zostać na pogrzebie?

— Bagaż podręczny! — piekliła się Annabelle. — Raczej całe wyposażenie ich nędznych domów.

— Przepraszam — zagadnęła Annabelle kobieta w średnim wieku z okropną trwałą, siedząca po drugiej stronie przejścia. — Czy pani jest może córką gwiazdy filmowej, tą, która została dziwką?

Annabelle zbladła. Czy naprawdę ta gruba stara jędza nazwała ją dziwką? Jak to możliwe?

— Zwraca się pani do niewłaściwej osoby — powiedział szybko Frankie, pochylając się do przodu, żeby osłonić Annabelle przed ciekawskim spojrzeniem kobiety.

— Nic podobnego — nalegała kobieta przenikliwym gło-

sem. — Czytałam o waszej dwójce dziś rano w hotelowej kawiarni. — Pogroziła im palcem. — Niegrzeczni! Niegrzeczni!

— Myli się pani. — Frankie marzył, żeby się odczepiła. Ale kłopotliwa współpasażerka nie miała najmniejszego zamiaru tego zrobić.

— To pani. Wiem, że to pani — powiedziała, trącając męża, który skurczył się na siedzeniu obok, próbując udawać, że nie ma pojęcia, o co chodzi. — Fred, to oni. Mówiłam ci! Czy powinnam wziąć od nich autografy?

— Zostaw ich, Gladys — syknął zirytowany.

— Dlaczego? — upierała się kobieta. — Ich autograf może być wart parę dolców na eBayu, nigdy nie wiadomo.

— Wątpię — mruknął Fred, ukrywając się za magazynem linii lotniczych.

— Och — kobieta lekceważąco machnęła ręką — ty wątpisz we wszystko, co mówię. Ale powtarzam ci, że to są oni i powinnam ich skłonić, żeby mi coś podpisali.

Frankie przestał zwracać uwagę na tę parę. Miał za dużo problemów, by przejmować się takimi gadatliwymi starymi babami.

Annabelle usadowiła się wygodnie i poleciła Frankiemu, żeby zamówił dla niej kieliszek szampana.

— Nie w tym samolocie — wyjaśnił, myśląc, że Annabelle żyje w wyimaginowanym świecie. — Musisz poczekać, aż dotrzemy do hotelu. Układał plan. A gdyby udało mu się obrócić tę historię na ich korzyść? Reklamę typu mleko jest za darmo? Pojawić się na pogrzebie Gemmy Summer Maestro i odważnie stawić czoło sytuacji. Całą uwagę przyciągnie Annabelle. To ona będzie gwiazdą, co przesunie Ralpa do rubryki „Występują także:”. Media żywią się pikantnymi skandalami, a ten jest naprawdę pikantny. Piękna córka dwójki bardzo sławnych rodziców —

jedno z nich zostało niedawno zamordowane — przyłapana na handlowaniu w Nowym Jorku kobietami z wyższych sfer.

Jeśli Annabelle będzie gwiazdą, to musi być także czarny charakter. On może zagrać tę rolę, dlaczego nie? Nieźle się to sprawdziło w przypadku pary z reality show *Hills*. Heidi i Spencer czy Speidi, jak ochrzciała ich prasa.

Taaak. Ta historia może ich wynieść do stratosfery sławy, o której zawsze marzył. I co z tego, że będzie to sława oparta na skandalu? Będą sławni tak czy inaczej.

Żeby skierować się w dobrą stronę, potrzebny im sprytny menedżer, facet z pomysłów, który nimi pokieruje i będzie ich chronił. Ktoś, kto w odpowiedni sposób ich poprowadzi.

Nie chodzi o występy Annabelle w programie *Howard Stern Show* czy *Acces Hollywood*. Pierwszego wywiadu powinna udzielić Barbarze Walters lub Diane Sawyer. Po nim na wyłączność, kanapa w *View*.

Annabelle opowiadająca swoją historię kobietom, historię o biednej, małej, bogatej dziewczynce czy — w jej przypadku — biednej małej bogatej dziwce. Zwolenniczki *View* po prostu to pochłoną.

To doprowadzi do występu u Oprah, a potem do wielomilionowej umowy na książkę. Jeśli to się uda, osiągną wszystko, o czym kiedykolwiek marzyli.

W żyłach Frankiego krążyła adrenalina. Nadarza się okazja, której nie można przepuścić.

Pozostaje tylko przekonać Annabelle.

*Rozdział pięćdziesiąty pierwszy*  
Carolyn

Jeszcze jeden czy dwa łyki taniej szkockiej z butelki, spojrzenie za okno i Benito z satysfakcją stwierdził, że niedługo będzie wystarczająco ciemno, by wywieźć dziwkę senatora z domu i wyrzucić gdziekolwiek, byle jak najdalej.

Przez cały dzień siedział w domu i pił, myśląc o tym, że Rosa od niego uciekła, zostawiła go bez jedzenia, jeśli nie liczyć starych krakersów i pół słoika zepsutego masła orzechowego.

Trudno mu było uwierzyć, że mogła porzucić go w ten sposób. Mała kurewka. One wszystkie są małymi kurewkami, nie wyłączając tej, która zajmuje miejsce w jego sypialni i ją zasmradza. Czuł to, smród sączył się spod zamkniętych drzwi. Im szybciej się jej pozbędzie, tym lepiej.

Miał dosyć siedzenia w domu, niemożności zajmowania się interesami.

Tkwiał przed ekranem telewizora i oglądał jakieś kretyńskie gówna.

Zaczynała mu dokuczać nuda. Potrzebował jakiegoś porno, żeby trochę zmienić nastrój.

Podszedł do rozchwianego stolika obok telewizora i przeglądał kolekcję DVD kuzyna leżącą na podłodze.

Tak jak się spodziewał, między *Rambo I* i *Rambo II* a stosem DVD o zapasach znalazł obiecujący tytuł: *Tłuste czarne cipy*.

Nie to, żeby interesowały go czarne dziwki. Nie. Ale nie pora na wybredzanie.

Włożył płytę do odtwarzacza, upił kolejny łyk szkockiej i zasiadł, gotów oddać się przyjemnościom.

\* \* \*

— Ma jakiś dowód tożsamości? — zapytał detektyw Lennox lekarkę, niewysoką brunetkę.

Stali przy łóżku Rosy. Detektyw był wysokim mężczyzną o rzadkich siwych włosach i ostrych rysach twarzy. Nie wiadomo, dlaczego przypominał lekarce Clintu Eastwooda, było w nim coś podtrzymującego na duchu, opiekuńczość.

Doktor Glass pokręciła głową.

— Nic — powiedziała, żałując, że nie ma dla niego więcej informacji. — Ktokolwiek pobił tę biedną dziewczynę, zabrał jej nawet buty. Miała na sobie tylko bluzkę i spódnice.

— Muszę powiedzieć, że przestępczość uliczna w tej dzielnicy wymknęła się spod kontroli — rzekł detektyw Lennox, zapisując coś w notesie. — Gangi, narkomani, złodzieje, dziwki — prawdziwy margines — okupują ulice i żerują, na kim się da. Nikt nie jest bezpieczny.

Doktor Glass skinęła głową i przyłapała się na rozważaniach, czy detektyw jest żonaty.

— Wie pani co? Nawet ja bałbym się chodzić tutaj po zmroku. Taka to kloaka.

— Ale to się nie stało po zmroku — zauważyła doktor Glass. — Przywieziono ją tutaj za dnia.

— Biedny dzieciak — westchnął Lennox, podając lekarce swoją wizytówkę i myśląc przy tym, że to wyjątkowo atrakcyjna kobieta. — Proszę mi wyświadczyć przysługę i sprawić, żeby ktoś do mnie zadzwonił, kiedy ta mała zacznie mówić.

— Chciał pan powiedzieć, jeśli zacznie mówić — poprawiła go lekarka.

— No tak. — Lennox z wyraźnym znużeniem pokręcił głową. — Nie zaszkodzi spodziewać się najlepszego.

\* \* \*

Wpatrując się w ciemniejącą jasność za zasłoną, Carolyn niemal wyzwoliła się z więzów krepujących jej nadgarstek. Bała się coraz bardziej. Jej serce waliło jak szalone, w głowie pojawiały się coraz liczniejsze pytania.

Czy ma jakiś plan ucieczki?

Co zrobi, kiedy wreszcie odzyska wolność?

Dokąd ucieknie?

Zamierzała wydostać się przez okno, bo drzwi na pewno są zamknięte na klucz. A poza tym po drugiej stronie drzwi są porywacze.

Coraz więcej pytań. A jeśli w oknie są kraty albo okno zamknięte jest na jakiś zamek? A jeśli otwór będzie za mały, żeby mogła się przecisnąć?

Było tyle niewiadomych, z którymi trzeba było sobie jakoś poradzić. Ale nawet jeśli uda jej się stąd wydostać, co ma zrobić potem? Zwłaszcza że nie wie, w jakiej części miasta się znalazła.

Niezbyt pomocny był brak pieniędzy i telefonu, a także fakt, że jej ubranie jest zasikane, brudne, poplamione lepkiem tłuszczem. A na domiar wszystkiego umiera z głodu i pragnienia, jest wyczerpana i zaniepokojona stanem dziecka.

Ale przede wszystkim zdeterminowana.

Zdeterminowana, by w taki czy inny sposób wydostać się z tej i obrzydliwej pułapki i stanąć oko w oko z Gregorym, bo teraz była już niemal pewna, że musiał maczać w tym palce.

Jeśli tak, to zapłaci jej za wszystko.

Zmusi go, żeby poświęcił tę cholerną karierę, ponieważ wreszcie doszła do wniosku, że to jedyne, co go obchodzi.

Senatorze Gregory Stonemanie, czeka cię nieprzyjemna niespodzianka, postanowiła.

*Rozdział pięćdziesiąty drugi*  
Bobby i Denver

Bobby'ego nie zaskoczyło to, że wszyscy ciepło przyjęli Denver. Była bystra i sympatyczna, a do tego wyglądała tak ponętnie! Może nawet zbyt ponętnie, bo nie tylko M.J. zaglądał w jej dekolt, przyglądała się jej także Kris. Wydawało się, że Brigitte tego nie zauważa, podobnie jak Cassie, bo obydwie były zafascynowane zbliżającym się występem Zeeny.

Bobby nie był zafascynowany. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było oglądanie jej przez dwie godziny. Ale jak się od tego wymigać?

Nie przychodziła mu do głowy odpowiednia wymówka.

Renee i Susie, właścicielki hotelu Cavendish, powitały ich w foyer.

— Zeena bardzo się cieszy na spotkanie z wami wszystkimi po koncercie

— oznajmiła Renee. — Smutno mi, że nie będzie z nami Lucky.

— Lucky przesyła wszystkim serdeczne uściski — powiedział Bobby.

— O Boże! Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Zeenę na estradzie! — wykrzyknęła Cassie z entuzjazmem. — To ikona.



Słucham jej muzyki i oglądam ją w telewizji i na filmach od piątego roku życia.

— Tylko jej tego nie mów — ostrzegła Renee. — Żadnemu artyście nie należy przypominać, ile ma lat, szczególnie jeśli robi to taka ślicznotka jak ty.

— Ręce precz od mojej żony — szepnął M.J. do Bobby'ego.

— Nie masz powodów do obaw — zapewnił Bobby, po czym przypomniał sobie coś, co powiedziała mu Lucky i dodał: — Susie może sprawiać wrażenie łagodnej, ale gdyby Renee kiedykolwiek pobłądziła, biada!

— Dobrze wiedzieć — ucieszył się M.J.

\* \* \*

Przyjaciele Bobby'ego wydawali się mili. Pamiętałam M.J. ze szkoły średniej, zawsze ubierał się elegancko i miał super-modne auto. Jego dziewczyna była bardzo młoda, ale słodka, a teraz drżała z podniecenia, czekając na występ Zeeny.

Muszę przyznać, że nie jestem wielbicielką tego rodzaju muzyki. Dla mnie to trochę zbyt dance-techno. John Mayer czy Jason Mraz są bardziej w moim stylu. Lubię też soul z lat osiemdziesiątych.

Zastanawiałam się, jaki rodzaj muzyki lubi Bobby. Rock? Rap? Soul? Combo? Tylu rzeczy o nim nie wiem.

— Hej — powiedział, trzymając mnie pod rękę, kiedy zmierzaliśmy na nasze miejsca, które były pośrodku, blisko estrady—jeśli nie będzie ci się podobało, możemy się wymknąć i spotkać ze wszystkimi później.

— To raczej niemożliwe — powiedziałam, rozkoszując się dotykiem jego dłoni na skórze mojego przedramienia. — Jesteśmy dokładnie na linii wzroku Zeeny.

— Niczego nie zauważy — stwierdził, kiedy Brigitte sadowiła się na miejscu obok niego.

— Naturalnie, że zauważy.

— No więc... powiedz mi, czy tę seksowną sukienkę wyciągnęłaś z torebki?

— Słucham? — Opanowałam silne pragnienie dotknięcia lekkiego zarostu na jego policzku.

— Przyleciałaś tu na jeden dzień, prawda?

— Prawda.

— Miałaś zamiar zostać dłużej?

— Szczerze mówiąc, jeśli chcesz wiedzieć, poszłam kupić tę sukienkę po tym, jak byliśmy na drinku — wyznałam. — Kupiłam ją specjalnie na dzisiejszy wieczór. Dla ciebie — dodałam śmiało.

— Dla mnie? — powtórzył, unosząc brwi.

— Najpopularniejszy chłopak w szkole, który nawet nie wiedział o moim istnieniu. Więc postanowiłam postarać się, żebyś dziś wieczorem mnie zauważył.

— No i zauważam, co do tego nie ma wątpliwości. — Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

— Wspaniale. To znaczy, że nie zmarnowałam dwutygodniowej pensji.

— Och, Denver — westchnął — czyżbyś nie wiedziała, że to nie suknia zdobi kobietę, tylko odwrotnie?

Zarumieniłam się. Przysięgam. Zwykle się nie rumienię. Cholera, dlaczego nie poleciałam do Los Angeles z Felixem? To może być początkiem czegoś, co prawdopodobnie przewróci mój świat do góry nogami. Czy tego chcę?

Tak, teraz zdecydowanie tego chcę.

\* \* \*

Zanim pojawiła się Zeena, konferansjerka — Azjatka w błyszczącym niebieskim krawacie, we fraku i ze szpicrutą w ręku — wyszła na estradę i surowo przypomniała publiczności, że nie wolno robić zdjęć i że bardzo prosi o wyłączenie komórek.

Denver nie była z tego zadowolona.

— Czekam na ważny telefon — szepnęła do Bobby'ego.

— Nastaw na wibrację — poradził. — A jeśli będzie to napalony chłopak, możesz mu powiedzieć, że się spóźnił.

— Nie oczekuję telefonów od żadnych napalonych chłopaków. I możesz mi wierzyć, że gdyby był to mój chłopak, to nie byłby napalony, raczej bardzo zadowolony.

— No, no. — Bobby wybuchnął śmiechem. — Wysoka ocena własnych umiejętności.

Zgaszono światła, a wtedy punktowy reflektor oświetlił zjeżdżającą z góry złotą klatkę, w której była Zeena i dwa żywe białe tygrysy.

Widownia wstrzymała oddech, muzyka rosła w crescendo, leciał aktualny przebój numer jeden supergwiazdy na singlu *Moc*.

Ubrana w beżowy przezroczysty kombinezon, który podkreślał każdą krągłość, z tygrysami siedzącymi po obu bokach, Zeena panowała nad zachwyconą publicznością, jak przystało na prawdziwą profesjonalistkę. Wyszła z klatki, tygrysy zostały, i rozpoczęła skomplikowany układ tańca i śpiewu z sześcioma afroamerykańskimi tancerzami w trykotach w lamparcie cętki. W kulminacyjnym momencie podnosili ją i trzymali w górze jak faraona na tronie.

Widownia szalała. Zeena była dla nich żywym faraonem. I oddawali jej cześć przy ołtarzu.

Po kolejnych dwóch skomplikowanych numerach Zeena powoli podeszła do mikrofonu, żeby oddać się niefrasobliwemu przekomarzaniu z pełną uwielbienia publicznością. Każde wypowiedziane przez nią słowo spotykało się z westchnieniami, aplauzem i nerwowym oczekiwaniem, co też wyjdzie z jej ust za chwilę. Zeena znana była z tego, że mówi najbardziej skandaliczne rzeczy.

Jak zwykle robiła z publicznością dokładnie to, co chciała, a to zawsze zachęcało ją do przesuwania granic.

Patrząc na nią, Bobby zaczął się czuć nieswojo. Chciałby wyrzucić z pamięci igraszki pod prysznicem. Choć trudno to nawet nazwać igraszkami: po prostu Zeena dostała dokładnie to, czego chciała. Jak zwykle. Obiecał sobie, że nigdy do czegoś podobnego nie dopuści.

Ukradkiem spojrzął na Denver i zobaczył, że odczytuje SMS-a. Najwyraźniej Zeena i jej jarmarczne numery nie robiły na niej wrażenia. Tak samo jak na nim.

— Jeśli mój głos brzmi dzisiaj wyjątkowo aksamitnie, to chciałabym podziękować mojemu bardzo specjalnemu kochankowi Bobby'emu Stanislouosowi — gruchała Zeena do mikrofonu. — Bobby jest mężczyzną, który dokładnie wie, czego Zeenie potrzeba, by wydawała słodkie dźwięki, które tak podziwiacie.

Widownia zaryczała aprobująco.

Bobby nie mógł uwierzyć, że to powiedziała. Kochanek? Czy ona sobie kpi?

M.J. pochylił się nad Brigitte i z tej pozycji przesłał mu uśmiech i pokazał uniesiony do góry kciuk.

Denver przestała patrzeć na ekran komórki i skoncentrowała się na kobiecie stojącej na estradzie.

— Bo musicie wiedzieć — Zeena przeciągała samogłoski, ciesząc się każdą sekundą swojego dziwnego oświadczenia — kiedy Zeena chce, żeby jej głos wznosił się do góry, potrzebuje pewnego męskiego nektaru... — Długa sugestywna pauza. — Więc Bobby, czy mogę skorzystać z okazji i podziękować ci za popołudniowy prysznic i ów cudowny nektar miłości, który czyni cuda?

Widownia ryczała, wyrażając w ten sposób aprobatę. Tylko niewiarygodna Zeena mogła się odważyć na coś takiego.

Próbowałam przeczytać pilnego SMS-a od George'a Hendersona, kiedy Zeena zniecka wymieniła imię Bobby'ego. Nie tylko wymieniła jego imię, ale nazwała go swoim kochankiem. Kochanek? Coś podobnego! Teraz na pewno przykuła moją uwagę.

Panna Supergwiazda sypnęła następnie masą eufemizmów.

Nie jestem tupa, ale możecie mi wierzyć, zrozumiałam. Podobnie jak wszyscy obecni w tej cholernej sali.

Co za artycha! Na myśl o niej i Bobbym ogarnęły mnie mdłości. O cholera, naprawdę umiem ich wybierać, nie ma co mówić!

Bobby zaczął ciągnąć mnie za rękę z dziwnym wyrazem twarzy.

— To nie tak, jak myślisz mówił szeptem, już nie tak wyluzowany, bo niemal się jąkał. Ona jest szalona...

Dlaczego mężczyźni przyłapani na gorącym uczynku zawsze mówią: „To nie tak, jak myślisz!”. To chyba jeszcze gorsze od: „To nie ty, to ja”.

Szybko doszłam do siebie. Nigdy im nie pokazuj, że ci zależy. Tego mnie nauczyła mama. Dzięki, mamo.

— Posłuchaj — udało mi się mówić całkiem spokojnie — przysięgam, że to nie ma nic wspólnego z tym, co Zeena obwieściła światu, ale muszę stąd wyjść. Dostałam SMS-a, że w Waszyngtonie jest podbramkowa sytuacja dotycząca mojej najlepszej przyjaciółki. Muszę jechać prosto na lotnisko.

Oczywiście nie uwierzył, bo niby dlaczego miałby uwierzyć?

Zeena zaczęła kolejny numer. Nie miałam zamiaru zostawać dłużej, więc wstałam możliwie najciszej, przycisnęłam się koło przyjaciół Bobby'ego i szybko wyszłam.

Bobby zerwał się z siedzenia i ruszył za mną. Podejrzewałam, że tak zrobi, ale nic mu to nie pomoże. Nic a nic.

*Rozdział pięćdziesiąty trzeci*  
Annabelle

Frankie był najszcześniejszy, kiedy mógł działać, a zapanowanie nad beznadziejną sytuacją wymagało energicznej organizacji. Nie zamierzał pozwolić, by „Truth & Fact” zszargał im reputację i uszło mu to na sucho. O nie, przekreśli całą sytuację tak, jak tylko on potrafi.

Kiedy samolot wylądował w Los Angeles, poinformował Annabelle, że nie wracają do hotelu Beverly Hills.

— To nie byłby mądry ruch — tłumaczył. — Ralph nas tam znajdzie, a tego nie chcemy, więc mam taki plan...

Annabelle wysłuchiwała, co miał jej do powiedzenia. W teorii brzmiało to genialnie, ale czy Frankie potrafi to przeprowadzić?

— Ty się o nic nie martw — uspokajał ją, kiedy meldował ich pod fałszywym nazwiskiem w apartamencie hotelu Sunset Marquis, w którym według niego Ralph nie będzie ich szukał.

— A co z moimi rzeczami? — spytała Annabelle, odgrywając hollywoodzką księżniczkę. — Wszystko mam w hotelu Beverly Hills. Potrzebne mi są ubrania, kosmetyki.

— Ja się tym zajmę, ty siedź spokojnie i pozwól mi wszystko organizować.

— O Boże, Frankie —jęknęła. Nagle wydała mu się zupełnie bezbronna.  
— Jesteśmy upieprzeni.  
— Nic podobnego, dziecinko. Wchodzimy na szczyt. Nigdy cię nie zawiodę.

Annabelle uznała, że Frankie wcale nie jest taki zły. Przynajmniej może na niego liczyć, a to ważne.

Frankie starał się wygodnie ulokować swoją dziewczynę i gdy tylko usadowił ją przed telewizorem z butelką Cristala i filmem z Leonardem DiCaprio, wykonał pierwszy telefon.

\* \* \*

Fanny Bernstein miała taką reputację, że niewiele osób ośmielało się z nią nie zgadzać. Koło pięćdziesiątki, duża i arogancka, z masą natapirowanych, ufarbowanych na pomarańczowo włosów, z ogromnymi cyckami, które bez oporu pokazywała, gdy tylko nadarzyła się okazja, w okularach w oprawkach zdobionych dżetami, o ogromnych ustach. Mówiła do wszystkich „skarbie” lub „laluniu”, a jeśli ktoś znalazł się na jej czarnej liście, nazywała go cipą.

Kiedy Frankie zadzwonił do Ricka który wiedział o publikacji w „Truth & Fact”, podobnie jak wszyscy inni w Hollywood — i zapytał go, z kim powinien się spotkać, Rick nie wahał się ani chwili.

— Z moją dawną menedżerką Fanny Bernstein. Fanny skopała więcej zadków niż ty przeleciałeś cip. Nie ma nikogo, kogo by nie znała.

— Czy możesz mi od razu załatwić spotkanie? — spytał Frankie. — A mówiąc od razu, mam na myśli dzisiaj.

— Jasne. A jeśli się dogadacie, będę się spodziewał honorarium za skontaktowanie was. Zgoda?

— Skontaktuj nas w ciągu najbliższych dwóch godzin, a masz to jak w banku.

Dokładnie godzinę później Frankie siedział w krzykliwie

urządzonym gabinecie Fanny, patrząc na wiszące na ścianach zdjęcia, na których była ze wszystkimi, od prezydenta Clintona do Johna Travolty. Obecny był także Rick Greco, cuchnący szczególnie mocnym płynem po goleniu i znowu ubrany na białe. Obaj czekali na pojawienie się Fanny. Frankie co chwila spoglądał na zegarek. Rick powiedział „za godzinę”, więc gdzie jest ta kobieta, która według Ricka wywróci wszystko do góry nogami?

— Fanny lubi mieć efektowne wejście — wyjaśnił Rick. — Jest ekscentryczna, ale przysięgam ci, że to osoba, którą chciałoby się mieć w swoim narożniku. Tak jak ci mówiłem, Fanny to dynamo.

„Dynamo” dokonało efektownego wejścia dwadzieścia minut później. Wpłynęła do gabinetu odziana w fioletowy kaftan, który gryzł się z pomarańczowymi włosami, błyszczące japonki, wielkie koliste klipsy i tuziny dzwoniących złotych bransolet. Pod pachą trzymała miniaturowego pudła, którego sierść ufar-bowana była na ten sam kolor co jej włosy.

— Chłopaki — odezwała się, opuszczając swój niemały tyłek na krzesło z obiciem w lamparcie cętki stojące za lustrzanym biurkiem — przyszedłem, choć nie jestem pedziem, więc jaki jest wasz pieprzony problem, przez który musiałam odwołać seans akupunktury?

— To jest Frankie Romano — powiedział Rick. — Mogłaś go widzieć na okładce numeru „Truth & Fact” z tego tygodnia.

— Widzieć go? Ja go pieprzyłam! — zaskrzeczała Fanny rozbawiona swoim żartem. — Nie, nic podobnego. To pewnie był chłopak rozwożący wodę. Widziałeś jednego małego chujka, to tak jakbyś zobaczył wszystkie.

Frankie spojrzał z wściekłością na Ricka. Tej kobiecie miał powierzyć przyszłość swoją i Annabelle? Nie ma mowy. Zaczął wstawać.

— Siadaj na dupie — poleciła Fanny, zdejmując błyszczące



okulary i kręcąc nimi. — Naucz się przyjmować żarty, a będziemy tak blisko, jak półdupki mrówki. Po raz pierwszy w życiu Frankie oniemiał. — Czytałam artykuł — ciągnęła Fanny — więc proszę mi powiedzieć, panie alfonsie, co pan chce zyskać? Sławę? Pieniądze? Chwałę? Bo mogę panu to wszystko załatwić.

— Jest pani pewna?

— Słuchaj, laluniu, jestem tego tak samo pewna jak tego, że marynarze na przepustce walą prosto do burdelu.

Frankie nie bardzo wiedział dlaczego, ale nagle nabrał do niej zaufania.

\*\*\*

Film z Leonardem DiCaprio dobiegł końca i Annabelle się nudziła.

Frankie powiedział, żeby nigdzie nie wychodziła, ale siedzenie w hotelu wcale jej się nie podobało. Leżała na środku olbrzymiego łóżka, oparta o liczne poduszki, i skakała po kanałach, natykając się co chwila na *E.T.*, program, który czasami oglądała, pewnie dlatego, że Mark Steines był tak cholernie odłotowy.

Mary Hart siedziała gdzieś w plenerze z Shią LaBoeufem, wypyując młodego aktora o jego życie uczuciowe.

Annabelle przysłuchiwała się bezmyślnie tej wymianie zdań, póki na ekran nie wpłynęły reklamy.

Po reklamach Mark Steines z poważnym wyrazem twarzy oznajmił, że ma do przekazania wiadomość z ostatniej chwili, a Annabelle uświadomiła sobie, że mówi o zamordowaniu jej matki. Podobno kogoś aresztowali.

Wyprostowała się i zawołała Frankiego, ale przypomniała sobie, że wyszedł, żeby zadbać o ich przyszłość.

Cholera. Musi z nim pomówić. I musi to zrobić zaraz.

\*\*\*

— Simon, ty sukinyński Angolu! — ryczała Fanny do różowego staroświeckiego telefonu, siedząc na blacie zwierciadlanego biurka. W jej słowach słyhać było mieszankę radosnej czułości i ledwo zawołanego jadu. — Co cię tam dzisiaj kopie po wielkich jajach?

— Fanny Bernstein — odrzekł Simon Waitrose, redaktor „Truth & Fact”.

— Moje jaja mają się dobrze. A jak twoje, skarbie? Nadal wielkie i ruchliwe?

— To dotyczy moich cyców, ty napalony draniu — zachichotała Fanny.

— Jak mógłbym zapomnieć?

— Masz rację, szmato. Kto raz widział, nie zapomni. Cała ta rozmowa szła przez głośnik. Frankie i Rick stanowili bardzo uważne audytorium.

Na Frankiem zrobiło wrażenie to, że dokładnie wiedziała, do kogo zadzwonić, iż miała numer domowego telefonu tego człowieka, bo w Nowym Jorku było już o trzy godziny później.

— Domyślam się, że musiałem obrazić któregoś z twoich klientów — ciągnął Simon Waitrose. — Prawda, skarbie? Bo niby dlaczego dama miałaby osobiście dzwonić i przerywać mi kolację z uroczą młodą istotą?

— Randka z kolejną dziwką, Simonie? — Fanny puściła oko do swojej zafascynowanej publiczności. — Czy to jedna z dziewczyn Frankiego Romano?

— O Chryste! Nie mów mi, że Frankie Romano jest twoim klientem — jęknął Simon.

— Owszem, skarbie. Więc chcę wiedzieć, kto ci opowiedział tę historię? I lepiej przyślij mi e-mailem część drugą, bo inaczej będzie wielki i smakowity proces, który pograży cię aż po twój kościsty angielski tyłek.

— Do cholery, Fanny, każde słowo, które wydrukowaliśmy, jest prawdą.

— Na pewno, laluniu — prychnęła Fanny. — A ty nie łykasz viagry.

— Co takiego?

— Przyślij mi drugą część, wtedy pogadamy.

Odłożyła słuchawkę z uśmiechem satysfakcji, otworzyła szufladę biurka i wyjęła stos faksów, które podała Frankiemu ponad biurkiem.

— Część druga — wyjaśniła. — Przeczytaj, a potem padaj na kolana i mi dziękuj.

— Ale przecież dopiero przed chwilą porosiłaś, żeby ci ją przysłał — wybąkał Rick zlany potem, bo Fanny nie chciała włączyć klimatyzacji.

Upierała się, że w jej gabinecie temperatura zawsze musi wynosić osiemdziesiąt pięć stopni Fahrenheita.

— Główny asystent Simona siedzi u mnie w kieszeni, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. — Po raz kolejny mrugnęła znacząco. — Gdy tylko mi wyjaśniłeś, dlaczego mamy się spotkać, zajęłam się tym. Simon Waitrose zasługuje na to, by ruszyć dupę w sprawie układu, jaki zamierzam mu zaproponować.

Frankie był zajęty czytaniem drugiej części. Nagle okazało się, że ma przyjaciół i krewnych, o których istnieniu nie wiedział, były jego zdjęcia z dzieciństwa, przytaczano słowa jego ojca, pieprzonego nieudacznika, który tłukł go na kwaśne jabłko i nawet się nie obejrzał, kiedy zostawiał piętnastoletniego syna.

— Nie mogę uwierzyć w te bzdury — wysapał, rzucając faksy na biurko.

— Nigdy nie słyszałem o żadnym z tych dupków, którzy utrzymują, że chodzili ze mną do szkoły. A co do mojego ojca, to nie rozmawialiśmy od dziesięciu lat.

— Nie przejmuj się, laluniu — powiedziała Fanny. — Ja to zatrzymam. Simon ma wobec mnie dług. A w zamian za to, po wszystkich wyłączeniach dla szanowanych mediów, przy

czym słowo „szanowany” traktuję luźno, rzucimy im kość. Wywiad z Annabelle. Więc powiedz mi, laluniu, gdzie jest twoja partnerka od tego handlu żywym towarem?

— W hotelu. Ukrywamy się, żeby Ralph jej nie dopadł. Słyszeliśmy, że jest rozwścieczony i chce mnie wykończyć.

— A... Ralphie — westchnęła Fanny, a jej oczy na chwilę rozbłysły. — Miałam go jako piętnastoletnia dziewczica. Jednorazówka. Zauważył mnie na bankiecie, wysłał swojego dublera, żeby sprawdził, czy moje cycki są prawdziwe, po czym zabrał mnie na górę i zrobił swoje. — Zarechotała na to wspomnienie. — Przyjemny fiut. Chociaż nie dość duży jak dla mnie. Po raz kolejny Frankie zaniemówił.

*Rozdział pięćdziesiąty czwarty*  
Carolyn

*Tłuste czarne cipy* to nie był ulubiony pornos Benita, ale mimo wszystko go podniecał. Zaczął się zastanawiać, czy wałnąć konia, skoro Rosa wyszła i nie ma kto go obsłużyć. Nie ma jedzenia. Nie ma cipy. Jak, do cholery, mężczyzna ma w takich warunkach dobrze się bawić?

Wtedy przyszło mu do głowy, że przecież na jego łóżku leży cipa nadająca się do wykorzystania. Cipa wystarczająco dobra dla senatora. Jeśli wetknie swojego wielkiego tłustego fiuta w tę konkretną cipę, może poruszy to dzieciaka, którego ona tam nosi, i wszyscy rozjadą się do domów zadowoleni.

Tak. Zawiąże jej oczy, wypieprzy, da powąchać chloroform, wepchnie do bagażnika samochodu i wyrzuci na rogu ulicy wystarczająco daleko, żeby nie potrafiła doprowadzić nikogo do domu jego kuzyna.

Pieprzyć Rosę. Nie jest mu potrzebna. Sam rozwiązał cały problem.

Ruszył w stronę drzwi do sypialni i lekko je uchylił. W pokoju było dosyć ciemno, ale mógł zobaczyć swoją ofiarę wiercącą się na łóżku.

Właśnie miał szeroko otworzyć drzwi i zanieść swojego kutasa do sypialni, kiedy zadzwonił telefon.

Cholera! Wyjątkowo nie w porę! Jednak na wypadek, gdyby chodziło o interesy, zamknął drzwi sypialni i podniósł słuchawkę.

Dzwonił jego starszy brat Ramirez.

\* \* \*

Przez jedną długą chwilę Carolyn leżała jak sparaliżowana. Strach ogarniał ją jak całun z mgły, zorientowała się, że jest niezdolna do ruchu. Już prawie się uwolniła, kiedy ktoś zaczął otwierać drzwi. Zadzwonił telefon i ten ktoś zamknął je i odszedł.

Teraz była zbyt przestraszona, by uciekać.

Weź się w garść, rozkazywał wewnętrzny głos. Przynajmniej spróbuj znaleźć drogę ucieczki z tej piekielnej dziury. Zrób to! Teraz!

Przerażona zmusiła się do postawienia stóp na podłodze. Jej buty zniknęły, musiały spaść, kiedy ją porywano. Ale to najmniejszy z jej problemów.

Wstała z łóżka, podbiegła do okna, do tego, które wkrótce da jej wolność, o której marzyła, o którą się modliła.

\* \* \*

— Odpieprz się! — ryczał Benito do telefonu. — Nie chcę słuchać niczego, co masz mi do powiedzenia.

— Uspokój się, bracie — napominał Ramirez. — Proszę tylko, żebyś jutro przyszedł do ośrodka i ze mną porozmawiał.

— Dlaczego, do cholery, miałbym to zrobić?!

— Mówi się na mieście, że jesteś celem — oznajmił spokojnie Ramirez.

— A ja mogę ci pomóc.

— Nie pieprz mi tu, bo uważasz się za króla tych rzekomych dobroczyńców — kpił Benito. — Mam dla ciebie nowinę. Kio się do mnie zbliży, tego czeka wojna. Mam za sobą całą armię.

— Co ci przyjdzie z armii, gdy ci ktoś wpakuje kulkę w łeb? — przekonywał Ramirez. — Wtedy nie uratuje cię żadna armia.

— Odpieprz się! — wrzasnął Benito, zanim rzucił słuchawkę.

Brat doprowadzał go do szaleństwa: ciągle usiłował przekonać, żeby przychodził do ośrodka i zmienił swoje postępowanie. Ostatni raz, gdy tam poszedł, o mało go nie zastrzelili. Znowu ojciec tego pieprzonego dziecka Rosy. Pora odwrócić sytuację i wysadzić w powietrze tego francowatego fiuta.

Zaczął odtwarzać w myślach rozmowę z bratem. Nie zdziwiłby się, gdyby Ramirez próbował go zrobić. Pozbyć się go i w przebraniu Niewinnego Czyścioszka przejąć jego lukratywny interes dystrybucji narkotyków.

Tak, o to chodzi. Ramirez jest zazdrosny i chce tego, co należy do Benita. Ale to się nie uda. Starszy brat nic nic dostanie.

\* \* \*

Kiedy Carolyn dotarła do okna, szarpnięciem odciągnęła na bok podartą zasłonę. Na dworze było bardzo ciemno. Nic nie widziała.

Strach ścisnął jej gardło. Serce biło jak szalone. Miała mdłości i kręciło jej się w głowie.

A jeśli porywacz wejdzie do pokoju, kiedy ona będzie w połowie drogi przez okno, i wciągnie ją z powrotem?

A jeśli są tak szaleni, że ją pobiją albo nawet zabiją?

Jednak mimo przerażenia nie było odwrotu.

Tak czy inaczej, rozpoczęła ucieczkę.

## *Rozdział pięćdziesiąty piąty*

### Bobby i Denver

Byliśmy w drodze na lotnisko, Bobby i ja. Mimo moich obiekcji nalegał, żebym odbyła podróż do Waszyngtonu jego samolotem. Po czym zdecydował, że będzie lepiej, jeśli poleci ze mną na wypadek, gdybym potrzebowała pomocy.

Co miałam robić? SMS od George'a Hendersona był rozpaczliwym wołaniem o pomoc i chociaż nie prosił, żebym przyleciała do Waszyngtonu, gdzie sam już był wraz z żoną, wiedziałam, że muszę tam być. A jeśli najszybciej mogę się tam dostać samolotem Bobby'ego, niech tak będzie.

Carolyn zniknęła — nie „wyjechała na kilka dni”, było to raczej złowieszcze „została porwana”. A każdy, kto kiedykolwiek oglądał wiadomości, doskonale wie, co to oznacza.

Zniknięcie dziewczyny najczęściej oznacza gwałt i morderstwo.

Według George'a policja znalazła samochód Carolyn porzucony w odległym miejscu, drzwi od strony kierowcy były otwarte, a jeden jej but leżał na ziemi. Nie zjawiała się w pracy, nie przyszła na umówione śniadanie z sąsiadką i nikt jej nie widział od wtorkowego południa, kiedy wyszła z biura, jak



powiedziała, do dentysty. Kiedy skontaktowano się z lekarzem, okazało się, że Carolyn nie była z nim umówiona.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogę pomóc, ale Carolyn jest moją najlepszą przyjaciółką i wiem, że muszę tam być, choćby po to, by wesprzeć jej rodziców.

W drodze na lotnisko zadzwoniłam do Felixa, żeby podnieść go na duchu. — Nie rozumiem, co się z tobą ostatnio dzieje — warknął. — Nie przejmujesz się swoją pracą.

W ustach Felixa było to przykre. Oczywiście, że się przejmuję. Odkąd trafiłam do kancelarii Saunders, Fields, Simmons & Johnson, zawsze stawiałam pracę na pierwszym miejscu. Wystarczy zapytać Josha. Po raz kolejny zastanawiałam się, czy nie nadeszła pora, żeby coś zmienić. Jestem pewna, że mogłabym zdobyć wspaniałą pozycję w innym miejscu.

Potem zadzwoniłam do mojego najbliższego sąsiada, żeby go poinformować, iż nie będzie mnie przez kilka dni, i zapytać, czy może się zająć Amy Winehouse. „Czuje się doskonale, zapewnił. Nie przejmuj się”.

Gdy tylko się rozłączyłam, rzucił się na mnie Bobby.

— Wszystko w porządku? — dopytywał, denerwująco troskliwie, jakbym dzięki temu mogła zapomnieć krótką i odkrywczą przemowę Zeeny, przemowę, o której ani razu nie wspomniałam. On też nie.

Ta niewspominana przemowa tkwiła między nami jak słoń pośrodku pokoju, tyle że nie byliśmy w pokoju, tylko w limuzynie, jadąc na lotnisko, by wsiąść do prywatnego samolotu Bobby'ego.

On tak bardzo się ode mnie różni. Co mi w ogóle przyszło do głowy?

\* \* \*

Gdy Bobby zorientował się, że z powodu swego dziedzictwa ma pewną władzę, udawało mu się rozwiązać większość problemów. Nauczył się tego od rodziców, bo choć kiedy umarł Dimitri, był dzieckiem, przyglądał się nieżyjącemu ojcu na zdjęciach i filmach wideo i zapamiętał jego sposób działania. Dimitria zawsze cechował niezwykły urok, współczucie i niezwykła umiejętność panowania nad sytuacją. Lucky miała własny sposób załatwiania spraw, który chyba nigdy jej nie zawiódł.

Obydwoje rodzice byli twardzi, lojalni i zmotywowani, obydwójce wiedzieli, czego chcą i zawsze wygrywali.

Bobby pragnął tego samego dla siebie. Uświadomił sobie, że od urodzenia jest w pozycji uprzywilejowanej, nigdy jednak nie dopuścił do tego, by wpaść w pułapkę bogactwa, a już na pewno nigdy nie wykorzystywał swojej niezwykłej urody. Skoncentrował wysiłki na tym, by wszystko osiągnąć samodzielnie, i to mu się udało.

Jedną z rzeczy, którymi się chlubił, było to, że zawsze dobrze traktował kobiety, a kiedy się nie układało, starał się ułatwić im rozstanie. Był porządnym facetem.

A teraz Zeenie udało się zrobić z niego dupka, zabawkę w jej ręku. Więc był wściekły. Na Zeenę. Ale przede wszystkim na siebie.

Od chwili gdy ze szkarłatnych ust Zeeny wypłynęły pamiętne słowa, Denver zaczęła go traktować jak dalekiego znajomego, z którym musi spędzić jakiś czas. Jasne, zgodziła się polecieć jego samolotem, ale tylko dlatego, że chciała szybko dostać się do Waszyngtonu, a nie dlatego, że chciała być z nim.

Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Czy powinien próbować się wytłumaczyć? „No... Denver, chodzi o to, że Zeena niespodziewanie przyszła do mnie pod prysznic, nigdy jej nie zapraszałem i wiesz, no... zrobiła mi laskę, ale...”.

Cholera! Dokąd to może go zaprowadzić?

Pierwsza dziewczyna od bardzo dawna, która mu się podoba, a Zeena zgasła jego nadzieję, że może coś z tego będzie.

Limuzyna podjechała pod gmach lotniska, a eskorta służb specjalnych towarzyszyła im do samolotu.

Na pokładzie Denver usiadła tak, by od Bobby'ego oddzielało ją przejście. Gitta, jedna z urodziwych stewardes, zapytała, czy czegoś potrzebuje.

— Nie, bardzo dziękuję.

— Wiesz — Bobby pochylił się w jej stronę — że jest tu sypialnia, więc gdybyś poczuła się śpiąca... — Nie dokończył. Wspominanie o tym brzmiało jak niewłaściwa sugestia, zupełnie jakby się do niej zalecał. A nie robił tego. Absolutnie.

Ale chciałby. O tak, zdecydowanie by tego chciał. Problem polegał na tym, że Zeena odebrała mu wszelkie szanse.

\* \* \*

Jakie to dziwne. Kiedy wydarzy się coś dramatycznego, wszystko inne wydaje się nieważne. Dwie godziny temu miałam niemal obsesję na punkcie Bobby'ego, a teraz nic mnie nie obchodził. Czy naprawdę wydałam całą pensję na seksowną suknię od znanego projektanta i pantofle? Byłam u fryzjera? Znosiłam niewygodę idiotycznych sztucznych rzęs i nadmiaru makijażu? Co za głupota. Musiało mi się rzucić na mózg.

Teraz mogłam myśleć tylko o Carolyn. Gdzie ona jest? Czy rzeczywiście została porwana, jak podejrzewa George Henderson? Jak zacząć jej szukać?

Nie znałam żadnych odpowiedzi, co dla kogoś lubiącego zawsze znajdować się w czołówce było bardzo frustrujące.

Zacząłam myśleć o ostatnich SMS-ach, jakie od niej dostałam. Na szczęście przechowuję wszystko w pamięci telefonu. Na wszelki wypadek. Czy jest tam jakaś wskazówka?

Wyjęłam komórkę i zaczęłam przeglądać SMS-y. Ostatni dostałam w poniedziałek: *Musimy porozmawiać! Tyle się dzieje!*

Co to miało znaczyć? Czy wróciła do Matta, swojego eks? Czy poznała kogoś nowego?

Musiało to dotyczyć mężczyzny, tego byłam pewna.

Spojrzałam na Bobby'ego. Siedział zgarbiony na fotelu, pewnie wyczerpany popołudniowym obciążaniem przez super-gwiazdę o przerażającym wyglądem. Zeena przypominała mi Vampire, superkobietę z innej planety.

Nadal byłam ubrana w niewiele ukrywającą czerwoną suknię i niewygodne buty na wysokich obcasach, wzięłam więc reklamówkę, w której miałam „cywilne” ciuchy, odpięłam pas i wstałam.

Śliczna stewardesa Hawajka, która przedstawiła się jako Hani, podbiegła, żeby zapytać, czego potrzebuję.

— Hani, chciałabym się przebrać. Czy to możliwe?

— Oczywiście — odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem. — Proszę za mną.

Poszłam za nią do najprawdziwszej sypialni. Sypialnia! W samolocie!

Było tu duże łóżko, telewizor z płaskim ekranem, szafa w ścianie i łazienka z kabiną prysznicową.

Zastanawiałam się, czy Bobby przewiózł Zeenę tym samolotem.

Nie, bo ona pewnie ma własny 747. Szalenie bogaci ludzie żyją w innym świecie.

Nie obchodziło mnie to. Obchodziło mnie tylko znalezienie Carolyn.

Denver zamknęła się w sypialni. Po piętnastu minutach wyszła ubrana w to, co miała na sobie wcześniej: luźne beżowe spodnie, białą bluzkę i miękki żakiet. Włosy znowu związała w koński ogon, zmyła prawie cały makijaż.

Bobby uznał, że wygląda cudownie. Ta dziewczyna jest naturalną pięknoscią, nie potrzebuje żadnych ozdóbek. Przypomniał sobie wspaniałe chwile, jakie spędzili w barze hotelu Cavendish. Doświadczyli oboje poczucia wielkiej bliskości. Wiedział, że to nie sprawa jego wyobraźni, że naprawdę jest między nimi silna chemia.

Cholera! Dlaczego musiała pojawić się Zeena i to spieszyć?

— Znalazłaś wszystko, co było ci potrzebne? — spytał, czując się zupełnie nie na miejscu, co właściwie mu się nie zdarzało.

— Niczego nie szukałam — odparła chłodno Denver. — Czy jest tu telefon, z którego mogłabym skorzystać?

Bobby wezwał Gittę i polecił, by zaprowadziła Denver do aparatu.

Denver wzięła słuchawkę i odwróciła się tyłem do Bob-by'ego.

Bardzo chciał się dowiedzieć, do kogo dzwoni. Powiedziała, że nie ma chłopaka, ale kto wie?

Próbował w myślach odwrócić sytuację. Gwiazdor piosenki anonsujący światu, że właśnie wylizał cipkę Denver. Okropność. Trudno się dziwić, że się od niego odsunęła.

Spróbował znaleźć pozytywne strony tej sytuacji. Przynajmniej zgodziła się polecieć jego samolotem. Może da się jeszcze wszystko naprawić.

Po chwili pomyślał: nie ma na to najmniejszej szansy.

Miał przeczucie, że Denver nie należy do dziewczyn, które łatwo wybaczą.

*Rozdział pięćdziesiąty szósty*  
Carolyn

Strach był tak wszechpotężny, że Carolyn z trudem oddychała. Rozpaczliwie łąpała powietrze, próbując się uspokoić i skoncentrować, wiedziała bowiem, że rozpacz nie może przeszkodzić jej w zrobieniu tego, co zrobić musi. A musiała się stąd wydostać. Serce tłukło się w piersi, była zdeterminowana, by uciec z tego okropnego miejsca, gdzie traktowano ją gorzej niż zwierzę. Szarpnięciem otworzyła okno jak najszerzej się dało i uderzyła w nią ciężka ściana deszczu. Zbierając resztki sił, zdołała wdrapać się na parapet. Zatrzymała się na chwilę i odetchnęła głęboko. „Krok po kroku, krok po kroku”, mamrotała do siebie, kiedy ogromnym wysiłkiem udało jej się przecisnąć przez wąski otwór, w którym o mało nie utknęła. Jej bose stopy zapadły się w gęste błoto, a deszcz sprawił, że w ciągu kilku sekund była zupełnie przemoczona. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Na ulicy nie stały latarnie, a noc była wyjątkowo ciemna. Gdzieś w oddali słyszała ujadanie psa i odległy warkot helikoptera.

Uruchomiwszy niemal siłą swój instynkt przetrwania, zaczęła rozpaczliwy bieg.

\* \* \*

Mamrocząc i klnąc pod nosem, Benito starał się otrząsnąć po telefonie Ramireza i znów zainteresować się pornosem na ekranie telewizora. Jego pieprzony brat zawsze go dręczył, już kiedy byli dziećmi i mieszkali w jednoizbowym domku w slumsach z matką ćpunką ojcem, którego nigdy nie było. To Ramirez zmusił go, gdy miał dwanaście lat, do włączenia się w życie gangów, a kiedy miał lat trzynaście, wypchnął go na ulicę, żeby handlował narkotykami.

Ramirez był gangsterem, który nagle zmienił kierunek i stał się przemądrzałym sukinsynem i hipokrytą. Benito go nie znosił.

Patrząc na ekran telewizora, próbował nie myśleć o swoim dzieciństwie. Po chwili *Tłuste czarne cipy* osiągnęły pożądany efekt i jego fiut znowu zaczynał twardnieć w wyniku połączenia wulgarnego seksu z nienawiścią i gniewem na brata.

Wkrótce uznał, że pora pokazać dziwce senatora, kto tu rządzi.

Poderwał się gwałtownie i ruszył zdecydowanym krokiem do sypialni.

*Rozdział pięćdziesiąty siódmy*  
Annabelle

— Co to znaczy „dokonano aresztowania”? — spytał Frankie, drapiąc się w czoło.

Annabelle rzuciła się na niego, gdy tylko wrócił do hotelu, nie dając mu szansy, by opowiedział jej o ich nowej menedżerce i o tym, ile nowatorskich pomysłów ma Fanny Bernstein.

— Włącz telewizor, to jest na wszystkich kanałach — poradziła podekscytowana Annabelle.

— Kogo aresztowali? Tego, co ją nękał?

— Kogo? — Annabelle patrzyła na niego, nie mając pojęcia, o czym mówi.

Niezły z niej numer, najwyraźniej nie śledzi sprawy zamordowania własnej matki.

— Mówiło się o kimś takim — wyjaśnił Frankie. — O nadgorliwym wielbicielu z Nowego Orleanu, który przyjechał tu, żeby padać Gemmie do stóp i oddawać jej cześć. Gliniarze uznali, że trzeba się nim zainteresować.

— Tym razem nie mówią, o kogo chodzi. Nic poza tym, że dokonano aresztowania.



— To musi być dla ciebie ulga — stwierdził Frankie, wyciągając dietetyczny 7up z minibarku.

— Może to najdroższy tatuś? — zasugerowała Annabelle ze złośliwym chichotem.

— O Chryste, Annabelle, gdyby chodziło o Ralpa, tobyśmy wiedzieli.

— Frankie był zdegustowany tym, że ona nie traktuje sprawy poważnie.

— A moim zdaniem sama myśl, że mógłby to zrobić Ralph, jest chora. — Urwał. — Może powinnaś w tej sprawie pójść do psychoanalityka?

— A może ty powinieneś pójść z tym swoim chorym przyzwyczajeniem do koki? — odparowała Annabelle, po raz kolejny zastanawiając się, że może popełnia błąd, zostając z Frankiem.

— Słuchaj, dziecinko — powiedział, wycofując się z walki — jest ktoś, kogo musisz poznać. Ta kobieta to cała pieprzona elektrownia, i to właśnie ona wyciągnie nas z tego szamba.

— A dokładnie jak zamierza to zrobić? — spytała Annabelle z powątpiewaniem.

— Sama ci powie jak, gdy ją poznasz. — Frankie tracił cierpliwość. — Fanny wytłumaczy ci każdy ruch, jaki mamy wykonać.

— A kiedy niby mam poznać tę „elektrownię”? — Annabelle udawała, że ziewa z nudów.

— Dziś wieczorem. O dziesiątej w ogródku restauracji Château Marmont.

— O dziesiątej to za późno — stwierdziła rozdrażniona Annabelle. —

Przez cały dzień wsiadaliśmy i wysiadaliśmy z samolotów. Jestem wykończona.

— Musimy coś zjeść, prawda? — Frankie był zdesperowany.

— No, chyba tak.

— No więc tam pójdziemy.

— Niewykluczone. — Annabelle daleka była od entuzjazmu.

— Ale muszę cię ostrzec, dziecinko — Frankie uznał, że lepiej przygotować ją na wulkan energii, jakim jest Fanny — ta kobieta jest szalona. Jednak możesz mi wierzyć, że zdobędzie dla nas wszystko, co chcemy.

\* \* \*

Po jednym spojrzeniu na Fanny Annabelle przeszła na snobistyczny styl z Beverly Hills: „Jestem lepsza od ciebie”.

Fanny natychmiast zorientowała się, z kim ma do czynienia. Bogata panienska. Cipa. Córka gwiazdy filmowej obdarzona wszystkimi przywilejami i pozbawiona jakiegokolwiek uwagi i miłości. Podczas długiego i udanego królowania w Hollywood jako najlepszy menedżer Fanny spotkała mnóstwo takich dziewcząt jak Annabelle.

Miała ochotę powiedzieć: „Uspokój się. Zdecydowałeś się poderwać narkomana ze złej strony toru, więc lepiej zsiądź z wysokiego konia, skarbie, i podyskutujmy o twojej przyszłości”.

Annabelle zdobyła się na słaby uścisk dłoni, oburzona, że Frankie mógł w ogóle pomyśleć, żeby robić z tą straszną kobietą interesy.

Fanny zlekceważyła uścisk dłoni na rzecz prawdziwego uścisku, co zraziło Annabelle jeszcze bardziej, w dodatku poczuła zniechęcony zapach Poison.

— Fanny Bernstein — powiedział Frankie — poznaj Annabelle Maestro, miłość mojego życia.

Fanny puściła do Annabelle oko, gdy usadowili się przy stoliku na zewnątrz.

— Czy te napalone brednie nie przyprawiają cię o mdłości? — zachichotała.

Annabelle nie mogła się z tym nie zgodzić.

— Tacy są mężczyźni, laluniu — ciągnęła Fanny. — Wszyscy wypluwają te same stare wyświechtane kwestie. Wiesz,

o czym mówię. — I naśladowując głęboki męski głos powiedziała: — O rany, ale pięknie dziś wyglądasz. Nie, twój tyłek w tej sukni nie robi wrażenia dużego. Oczywiście, kupię ci nowy samochód. A gdybyś tak posiadała mojego siusiaka, skarbie? Obiecuję, że nie spuszczę ci się w usta. Annabelle nie mogła powstrzymać śmiechu. Ta kobieta w straszliwym liliowym kaftanie z gigantycznymi kolczykami, pomarańczowymi włosami i niewyparzoną gębą jest szalenie zabawna.

— Sprzedałam to preziowi wyznała Fanny. — Napalony drań bardzo się podekscytował. Prawdzie zawsze towarzyszy wielkie zdziwienie.

Annabelle nie chciała pytać, o którym prezydencie mowa. Pewnie o Clintonie, nie o Bushu, a już na pewno nie o Obamie.

Frankie się rozluźnił. Denerwował się spotkaniem Annabelle z Fanny, ale teraz zrozumiał, dlaczego Fanny odnosi sukcesy; wie, jak rozgrywać sprawy i upłynęło niewiele czasu, a Annabelle znalazła się całkowicie pod jej urokiem.

\* \* \*

A w Nowym Jorku Janey Bonafacio wpadła w panikę. Nie tylko jej syn uciekł z olbrzymimi — w co nie wątpiła — pieniędzmi za sprzedaż historii biznesowego przedsięwzięcia Annabelle i Frankiego brukowej gazecie, ale na dodatek zostawił ją ze wszystkimi efektami ubocznymi, których było dużo. Telefony nie przestawały dzwonić. Reporterzy i paparazzi czaili się przed elegancką kamienicą, doprowadzając do furii nadętych sąsiadów Annabelle. Klienci grozili, że jeśli ich nazwiska zostaną ujawnione, skończy się to w sądzie. A niektóre z tak zwanych celebrytek, których tożsamość ujawniono, stawiały się przed drzwiami mieszkania, gotowe zatłuc Frankiego, Annabelle i każdego, kto się pojawi.

Janey była kłębkim nerwów. Ale mimo że Frankie tak

ostro mówił do niej przez telefon, nadal miała do niego słabość. To ciągle jej Frankie, a ponieważ to Chip dokonał czynu tak bardzo godnego potępienia, czuła się w jakiś sposób za to odpowiedzialna.

Według jednej z sąsiadek, która miała klucz do jej mieszkania w Queens, Chip zniknął. Spakował wszystkie swoje rzeczy i prysnął o północy. I dobrze się stało, bo doprowadzona do ostateczności Janey wykazywała się ostrym temperamentem i nie czułaby się winna, wyładowując się na swoim nic niewartym syneczku.

Każdy, będąc na jej miejscu, opuściłby apartament przy Park Avenue i zwiewał, gdzie pieprz rośnie, ale Janey pozostała lojalna, mając nadzieję, że kiedy Frankie wróci do Nowego Jorku, to jej przebaczy.

— A więc to ustalone — powiedziała Fanny, atakując półmisek z deserem stojący na środku stołu. — Wszyscy wiemy, co mamy robić? Annabelle skinęła głową. Teraz, kiedy Fanny kierowała wydarzeniami, czuła się o wiele bezpieczniej.

— Strój? — pytała Fanny, żeby się upewnić, czy Annabelle przyswoiła sobie instrukcje na jutrzejszy pogrzeb.

— Czarny — odparła posłusznie Annabelle. — Spódnica, nie spodnie.

— Przyzwoitej długości — zaznaczyła Fanny.

— Żadnej biżuterii prócz mojego krzyża maltańskiego. Bardzo dyskretny makijaż. Ciemne okulary.

— Doskonale — pochwaliła Fanny, której widelec zmierzał po kolejną porcję czekoladowego ciasta. — A ty, Frankie?

— Dobra, dobra, pamiętam — mruknął nerwowo. — Nic rzucającego się w oczy, trzymać gębę na kłódkę bez względu na sytuację.

— Nie martw się, ja tam będę, żeby mieć pewność, że Ralph się na ciebie nie rzuci, co jest mało prawdopodobne, bo zjawi się tam liczna reprezentacja prasy, a Ralph nigdy nie zaryzykuje zepsucia sobie reputacji przez jakieś głupie zachowanie przed kamerami.

— A później? — chciała wiedzieć Annabelle. — Czy musimy znowu pójść do domu ojca?

— Zobaczymy, jaka będzie sytuacja. — Po brodzie Fanny spływała strużka czekolady.

— Umowa stoi — powiedział Frankie.

— Owszem — potwierdziła Fanny, sięgając po porcję sernika. — O, Frankie, po południu będziemy udzielali wywiadu magazynowi „People”, więc zmniejsz dawkę koki do minimum, i żadnej dekoracji z białego proszku pod nosem.

— Hola... — zaczął Frankie.

— Daj sobie spokój — przerwała mu Fanny — słyszałam wszystkie możliwe usprawiedliwienia i głównie mnie obchodzi, co robisz w wolnym czasie, ale kiedy pracujemy — żadnych narkotyków. Rozumiemy się? Annabelle się uśmiechnęła. Nareszcie ktoś potrafi kontrolować Frankiego. Prawdziwa premia!

*Rozdział pięćdziesiąty ósmy*  
Carolyn

Benito złapał się za krocze, zbliżając się do drzwi sypialni, i nacisnął klamkę. Był gotów i twardy, co oznaczało, że dziwkę senatora czeka teraz nie lada przyjemność. Zostanie należycie potraktowana i nie będzie to miękki kutas starego faceta. Benito Ortega jest mężczyzną, z którym trzeba się liczyć.

W sypialni było ciemno, ale postanowił i tak zasłonić kobiecie oczy — to środek bezpieczeństwa na wypadek, gdyby próbowała kiedykolwiek go zidentyfikować. Zasłoni jej oczy, a potem zapali światło, żeby zobaczyć, z jakim rodzajem cipy ma do czynienia.

Kiedy wszedł do pokoju, uderzył go strumień mroźnego powietrza wpadający przez okno. Rosa, ta głupia cipa, musiała je otworzyć. Pokój przypominał cholerną górę lodową. Idąc po omacku w stronę łóżka, uświadomił sobie ze strachem i niedowierzaniem, że jego ofiary nie ma. Cholera! Ta pieprzona dziwka uciekła!

Oczy Rosy powoli się otworzyły, właściwie to jedno oko, bo drugie pulsowało i było zasłonięte opatrunkiem.

Próbowała coś powiedzieć, ale udało jej się wydać tylko charkot, bo miała sucho w ustach.

— Gdzie jestem? — chciała zapytać. Pojawiła się pielęgniarka.

— Leż spokojnie, kochanie — powiedziała kojącym głosem. — Powiem doktorowi, że się obudziłaś.

— Chcę mamę zakwiliła Rosa, stając się znowu wystraszoną nastolatką. Pielęgniarka wysłała wiadomość na pager doktor Glass, która pojawiła się po piętnastu minutach.

Kiedy lekarka zorientowała się, że dziewczyna jest przytomna i może mówić, natychmiast zadzwoniła do detektywa Lennox.

— Wskoczyło coś nowego. Zajmuję się inną sprawą — powiedział i nie wydawał się tym zachwycony. — Będę musiał wysłać kogoś, żeby spisał jej zeznanie.

— Nie przyjdzie pan osobiście? spytała doktor Glass dziwnie rozczarowana.

— Zaginęła kobieta, asystentka senatora — wyjaśnił Lennox. — Jutro zajmie się tym cała prasa. Szef już to zrobił.

— Rozumiem — mruknęła doktor Glass.

— Jeśli sytuacja się wyklaruje, może wpadnę jutro i sam porozmawiam z dziewczyną. — Chwila milczenia. — Ma pani jutro dyżur?

— Cały dzień.

— No to do zobaczenia. Doktor Glass zajęła się pacjentką.

— Chcę mamę — powtarzała Rosa, a po jej policzkach spływały łzy. — Chcę, żeby tu zaraz przyszła.

\* \* \*

— Ramirez, czego ode mnie chcesz? — spytał Gregory przez telefon, starając się mówić obojętnie. Zdecydował, że rozsądniej jest odebrać wiadomość i dowiedzieć się, o co chodzi.

— To dotyczy mojego brata — powiedział Ramirez.

— Brata? — Gregory z trudem przełknął ślinę. Czyżby Ramirez dowiedział się, co zaszło? Czy to możliwe, że Benito go wydał? Chryste! Gównu za chwilę się rozprysnie.

— Muszę z panem o nim porozmawiać — kontynuował Ramirez. — Czy mógłby pan wpaść do ośrodka jutro, dość wcześnie? To pilne.

Równie dobrze Ramirez mógł powiedzieć: „Przynieś dużo pieniędzy, bo zamierzam szantażować ten twój dumny biały tyłek”.

Gregory mocno przygryzł dolną wargę. Owszem, dał dowód głupoty, bo to, do czego doprowadził, jest niewybaczalne.

— Przyjdę — powiedział szorstko.

\* \* \*

Carolyn stanęła na czymś ostrym i jej stopę przeszył straszny ból. Krzyknęła.

Nie dość, że jest przemoczona i przemarznięta, to jeszcze to.

Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, zaczęła się rozglądać i zorientowała się, że biegnie uliczką, na której stoją przepelnione kosze na śmieci, porzucone samochody, walają się stare meble i podarte materace. Po obu stronach ulicy rosły wysoka trawa i chwasty.

Przez ulicę przebiegł szczur. Tłumiąc krzyk, kontynuowała marsz, ponieważ jedno wiedziała na pewno: musi tak szybko jak to jest możliwe odejść jak najdalej od domu, w którym była przetrzymywana. Jeśli porywacze odkryją, że uciekła i zaczną jej szukać, to co wtedy?

Nie bardzo chciała o tym myśleć.



## *Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty*

### Denver

Bobby nagle upodobił się do jednego z tych dokuczliwych wielkich psów, o które człowiek nieustannie się potyka.

Nie wiedział, jak się wycofać. Było oczywiste, że nigdy nie był w takiej sytuacji.

„Wracaj do Vegas i niech Zeena ci obciąga do następnego meczu Lakersów”, miałam ochotę powiedzieć. Ale oczywiście nie zrobiłam tego, bo zwyciężyła ta strona mojej natury, która nie chce nikomu zrobić przykrości.

Czasami jestem takim mięczakiem. Albo hipokrytką, zależy, jak na to spojrzeć. Bobby przestał mnie interesować, bo zrobiła mu loda jakaś przerażająca supergwiazda i rozślawiła ten ich seksualny wyczyn z estrady. A przecież w ciągu kilku ostatnich dni przeżyłam cudowny seks z dwoma różnymi mężczyznami, więc daleko mi do westalki!

A jednak... kiedy siedzieliśmy z Bobbym przy drinku, zdecydowanie poczułam, że coś między nami zaiskrzyło. Toteż fakt, że zaraz potem został obsłużony przez Królową Vampire, sprawiał, że czułam się poniżona.

Ale chwileczkę, przecież nie spaliśmy ze sobą, nawet się nie pocałowaliśmy, więc może wyolbrzymiam całą sprawę.

Wróciłam na swoje miejsce, chcąc złapać choć parę godzin snu. Po powrocie będę potrzebowała całej energii, jaką uda mi się wykrzesać. Było późno, kiedy wylądowaliśmy w Waszyngtonie; trzecia nad ranem w czwartek według czasu Las Vegas, a szósta rano lokalnego czasu waszyngtońskiego. Czas mnie nie interesował. Miałam zamiar spotkać się z rodzicami Carolyn i dowiedzieć się, co się dzieje.

— Pewnie będą spali — stwierdził Bobby.

— Kpisz ze mnie czy co? — prychnęłam, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem. — Czy twoja mama by spała, gdybyś znalazł się na liście osób zaginionych?

— To dobry argument — przyznał i skinął swoją piękną głową. Mogłam przestać się nim interesować, ale to nie znaczy, że przestałam doceniać jego wygląd. Do diabła!

Kiedy lecieliśmy do Waszyngtonu, Bobby wszystko poustalał, najwyraźniej był w tym mistrzem. Samochód miał czekać na nas na lotnisku. Boże, mam nadzieję, że nie będzie to kolejna limuzyna.

Apartament z dwiema sypialniami w tym samym hotelu, w którym zatrzymali się Hendersonowie. Tym się nie przejmowałam, bo nie miałam zamiaru spać, a apartament posłuży przynajmniej jako baza.

Kilka minut przed lądowaniem Bobby uznał za stosowne wspomnieć o incydencie z Zeeną. Najwyraźniej szykował się na wielkie wyjaśnianie.

— Denver, posłuchaj, powinienem ci powiedzieć coś o Zee-nie. —

Mówiąc to, wydawał się zażenowany. — To bardzo wymagająca kobieta, sięga po to, czego chce, kiedy ma na to ochotę. A wczoraj tak się złożyło, że chciała akurat mnie.

— Wyobraź sobie, że to do mnie dotarło. — Nie zamierzałam mu pomagać.

— No więc... brałem prysznic, a ona pojawiła się nagle nie wiadomo skąd. Teraz wiem, że powinienem był ją wyrzucić, ale...

— Hola — wtrąciłam, uniemożliwiając mu dalsze usprawiedliwianie się — nie musisz mi się tłumaczyć, Bobby, przecież ledwo się znamy. To nie moja sprawa.

— Ależ jak najbardziej. Wcześniej spędziliśmy razem trochę czasu i było wspaniale. — Zrobił dłuższą pauzę. — Musisz zrozumieć, że ten incydent z Zeeną nic dla mnie nie znaczy.

— Najwyraźniej znaczy coś dla niej — zauważyłam, nadal nie chcąc ułatwiać mu sytuacji.

— Przyszło mi do głowy coś szalonego.

— Mianowicie?

— Dlaczego nie mielibyśmy zapomnieć o tym, co się stało, i zacząć od punktu wyjścia? — Wpatrywał się we mnie, a w jego oczach zobaczyłam szczerą. — Co o tym myślisz, Denver? Bo mi się wydaje, że to naprawdę dobry pomysł.

Boże! Temu mężczyźnie nie można się oprzeć. W innych okolicznościach prawdopodobnie wybaczyłabym mu w ciągu sekundy, ale moje myśli zajmowała Carolyn i angażowanie się w związek znajdowało się daleko na mojej liście priorytetów.

— Posłuchaj — powiedziałam. — Rozumiem, zapominamy o urazie? Odpowiedział uśmiechem.

Wymieniliśmy długie i znaczące spojrzenia, po czym powiedział coś zadziwiającego:

— Akurat teraz powinniśmy skoncentrować się na znalezieniu twojej przyjaciółki. Po to tu jestem, Denver, i zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Ale później nastąpi dla nas nowy początek. Zgoda?

Przyłapałam się na tym, że jak zakochana idiotka mamrocę.

— Zgoda.

*Rozdział sześćdziesiąty*  
Carolyn

Niepokój i wściekłość pchnęły Benita do działania.

Niepokoił się, że kobieta zapamiętała, gdzie stoi jego dom i wskaże go jako swojego porywacza.

A wściekał się przede wszystkim dlatego, że uciekła.

Od jak dawna nie ma tej dziwki senatora? Nie miał pojęcia. Ale pewnie nie za długo.

Czy Rosa jej pomogła? Dlatego od niego uciekła? Czy zostawiła otwarte okno i rozwiązała ofiarę?

Cholera! Cholera! Cholera!

Mogła już dotrzeć do gliniarzy i powiedzieć im, gdzie on mieszka.

Nie wróci do więzienia. Za nic na świecie nie wróci. Jeśli gliniarze go aresztują, wygada wszystko w zamian za układ. To senator Stoneman poniesie karę za ten cały cholerny syf, nie on.

Wziął broń i pobiegł do samochodu. Może jeszcze nie jest za późno.

Może uda mu się ją złapać i przywlec do domu.

Dziwka wyjdzie tylko wtedy, kiedy on tak zdecyduje.

\* \* \*

Carolyn była przemoczona do suchej nitki, jej stopa krwawiła. Wiedziała, że musi znaleźć pomoc.

Rozglądając się po zapuszczonej ulicy, uświadomiła sobie, że jest w niedobrej części miasta, najprawdopodobniej gdzieś na południowym wschodzie, na terytorium słynącym z wysokiej przestępczości.

Na ulicy nie było nikogo, większość latarni była potłuczona, otwarty był tylko bar na rogu.

Pokuśtykała w tamtą stronę, stopa bardzo jej dokuczała. Deszcz nie przestawał padać, co jeszcze pogarszało sytuację.

Gdyby tylko mogła dostać się do telefonu, toby wystarczyło, żeby poczuła się bezpieczna. Jeden telefon i przyjedzie po nią policja.

\* \* \*

Samochód nie chciał zapalić, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Benita. To nieodpowiedni moment, żeby to zasrane auto się psuło. Ulewny deszcz też nie pomagał.

Znowu spróbował, ale silnik na moment zaskoczył i zamilkł.

Musi natychmiast zacząć szukać dziwki senatora, ale jak ma to zrobić bez samochodu?

Wtedy przypomniał sobie, że matka Rosy ma starego buicka. Stoi beczynnie przed domem. Pies to drapał, weźmie go. Trudno.

Naciągając kaptur dla ochrony przed deszczem, wyruszył, by pokonać dziesięć przecznic dzielących go od domu matki Rosy.

Zabranie samochodu jej ukochanej mamci będzie karą dla Rosy, że go zostawiła. *Put!*

\* \* \*

Carolyn dokuśtykała do baru i pchnęła drewniane drzwi, żeby wejść do środka.

Potęźny mężczyzna stanął w progu, zagradzając jej drogę. Z rękami skrzyżowanymi na mocarnym torsie zaryczał:

— Spieprzaj stąd, ty brudna, cuchnąca cipo. Ile razy mam wam, cholernym włóczęgom, powtarzać, żebyście mi tu nie przychodzili.

— Aleja...

Miał dosyć. Czerwony na twarzy i wściekły nie miał zamiaru słuchać. Złapał ją w pasie i wypchnął na zewnątrz z taką siłą, że wpadła do rynsztoka.

— I nie wracaj tu nigdy! — wrzasnął, wchodząc do baru i trzaskając drzwiami.

Carolyn była w szoku. Wymknęła się porywaczom, a teraz traktują ją jak śmiecia.

Powoli podniosła się z rynsztoka.

Obok niej przechodził bezdomny, pchając wózek ze sklepu. Był ubrany w szmaty, głowę owinął amerykańskim sztandarem, a za nim szedł wyliniały pies.

Carolyn podbiegła do mężczyzny i błagała o pomoc.

— Chcesz posmakować mojego? — zarechotał, obnażając się przed nią.

— Spodoba ci się mój kawałek mięsa, dziewczusko. No chodź, częstuj się, wylizuj, to za darmo.

Szybko się wycofała, znowu biegła ulicą, omijając pijaka, który ją opluł i dwóch transwestytów, którzy zupełnie ją zignorowali, kiedy poprosiła ich o pomoc.

Minęła dwie budki telefoniczne, w obydwu telefony były zepsute, a słuchawki zwisały na sznurach.

W końcu uświadomiła sobie, że dopóki się nie rozwidni, przebywanie na ulicy jest zbyt niebezpieczne. Wypatrzyła zadaszone wejście do lombardu, wślizgnęła się tam i skuliła w brudnym i zaśmieconym kącie, kompletnie wyczerpana i przerażona.

Mogła tylko czekać, aż się rozwidli, i mieć nadzieję, że przeżyje tę noc.

A tymczasem zdecydowanie zamierzał pomóc jej w odnalezieniu zaginionej przyjaciółki, a ponieważ Lucky miała rozległe znajomości, zadzwonił do niej z samolotu z pytaniem, czy mogłaby pomóc.

Po kilku istotnych pytaniach Lucky obiecała, że zadzwoni w parę miejsc. Oczywiście znała różnych ludzi w Waszyngtonie, w tym komendanta policji. Interwencja Lucky nie oznaczała, że automatycznie odnajdą Carolyn, znaczyła jednak, że wszyscy zainteresowani dołożą starań. Postanowił nie mówić o tym Denver. Uznał, że tak będzie lepiej. Bobby był przekonany, że udało mu się osiągnąć jakiś postęp z Denver w sprawie wpadki z Zeeną. Próbował wytłumaczyć, co dokładnie się wydarzyło, i z ulgą stwierdził, że po tym, jak Denver ignorowała go przez większą część lotu, teraz była miłsza. Na koniec uśmiechała się do niego — to dobry znak.

Cieszył się, że mógł ją przywieźć swoim samolotem do Waszyngtonu. Wielomilionowe dziedzictwo ma swoje plusy, które może wykorzystać. Był też zadowolony, że zdecydował się jej towarzyszyć, choć nie wątpił, że M.J. i jego małżonka, a także Brigitte ze swoją dziewczyną nie będą szaleli z radości, kiedy odkryją ich nieobecność. Nie mówiąc o nieobecności samolotu. Pewnie będą się wszyscy uskarżali, że ich porzucił.

Trudno. Ściga dziewczynę, której pragnie, i tym razem nie dba o ostrożność. Lucky zdecydowanie zaaprobowałaby jego postępowanie. Była gorącą zwolenniczką zasady, że jeśli bardzo się czegoś chce, to trzeba to gonić.

Denver jest wyjątkowa i gdyby mógł postawić na swoim, skończyliby jako bardzo wyjątkowa para.

## *Rozdział sześćdziesiąty drugi*

### Denver

Nieśmiało zapukałam do drzwi pokoju Hendersonów. Poprosiłam Bobby'ego, żeby mi nie towarzyszył podczas tej wizyty, bo to nie pora na przedstawianie znajomych. Niechętnie został w naszym apartamencie. Drzwi otworzył George Henderson. Wysoki mężczyzna o niewymuszonym uroku, z siwiejącymi włosami — połączenie pieprzu i soli. W jego oczach widziałam cierpienie, był wyczerpany. Przez moment zastanawiałam się, czyjego stan spowodowało zniknięcie Carolyn, czy śmierć Gemmy Summer. To bez znaczenia. Ten człowiek cierpiał. Uściskaliśmy się, choć nie widziałam go od dwóch lat. — Denver, dziękuję, że przyjechałaś — powiedział zduszonym głosem. — To bardzo wiele znaczy dla mnie i dla Clare. Kiedy to mówił, z łazienki wyszła jego żona. Kiedyś była to bardzo atrakcyjna kobieta, teraz jej widok mnie zaszokował. Była chuda i wyniszczona, pod oczami miała cienie, a siwe włosy potargane. Przyszło mi do głowy, że nie jest to sprawa ostatnich



dwudziestu czterech godzin. To kobieta niezrównowazona. Bez względu na to, co przeżywała, zniknięcie Carolyn tylko pogorszyło sprawę. — Cześć — powiedziałam, robiąc zdecydowany krok w jej stronę, gotowa ją uściskać.

Cofnęła się jak nerwowa klacz. Po chwili niezręcznego milczenia zapytała:

— Jak myślisz, gdzie jest moja córka?

W jej głosie brzmiał niemal oskarżycielski ton, jakbym powinna to wiedzieć, a jeśli nie wiem, nie jestem jej potrzebna.

— Tak mi przykro, pani Henderson — powiedziałam spokojnie. — Nie mam pojęcia, gdzie może być Carolyn.

— Ale przecież wy, dziewczynki, gadacie z sobą przez cały czas. Wiem, że tak jest — mówiła Clare z niezycziwym błyskiem w zmęczonych, zaczerwienionych oczach.

— Wcale tak nie jest — odrzekłam zaskoczona zachowaniem tej rozgoryczonej, przepelnionej złością kobiety, która w ogóle nie przypominała delikatnej osoby, jaką zapamiętałam z dzieciństwa. Często bywałam w domu Hendersonów, a Clare czasami piekła dla nas ciasteczka i woziła nas do centrum handlowego. Kobieta o miękkich włosach i łagodnym usposobieniu gdzieś zniknęła.

— Może zechce pan uaktualnić moją wiedzę — zwróciłam się do George'a.

— On na pewno może wszystko uaktualnić — wtrąciła się Clare, podnosząc głos. — Może ci opowiedzieć o romansie z tą swoją zamordowaną przyjaciółką, gwiazdą filmową. — Zamilkła, żeby obrzucić go nieprzyjaznym spojrzeniem. — Właśnie dlatego Carolyn zaginęła. To karma. Kara dla George'a. I dla mnie.

Po wygłoszeniu tej tyrady Clare usiadła na brzegu niezasłanego łóżka i zaczęła histerycznie szlochać.

George popatrzył na mnie z rozpaczą. Jego spojrzenie mówiło: „Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogę niczego cofnąć”.

— Przykro mi — powiedziałam cicho. — Ale czy nie powinniśmy się skoncentrować na znalezieniu Carolyn?

— Oczywiście. Dzwonił do mnie detektyw Lennox. Chciałby, żebyśmy możliwie najszybciej przyszli do komisariatu. Odnosiłem wrażenie, że dziś wydaje się bardziej chętny do współpracy niż wczoraj, kiedy zgłosiliśmy zaginięcie. Mam nadzieję, że mają dla nas dobre wiadomości. Wezwanie do komisariatu nie wydawało mi się dobrą nowiną. Czyżby znaleźli ciało Carolyn? Czy to ma być ta dobra wiadomość?

Nagle dotarł do mnie koszmar tego, co się dzieje. Moja najlepsza przyjaciółka zaginęła. I bardzo prawdopodobne, że nie żyje.

*Rozdział sześćdziesiąty trzeci*

Hank Montero — dzoker w talii

Recesja ciężko dotknęła wszystkich, szczególnie Hanka Montero, byłego aktora, kaskadera, rekwizytora, mechanika, a wreszcie malarza pokojowego.

Hank, facet przystojny (choć jego uroda była banalna), zawsze potrafił zapewnić sobie stały dochód. Najpierw jako aktor — niezbyt dobry, potem jako kaskader, dopóki nie doznał poważnych obrażeń. Wówczas przez rok pozostawał na zasiłku inwalidzkim z pomocy społecznej. Następnie załatwił sobie pracę rekwizytora w komercyjnej firmie telewizyjnej, ale zginęła gotówka, o co niestety obwiniano Hanka. Próbował pracować jako mechanik, jednak pojechał na przejażdżkę ferrari należącym do jakiegoś bogatego gościa i rozbił samochód w drobny mak, a przy okazji złamał nogę. I został wylany.

W końcu stary znajomy z krótkiego pobytu w więzieniu za ciężkie pobicie (stłukł tego kutasa od ferrari, ale to długa historia) zaproponował mu pracę malarza pokojowego. Miał tę robotę, dopóki nie wypieprzył kobiety, której dom malował. Jej mąż wrócił niespodziewanie i przyłapał go na tym, jak dupczy jego oddaną chrześcijańską małżonkę.

Jako bezrobotny łapał wszystko, co się nawinęło.

Tymczasem jego trzecia żona była wkurzona, dwoje nastoletnich dzieci także (got i zdzira), a dom zajęty przez bank.

Hank Montero był człowiekiem zdesperowanym, kiedy dostał propozycję, która miała zmienić jego życie.

I rzeczywiście zmieniła.

Ale to wszystko wydarzyło się, zanim jego dziewiętnastoletnia żona, pieprznięta była striptizerka, próbowała odstrzelić mu jaja z jego własnego, kradzionego pistoletu, na który nie miał pozwolenia. Wścibski sąsiad zawiadomił o tym wydarzeniu gliniarzy. A ponieważ tamci nie mieli nic lepszego do roboty, dwaj z nich zjawili się w domu Hanka i po upewnieniu się, że nie ma pozwolenia na broń i dostrzeżeniu dużego zapasu kokainy, który jego żona zostawiła na kuchennym stole, zabrali go do komisariatu.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie chodziło o tę samą broń, z której zastrzelono wielką gwiazdę filmową Gemmę Summer.

Hank Montero miał przechłapanie.

*Rozdział sześćdziesiąty czwarty*  
Carolyn

Benito szedł szybko w ulewnym deszczu gnany wściekłością. Wreszcie dotarł do nędznie wyglądającego domu, w którym mieszkała matka Rosy. I oczywiście jej zdezelowany stary buick stał dokładnie przed domem. Benito złapał za klamkę, a ponieważ zamek był zepsuty, więc drzwiczki łatwo się otworzyły.

Wnętrze samochodu cuchnęło starą kapustą i potem, jedno z bocznych okien było rozbite.

Ale co go to obchodzi? Ma tylko jeden cel: znaleźć dziewczynę senatora.

Połączył przewody, zapalił silnik i wyjechał na ulicę.

\* \* \*

Zdesperowana Carolyn zamknęła oczy i starała się udawać, że siedzi bezpiecznie w domu, jednak hałas przejeżdżających obok samochodów nie pozwalał tracić czujności. Na ulicy pokazała się grupka chłopaków, prowadzili coś w rodzaju wyścigu bolidów. Wrzeszczeli, kiedy ich podrasowane auta gnały ulicą w obie strony. Słyszała brzęk tłuczonego szkła

i zachęcające okrzyki dziewczyn. Ich głosy były przepite i ostre.

Czy oni jej pomogą?

Nie. Chyba nie. Instynkt samozachowawczy odpowiedział jej, że bezpieczniej nie ruszać się z miejsca, dopóki się nie rozwidni.

\* \* \*

Buick okazał się jeszcze większym gównem niż jego samochód. Benito doszedł do wniosku, że skoro musiał zapalać bez kluczyka, to mógł trafić lepiej.

W myślach obwinił Rosę, to wszystko jej wina. Nigdy już nie zwiąże się z nastoletnią cipą, to niewarte zachodu.

Trzymając się blisko krawężnika, jechał powoli, rozglądając się uważnie za dziwką senatora.

Musi być gdzieś w pobliżu, nie mogła odejść daleko. Poza tym czuł, że ma szczęście. A kiedy Benito czuł, że ma szczęście, nic nie mogło go zatrzymać.

\* \* \*

Matka Rosy, Florita, dotarła do szpitala bardzo późno, długo po godzinach odwiedzin. Kiedy jednak wyjaśniła dyżurującej w nocy pielęgniarce, że musiała znaleźć kogoś, kto popilnowałby dziecka jej córki, po czym odkryła, że ukradziono jej samochód, pielęgniarka ją wpuściła.

Rosa rozszlochała się na widok mamy, były to szczerze łzy żalu, że nigdy nie słuchała tego, co ona mówiła, i zawsze uważała, że sama wie lepiej.

Florita, niewysoka krępa kobieta o rumianej cerze i spracowanych rękach, uściskała swoją jedyną córkę, a z jej oczu płynęły łzy. *Mi chiquita* — gruchała, kołyszac Rosę w ramionach. — *Mi amorcito*.

Potem rozpoczęła całą tyradę po hiszpańsku o tym, że Benito to dno i na pewno on ponosi odpowiedzialność za to straszne

wydarzenie. Nie powinna była pozwolić Rosie spędzać tyle czasu z tym *bastardo*.

Rosa była zbyt zmęczona, by się spierać. Nie mówiła biegle po hiszpańsku, choć rozumiała, co mówi mama, i gotowa była przyznać jej rację. W głębi duszy Rosa wiedziała, że to, co zrobił Benito, to przestępstwo. Porwanie kobiety senatora było złe i teraz, leżąc na szpitalnym łóżku, Rosa poczuła, że musi komuś o tym opowiedzieć, wyjaśnić, że to nie jej wina.

— Mamo — wyszeptała. — Muszę ci coś powiedzieć.

\* \* \*

Im większy hałas robili członkowie gangów, tym bardziej Carolyn wtulała się w kąt, przerażona, że ktoś ją zauważy. Czytała o torturowaniu bezdomnych, których następnie podpalano, ot, tak dla zabawy. A doskonale zdawała sobie sprawę, że właśnie tak wygląda: jak bezdomna, która nie ma dokąd pójść.

Teraz bała się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy leżała przywiązana do łóżka.

Czym sobie na to zasłużyła? Dlaczego spotkała ją tak surowa kara?

\* \* \*

Benito nadal jeździł przy krawężniku tak wolno, jak się dało, i bacznie się rozglądał. Nie mogła odejść daleko, powtarzał sobie. Widział ją na łóżku niecałą godzinę przed tym, nim zniknęła.

Powinien był związać ją jak kurczaka, ale Rosa powiedziała, że wystarczy przywiązać ją za nadgarstek.

Rosa, kolejna durna dziwka. Na pewno ukarze ją za to, że od niego uciekła.

Jadąc główną ulicą, zauważył, że gromada dupków urządza wyścigi bolidów. Nagle uświadomił sobie, że wyjechał z bez-

piecznej strefy do części miasta, w której rządzi tata dziecka Rosy i jego banda.

To ich terytorium. Ich ulica.

Cholera! Ale dzięki Bogu nie jedzie swoim samochodem. No nie, ale jedzie buickiem należącym do matki Rosy. Kurwa! Lepiej wyjechać stąd, zanim go zauważą. Lepiej wyjechać jak najszybciej.

\* \*\*

Carolyn słyszała odgłos opon piszczących na mokrej jezdni. Hałas, krzyki. A potem nagle strzały gdzieś w dali. Zatkaną uszy. To jakiś koszmar. Wtulona w kąt modliła się o nadejście poranka.



## *Rozdział sześćdziesiąty piąty*

Bobby

Bobby, nieprzywykły do tego, by znajdować się na bocznym torze, niestrudzenie krążył po apartamencie. Wolałby pójść z Denver do Hendersonów, ale skoro ona zdecydowała, że to nie najlepszy pomysł, został.

Zamówił kawę i włączył telewizor. Nadawano właśnie *Today Show*, a Matt Lauer przeprowadzał wywiad z kolejnym politykiem oskarżonym o to, że zdradzał żonę z prostytutką.

Bobby rozpoznał nazwisko i przypomniał sobie, że mężczyzna był wspomniany w artykule w brukowcu o Annabelle i Frankiem.

Nieszczęsny, nierozważny drań pojawił się w telewizji i próbuje się bronić.

Po skończonym wywiadzie z politykiem nadano wiadomości. Głównym tematem było aresztowanie podejrzanego w sprawie morderstwa Gemmy Summer. Prowadzący dziennik nie podał nazwiska zatrzymanej osoby.

Czy Denver wie, że kogoś aresztowano? Pewnie nie.

Ale on wiedział, że chciałyby usłyszeć tę wiadomość, skoro jej szef jest adwokatem Ralpa Maestro.

Zadzwoił do recepcji, prosząc o numer pokoju Hendersonów. Miał teraz doskonały pretekst, żeby tam pójść.

## *Rozdział sześćdziesiąty szósty*

### Denver

Muszę przyznać, że byłam zachwycona, kiedy Bobby zjawił się, żeby towarzyszyć nam w wyprawie do komisariatu. Owszem, odczuwam ulgę, że jest z nami. Zazwyczaj jestem pewna, że poradzę sobie w każdej sytuacji, ale myśl o tym, co mogło się przydarzyć Carolyn, przyprawia mnie o mdłości.

Nie jestem osobą szczególnie religijną, ale teraz powtarzam w kółko: „Boże, spraw, żeby żyła”.

Przezmojąłową przelatywały straszliwe scenariusze. Pamiętam, że czytałam o dziewczynie, którą zakopano żywcem i została znaleziona po trzech miesiącach. Inna szokująca sprawa dotyczyła seryjnego mordercy, który ciął swoje ofiary na kawałki i zakopywał pod swoim domem. Zamordował kilka młodych kobiet. Potem była słynna sprawa stażystki z Waszyngtonu Chandry Levy, której szczątki odkryto w parku trzynaście miesięcy po jej zaginięciu.

Chandra pracowała dla polityka, z którym miała romans.

Przez moment pomyślałam o szefie Carolyn, senatorze Gregorym Stonemanie. Dziewczyna mówiła o nim z entuzjazmem. Zarzuciłam jej kiedyś, że się w nim kocha, a ona, zamiast to wyśmiać, zaczęła się bronić.

Myślałam o jej ostatnim SMS-ie: *Musimy porozmawiać! Tyle się dzieje! I wcześniej: Zadzwoń, gdy tylko to dostaniesz. Mam ważne nowiny!* Jakie były te ważne nowiny? I co znaczyło: „Tyle się dzieje?”.

Zastanawiałam się, czy policja rozmawiała z senatorem. Jeśli nie, to zasugeruję im, że powinni to zrobić.

Zaraz po przyjeździe Bobby'ego przedstawiłam go Hendersonom. Clare była już znacznie spokojniejsza.

Bobby, który nie miał pojęcia o związku George'a z Gemmą Summer, opowiedział mi o aresztowaniu.

Zauważyłam, że George, zrobił się czujny. Najwyraźniej cisnęło mu się na usta mnóstwo pytań, ale powstrzymał się od ich zadania i milczał.

Przynajmniej on nie był zabójcą, tylko kochankiem.

Na dole czekał samochód Bobby'ego z kierowcą. Bogu dzięki, był to nierzucający się w oczy czterodrzwiowy wóz, a nie krzykliwa limuzyna.

— Pojedziemy wszyscy razem — zaproponowałam Hendersonom.

Zgodzili się.

Według czasu z Los Angeles było za wcześnie na telefon do Felixa i wysłuchanie wiadomości o tym, kogo aresztowano — założyłabym się, że tego wielbiciela — ale możecie mi wierzyć, że nie mogłam się doczekać, kiedy się wszystkiego dowiem.

*Rozdział sześćdziesiąty siódmy*  
Hank Montero — dzoker w talii

Hank Montero nie był nowicjuszem, jeśli chodzi o policyjne przesłuchania, ale dwaj gliniarze z Beverly Hills, którzy go aresztowali, byli niezmordowani. Trzymali go przez całą noc i wciąż od nowa zadawali te same pytania. Napięcie było takie, że kręciło mu się w głowie. A Hank Montero nie najlepiej to znosił.

Wszystko wina jego cholernej żony Pinky, dziewiętnastoletniej striptizerki z cudzoziemskim akcentem i wielkimi podskakującymi cymbami. Chciała dostać zieloną kartę, a on ekscytował się na myśl o spędzaniu całych nocy na zabawie tymi cymbami. Ale wszystko zepsuło się zaraz po ślubie: dom przejął bank, a dwójka jego upiornych dzieci — got i zdzira — stanowczo odmówiła wyprowadzenia się.

Kiedy się pobrali, Pinky przestała występować, zmieniła się w zrzędzącą jędzę i oznajmiła, że jej cyce są strefą zakazaną.

Jasna cholera! Co ma robić mężczyzna w takiej sytuacji?

Wziął idiotyczne zlecenie, choć wiedział, że to bez sensu, zabrał pieniądze i ukrył je w skrytce bankowej na swoje nazwisko, co uczcił pieprzeniem sąsiadki z domu obok — po-

zbawionej piersi tlenionej blondyny, która brak cycków nadrabiała maniakalnym wręcz zachowaniem w łóżku.

Niestety, Pinky wróciła wcześniej z pracy w Hooters, przyłapała go na gorącym uczynku, pobiegła po jego pistolet i niemal udało jej się trafić go w jaja.

Blondyna z Południa wybiegła z ich domu, sąsiad wezwał gliniarzy i wszystko byłoby dobrze, gdyby Pinky nie zostawiła funta kokainy na kuchennym stole. Zajmowała się rozprowadzaniem kokainy dodatkowo, zlecał jej to jeden oprych z sąsiedztwa. Uroczą dziewczyną.

Gliniarze ściągnęli wszystkich do komisariatu.

Później, kiedy sprawdzili jego broń, odkryli, że zabito z niej Gemmę Summer.

Wielkie hurra!

Hank zdawał sobie sprawę, że mają go w szponach i prędko nie puszcza. Chyba że... Mógłby zawrzeć układ.

*Rozdział sześćdziesiąty ósmy*  
Annabelle

Zgodnie z instrukcjami Fanny Annabelle ubrała się skromnie, na czarno. Przy jej jasnorudych włosach, ulubionym brylantowym krzyżu maltańskim na szyi i bardziej subtelnym makijażu rezultat był zadziwiający. Przypominała trochę swoją sławną matkę.

Przeglądała się w lustrze i miotła ją sprzeczne uczucia. Z jednej strony chciała uciec do Nowego Jorku, ukryć się w swoim mieszkaniu i z nikim nie rozmawiać, z drugiej miała ochotę stawić czoło światu i pieprzyć ich wszystkich, jak często mawiał Frankie.

Ale czy potrafi wytrwać w tym zamiarze?

Nie jest tak silna, jak się wszystkim zdaje. A myśl o spotkaniu z Ralphem — wielkim tatuśkiem — na cmentarzu przyprawiała ją o skurcze żołądka. Rozwścieczony Ralph stanowił przerażający widok. Przypomniała sobie, że jako dziecko chowała się w szafie, ilekroć tracił nad sobą panowanie. Annabelle uznała, że potrzebuje czegoś więcej niż Frankie i Fanny, by uwierzyć w siebie. Potrzebuje towarzystwa Denver.

Jej szkolna przyjaciółka jest tak pozbierana, zawsze promieniuje wiarą w siebie. Tego właśnie potrzebuje Annabelle — osoby o pozytywnym nastawieniu, która, przebywając z nią, niczego nie zyska.

Denver obiecała towarzyszyć jej na pogrzebie. Ale to było przed tą żenującą historią w „Truth & Fact”. Pewnie teraz, kiedy ona została przedstawiona jako cholerna burdelmama, Denver nie będzie chciała mieć z nią do czynienia. A poza tym ona stoi po stronie Ralpa, jest jego adwokatką.

Jednak Annabelle nie miała wątpliwości, że Denver jest dobrym człowiekiem i jeśli się z nią skontaktuje, znajdą jakieś wyjście.

Frankiemu nieźle szło. Rick Greco nie tylko nie zamierzał się wycofać, ale chciał wejść w nim w spółkę. Zaczęli rozmawiać o stworzeniu nowej sytuacji na scenie klubowej, może nawet z Bobbym i M.J., gdyby tamci byli zainteresowani.

Fanny Bernstein okazała się gwiazdą, znała wszystkich i parła do przodu pełną parą. Frankie i Annabelle podpisali już list intencyjny, oddając Fanny dwadzieścia pięć procent swoich przyszłych dochodów. Nie próżnowała.

— Będę rozmawiała z „Bravo”, „E!” i MTV na temat reality show w przyszłym tygodniu — poinformowała go. — Zostaniecie w Los Angeles, dopóki nie pojedziemy do Nowego Jorku, kiedy Annabelle wystąpi we *View*. Trzymaj się dużego obrazu, Frankie. Przeniesiesz się na stałe do Los Angeles, więc rusz tym chudym tyłkiem.

Frankie nie podzielił się tą wspaniałą nowiną z Annabelle. Teraz była zbyt roztrzęsiona, więc musiał postępować z nią ostrożnie. Należy mieć nadzieję, że po pogrzebie znów stanie się sobą i wtedy obydwójce będą mogli się cieszyć rychłym sukcesem.

*Frankie Romano, gwiazda mediów. To pachnie zwycięstwem. Tak!*  
Nareszcie! Frankie Romano stanie się sławny.

\* \* \*

Fanny Bernstein nie tylko lubiła pogrzeby, ona się nimi rozkoszowała. Nie były one dla niej okazją do opłakiwania zmarłych, ale pozwalały scementować stare związki i zawiązać nowe, a przy tej okazji wszystkich zobaczyć i samej się pokazać, porozmawiać o projektach na przyszłość oraz umówić się na lunch. Fanny nigdy nie przepuściła okazji, a pogrzeby stwarzały ich mnóstwo, szczególnie jeśli nieboszczyk był sławny. Pogrzeb Gemmy Summer powinien być wylegarnią nowych i ciekawych kontaktów. Fanny nie wątpiła, że będzie miała doskonałe miejsce, ponieważ wkroczy z dwójką swoich nowych klientów. Niespodzianka, niespodzianka, Ralphie Maestro. Będziemy obserwowali twoją reakcję na to krótkie przedstawienie. Fanny wybrała czarną, marszczoną suknię, gigantyczne kolczyki, błyszczące srebrne czółenka (na wysokich obcasach bolały ją stopy) i liczne srebrne bransolety.

W końcu była gotowa.

\* \* \*

Szykując się na pogrzeb żony, Ralph Maestro wybrał rzeczy, w które się ubierze.

Gemma nie żyje. On będzie w centrum uwagi, wszystkie oczy zwrócone będą na niego. Ale nie wszystkie ze słusznych powodów, dzięki jego drogiej córeczce Annabelle.

Annabelle Maestro. Zbuntowane dziecko, niezdolna nastolatka, teraz jako dorosła osoba zhańbiła nazwisko Maestro i go upokorzyła.

W pierwszej chwili instynkt podpowiedział mu, żeby rozdzielić ją z tym jej podejrzanym chłopakiem, przywlec z po-



wrotem do domu i nakłść do łba trochę rozsądku — dlatego pojechał do Las Vegas. Kiedy jednak nie mógł jej znaleźć w Vegas — niewątpliwie wróciła do Nowego Jorku — zmienił zdanie.

Rozwiązaniem problemu Annabelle jest wyparcie się jej, pozwolenie, by sama wykopała sobie grób. On już z nią skończył.

Lupe zadzwoniła do jego garderoby.

— Jest pan Saunders — oznajmiła — I pan Pip.

— Powiedz, że zaraz zejdę — powiedział, wiążąc krawat. Niedawny zakup. Czarny jedwab. Sześćset pięćdziesiąt dolarów.

Tak, wszystkie oczy skupią się na nim.

*Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty*  
Carolyn

Gdy tylko się rozwidniło, przestraszona Carolyn obudziła się z półsnu. Było jej zimno, bolały ją wszystkie kości, w ustach zaschło, a stopa pulsowała bólem. Była jednak szczęśliwa, bo udało jej się przeżyć noc, i teraz miała pewność, że znajdzie na ulicy kogoś, kto jej pomoże, a przynajmniej zadzwoni na policję w jej imieniu.

Podniosła się ostrożnie, z trudem stanęła na skaleczonej stopie. Deszcz w końcu ustał, ale nadal było bardzo zimno. Czy wyjście z kryjówki jest bezpieczne? Wciąż nie miała pewności.

\* \* \*

Senator Gregory Stoneman w czwartek wyszedł z domu wcześniej. Noc miał niespokojną, wciąż zastanawiał się, dlaczego Ramirez chce się z nim widzieć. Ramirez powiedział, że to pilne i dotyczy jego brata, więc zbliżając się do ośrodka pomocy, Gregory był przygotowany na najgorsze.

Jeśli chodzi o szantaż — zapłaci.

Myślał też o Carolyn.

Gdzie jest? Co Benito z nią zrobił? Miał ją wziąć na kilka godzin, sponiewierać ją tak, żeby straciła dziecko, a potem ją uwolnić. Minęły już dwa dni, a o niej słuch zginął.

A jeśli zrobili jej krzywdę? Czy można jego pociągnąć do odpowiedzialności?

Chryste! Co on narobił?

\* \* \*

Kiedy Rosa wyznała, jak pomogła Benito porwać kobietę senatora, Florita kazała jej przysiąc, że zachowa milczenie. Przeżegnała się, padła na kolana, po czym zaczęła po hiszpańsku błagać Boga o ocalenie córki. — Już nigdy więcej nie zobaczysz tego *desgraciado cabrón* — jęknęła po skończonej modlitwie. — Gdy tylko wyjdiesz ze szpitala, wyślę cię do kuzynów w Gwatemali.

— Nie, mamó, nie — protestowała Rosa. — A co z moim dzieckiem?

— Dla twojego dobra — upominała Florita, wykręcając ręce — ja się zajmę dzieckiem. Ty trzymaj się z dala. Roso, zrobiłaś coś bardzo złego. *Estúpido*. Ale Bóg będzie nad tobą czuwał, *mi amorcita*. Będzie twoim zbawcą.

Rosa skinęła głową. Mama ma rację. Bóg ukarał ją za zły postępek. A teraz Bóg będzie ją chronił.

\* \* \*

Carolyn obserwowała ulicę i w świetle dnia zobaczyła, jak wygląda okolica, która stała się dla niej pułapką. Widziała puste parcele pokryte śmieciami, rdzewiejące nieukończone budynki, ukryte za połamanymi rusztowaniami, stada bezdomnych psów i dwa nędzne sklepiki: w jednym sprzedawano artykuły żelazne, a drugi był niewielkim marketem.

Obydwa zresztą zamknięte.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegła mężczyznę, który po-

przedniego wieczoru obnażył się przed nią. Pchał wózek sklepowy, wypełniony po brzegi jakąś tandetą, i nucił pod nosem. Za nim kroczył parchaty pies, małe, żałosne stworzonko.

Pomyślała, żeby znowu do niego podejść, uświadomiła sobie jednak, że nie będzie mógł jej pomóc.

Ale przynajmniej jest dzień i żyje, podobnie jak jej dziecko. Poklepała się po brzuchu i ruszyła ulicą. Gdzieś musi być komisariat policji albo poczta czy inna państwowa instytucja, gdzie będzie mogła uzyskać pomoc.

Już nigdy więcej nie zignoruje bezdomnego na ulicy, bo jeśli nie ma się pieniędzy na telefon lub kupienie bochenka chleba, jest się zupełnie bezradnym.

## *Rozdział siedemdziesiąty*

### Denver

W drodze do komisariatu usiadłam obok kierowcy, zostawiając Bobby'ego na tylnym siedzeniu z Hendersonami.

W Waszyngtonie była już ósma rano, co znaczyło, że na Zachodnim Wybrzeżu jest piąta. Nie miałam odwagi budzić Felixa, ale nie czułam żadnych oporów, jeśli chodziło o moją stażystkę Megan. Wyjęłam z torebki komórkę i zadzwoniłam do niej.

Co za niespodzianka, dziewczyna już nie spała! Myśląc, że jest rannym ptaszkiem, powiedziałam:

— Megan, ranne wstawanie to bardzo dobry początek dnia. Zdążysz zrobić mnóstwo rzeczy.

— Prawdę mówiąc — odparła z zupełnie nieprofesjonalnym chichotem — właśnie wracam do domu.

No pięknie. Czy jest pijana? Nie umiałam powiedzieć.

— Potrzebny mi raport w sprawie Maestro — rzekłam rzeczowo. — Rozumiem, że kogoś aresztowano. Kto to jest?

— Kto jest kto? — spytała Megan, po czym kilka razy czknęła.

Niestety, moja bystra mała stażystka jest ubzdryngolona.

— Czy w kancelarii wiadomo, kogo aresztowano? — powtórzyłam bardziej służbowym tonem.

— Nie mam pojęcia — odparła.

To się dowiedz i zadzwoń do mnie — poleciłam krótko. — Na komórkę.

— Tak zrobię. — Po tych słowach w słuchawce usłyszałam tłumione chichoty.

Megan nie jest sama.

Z jednej strony żałowałam, że nie jestem w Los Angeles i nie mogę się dowiedzieć, co się dzieje. Ale druga część mnie doskonale wiedziała, że jestem dokładnie w miejscu, w którym powinnam być, próbując odkryć prawdę o zniknięciu Carolyn.

Detektyw Lennox był mężczyzną wysokim, szczupłym i o ogorzałej twarzy, miał mądre oczy i głęboki głos.

Bobby uznał, że sprawia wrażenie kogoś, kto wie, co robi. Także Denver zareagowała na niego pozytywnie. Obydwojgu wydał się człowiekiem, który nad wszystkim panuje.

— Państwo zechcą pójść ze mną. — Detektyw Lennox prowadził zgnębioną parę do swojego biura.

Bobby i Denver szli tuż za nimi.

Lennox zatrzymał się na chwilę, podniósł rękę autorytatywnym gestem i zapytał:

— A państwo są kim?

— Przyjaciółmi — szybko odpowiedziała Denver. — Ja jestem prawnikiem, najbliższą przyjaciółką Carolyn.

— Nie potrzebujemy prawnika — stwierdził detektyw Lennox.

— Ona nie jest tutaj oficjalnie — wtrącił się Bobby. — Chcemy pomóc w odnalezieniu Carolyn. — Denver rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie. — To jest Denver Jones, a ja się nazywam Bobby Santangelo. Bardzo chcemy pomóc.

Detektyw skinął głową. Nazwisko Santangelo brzmiało znajomo. Kiedy od szefa dotarło polecenie, by traktować tę sprawę jako priorytową, w którymś momencie padło właśnie nazwisko Santangelo.

— Zgoda — powiedział niezbyt pewnie. — Jeśli państwo Hendersonowie nie mają nic przeciwko temu.

— Nie mają — zapewnił George.

Wszyscy stłoczyli się w ciasnym biurze Lennox. Było za mało krzeseł, więc Bobby stanął przy drzwiach. Zaczął George Henderson:

— Czy może nam pan powiedzieć, jaka jest sytuacja? — odezwał się głosem w którym słycać było napięcie.

— Owszem — detektyw Lennox złączył palce. — Od wczoraj notujemy pewien postęp.

— Postęp? — podchwyciła Clare Henderson, a jej twarz się rozjaśniła. — Znaleźliście moją dziewczynkę? Wszystko z nią w porządku?

Detektyw Lennox odchrząknął.

— Przykro mi, pani Henderson, nie znaleźliśmy jej, ale mamy trop. Udało nam się zlokalizować kilka telefonów wykonanych z jej komórki, wszystkie są z tej samej dzielnicy.

— A jaka to dzielnica? — chciał wiedzieć Bobby.

— Obawiam się, że nie jest to najprzyjemniejsza część miasta.

Podejrzewamy, że to nie Carolyn telefonowała. Teraz sprawdzamy, do kogo dzwoniono.

— Czy rozmawialiście z senatorem Stonemanem? I kolegami z pracy Carolyn? — spytała Denver.

— Owszem — odparł detektyw Lennox, lekko zdegustowany tym, że ta młoda kobieta, podająca się za prawniczkę, traktuje go jak amatora.

Oczywiście, że przesłuchał wszystkich, z którymi pracowała zaginiona dziewczyna. A także jej sąsiadów.

— A jej były chłopak? — pytała dalej Denver.

— Nikt o nim nie wspominał.

— Nazywa się Matt London. Na pewno jest w książce telefonicznej.

— Dziękuję, panno Jones — powiedział detektyw Lennox z nutą sarkazmu. — Zawsze dobrze, gdy ktoś pomaga w pracy.

Bobby spojrział na Denver. Miał przeczucie, że zaraz straci nad sobą panowanie. Chcąc rozładować sytuację, poprosił detektywa, żeby wskazał obszar, z którego telefonowano.

Detektyw Lennox oświadczył, że nie może udzielić takiej informacji, ale będzie ich o wszystkim informował na bieżąco, więc najlepiej, żeby wrócili do hotelu i spokojnie czekali.

Bobby przypuszczał, że siedzenie i czekanie nie przypadnie do gustu Denver, więc zaraz po wyjściu z komisariatu skrył się za rogiem ulicy i znów zadzwonił do Lucky.

Trzeba przyznać, że jego mama to prawdziwy kumpel. Chociaż ją obudził, obiecała, że zadzwoni, gdy tylko się czegoś dowie.

— Pospiesz się — prosił Bobby.

— Nie zapominaj, z kim rozmawiasz — rzuciła oschle. Po powrocie do hotelu Hendersonowie udali się prosto do swojego pokoju. Bobby zaproponował Denver śniadanie.

— Nie jestem głodna — powiedziała apatycznie.

— Musisz jeść.

— Dlaczego?

— Bo musisz mieć siłę.

— Na co? — Bezradnie wzruszyła ramionami. — Żebym mogła zidentyfikować jej ciało, kiedy je znajdą?

— Nie myśl w ten sposób. — Bobby objął ją. — Nie jesteś lypem dziewczyny, która się poddaje.

— Skąd wiesz?

Obrzucił ją długim spojrzeniem.

— Po prostu wiem.



*Rozdział siedemdziesiąty drugi*

Hank Montero — dzoker w talii

Obrońca z urzędu, którego przydzielono Hankowi Montero, był niski, gruby i łysy. Nazywał się Dewey Find i przeżywał akurat kryzys: paskudny rozwód, za który zapłaci wszystkim, co ma.

Dewey miał w dupie klientów nieudaczników i szczerze mówiąc, żaden go nie obchodził. Zamierzał wycofać się z wyścigu szczurów, gdy tylko oszczędzi dość pieniędzy, by uciec na Hawaje, gdzie znajdzie sobie niewinną miejscową dziewczynę i będzie mieszkał w chatce na plaży, prawie w ogóle nie wydając pieniędzy.

Dewey na ogół przebywał w świecie marzeń.

Hank Montero znienawidził od pierwszego wejrzenia. Był wszystkim tym, czym on sam nie był. Wysoki, dobrze zbudowany, z gęstą czupryną. — Załatw mi układ — błagał Hank.

Jasne, myślał Dewey. Zrobiłeś coś bardzo, bardzo złego, więc załatwię ci układ, który zagwarantuje ci co najmniej dziesięć lat za kratkami, i będą cię posuwali w dupę wszys-

cy faceci, którzy lubili walić konia na filmach Gemmy Summer.  
— Napisz zeznanie — poradził Dewey ostatniemu ze swoich klientów. —  
Opowiedz o wszystkim. To bardzo pomoże w otrzymaniu dużo  
łagodniejszego wyroku.  
Więc Hank, niezbyt sprytny z natury, tak właśnie zrobił.

*Rozdział siedemdziesiąty trzeci*  
Annabelle

Media niczego nie lubiły tak bardzo jak porządnego staroświeckiego pogrzebu ze wszystkimi dodatkami. Zanosiło się na to, że pogrzeb Gemmy Summer dostarczy tego wszystkiego i jeszcze trochę więcej. Nabożeństwo w kościele i pochówek z udziałem gwiazd i tłumu producentów. Plus, co stanowiło ekstra dodatek, mąż cudownej Gemmy, ceniony gwiazdor kina, i jej niesławna od dwudziestu czterech godzin córka Annabelle, niedawno zdemaskowana jako nowojorska burdelmama, która nie była niechętna odstawieniu osobiście jednego czy dwóch numerków.

Był to wspaniały materiał dla tłumu dziennikarzy zebranych w Forest Lawn Memorial Park, miejscu, gdzie chowano gwiazdy. Szczególnie po tym, jak dowiedzieli się z anonimowego źródła (Fanny Bernstein), że Annabelle Maestro będzie obecna.

Poziom ekscytacji był wysoki.

W tym tłumie był też Mario Riviera, który miał nadzieję spotkać Denver. Z pewnością pokpił sprawę podczas ich ostatniej randki i od tamtej pory próbował naprawić sytuację, ale bez powodzenia.

Denver może znać jakieś zakulisowe informacje, które bardzo by mu się przydały. To zawsze jest zwycięstwo, kiedy zdobywa się przewagę nad rywalami w biznesie rozrywkowym dzięki informacji, której oni nie mają. A ponieważ Mario niedawno awansował na stanowisko współprowadzącego nową audycję *Hollywood Word* chciał potwierdzić swoją wartość. Dlaczego nie wykorzystać wszystkich znajomości, na które może się powołać?

Zaletą Maria Riviery była nie tylko ładna twarz.

\* \* \*

Pochylając się w stronę nowej klientki, Fanny wzięła Annabelle za rękę. — Trzymaj się mocno, laleczko — powiedziała pogodnie. — To się skończy, zanim się zorientujesz.

— Nie wybieram się do dentysty — odparła z sarkazmem Annabelle, myśląc, że Fanny potrafi być czasem irytująca.

Siedziały razem z Frankiem w nierzucającym się w oczy czarnym samochodzie w drodze do Forest Lawn Memorial Park w Hollywood Hills.

Annabelle obawiała się spotkania oko w oko z Ralphem. Ojciec był przerażającą i niezwykłą postacią. W dzieciństwie czasami miała koszmary senne, w których pojawiała się jego olbrzymia twarz. Teraz nawet myślenie o nim przywoływało przykre okropne wspomnienia. Unosząca się nad nią twarz — to nie było szczególnie miłe. Niestety, Ralph wiedział teraz wszystko o interesie, który prowadzi z Frankiem. Doskonale zdawała sobie sprawę, jaki jest wściekły. Jednak Fanny miała rację: przecież nie może jej nic zrobić ani powiedzieć w obecności innych osób, szczególnie jeśli zjawi się mnóstwo dziennikarzy śledzących każdy jego ruch.

Fanny, ubrana w czarną marszczoną suknię, w której wyglądała dwa razy grubiej niż w rzeczywistości, sięgnęła po butelkę szampana, którą czujnie przyniosła ze sobą. Podała ją Frankiemu razem z plastikowymi kieliszkami.

— Otwórz—poleciała. — A potem nalej, laluniu. Rozpaczliwie potrzebujemy się napić, żeby złagodzić ostre kanty. — Zwróciła się do Annabelle: — Czy mówię w imieniu nas obydwu, księżniczko? Annabelle pokiwała głową. Kieliszek szampana to jest dokładnie to, czego potrzebuje, by przetrwać. Może dwa lub trzy kieliszki. Stan lekkiego oszołomienia wydawał się wspaniałą alternatywą dla trzeźwości.

\* \* \*

W towarzystwie swojego prawnika i zaufanego rzecznika prasowego, Pipa, Ralph Maestro wyszedł z domu, przygotowany na cyrk, który zaraz nastąpi.

W ostatnim tygodniu sporo było spekulacji na temat zamordowania Gemmy, ale dzięki Bogu teraz plotki i pogłoski umilkły. Aresztowano kogoś, i tyle.

Policja nie wyjawiała żadnych szczegółów, zakładano jednak powszechnie, że aresztowano wielbiciela Gemmy z Nowego Orleanu, który ją nękał. Ale nawet Felix nie wiedział tego na pewno.

Ralph nadal wściekał się z powodu rewelacji dotyczących jego córki. Annabelle nie odznaczała się szczególną bystrością, zawsze była zazdrosna o związek łączący jego i Gemmę. Z trudem ukrywała żal, jaki żywiła do nich obojga.

Było to smutne, ale już z nią skończył. Annabelle nie dostanie od niego ani centa.

\* \* \*

Orszak pogrzebowy był niewielki i godny. Gemma nie miała bliskiej rodziny, była jedynaczką, a jej rodzice nie żyli. Ralph

zaprosił tylko część przyjaciół, by zajęli miejsca w szeregu czarnych limuzyn jadących za karawanem z trumną Gemmy ozdobioną kwiatami. Właściwie nie tyle chodziło o przyjaciół, ile o szefów wytwórni i producentów. Ralph, podobnie jak Fanny, nigdy nie przepuścił okazji, by podbudować swoją reputację. Nad procesją unosiły się liczne helikoptery z dziennikarzami. Nawet po śmierci Gemma Summer była bohaterką pierwszych stron gazet.

*Rozdział siedemdziesiąty czwarty*

Hank Montero — dzoker w talii

Spowiedzi Hanka Montero trudno było coś zarzucić. Z pomocą prawnika pracował nad nią przez całą noc. Umieścił tam każdy szczegół, jaki mu się przypomniał. A trzeba powiedzieć, że Hank miał doskonałą pamięć. Nikt nie zamierzał zamykać go za morderstwo, do którego popełnienia został wynajęty. Nie ma mowy.

Tak, to prawda. Był płatnym mordercą.

Zewnętrznym kontrahentem.

On za to nie odpowiada.

A Hank Montero nie miał skrupułów przed pokazaniem palcem osoby, która go wynajęła. Żadnych skrupułów.

*Rozdział siedemdziesiąty piąty*

Denver

W innych okolicznościach byłabym szaleńczo, głupio zakochana w Bobbym, a możecie mi wierzyć, że nie jestem romantyczką, ale on ma w sobie coś tak cholernie pociągającego. Nie tylko wspaniale się prezentuje jako mężczyzna, ale jest także wrażliwy i dobry, a przede wszystkim miły!

Powinnam wrzucić wsteczny bieg, bo jest zbyt dobry, by mógł być prawdziwy. W tym momencie przypominałam sobie Zeenę i incydent z obciążaniem, więc może jednak nie jest aż tak idealny. Hm...

Nie powinnam o nim myśleć, powinnam koncentrować się wyłącznie na Carolyn. Mogła zostać zgwałcona, zabita, jej ciało leży gdzieś porzucone, a ja tutaj kocham się w facecie, którego pewnie nigdy więcej nie zobaczę. On mieszka w Nowym Jorku.

Ja w Los Angeles.

Nie ma szans, by do czegokolwiek doszło.

Poza tym jestem pewna, że on ma cały pułk pięknych kobiet u swoich stóp, ponieważ oprócz wszystkich innych cech jest jeszcze bardzo, bardzo bogaty.



Nie żeby mi zależało na pieniądzach, bo tak nie jest. Liczy się osobowość.  
— Śniadanie to najważniejszy posiłek dnia — przekonywał Bobby, prowadząc mnie do hotelowej jadalni.

— Przypominasz moją mamę — powiedziałam cicho. Popatrzył na mnie pytająco.

— Wybaczę ci tę uwagę, ponieważ jesteś zestresowana. Kelnerka poprowadziła nas do stolika, obdarzając Bobby'ego specjalnym uśmiechem.

Chwilę później inna kelnerka podeszła i podała nam kartę. Po raz kolejny Bobby dostał specjalny uśmiech.

Tak będzie wyglądało życie z mężczyzną takim jak Bobby — przez cały czas kobiety rzucające się do jego stóp.

Dlaczego ja zawsze wybieram takich przystojniaków? Mario to klasyczny przykład z tym swoim planem łóżkowego trójkąta.

Sam, scenarzysta z Nowego Jorku, lepiej do mnie pasował. A także Josh — kiedy był interesujący. Bo nie teraz, z tymi dodatkowymi dziesięcioma funtami i postawą typu „nasze rozstanie to chyba był błąd”.

Mężczyźni! Życie bez nich byłoby o wiele prostsze. Ale nie takie zabawne!

— Zamawiam dla ciebie — oznajmił Bobby, przejmując władzę.

— Niby dlaczego? — obruszyłam się.

— Ponieważ wpatrujesz się w kartę, jakby była napisana w obcym języku.

— Przepraszam, nie mogę się skoncentrować.

— Właśnie widzę. — Obrzucił mnie długim, współczującym spojrzeniem. — To musi być okropne.

— Carolyn i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od szkoły średniej

— wyjaśniłam, a moje oczy niespodziewanie wypełniły się łzami. — Jest jak siostra, której nigdy nie miałam.

— Nie możesz tracić nadziei — powiedział Bobby, przysu-

wajac się bliżej i obejmując mnie. — Policja znalazła jej telefon, to dobra wiadomość.

— Naprawdę?

— Naprawdę, Denver.

Udało mi się wypić szklanekę soku jabłkowego, kilka łyków kawy i zjeść pół grzanki.

Bobby zjadł talerz jaj, bekonu i kiełbasek jak człowiek umierający z głodu, po czym obydwójce wyciągnęliśmy komórki i zaczęliśmy sprawdzać wiadomości.

Ja miałam ich kilka, wiele z nich od Maria, które brzmiały mniej więcej tak: *Tęsknię za tobą. Gdzie jesteś? Dlaczego nie oddzwoniasz?*

Halo, Mario. Dlatego, że jesteś dupkiem.

Jestem potrzebna Annabelle Maestro. Coś takiego! Nigdy nie przypuszczałam, że usłyszę podobne wyznanie od księżniczki z Beverly Hills.

Odczytałam zwięzłą wiadomość od Felixa (najwyraźniej wysłaną przez jego asystentkę, ponieważ nikt po pięćdziesiątce nie ma pojęcia, jak wysyłać SMS-y): *Denver, bardzo mnie rozczarowałaś. Praca zawsze powinna być na pierwszym miejscu.*

Pieprz się, Zębie Rekina. Jeśli o mnie chodzi, na pierwszym miejscu zawsze będą ważne sprawy osobiste.

Zastanawiałam się, czy wysłać mu taką informację. Pomyślałam jednak: po co sobie zawracać głowę. Doszłam do wniosku, że pora iść do przodu. Komórka Bobby'ego zaczęła wibrować i szybko odebrał. Po kilku minutach rozmowy strzelił palcami.

— Chodźmy. Mam pewien plan. Nie będziemy tu siedzieli i czekali.

*Rozdział siedemdziesiąty szósty*  
Carolyn

Carolyn wkrótce przekonała się, że jeśli się wygląda na osobę bezdomną, jest się traktowanym, jakby się było niewidzialnym. Nieliczni przechodnie, zajęci własnymi sprawami, za wszelką cenę starali się jej unikać. Przechodzili na drugą stronę ulicy albo mijali ją w pośpiechu, udając, że nie istnieje.

Wiedziała, że musi wyglądać okropnie. Była brudna, miała potargane włosy, ubranie pozlepiane błotem, bose nogi. Żałosna postać, kuśtykająca bez butów po ulicy.

Para pijaczków siedzących pod wymalowaną graffiti ścianą obrzuciła ją obleśnymi obelgami, kiedy przechodziła koło nich. Gromadka dzieci idących do szkoły wyśmiewała się z niej bez żenady. Jeden z chłopców podniósł duży kamień i rzucił nim, trafiając ją w czoło, z którego poląła się krew.

Szybko ukryła się w bramie.

Kiedy znajdzie się ktoś, kto jej pomoże?

\* \* \*

— Dzień dobry — powiedział Gregory, wchodząc do ośrodka pomocy. Był zdegustowany tym, z czym musi mieć do

czynienia. Przede wszystkim nie chciał tu być. Nie chciał słuchać tego, co Ramirez ma mu do powiedzenia. Wiedział już z góry, że cokolwiek to będzie, na pewno mu się nie spodoba.

Ramirez siedział przy starym drewnianym biurku i zapisywał coś ołówkiem w notesie ze sklepu, w którym wszystko kosztuje dziesięć pensów. Podniósł wzrok.

— Wcześniej pan przyszedł, senatorze — zauważył.

— Mam dzisiaj mnóstwo zajęć — wyjaśnił Gregory, myśląc: Przejdźmy do rzeczy, ty pieprzony szantażysto.

— Proszę sobie przysunąć krzesło — powiedział Ramirez. — Przykro mi, ale ekspres do kawy jest zepsuty. Niczym nie mogę pana poczęstować. Tutaj już tak jest.

— Nie ma problemu. — Gregory usiadł i patrzył na Ramireza. — Czego dokładnie pan ode mnie oczekuje? — spytał.

— Chodzi o mojego brata. — Ramirez odłożył ołówek. Jasne, byłem tego pewny, pomyślał Gregory. I czekał, aż

Ramirez mu powie, że niestety Benito posunął się za daleko z Carolyn, a teraz, kiedy ona nie żyje, niech się lepiej przygotuje do zapłacenia, bo to wszystko przez ten jego diabelski plan.

— Ma poważne kłopoty — ciągnął Ramirez, a jego poznaczona ospą twarz była bardzo poważna.

— A jak konkretnie ja tu mogę pomóc?

— Mój brat stał się celem. Nie chce mnie słuchać. Ale pan, senatorze... myślałem, że gdyby pan zaproponował mu pracę... Może potrzebny panu ogrodnik, konserwator basenu, jakaś złota rączka. Żeby mógł mieszkać na terenie posesji, zniknąć z ulicy.

Twarz Gregory'ego była pozbawiona wyrazu. To chore. Czy Ramirez naprawdę przypuszcza, że on mógłby zatrudnić Benita bez szczególnego powodu? Niby dlaczego miałby to zrobić?

— Tylko na kilka tygodni, żebym mógł coś z tym zrobić, zlikwidować zagrożenie.

— Jakie zagrożenie? — spytał chrapliwie Gregory.

— To typowa historia. Pewnie nazwałby pan to wojną

gangów. Mój brat Benito ma dziewczynę, która ma dziecko z członkiem wrogiego gangu. Ten *cholo* życzy mu śmierci. Po prostu. A jeśli ja się tym nie zajmę... — Ramirez urwał.

Martwy Benito. Czy to byłoby takie straszne? Szczególnie jeśli skrzywdził albo zabił Carolyn.

Gregory pokręcił głową.

— Przykro mi, Ramirez. Nie mogę ci pomóc. Oczy Ramireza przypominały dwie szparki ze stali.

— Nie mogę czy nie chcę?

Gregory czuł wrogość w powietrzu. Wstał. Teraz, kiedy nie grozi mu szantaż, musi wydostać się z tego przygnębiającego miejsca i jak najszybciej zapomnieć o Ramirezie i jego przekętym bracie.

— Nie mogę — powiedział to tonem, który nie zachęcał do odpowiedzi.

Ramirez także wstał.

— Rozumiem. Ale, senatorze, pragnę zaznaczyć, że gdyby to członek pańskiej rodziny był w niebezpieczeństwie, na przykład jedno z pana uroczych dzieci, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc.

Czy w słowach Ramireza kryje się groźba? Czy grozi jego dzieciom? Jasna cholera. Po co Evelyn poznała go z tym człowiekiem? Tacy ludzie są toksyczni. Evelyn powinna być mądrzejsza.

\* \* \*

Po pewnym czasie Carolyn wyszła z bramy. Ulice zaczynały się wypełniać, ludzie spieszyli do pracy, a wszyscy unikali jej tak, jakby była chora na zakaźną chorobę.

Potrzebowała tylko drobnych na telefon, ale jej błagania o pomoc pozostawały bez odpowiedzi.

\* \* \*

— Przykro mi, że nie mogę pomóc — mówił Gregory, zmierzając zdecydowanie do drzwi. Czuł nagłą potrzebę wyrwania się z tego miejsca, rozstania z Ramirezem, szczególnie że nie wisiała już nad nim groźba szantażu.

Ramirez poszedł za nim.

— Rozczarował mnie pan, senatorze. Sądziłem, że podobnie jak ja chciałby pan zabrać te dzieci z ulicy.

— Pański brat nie jest dzieckiem — zauważył Gregory. Ramirez zamrugął kilka razy.

— A skąd pan to wie? Gregory wzruszył ramionami.

— Tak przypuszczam — powiedział, otwierając drzwi i wychodząc.

Znowu zaczęło padać i Gregory był zły, że zostawił parasol w samochodzie. Miał na sobie nowy szary garnitur, woda go zniszczy.

W tym momencie obok niego zatrzymał się nieoznakowany samochód policyjny i wysiadł z niego policjant po cywilnemu.

Gregory natychmiast rozpoznał w nim detektywa, który był u niego w biurze i wypytywał o Carolyn.

O co tu chodzi?

Znowu był przerażony.

*Rozdział siedemdziesiąty siódmy*

Denver

Bobby jest typem przywódcy, a ponieważ ja również, mogło się okazać, że toczymy walkę o to, kto podejmuje decyzje. Ale ja byłam osłabiona, godziłam się więc na wszystko, co zaproponował.

Podobno dowiedział się, w jakiej dzielnicy telefonowano z komórki Carolyn. Postanowił, że pojeździmy po ulicach tej części miasta, by rozeznąć się w sytuacji.

Normalnie powiedziałabym: „Ale jaki to ma sens?”. Jednak był to lepszy plan niż bezczynne czekanie w hotelu, więc się zgodziłam.

Nasz kierowca, przyjaźnie nastawiony facet z Sierra Leone, powiedział, że zapuszczamy się na obce terytorium.

— Nie wysiadajcie z samochodu — radził, zaintrygowany tym, po co w ogóle tam jedziemy.

— Nie planujemy tego robić — zapewnił go Bobby. Kiedy znaleźliśmy się w samym centrum rozpadającego się i rzekomo niebezpiecznego kwartału ulic, zauważyłam liczne puste parcele porośnięte wysokimi krzakami, a także opuszczone budynki ogrodzone połamanymi płotkami i pomyślałam:

Boże, a jeśli ciało Carolyn leży na którejś z tych posesji? Musimy coś zrobić.

— Czy nie powinniśmy wysiąść i przeszukać terenu? — spytałam Bobby'ego.

Popatrzył na mnie, jakbym nadawała się do domu wariatów.

— Przeszukać co? — spytał, kiedy mijaliśmy pokryte graffiti ściany i bandę wyrzutków skulonych pod nimi, chroniących się przed deszczem parasolem zaimprovizowanym z kartonowych pudeł.

— Nie wiem, szukać gdziekolwiek, wszędzie. Te wszystkie puste parcele. Dlaczego nie ma tu policji z psami? Czy nie powinny jej szukać specjalne grupy?

— Nie mogą zacząć poszukiwań, nie mając punktu wyjścia — powiedział łagodnie Bobby.

— Więc my powinniśmy to zrobić! — wykrzyknęłam.

— Słuchaj, wiem, że chcesz zrobić wszystko, co możliwe, ale to duże miasto. A ona może być wszędzie.

Opadłam na obite skórą siedzenie.

— Wiem — powiedziałam cicho — ale czuję się tak beznadziejnie, kiedy nic nie robię.

— Chcesz wrócić do hotelu? — spytał Bobby, ściskając moją dłoń.

Nie mam talentów parapsychologicznych, ale coś mi mówiło, że powinniśmy nadal szukać.

— Nie. Zróbmy jeszcze jedno okrążenie.



*Rozdział siedemdziesiąty ósmy*  
Annabelle

Wiele osób wygłaszało pożegnalne przemówienia na pogrzebie Gemmy. Jej długoletni agent. Szef wytwórni. Ostatni grający z nią gwiazdor. Ceniony reżyser, pod którego kierunkiem wielokrotnie pracowała. Jej najlepsza przyjaciółka, starsza kobieta, która z trudem opanowywała łzy. I na koniec sam Ralph Maestro.

Stojąc na podium, prezentował się wspaniale, pod każdym względem idealnie. Zrecznie ukrywał gniew, że córka ośmieliła się pojawić z tym swoim nikczemnym chłopakiem. Obydwoje mają chyba nerwy ze stali. Był oburzony, że tak bezczelnie zjawili się na pogrzebie.

Zwyciężył zdrowy rozsądek. Prasa stawiała się licznie, więc nic nie powie Annabelle. Za namową Pipa nie zignorował jej. Powitał ją obojętnymi pocałunkami w policzki — w stylu hollywoodzkim — i odszedł, żeby porozmawiać z innymi żałobnikami.

Ralph niezwykle szczerze mówił o swojej pięknej żonie. Jego pożegnanie było wzruszające i subtelne. Goście — przyjaciele zebrani w klasycystycznej Sali Wolności w Forest Lawn

Memoriał Park, byli pełni współczucia dla pogrążonego w żałobie gwiazdora, którego przeznaczeniem stała się teraz samotność. Ale ponieważ działo się to w Hollywood, wszyscy oczywiście wiedzieli, że Ralph nie będzie samotny zbyt długo. Kobiety już snuły przypuszczenia, która pierwsza zarzuci się na Ralpha Maestro. Jest nie lada zdobyczą.

\* \* \*

— To doskonały początek — szepnęła Fanny Bernstein do ucha Frankiego. — Annabelle ma wrodzony talent. Zauważyłeś, jak nasza lalunia poradziła sobie z prasą?

Frankie skinął głową niezbyt zadowolony. Owszem, doskonale widział. Kto by przypuszczał, że Annabelle ma talent aktorski? Wspaniale odgrywała niepokieszoną córkę. Zręcznie uniknęła pytań o artykuły w „Truth & Fact”, a licznie zgromadzone media wprost zakochały się w niej.

Frankie natomiast zorientował się, że jest ignorowany. Dla prasy nie był wystarczająco ważny, mieli go w nosie, cały czas chodziło im o Annabelle.

Rozbuchane ego Frankiego dostało niezłego prztyczka.

Fanny знаła wszystkich, ale nie zadawała sobie trudu, żeby go przedstawić, co też było irytujące. Do diabła, ma reprezentować ich oboje, nie tylko Annabelle.

Po pogrzebie zamierzał odbyć szczerą rozmowę z Fanny Bernstein. W cztery oczy. Najwyższa pora, żeby zaczęła traktować go z respektem, na jaki zasługuje.

\* \* \*

Po prywatnym pożegnaniu wszyscy udali się na cmentarz, żeby zobaczyć opuszczanie trumny do ziemi.

Nad głowami zebranych unosiło się kilka helikopterów. Był idealny grudniowy dzień w Kalifornii, żadnych chmur, ciepła, lekka bryza.

Annabelle zastanawiała się, czy powinni pójść do domu razem z resztą żałobników. Fanny stwierdziła, że powinni.

Nie wiadomo, dlaczego Annabelle czuła się wręcz upojona. Wszyscy byli dla niej tacy mili, mówili o tym, jak bardzo jest podobna do matki i jaka jest urocza. Pytali, czy zastanawiała się kiedykolwiek nad karierą filmową. Nikt — ani jedna osoba — nawet nie wspomniał o tym przeklętym brukowcu.

Szef wytwórni wręczył jej swoją wizytówkę i zaproponował, żeby do niego zadzwoniła. Najlepsza przyjaciółka matki uznała, że muszą pójść razem na lunch. Ostatni partner filmowy Gemmy, przystojny aktor o ruchach Johnny'ego Deppa, pytał, czy jest singielką.

— Tak — odpowiedziała szybko, mając nadzieję, że Frankie nie czai się gdzieś w pobliżu.

Hollywood. Beverly Hills. Los Angeles. Nagle Annabelle poczuła, że nareszcie dotarła do domu.

Żegnaj, Nowy Jorku. Los Angeles to jest jej przyszłość.

*Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty*  
Bobby

Od ponad godziny jeździli w tę i z powrotem po nędznych uliczkach.

— Powinniśmy zmierzać w stronę hotelu — zasugerował Bobby, widząc, jak Denver cierpi. — To nie był dobry pomysł.

— Może jeszcze z dziesięć minut? — prosiła z nadzieją Denver i ze wzrokiem wbitym w boczną szybę obserwowała ulicę.

— Nie — powiedział stanowczo Bobby. — To nie ma sensu. Przykro mi, Denver.

Skinęła głową, nie przerywając obserwacji.

— Pewnie masz rację — westchnęła.

— Do hotelu? — spytał szofer, który nie mógł się doczekać, kiedy wyjedzie z tej dzielnicy. Jego pasażerowie muszą pochodzić z innego stanu, najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, jak jest tu niebezpieczne.

— Tak — potwierdził Bobby. — Do hotelu. Uszczęśliwiony szofer wcisnął gaz.

Nagle Denver krzyknęła, żeby zatrzymał samochód.

— Co takiego? — Bobby był zaskoczony.

— Na miłość boską! Proszę zatrzymać! — krzyczała na szofera.  
Nieszczęśnik nie wiedział, co robić. Jeden pasażer chce wrócić do hotelu,  
a teraz ta ładna kobieta żąda, żeby się zatrzymał. Nawet w biały dzień  
wyjście z samochodu nie jest bezpieczne. Usiłował to wytłumaczyć  
kobiecie, ale nie chciała słuchać.

— Proszę zatrzymać samochód — poleciła. — Już!

— Co takiego zobaczyłaś? — dopytywał się Bobby. — No powiedz!

— Nie... nie wiem — jąkała się Denver, kiedy stanęli przy krawężniku. —  
Ale w połowie przecznicy była na chodniku osoba...

— Osoba na chodniku — powtarzał Bobby, kręcąc głową.

— Nie, naprawdę...

— Co za osoba, Denver? Ktoś, kogo znasz?

— Tak... Myślę, że to była Carolyn.

*Rozdział osiemdziesiąty*  
Carolyn

— Co pan tu robi, senatorze? — pytał detektyw Lennox. Gregory cofnął się do wejścia ośrodka pomocy, żeby nie zmoknąć.

Podziwiam slumsy. Cóż innego mógłbym tu robić?

— Interesuje mnie los młodzieży w tym mieście — powiedział Gregory, wślizgując się gładko w skórę polityka. — Często spotykam się z Ramirezem Ortega, żeby się zorientować, w jaki sposób mogę pomóc. Najważniejsze jest zabranie tych dzieciaków z ulicy.

Ramirez obrzucił go długim spojrzeniem. Lennox westchnął.

— Możemy wejść do środka? Chciałbym, żeby pan też wszedł, senatorze. Gregory miał wrażenie, że żołądek wypełnia mu ołów. Co teraz? Czy detektyw odnalazł ciało Carolyn i w jakiś sposób powiązał je z nim i rodziną Ortego?

Zachowaj spokój, powtarzał sobie. Nie panikuj.

Ramirez i detektyw Lennox najwyraźniej się znali, bo kiedy wszyscy trzej weszli do środka, detektyw dość familiarnie położył rękę na ramieniu Ramireza.

— Ramirez, przyszedłem, żeby ci to powiedzieć osobiście — powiedział ciepło. — Nie chciałem, żebyś usłyszał o tym na ulicy.

Twarz Ramireza przypominała maskę.

— Benito? — spytał. — Mój brat? Detektyw Lennox skinął głową.

— Przykro mi, Ramirez. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

\* \* \*

Carolyn miała wrażenie, że już dalej nie dojdzie. Każda kolejna ulica to smutny szereg zrujnowanych, opustoszałych budynków. A każda osoba, którą próbowała zaczepić, odwracała się od niej.

Była zmarznięta i samotna. Stopa jej spuchła, czuła, że ma gorączkę, była skołowana. Jeśli pomoc nie zjawi się szybko, to się podda, znajdzie jakiś ką i zwinie się w kłębek. Bez jedzenia. Bez wody. Z ostrym bólem podbrzusza.

Czy straci dziecko? Czy to krew płynie jej po nogach?

Nie mogła już iść.

Oparła się o zabita deskami witrynę sklepu i z trudem łapała oddech.

Ulicą przejechał samochód. Przyzwoicie wyglądający samochód.

Czy zatrzyma się przy niej? Słabiutko pomachała ręką. Nie. Nie zatrzyma się. Nikt się nie zatrzyma. Osunęła się na mokry chodnik i zamknęła oczy.

— Carolyn? Usłyszała głos anioła.

— O Boże! Carolyn, to ty! — powiedział anioł.

*Rozdział osiemdziesiąty pierwszy*  
Skandal

Oczekiwanie nieoczekiwanego jest w Hollywood na porządku dziennym. Skandale zdarzają się tu bezustannie.

Phil Spector strzela kobiecie w twarz. OJ. Simpson zarzyna własną żonę i jej przyjaciela. Lindsay Lohan biega bez spodni i rozbija samochody. Heath Ledger przedawkowuje. Jessica, Jennifer i Cameron zrywają z kolejnymi chłopakami. Michael Jackson umiera przy wtórze pogłosek. Zawsze coś się dzieje. Społeczność Hollywood niełatwo zaszokować. Jednak od czasu do czasu wydarza się coś tak niezwykłego, że ludzie są naprawdę wstrząśnięci.

Takim wydarzeniem był pogrzeb Gemmy Summer.

Wszystko przebiegało gładko. Jazda do Forest Lawn Memorial Park.

Szczerze mowy pogrzebowe. Ceremonia opuszczenia trumny.

Po czym nastąpił wielki finał.

Liczne samochody policyjne. Mnóstwo glin. I dwoje detektywów:

Preston — wysoki Afroamerykanin, oraz Lee — młodsza od niego

Azjatka.



Z minami wyrażającymi determinację detektywi podeszli do Ralpa Maestro oddalającego się od grobu.

Zaniepokojony Pip, jak przystało na lojalnego rzecznika, natychmiast stanął przed swoim cenionym klientem.

— Proszę się odsunąć — poleciła detektyw Lee niespodziewanie głębokim głosem.

— Ralphie Maestro — powiedział detektyw Preston — jest pan aresztowany za udział w zamordowaniu żony Gemmy Summer Maestro. Przysługuje panu prawo do milczenia. Cokolwiek pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu w sądzie. Ma pan...

— To oburzające! — wykrzyknął Felix Saunders, kiedy detektyw skończył mówić.

Sam Ralph zachował spokój, a jego przykuwająca uwagę twarz filmowego gwiazdora była pozbawiona jakichkolwiek emocji. W końcu działa się to w Hollywood, a on był gwiazdą.

Komuś tak sławnemu jak on nie może stać się nic złego.

Absolutnie nic.

## *Rozdział osiemdziesiąty drugi*

### Denver

Uff, tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, że czuję się otumaniona. Odnalezienie Carolyn wędrującej po ulicach było przypadkiem. Coś niebywałego!

Muszę podziękować Bobby'emu za podjęte przez niego nieoficjalne działania i zdobycie wszelkich możliwych informacji. To chyba dobrze, jeśli rodzinne koneksje pozwalają podnieść słuchawkę i zadzwonić do komendanta policji.

Pojechaliśmy z Carolyn na ostry dyżur, przez całą drogę trzymałam ją w ramionach, a Bobby skontaktował się z jej rodzicami i z detektywem Lennoxem.

Doktor Glass przyjęła nas na oddziale nagłych wypadków i zabrała Carolyn, podczas gdy ja ściszałam Hendersonów i próbowałam zrozumieć, co się właściwie stało.

Bobby przez cały czas mnie wspierał, odpowiadał na pytania różnych osób, przynosił mi kawę i czuwał nade mną. To bardzo dziwne uczucie, świadomość, że ktoś się mną zajmuje. Zawsze byłam taka niezależna, tak pewna, że poradzę sobie w każdej sytuacji. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że obecność Bobby'ego bardzo podnosi mnie na duchu.

Kiedy zabieraliśmy Carolyn do samochodu, wyglądała rozpaczliwie, była w hysterii. Bóg jeden wie, przez co przeszła.

Detektyw Lennox chciał ją przesłuchać, ale doktor Glass mu nie pozwoliła, co, jak mi się wydaje, bardzo go rozzłościło, bo chodził w tę i z powrotem po poczekalni i pił kawę ze styropianowych kubków.

Wreszcie w izbie przyjęć pojawiła się doktor Glass.

— Carolyn dojdzie do siebie — zapewniła nas, zwracając się przede wszystkim do pani Henderson, która sama wyglądała jak rozbitek. — Jest wyczerpana, odwodniona, ma też paskudną ranę na stopie, którą trzeba będzie zszyć. Na wszelki wypadek podamy jej szczepionkę przeciwcięcową. Pewnie ucieszy państwa wiadomość, że dziecko jest bezpieczne.

— Dziecko? — powtórzyła zdumiona pani Henderson.

— Dziecko! — wykrzyknęłam z równym zdumieniem.

— Carolyn jest już prawie od dwóch miesięcy w ciąży — wyjaśniła doktor Glass. — Sądziłam, że państwo o tym wiecie.

A więc to była ta ekscytująca nowina! Nareszcie się wyjaśniło!

Bobby ścisnął moją rękę.

Kto by przypuszczał, że zwykłe wzięcie za rękę może spowodować, że wzdłuż kręgosłupa przebiegnie mi dreszcz?

— Zaskoczona? — spytał Bobby.

— Jeszcze jak! Teraz muszę się dowiedzieć, kto jest ojcem. Obdarzył mnie leniwym uśmiechem.

Boże! Te zęby bielsze od śniegu. Te usta. Te ciemne, głębokie oczy.

Czy w takiej chwili powinnam odczuwać podniecenie? Chyba nie.

Ale co tam! Carolyn jest bezpieczna, więc nie ma nic złego w tym, by skoncentrować uwagę na Bobbym. Absolutnie.

— Ale dlaczego? — spytał rozsądnie. — To chyba jej sprawa i powie ci to, kiedy uzna, że powinnaś wiedzieć.

Całkiem sprytnie. Kwestionowanie praw Carolyn teraz nie byłoby najlepszym pomysłem.

Nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem zmęczona. Wyczerpana emocjonalnie, gotowa wrócić do domu i wślizgnąć się do łóżka obok Amy Winehouse.

Tutaj nie miałam już nic do roboty. Hendersonowie chcą być z córką, ja bym tylko przeszkadzała. Poza tym, jeśli wszystko będzie w porządku, mniej więcej za tydzień Carolyn do mnie przyjedzie.

Spytałam, czy mogę ją zobaczyć, a doktor Glass wyjaśniła, że na razie może wejść do niej tylko rodzina. Bobby jakby czytał w moich myślach.

— A może tak odwiózłbym cię do domu? — zaproponował. — Twoja przyjaciółka jest bezpieczna, nie masz tu nic do roboty.

— Ale przecież ty mieszkasz w Nowym Jorku — powiedziałam cicho. — Mogę bez problemu polecieć rejsowym samolotem.

Miałam wrażenie, że przewierca mnie na wylot tymi swoimi ciemnymi oczami.

— Odwożę cię do domu — oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Pożegnałam się z Hendersonami, życząc im jak najlepiej, i wymogłam na nich obietnicę, że Carolyn zadzwoni do mnie, gdy tylko lepiej się poczuje.

Obydwoje ucisnęliśmy dłoń detektywa Lennox'a i oddaliliśmy się. Ja i Bobby Santangelo Stanislopoulos.

W drodze na lotnisko w samochodzie czułam się bardzo nieswojo.

O Boże! W samym sercu dramatu, ja nagle zaczynam... Nie! Nie! Nie!

— W której dzielnicy Los Angeles mieszkasz? — spytał Bobby.

— A bo co? Czyżbyś zamierzał lądować na mojej ulicy? — spytałam nonszalancko.

— Niewykluczone — odparł z uśmiechem. — W ten sposób szybciej się ciębie pozbędę.

— Pozbędziesz się mnie? Jak śmiesz?! — zażartowałam.

— Wiesz — mówił, nie odrywając ode mnie wzroku — kiedy udajesz zagniewaną, jesteś jeszcze ładniejsza.

Z trudem przełknęłam ślinę. W podobnej sytuacji miałabym jakąś ciętą odpowiedź, ale obecność Bobby'ego mnie paraliżowała.

Samolot czekał. Oczywiście. Wydawało mi się, że Bobby tylko strzela palcami i wszystko się dzieje.

Hani i Gitta powitały nas na pokładzie ubrane w eleganckie mundurki.

Chyba bez trudu mogłabym przywyknąć do tego stylu podróżowania.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziło południe czasu waszyngtońskiego. W

Los Angeles trzy godziny wcześniej. Wkrótce zacznie się pogrzeb

Gemmy Maestro, a ja nie wezmę w nim udziału.

Bardzo niedobrze.

A może nie?

Zaraz po starcie samolotu zapadłam w głęboki sen zwinięta w kłębek.

Ktoś — chyba Bobby — przykrył mnie kocem i podłożył mi pod głowę poduszkę, jednak nic nie mogło mnie obudzić. Byłam wykończona.

Kiedy po paru godzinach „wypłynęłam” na powierzchnię, Bobby miał dla mnie nowiny.

Podobno Ralph Maestro został aresztowany za zlecenie zamordowania żony. Było o tym w internecie.

Niestety, a może na szczęście, ominęło mnie to wydarzenie.

Nie mogłam się doczekać, kiedy znajdę się w domu i wszystkiego się dowiem.

Na lotnisku oczywiście czekał samochód i wyruszyliśmy z Bobbym do mojego domu.

Nie wiedziałam, co robić. Czy zaprosić go do środka? Czy w mieszkaniu jest bałagan? Dokąd zmierzamy? Czy może z tego coś wyniknąć?

Tak! Tak! Tak!

Jednak los zawsze interweniuje w jakiś szalony sposób, więc przed drzwiami mojego mieszkania stał Sam, scenarzysta, z którym spędziłam jedną noc w Nowym Jorku.

— Cześć! — wykrzyknął entuzjastycznie. — Właśnie sprzedałem scenariusz wytwórni Universal i jestem!

No i był. Jak najbardziej, razem z torbą podróżną.

Głupia sytuacja.

Bardzo głupia.

Zwłaszcza że Sam zachowywał się tak, jakbyśmy byli parą. W każdym razie Bobby zdawał się tak to odbierać, bo cmoknął mnie zdawkowo w policzek i szybko poszedł. Nie mogłam zrobić nic, żeby go zatrzymać. Do widzenia, Bobby. Miło było cię poznać.

Zdeprymowana zaprosiłam Sama do środka, poczęstowałam drinkiem, pogratulowałam, a następnie powiedziałam, że nie może u mnie zostać. Zrozumiał, nie był tępy.

\* \* \*

Przez następne dwa dni dużo się dowiedziałam. Odkryłam, że Ralph Maestro był nie tylko gwiazdorem filmowym, był też człowiekiem z powiązaniem. Ważnymi i skutecznymi. Więc mimo iż został aresztowany i oskarżony o wynajęcie Hanka Montero, by zamordował jego żonę, wypuszczono go po kilku godzinach. Postarał się o to Felix Saunders. Pięciomilionowa

kaucja i wielki gwiazdor filmowy wrócił do swojej gigantycznej rezydencji, bardzo pewny siebie. Pewny, że kiedy sprawa w końcu znajdzie się na wokandzie, może za cztery lata — tyle czasu zajęło doprowadzenie do pierwszego procesu sądowego słynnego producenta płyt Phila Spectora — wyjdzie wolny. Bo Ralph Maestro bynajmniej nie czuł się winny żadnej zbrodni.

Piękna, eteryczna Gemma Summer, jego kochająca żona, zdradzała go, a w oczach Ralph'a był to niewybaczalny grzech. Wyjawiał Felixowi i prowadzącym śledztwo detektywom, że pewnego razu, kiedy pił piwo ze swoim dawnym dublerem kaskaderem, wspomniawszy mimochodem, iż każda kobieta, która zdradza męża, zasługuje na to, by ją zastrzelić. Skąd mógł wiedzieć, że Hank — dla którego nadeszły ciężkie czasy — potraktuje jego wypowiedź tak dosłownie?

— To był głupi żart — tłumaczył Ralph. — Nieostrożna uwaga, którą podchwycił psychopata.

Felix skinął głową. Zrozumiał. Felix rozumiał wszystko. Później wynikła sprawa pieniędzy, które według wersji Hanka Ralph mu zapłacił.

— Facet miał kłopoty — powiedział Ralph bez najmniejszego poczucia winy. — Dałem mu parę tysięcy dolarów, żeby się pozbierał. Jeśli nie można pomóc bliźniemu, życie nie ma sensu.

Spojrzałam na jego twarz i w przenikliwych oczach Ralph'a Maestro dostrzegłam zło w najczystszej postaci.

Jednak Felix był mistrzem, doskonale wiedział, że bez trudu doprowadzi do oczyszczenia Ralph'a ze wszystkich zarzutów.

Felix był zajebistym adwokatem.

A Ralph zajebistym klientem.

Wkrótce potem opuściłam kancelarię Saunders, Fields, Simmons i Johnson.

Może mój tata miał dobry pomysł. Nagle oskarżanie przestępców zamiast bronięcia ich wydało mi się znacznie bardziej strawnym zajęciem.

\* \* \*

Carolyn ma przyjechać do mnie na święta Bożego Narodzenia. Mam nadzieję, że wszystko mi opowie, bo jak dotąd jej porwanie owiane jest mgłą tajemnicy. Umierałam też z ciekawości, kim jest ojciec dziecka. Mamy dużo do nadrobienia.

Nie byłam pewna, co szykuje dla mnie przyszłość, ale jedno wiedziałam na pewno: od tej pory zamierzam dokonywać jedynie dobrych wyborów. A jeśli chodzi o Bobby'ego... w szkole średniej on był przystojniakiem, a ja kujonem, którego nie zauważał. Zawsze wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie.

Teraz mogę znowu skoncentrować się na karierze.  
Jestem wolna. Mogę robić, co tylko chcę.



## *Epilog*

Sześć miesięcy później

Początkowo Annabelle była oziębiała, nawet nie zaszokowana, bo instynktownie przez cały czas czuła, że ojciec jest winny. Owszem, żartowała z tego, ale w głębi duszy zawsze podejrzewała, że tak czy inaczej, Ralph miał coś wspólnego ze śmiercią jej matki.

Ralph Maetsro i Gemma Summer.

Idealna para.

Jak się okazało, nie taka idealna.

Annabelle była oczywiście pewna, że Ralph zostanie uniewinniony, jeśli w ogóle dojdzie do procesu. W końcu to Hollywood. Gwiazdom filmowym może ujść — i uchodzi — na sucho nawet morderstwo.

A tymczasem Annabelle nie dopuściła, by nagła niesława ojca przeszkodziła jej w karierze. O nie, nie ma mowy. Fanny się tym zajmowała, a wszystkie jej sugestie były bezbłędne.

Zapraszano Annabelle do najpopularniejszych audycji. *Oprah*, *Larry King na żywo*, *Jay Leno Show*. Wystąpiła we wszystkich.

Okazało się — tak jak przewidywała Fanny — że Annabelle przed kamerą wypada bardzo naturalnie. Uroczo. Słodka, kiedy tego chciała, lub złośliwa, zależnie od fantazji. Zabawna. Wykształcona. Była wymarzonym gościem prowadzących talk-show.

Po czym — dokładnie tak, jak przewidziała Fanny — przyszły propozycje umieszczenia jej nazwiska na książce. Było to wielomilionowe przedsięwzięcie. *Moje życie, hollywoodzka księżniczka mówi o wszystkim.*

Szybka publikacja. Fenomenalny skok na szczyt listy bestsellerów.

Wkrótce Annabelle Maestro stała się prawdziwą gwiazdą, a zawdzięczała to wyłącznie sobie.

\* \* \*

Frankie w końcu przyznał, że pora się rozstać. Nie podobała mu się paskudna postawa Annabelle, która traktowała go z góry, jakby była drugim wcieleniem Angeliny Jolie. Jedno Frankie wiedział na pewno: nie jest stworzony do odgrywania roli tła.

Fanny też go denerwowała. Wszystko, co robiła, służyło pokazaniu Annabelle, dla niego nie robiła nic. Reality show, w którym mieli występować obydwój jako para, nigdy nie doszło do skutku. Zamiast tego zaproponowano Annabelle własny program oparty na jej dużej książce.

Frankie miał tego dosyć, nic go to wszystko nie obchodziło. Chciał uruchomić inne sprawy. Poza tym on i Annabelle oddalili się od siebie już wiele miesięcy temu.

Kiedy Frankie powiedział „do widzenia”, Annabelle odczuła ulgę. Obydwój przenieśli się do Los Angeles, a hollywoodzki styl życia bardzo Frankiemu odpowiadał. Prowadził interes z Rickiem Greco, interes, który znał aż za dobrze. Przekonywa-

nie bezrobotnych aktoreczek, żeby sprzedawały swoje ruchliwe ciała na boku za *mucho* dolców, nie było szczególnie trudne. Na razie interes kwitł. Frankie był bardzo szczęśliwym hollywoodzkim alfonsiem.

\* \*\*

Carolyn doszła do siebie w rekordowym tempie. Zdecydowana jak najszybciej zapomnieć o koszmarnych przeżyciach postanowiła opuścić Waszyngton i wrócić z rodzicami do Los Angeles.

Evelyn i Gregory Stonemanowie odwiedzili ją w szpitalu. Co za przyjemność! Carolyn nie mogła uwierzyć, że Gregory miał czelność pojawić się z żoną.

— Kochanie, tak nam przykro — gruchała Evelyn, wymachując pudełkiem drogich czekoladek. — Biedny Gregory szalał z niepokoju. Szalał z niepokoju, pomyślała Carolyn. Nie wątpię. Nie miała pewności, czy Gregory maczał palce w porwaniu, za to pewne było, że nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Miłość, jaką kiedyś go darzyła, dawno minęła.

— Czy policja dowiedziała się, kto cię tak strasznie potraktował? — paplała Evelyn, podczas gdy Gregory bez słowa wpatrywał się w podłogę.

Co za tchórz! — pomyślała Carolyn. Na wypadek gdyby coś podejrzewała, pojawił się ze swoją nadętą małżonką w charakterze ochrony, choć Carolyn prawie jej nie знаła.

Carolyn była zdegustowana. Senator Gregory Stoneman nie jest takim mężczyzną, za jakiego go uważała. W istocie, uświadomiła sobie, nigdy nie miał zamiaru odejść od żony i zaczynać z nią nowego życia. Ten człowiek to fałszywy, zakłamany żonaty sukinsyn.

A jednak, mimo wszystko, kiedy ją przesłuchiowano, nie potrafiła wplątać go w porwanie.

Kiedy detektyw Lennox zapytał, co robiła na nieczynnej stacji benzynowej, powiedziała, że zabłądziła. Ani słowa o tym, że to senator Stoneman polecił jej tam właśnie na siebie czekać.

Co za zbieg okoliczności! I jakie to dziwne, że dziewczyna, która przytknęła jej do nosa wacik nasączony chloroformem, wiedziała, że Carolyn jest w ciąży.

Słowa tej dziewczyny nadal prześladowały Carolyn.

Po dwudziestu czterech godzinach wypisano ją ze szpitala i oprócz licznych szwów na skaleczonej stopie nie miała śladów po dramatycznych przejściach.

Wyjechała z Waszyngtonu z dzieckiem Gregory'ego w łonie i bez żalu. Urodzi to dziecko, ale nigdy nie dopuści do tego, by Gregory był częścią jego życia.

Dla niej senator Gregory Stoneman przestał istnieć. I tak już będzie zawsze.

\* \* \*

Sława Zeeny rosła, podobnie jak jej kolekcja młodych mężczyzn. Ostatnio wystąpiła na stadionie Maracana w Rio i przy okazji odkryła dziewiętnastoletnich bliźniaków — modeli męskiej bielizny — którzy występowali jako zespół nie tylko w tym przypadku. Potem pojawiły się Minda i Miranda, dwie zachwycające modelki brazylijskie.

Zeena szybko uświadomiła sobie, że mieszane deble są najbardziej śmiałymi i ekscytującymi pośród jej gierek.

Satysfakcja gwarantowana. Zdecydowanie.

Od czasu do czasu myśli Zeeny wracały do Bobby'ego Santangela Stanislopoulosa, który według jej oceny był jedynym, który jej się wymknął. Owszem, nie wątpiła, że ich przeznaczeniem jest ponowne spotkanie, a kiedy to nastąpi, może powie mu o swojej przygodzie z jego ojcem, wielkim Dimitrim, kiedy była nastolatką.

Może tak zrobi. A może nie.  
Zeena nigdy niczego nie planowała.

\* \* \*

Doktor Glass i detektyw Lennox ostrożnie zaczęli się umawiać. Obydwoje byli bardzo zajęci i nie mieli czasu na romanse. Obydwoje odkryli, że są jednakowo zaskoczeni tym, że znajomość przerodziła się w coś więcej.

\* \* \*

Mario Riviera dostał mile widziany awans. Ze współprowadzącego codzienną półgodzinną audycję *Hollywood Word* awansował na gospodarza weekendowego programu i sam miał prowadzić godzinne audycje w soboty i w niedziele. Widzowie najwyraźniej akceptowali jego kokieteryjny i śmiały sposób bycia, nie mówiąc o mięśniach brzucha i pociągających dołeczkach.

Jak widać, Denver Jones nie doceniała żadnego z tych przymiotów, bo nie odpowiedziała na jego liczne SMS-y, nigdy też nie podziękowała mu za kwiaty, które jej posłał.

Trudno.

To strata dla panny Jones.

\* \* \*

Rosa wróciła z Gwatemali odmieniona. Czas spędzony w niezbyt bogatym kraju z ubogimi kuzynami nauczył ją paru rzeczy.

Tęskniła za swoim dzieckiem i postanowiła być lepszą matką. Tęskniła też za mamą i przyrzekła sobie, że będzie więcej czasu spędzała w domu, częściej pomagała i przestanie wagarować. Przestanie także sypiać ze wszystkimi. Dostała niezłą nauczkę, kiedy się dowiedziała, że Benito został zastrzelony.

Jego odejście przyprawiło ją o dreszcze, ale jeszcze gorsza była wiadomość, że morderca jest ojcem jej dziecka.

Rosa miała dopiero szesnaście lat, ale była głęboko przekonana, że musi zmienić swoje życie.

Często myślała o kobiecie, którą Benito porwał, i po przejrzeniu na szkolnym komputerze artykułów ze starych gazet dowiedziała się, kim była.

Ta informacja przyniosła jej ulgę, ale nadal czuła się winna, że zaangażowała się w tę sprawę. Mama kazała jej przysiąc, że dochowa tajemnicę, ostrzegła, żeby nikomu o tym nie opowiadała. Ale trudno jej było zachować dla siebie tę wiedzę, musiała się z kimś nią podzielić.

Pewnego dnia po lekcjach poszła zobaczyć się z Ramirezem w ośrodku pomocy, który prowadził. Nie знаła go, ale wiedziała, że jest bratem Benita i ma opinię dobrego człowieka.

Bardzo zdenerwowana opowiedziała mu całą historię. Słuchał uważnie każdego jej słowa.

Kiedy skończyła, Ramirez mocno ją uściskał i zapewnił, że postąpiła słusznie.

Rosa nareszcie poczuła się oczyszczona.

\* \* \*

Ramirez długo rozmyślał nad rewelacjami Rosy.

Mógł pójść na policję, szczególnie do detektywa Lennox, ponieważ znali się długo i darzyli szacunkiem.

Albo... mógł milczeć i wykorzystać opowieść Rosy.

Ramirez miał wybór i szybko podjął decyzję.

Zadzwoił do senatora i poprosił o spotkanie. Senator Stoneman poinformował go, że jest zbyt zajęty, by się z nim spotykać.

Ramirez powiedział mu, że oczywiście to rozumie, więc może zadzwoni do żony senatora, żeby omówić ulepszenia, jakie chciałby wprowadzić w ośrodku.

Senator Stoneman wyczuł groźbę zawartą w tych słowach i zgodził się na spotkanie.

W ciągu paru tygodni rozpoczęto prace nad generalnym remontem ośrodka. Pieniądze, o które zebrał Ramirez, nagle zaczęły płynąć strumieniem.

Z punktu widzenia Ramireza było to niezwykle korzystne rozwiązanie.

\* \* \*

A senator Stoneman żył w śmiertelnym strachu, że pewnego dnia wyjdzie na jaw prawda o jego udziale w porwaniu Carolyn. Nie miał wątpliwości, że zanim Benito został zastrzelony, zwierzył się bratu, bo choć Ramirez nie powiedział tego wyraźnie, było jasne, że o wszystkim wie.

Wydawało się, że Carolyn także wie. Nie zapomni rozczarowania w jej oczach, kiedy odwiedził ją w szpitalu. Jeśli Carolyn kiedykolwiek zacznie mówić, będzie to koniec jego kariery.

Jednak senator był politykiem i nie poddawał się łatwo, więc ze zdawkowym uśmiechem i zawsze nienaganną Evelyn u boku kontynuował działalność. A kiedy Ramirez czegoś od niego chciał, spełniał jego prośbę.

Senator Gregory Stoneman doskonale wiedział, co jest najważniejsze, by przetrwać.

\* \* \*

M.J. przeniósł się do Las Vegas ze swoją nową żoną, żeby nadzorować ponowne otwarcie klubu Mood. Kiedy Cassie dostała propozycję występów w hotelu Cavendish, był zachwycony. Chciał, żeby została gwiazdą, jeśli o tym właśnie marzyła, a ze względu na jej młody wiek doświadczenie było najważniejsze.

Mógł to być tymczasowy ślub z Vegas, jednak po sześciu

miesiącach przebywania ze sobą dzień w dzień obydwójce byli przekonani, że czeka ich długa wspólna droga.

\* \* \*

Janey Bonafacio nigdy nie udało się odnaleźć Chipa. Również Frankie nie wpadł na jego trop. Janey odczuła ulgę, kiedy kuzyn wreszcie wybaczył jej, że pozwoliła Chipowi ukraść zdjęcia, dokumenty i gotówkę z sejfu w nowojorskim apartamencie.

Frankie odkrył, że gotówka zniknęła, dopiero gdy przyjechali do Nowego Jorku, bo Annabelle miała wystąpić w *Today Show*. Kiedy się zorientował, że ich okradziono, wpadł w szal.

Annabelle okazała się bardziej pragmatyczna.

— Nic nie możemy na to poradzić — powiedziała. — Mamy szczęście, że dzięki Bobby'emu nie aresztowano nas za prowadzenie agencji z dziewczynami na telefon.

Tak wyglądała prawda. Bobby i kontakty jego rodziny uratowali sytuację. Bobby był prawdziwym przyjacielem.

Po jakimś czasie Janey pojechała do Los Angeles, żeby być bliżej ukochanego kuzyna.

— To, co zrobił Chip, to nie twoja wina — powiedział Frankie. — Możesz przyjechać do Los Angeles i pracować dla mnie. Potrzebny mi ktoś, komu mogę zaufać. Znowu zająłem się biznesem.

Janey była szczęśliwa, mogąc spełnić jego prośbę.

\* \* \*

Chip Bonafacio przeniósł się do Tucson i udało mu się ukryć. Ani Frankie, ani jego mama nie mieli pojęcia, dokąd pojechał.

Zmienił nazwisko, wynajął luksusowe poddasze, związał się z tancerką na rurze o imieniu Daisy i kupił sobie nowiutki



motocykl. Człowieku, miał mnóstwo pieniędzy i bardzo mu się to podobało.

Jednak nowo zdobyta zamożność na dłuższą metę nie przyniosła mu szczęścia. Trzy miesiące po artykule w „Truth & Fact” zginął w czołowym zderzeniu z ciężarówką.

Daisy szybko zebrała całą zostawioną przez niego gotówkę — a było tego sporo — i pospiesznie wyniosła się z miasta.

\* \* \*

Hank Montera bynajmniej nie był wybrańcem bogów. Miał wystarczająco dobrą prezencję, by zostać gwiazdorem jak jego stary kumpel Ralph Maestro. Kiedyś razem chodzili na kursy aktorskie przy Hollywood Boulevard. Zajęcia prowadziła spięta Angielka, która zaczęła sypiać z Ralphem. Oczywiście dawała mu najlepsze role w studenckich przedstawieniach, na które przychodzili dyrektorzy od castingu.

Ponieważ Ralpha wszędzie było pełno, został szybko odkryty, a Hank nie. Kilka lat później, kiedy nazwisko Ralpha stało się znane, namówił wytwórnę, by zaangażowała Hanka jako jego dublera kaskadera. Nie było to złe, dopóki Hank nie spadł z jakiegoś przeklętego budynku i nie połamał sobie prawie wszystkich kości.

Potem sytuacja pogarszała się coraz bardziej, a kiedy po wielu latach Hank w końcu odnalazł starego kumpla Ralpha Maestro i błagał go o pożyczkę, Ralph powiedział, że się nad tym zastanowi.

Zastanowi się, na miłość boską! Ralph był pieprzonym gwiazdorem, forsa wyłaziła mu z tyłka! To Hanka rozeźliło.

Jednak ku jego wielkiemu zdumieniu po dwóch miesiącach Ralph zadzwonił. Spotkali się w barze przy Hollywood Boulevard, w którym bywali w dawnych czasach.

Ralph miał dla niego propozycję. Nie przypadła ona Hankowi

specjalnie do gustu, ale rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, więc do diabła ze wszystkim. Z opowieści Ralpa wynikało, że ta dziwka sobie na to zasłużyła.

Ralph wszystko zorganizował. Powiedział, którędy wejść do jego domu, zapewniał, że w bocznych drzwiach alarm nie będzie włączony, a psy zostaną unieszkodliwione. Ralph przekazał mu instrukcje, dokąd pójść i co zrobić po wejściu do domu. Wyjaśnił wszystko tak szczegółowo, że nie mogło być mowy o pomyłce.

Tyle że nikt nie wziął pod uwagę trzeciej żony Hanka, skokainizowanej Pinky, i jej żywiołowej zazdrości.

Kto by pomyślał, że chwyci za broń (tę samą, którą Ralph kazał mu wyrzucić do rzeki Los Angeles natychmiast po zastrzeleniu Gemmy, a czego on oczywiście nie zrobił) i spróbuje odstrzelić mu jaja? I kto by pomyślał, że przeklęty wścibski sąsiad wezwie gliniarzy? Ralph Maestro wyszedł z całej sprawy czysty, podczas gdy on, Hank Montero, dostanie minimalny wyrok dziesięciu lat więzienia, ponieważ sąd przysięgłych, złożony rzekomo z równych mu obywateli, nie uwierzy, że Ralph Maestro wynajął go do wykonania zadania.

W istocie Hank Montero bynajmniej nie był wybrańcem bogów.

\* \* \*

Otwarcie przebudowanego klubu Mood w Las Vegas miało być wystawne. Bobby nie lubił organizować wielkich bankietów, ale lubiła to Lucky, a także M.J. Obydwoje chcieli, by było to wielkie wydarzenie. Rozesłano zaproszenia.

Bobby osobiście wysłał zaproszenie do Denver. Nie był pewny, czy odpowie, przecież nie widział jej od chwili, gdy zostawił ją w Los Angeles na progu mieszkania, gdzie czekał na nią facet będący najwyraźniej jej chłopakiem.

Psiakrew! Tak bardzo chciał ją bliżej poznać, spędzić z nią trochę czasu, spokojnie, bez żadnych napięć.

Powiedziała mu, że nie ma chłopaka. Ale, jak widać, miała.

Postanowił zadzwonić do niej i zapytać, czy wybiera się na otwarcie. Ze swoim chłopakiem czy bez niego. Lepiej byłoby bez.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy spotkał się z kilkoma dziewczynami, ale wszystkim brakowało tego czegoś, co miała Denver. Dużo o niej myślał. Odebrała telefon po trzecim dzwonku.

— Cześć. Tu Bobby.

— Ten sam Bobby, który uciekł i zostawił mnie na progu z moim byłym chłopakiem? Nawet nie byłym, po prostu bohaterem jednej nocy z przeszłości. Wielkie dzięki.

— Staralem się uszanować twoje układy — odparował.

— I nawet nie zadzwoniłeś — besztala go.

— Chwileczkę, co masz na myśli, mówiąc „bohater jednej nocy”? Nie oceniłem cię jako dziewczyny na jedną noc.

— Ty mnie w ogóle nie oceniłeś — odrzekła, zachwycona tym, że zadzwonił.

Kiedy dostała zaproszenie na otwarcie Mood, miała nieśmiałą nadzieję, że Bobby zadzwoni. Ale potem pomyślała: dlaczego miałby to zrobić?

Przez kilka ostatnich miesięcy była zajęta karierą, więc nie myślała zbyt dużo o Bobbym.

No, może czasami... kiedy była na nudnej randce i przypominała sobie tę bliskość i porozumienie, które zdawały się ich łączyć.

Nadeszły i minęły święta Bożego Narodzenia, a wraz z nimi wizyta Carolyn, jej ciężarnej przyjaciółki, która zdecydowanie odmawiała wyjawienia, kto jest ojcem dziecka. Rzuciła pracę w Waszyngtonie i wróciła do Los Angeles, żeby więcej czasu spędzić z matką. Clare Henderson rozwodziła się z ojcem Carolyn.

Denver miała nową pracę, pracowała teraz dla miasta. Została asystentką prokuratora okręgowego i bardzo jej się to podobało. Oskarżanie złych facetów było bardziej satysfakcjonujące niż bronienie grubych ryb — gwiazd filmowych mających przyjaciół na stanowiskach.

— Więc jeśli tamten facet był tylko na jedną noc, czy to oznacza, że jesteś wolna? — spytał Bobby.

— W każdym razie na pewno nie biorę za to pieniędzy.

— To miłe — zaśmiał się Bobby.

— Gdzie jesteś? — zapytała.

— W samolocie, w drodze do Vegas.

— W twoim samolocie?

— To nie jest mój samolot — tłumaczył cierpliwie. — To samolot firmy Stanislopoulos.

— A ty nie nazywasz się Bobby Stanislopoulos? — przekomarzała się.

— Chyba tak, panno prokurator okręgowa.

— Skąd wiesz o mojej nowej pracy?

— Myślisz, że się tobą nie interesowałem?

— Naprawdę? — Poczła dreszcz zachwytu.

— No to jak będzie? Ja się zatrzymam w Los Angeles czy ty wskoczysz w samolot do Vegas?

— Nie...

— Posłuchaj, Denver, ja też słyszałem o grze wstępnej, ale to śmieszne.

— Owszem — powiedziała cicho. — Bez wątpienia.

— A więc rozumiem, że mam przyjechać do Los Angeles, tak?

— Wygląda na to, że nie mogę ci w tym przeszkodzić.

— Wygląda na to, że wcale nie chcesz.

Denver się rozłączyła, ale z jej twarzy nie zniknął uśmiech.

*Po epilogu*

Denver

Cztery godziny po telefonie Bobby'ego byliśmy razem w łóżku i okazało się, że to spełnienie wszystkich moich marzeń.

A oto moja lista.

Mięśnie brzucha: idealne.

Technika: bez zarzutu.

Sztuka kochania: nie da się ująć w słowa.

Całokształt: nie mogę myśleć, jestem szaleńczo zakochana. Tak, jak najbardziej. Bobby Santangelo Stanislopoulos jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam.

Po telefonie — którego mimo wszystko się spodziewałam — zjawił się pod moimi drzwiami i prawie nie mogłam uwierzyć, że znowu go widzę. Stał na progu, wysoki, ciemny, cholernie pociągający.

Wzięłam go za rękę i wciągnęłam do mieszkania.

Zamknął drzwi nogą i natychmiast zaczął mnie całować. Długo, niespiesznie, z języczkiem, przeniósł całowanie na zupełnie nowy poziom.

— Cały czas o tobie myślałem — wyznał głębokim, ochrypłym głosem.

— Ja też — zdołałam wydusić, dotykając jego twarzy.

— Co takiego? — przekomarzał się ze mną. — Ty też myślałaś o sobie?

— Hola... — zachichotałam. Chwileczkę! Przecież nigdy nie chichoczę.

Zdejmował mi przez głowę podkoszulek, a ja zaczęłam rozpinąć jego koszulę, bo obydwójce chcieliśmy dotknąć nagiego ciała, a ja pragnęłam go bardziej niż kogokolwiek w życiu.

Bobby był mistrzem gry wstępnej — rozpinał mój stanik zapinany z przodu, muskał moje sutki opuszkami palców, delikatnie ścisnął moje piersi i pieścił obie naraz.

Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na to, co nastąpi, pragnęłam, by działał szybciej, a równocześnie chciałam, by nigdy nie przestał pieścić moich piersi.

Czułam na udzie jego twardość i zsunęłam rękę na dół, żeby go dotknąć. I wtedy zrozumiałam, że muszę go posmakować, nawiązać ten intymny kontakt, czego nie robiłam z byle kim, w istocie z nikim od czasu Josha.

Możecie uznać, że jestem staroświecka, ale seks oralny powinien być zarezerwowany dla kogoś wyjątkowego. A Bobby był wyjątkowy.

Jeszcze jak...

Wreszcie dotarliśmy do sypialni, zrzuciliśmy resztę ubrań i zaczęliśmy się leniwie kochać, bo obydwójce wiedzieliśmy, że przed nami jest jeszcze dużo, dużo więcej, więc nie ma żadnego powodu do pośpiechu.

Nie miałam pojęcia, co się wydarzy.

Bobby mieszka w Nowym Jorku.

Ja mieszkam w Los Angeles.

Ale jedno wiem na pewno: niektóre rzeczy muszą się wydarzyć. A to dopiero początek.